ŚLADY ZBRODNI

NADINE MATHESON

NAŚLADOWCA

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

NADINE MATHESON

NAŚLADOWCA

Przełożyła z angielskiego
Beata Hrycak

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału
The Jigsaw Man

Projekt okładki
© ERWAN DENIS

Fotografie na okładce
© FotografiaBasica/E+/Getty Images

Koordynacja projektu
NATALIA STECKA-KUBANEK, KONRAD ZATYLNY

Redakcja
MAŁGORZATA GROCHOCKA

Korekta
URSZULA WŁODARSKA

Redakcja techniczna
ADAM KOLENDA

Copyright © 2021 by NJ Matheson Ltd.

Polish edition © Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6254-0

Konwersja: eLitera s.c.

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja

- Prolog
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
- Rozdział 19
- Rozdział 20
- Rozdział 21
- Rozdział 22
- Rozdział 23
- Rozdział 24
- Rozdział 25
- Rozdział 26
- Rozdział 27
- Rozdział 28
- Rozdział 29
- Rozdział 30
- Rozdział 31
- Rozdział 32
- Rozdział 33
- Rozdział 34
- Rozdział 35
- Rozdział 36

Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Rozdział 81
Rozdział 82
Rozdział 83
Rozdział 84

Rozdział 85
Rozdział 86
Rozdział 87
Rozdział 88
Rozdział 89
Rozdział 90
Rozdział 91
Rozdział 92
Rozdział 93
Rozdział 94
Rozdział 95
Rozdział 96
Rozdział 97
Rozdział 98
Rozdział 99
Rozdział 100
Rozdział 101
Rozdział 102

Podziękowania
Przypisy

Dedykuję Amber, Esther, Jem, Jonathanowi, Keri,
Luke'owi, Patricii, Satu i Steph

Prolog

Godzina szósta czterdzieści cztery, nabrzeże Greenwich, odpływ. Maxwell Thomas spaceruje z psem nad rzeką. Nie spodziewa się, że znajdzie ludzkie szczątki. Stąpa po szarej glinie, mokrych otoczakach i odłamkach szkła, omijając kawałki drewna i wyrzucone opony samochodowe. Gdy spuszcza Petrę ze smyczy, zauważa, jak promienie słońca odbijają się od jakiegoś przedmiotu na ziemi. Schyla się i ostrożnie podnosi błyskotkę. Wczoraj znalazł średniowieczną szpilkę i rzymską monetę. Tym razem to tylko połamane ogniwa łańcuszka od korka do wanny. Rozczarowany prostuje się i widzi, że jego pies zawzięcie węszy w błocie. Jest koniec lata. Fala upałów trwa nieprzerwanie, temperatura powoli rośnie. Maxwell ociera krople potu z czoła. Koszulka przykleja się do fałdów tłuszczu na brzuchu. O szóstej czterdzieści osiem podchodzi do suczki i widzi, co przykuło jej uwagę.

– Jezu święty. Ja pierdolę.

Odciąga psa za obrożę. Błyskawicznie uwalnia się adrenalina, serce łomocze w uszach. Te same uczucia towarzyszyły mu wczoraj przy znalezieniu rzymskiej monety. Ciekawość i ekscytacja, które teraz szybko znikają. Ogarniają go obrzydzenie i strach, dopadają silne mdłości. Trzęsącą się dłonią wyjmuje telefon. Komórka upada na mokry żwir. Maxwell wyciera ekran o dżinsy, sprawdza, czy obiektyw aparatu jest czysty. Fotografuje odciętą rękę.

Półtora kilometra dalej Heather Roszicky, profesor archeologii, nadzoruje grupę studentów drugiego roku, którzy kończą prace terenowe nad rzeką w miejscu dawnej stoczni Deptford. Heather opiera się o mur, spogląda na zegarek i wzdycha. Do kolejnego przypływu pozostały jeszcze cztery godziny, ona jednak chętnie by już stąd poszła i wróciła do swojego gabinetu. Musi dopiąć ostateczną wersję książki o schyłku wykopalisk nad Tamizą, zanim wydawca spełni obietnicę, że ją zamorduje. Już dwukrotnie przesuwała termin i wydała całą zaliczkę.

Ciszę przerywa krzyk. Heather widzi biegnącą w jej stronę studentkę, dziewczynę o imieniu Shui. Pozostali cofają się od omszałych kamieni, Heather zaś rusza ku dziewczynie, która potyka się o kawałek drewna i upada na ziemię.

– Co się stało? – pyta.

Shui kręci głową i zaczyna płakać, Heather pomaga jej wstać. Studenci rozmawiają głośno i wszyscy naraz zbliżają się do profesorki. Ktoś chwyta ją za ramię i ciągnie w kierunku gnijących stopni promu. Gdy Heather spogląda na stoczniowy basen wypełniony mętną wodą, czuje, jak w jej gardle wzbiera krzyk. Między czarnymi i zielonkawymi fragmentami roztrzaskanego drewna widzi bezgłowy ludzki korpus.

Christian Matei, monter mebli kuchennych, idzie w stronę Nelson Mews, ostatniego zaułka przy Watergate Street w Deptford. Rzeka jest niedaleko, wydaje mu się, że słyszy krzyk kobiety, ale w tym samym momencie jego uwagę odwraca dźwięk fałszującej trąbki. Dotarłszy do domu pod numerem piętnaście, otwiera furtkę i wyrzuca pusty kubek po kawie do śmietnika na podjeździe.

– Cholera – klnie w swoim ojczystym albańskim, ponieważ kubek odbija się od kubła i ląduje na ziemi. Gdy Christian schyla się, by go podnieść, zauważa coś kątem oka. Pół metra dalej krąży nad czymś chmara much. Kawa zmieszana z sokami żołądkowymi podchodzi mu do gardła. Wymiociny lądują na muchach obsiadających odciętą ludzką nogę w początkowym stadium rozkładu.

Rozdział 1

Najważniejsze to zachować spokój. Nie dać po sobie poznać, że działa jej na nerwy. Kolejny raz.

– Rob, nie mam na to czasu. Spóźnię się do pracy – powiedziała Henley, biorąc ze stolika kluczyki do samochodu.

– I w tym właśnie problem. Ty nigdy...

Resztę zdania zagłuszył trzask zamykanych drzwi frontowych, ale znała ciąg dalszy.

„Ty nigdy nie masz czasu. Zawsze stawiasz pracę na pierwszym miejscu".

Komisarz Anjelica Henley spojrzała za siebie na szeregowy dom ze świeżo pomalowanymi na niebiesko drzwiami. Zastanawiała się – nie po raz pierwszy – jak to o niej świadczy, że chętniej zajmuje się gwałcicielami i mordercami niż własnym mężem. W lusterku wstecznym sprawdziła swój wygląd. Wypadła z domu w pośpiechu i nie zdążyła zamaskować drobnej blizny na prawym policzku oraz cieni pod oczami. Dzwoniący telefon przerwał serwis drogowy radia BBC Londyn, a na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko rozmówcy: Stephen Pellacia.

– Gdzie jesteś? – powiedział na dzień dobry.

– Cóż za miłe powitanie. Jestem na Deptford Broadway. Będę za jakieś dziesięć minut – odparła.

– Zawracaj. Jedź na koniec Watergate Street.

– Watergate Street? Po co?

– Mamy sprawę. Znaleziono tam kilka części ciała rozrzuconych po okolicy. Za wcześnie na stwierdzenie, czy należą do jednej ofiary, czy ofiar jest więcej. Ramouter jest już w drodze. Spotkasz się z nim na miejscu.

Henley ostro zahamowała, ponieważ skuter wjechał jej tuż przed maskę. W mgnieniu oka powróciło napięcie, skurcz przeszył ciało.

– Dlaczego wysyłasz Ramoutera? – Na próżno starała się ukryć gniew, który przebijał z każdego słowa. – Z jakiego powodu uważasz, że ja...

Pellacia zignorował pytanie.

– Prześlę ci mailem szczegóły z systemu dyspozytorskiego.

Henley uderzyła dłonią w kierownicę. Tylko tego brakowało, żeby jakiś nadgorliwy i niedoświadczony detektyw pałętał się jej pod nogami.

Watergate Street, boczna wiecznie zakorkowanej Creek Road, była zwykle spokojna, ale tym razem pomimo siódmej czterdzieści rano okoliczni mieszkańcy otwierali drzwi i gromadzili się przed domami, zachodząc w głowę, co robi na ich ulicy sznur radiowozów. Gałęzie wiśniowych drzew tworzyły nad jezdnią baldachim, rzucając na nią upiorne cienie pomimo palącego słońca. Henley zaparkowała auto naprzeciwko pubu The Admiral, w odległości kilku metrów od policyjnego kordonu, przy którym zebrał się tłumek ludzi.

Detektyw stażysta, posterunkowy Salim Ramouter, stał za taśmą policyjną niedaleko gapiów. Był ubrany w granatowy garnitur, białą koszulę i krawat. Henley widziała, jak błyszczą w słońcu jego wypastowane czarne buty. Był nowy w ich zespole. Choć w policji pracował już

od pewnego czasu, nadal wyglądał jak żółtodziób nieskażony rzeczywistością, o której już wkrótce przypomni mu praca na ulicach Londynu.

Wcześniej Pellacia zapowiedział, że sierżant Paul Stanford będzie odpowiedzialny za Ramoutera i to on wprowadzi go w tajniki zawodu, nie ona. Henley właśnie aktualizowała informacje w raporcie CRIS[1] dotyczące innej sprawy, gdy Pellacia przedstawił jej Ramoutera. Teraz stażysta wydał się jej wyższy, niż go zapamiętała: prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Poza tym zapuścił brodę, prawdopodobnie po to, by zamaskować swój młodzieńczy wygląd.

Ramouter najpierw założył ramiona na piersi, następnie je opuścił, aż wreszcie splótł je za plecami. Nie podobała jej się ani ta jego przejęta mina, ani widoczny brak doświadczenia, choć sama też nie wyglądała w tej chwili nazbyt władczo. Miała na sobie dżinsy, tenisówki, koszulkę z nadrukiem Wonder Woman oraz żakiet, który leżał przez tydzień na tylnym siedzeniu samochodu. Ten strój bardziej nadawał się do biura niż do pracy w charakterze starszego oficera śledczego na miejscu zbrodni.

* * *

– Dzień dobry. – Ramouter wyciągnął rękę.

Henley zignorowała ten gest.

– Gdzie jest detektyw sierżant Stanford? – Pokazała legitymację umundurowanemu policjantowi, który uniósł taśmę.

– Nie wiem. Polecono mi tylko przekazać, że detektyw Eastwood jest w drodze na miejsce zbrodni w Greenwich wraz z umundurowanymi funkcjonariuszami oraz technikami śledczymi – odparł Ramouter, wyjmując rękę zza pleców i podążając za Henley. Zatrzymali się na krótko przed Nelson Mews 15. Dwóch techników kryminalistyki w granatowych kombinezonach kucało przy ziemi i zbierało dowody. Trzeci stał i robił zdjęcia podjazdu.

– Zdajesz sobie sprawę, dokąd idziemy, prawda? – zapytała Henley, gdy Ramouter dotknął furtki.

– Porozmawiać z panem Matei?

– Tak, a kiedy skończymy, poproś któregoś z techników o ochraniacze na buty, zanim dotrzemy do schodów.

Dom przy Nelson Mews 15 dzieliła niewielka odległość od stopni Watergate, gdzie droga zwężała się i przechodziła w ciasną uliczkę wybrukowaną kocimi łbami. Szli wzdłuż parku. Z boku jakaś starsza kobieta i młoda Chinka rozmawiały z policjantem.

– To Heather Roszicky – poinformował Ramouter. – Znalazła...

– Wiem, co znalazła.

Im dalej w głąb uliczki, tym zapach rzeki stawał się silniejszy. Mieszanina stagnującej wody, ścieków i oleju silnikowego. Henley słyszała, jak drobne fale rozbijają się na kamienistym brzegu. Długi ciąg domów szeregowych graniczył z Borthwick Wharf, gdzie dawne chłodnie i zakłady przetwórstwa mięsnego przekształcono w nadrzeczne apartamenty i lokale usługowo-handlowe.

Na końcu tarasu pojawił się starszy technik kryminalistyki Anthony Thomas naciągający fioletowe rękawiczki z lateksu. Henley nie zaufałaby nikomu innemu. Nikt nie zabezpieczał śladów tak dobrze jak on. Thomas był skrupulatny i, co najważniejsze, lojalny.

Henley nie pracowała z nim na miejscu zbrodni od dwóch lat. Z jednej z szufladek pamięci wychynął mglisty obraz Anthony'ego, który wprowadził ją do pomieszczenia z rozścielonym na podłodze dużym arkuszem folii. I gęsiej skórki od nawiewu z klimatyzacji, który spowił ją lodowatym chłodem. Nie bardzo słyszała słowa dobywające się z ust Anthony'ego, gdy przeczesywał jej włosy i wyskrobywał brud zza paznokci, czekając, aż dowody opadną na folię u jej stóp. Czuła się bezbronna podczas oględzin lekarskich i nanoszenia jej siniaków oraz skaleczeń na mapę ciała. Tym razem to ona padła ofiarą zbrodni. Ta świadomość uderzyła ją z większą siłą niż nóż, który przebił jej brzuch. Szkolono ją na detektywa, nie na ofiarę.

– Nie spodziewałem się, że spotkamy się w terenie – powiedział Anthony. – Przyjechałaś się rozejrzeć?

– Na to wygląda – odparła. Była mu wdzięczna, że nie robił żadnych ceregieli z tego, że widzi ją poza komisariatem po raz pierwszy od dwóch lat.

– Super, wracają dawne czasy. – Ze stojącej na ziemi skrzynki wyjął kilka par niebieskich ochraniaczy na obuwie i podał je Henley. – Kim jest twój kolega?

Henley dokonała prezentacji.

– Aha, nowicjusz. Też mam jednego. – Wskazał młodego mężczyznę stojącego nieruchomo za jego plecami z aparatem fotograficznym w ręku. Niebieski kombinezon miał zapięty po samą szyję i przenosił niespokojne spojrzenie z Henley na Anthony'ego. – Fajna zabawa, co? – powiedział Anthony z ciężkim westchnieniem. – Widzimy się nad rzeką.

– Chodźmy – rzuciła Henley do Ramoutera. – Przekonajmy się, z czym mamy do czynienia.

Henley spojrzała na wytatuowany korpus leżący w odległości co najmniej dwóch metrów od mętnych wód Tamizy. Z kikutami nóg odciętych na wysokości ud. Na białej skórze połyskiwały kropelki wody. Tułów oparto o omszałe schody między butwiejącym, strzaskanym drewnem tworzącym niegdyś fragment pomostu. W tej chwili była pewna tylko jednego: że widzi ciało białego mężczyzny z upodobaniem do tatuaży w stylu japońskich mang, któremu odcięto nogi, przecinając kości udowe oraz ramiona poniżej bicepsów. Cięcia nie były gładkie i wykonane z chirurgiczną precyzją jak tamte, które widziała kilka lat temu. Gdy po raz pierwszy zobaczyła rozczłonkowane zwłoki – ręce, nogi, tułów i głowa osobno – porzucone pod wiaduktem kolejowym w Lewisham, stanęła jak wryta, niezdolna do żadnego ruchu. Od tamtej pory nauczyła się być twarda.

Gdy kucnęła, poczuła napięcie w łydkach. Głowa ofiary została odcięta tuż powyżej grdyki. Małe kawałki kości były wbite w poszarpaną tchawicę i sterczały pośród strzępów mięśni i zakrzepłej krwi. Żółtawy tłuszcz i tkanka łączna przypominały surowe mięso kurczaka trzymane zbyt długo bez lodówki. Henley wyprostowała się i głęboko westchnęła. Wiatr niósł od rzeki słonawy zapach zgnilizny. Nie potrafiła odnaleźć w mózgu przegródek, dzięki którym mogłaby oddzielić logicznie myślącą, zahartowaną detektyw od pokiereszowanej psychicznie kobiety o niezagojonych jeszcze ranach, stojącej teraz nad brzegiem rzeki.

Cofnęła się i wróciła na schody Watergate. Próbowała strząsnąć z siebie kłujący jak igły niepokój, nie umiała jednak pozbyć się uczucia, że ten ludzki korpus został tu wystawiony specjalnie dla niej.

Rozdział 2

– Ile mamy czasu do przypływu? – zapytała Henley zwrócona twarzą do rzeki, obserwując, jak drobne fale rozbijają się o zrujnowane molo. Zerknęła na zegarek. Od pierwszego zgłoszenia upłynęły prawie dwie godziny.

– Sprawdziłem w Internecie: maksimum przypływu przypada za pięć dziesiąta – odparł Ramouter, omijając częściowo zanurzoną w wodzie oponę. Jego oczy szkliły się z niepokoju. – Odpływu: piętnaście po trzeciej. Słońce wzeszło o szóstej trzydzieści dwie. Ktoś miał trzy godziny na podrzucenie ciała i nadzieję, że zostanie znalezione jeszcze przed przypływem.

– Być może – przyznała Henley. – Ale równie dobrze mogło zostać porzucone po wschodzie słońca albo gdzieś dalej, w górze rzeki, a prąd zniósł je aż tutaj. – Uważnie powiodła wzrokiem po szklanej fasadzie zabudowań Borthwick Wharf, pustych przestrzeniach handlowych i biurowych wychodzących na taras, gdzie nie było kamer monitoringu. Wątpiła, by kamery instalowane przez lokalny samorząd obejmowały tę część ulicy. Ta okolica Deptford była zaniedbywana, odkąd sięgała pamięcią.

– Czy ktoś dotykał ciała? – zapytała Anthony'ego, który zjawił się u jej boku.

– Wedle mojej wiedzy: nie. W każdym razie nie ruszała go kobieta, która je zauważyła. Matei, ten robotnik budowlany, powiedział, że nie tknął nogi, ale niestety zwymiotował na nią, co z pewnością nie ułatwia nam sprawy. Zanim tu przyjechałem, spojrzałem na ręce znalezione nieco dalej w dół rzeki. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że mogli przy nich majstrować poszukiwacze skarbów.

– Zawsze znajdzie się ktoś taki.

Wiatr ustał, powietrze cichutko trzeszczało od elektryczności z pobliskiej trafostacji.

– Ograniczamy zabezpieczanie dowodów do trasy wiodącej od uliczki do miejsca znalezienia korpusu – poinformował Anthony. – Wątpię, by sprawca już po wszystkim usiadł sobie spokojnie z kubkiem kawy.

– Może kawy nie wypił, ale jeśli trzymać się proponowanej przez Ramoutera teorii, ten, kto podrzucił tu części ciała, z pewnością dobrze zna rzekę – odparła Henley. – Nie będziemy ci przeszkadzać. Przespacerujemy się z Ramouterem.

– Dokąd idziemy? – zapytał Ramouter.

– Spotkać się z Eastwood.

– Chcesz tam iść na piechotę?

Henley robiła, co mogła, by odepchnąć od siebie uczucie frustracji. Ramouter wyjął telefon.

– Według map Google'a molo w Greenwich jest ponad półtora kilometra stąd – oznajmił.

– Twój rozsiewacz posiekanych zwłok nie jest jedynym, który zna rzekę! – krzyknął Anthony za oddalającą się zdecydowanym krokiem Henley.

Złote zwieńczenia dwóch kopuł na dachu Królewskiej Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej przeszywały bezchmurne niebo. Nagie maszty odrestaurowanego klipera Cutty Sark dopeł-

niały historyczną panoramę, z której słynie Greenwich. Ta olśniewająca, wybielona wersja historii kontrastowała z wyrzucanymi na brzeg nieczystościami. W pewnym momencie Henley zatrzymała się, zdała sobie bowiem sprawę, że nie słyszy odgłosu skórzanych podeszew Ramoutera ślizgających się na mokrym żwirze.

– Skąd jesteś? – zapytała, czekając, aż Ramouter zdejmie marynarkę i rozluźni krawat. Gdy poziom wody w rzece zaczął stopniowo się podnosić, przysunęła się bliżej porośniętego mchem muru.

– Urodziłem się w West Bromwich. W wieku dwunastu lat przeprowadziłem się do Bradford. – Ramouter próbował otrzepać spodnie z przyklejonego do nich błota, ale tylko je rozmazał. – Dużo wrzosowisk, żadnych rzek. Samochodem byłoby o wiele szybciej.

– Tak jest szybciej. Chyba że lubisz stać przez pół godziny w korku, czekając na podniesienie mostu na Creek Road.

– Dobrze znasz tę okolicę?

Henley pominęła to pytanie milczeniem. Nie widziała sensu w tłumaczeniu, że mogłaby pokonać tę trasę z zamkniętymi oczami. Że była niemal zrośnięta z tą częścią południowowschodniego Londynu.

– Ten, kto porzucił korpus, wybrałby właśnie tę drogę. Nie schodziłby do rzeki po to, żeby później wrócić na poziom ulicy i podjechać na Watergate Street. Tutaj w dole byłby mało widoczny. Oświetlenie byłoby minimalne.

– Części ciała sporo ważą – napomknął Ramouter, starając się dotrzymać Henley kroku. – Ludzka głowa to ciężar co najmniej czterech kilogramów.

– Wiem. – Wyjęła dzwoniącą komórkę. Sprawdziwszy numer, nie odebrała.

– Głowa, tułów, ręce, nogi. W sumie sześć osobnych kawałków.

– To też wiem. Powiedz, do czego właściwie zmierzasz? – Henley zaczekała, aż Ramouter ją dogoni, a następnie przesunęła go w stronę muru oporowego, jak gdyby opiekowała się dzieckiem.

– Mówię tylko, że to spory ciężar, jak na taszczenie go tam i z powrotem o trzeciej nad ranem. – Przystanął i oparł się o mur, próbując złapać oddech.

Henley nie przyznała mu otwarcie racji. Z kieszeni żakietu wyjęła czarną gumkę i związała w koński ogon gęste czarne loki. Zapomniała, ile energii wymaga marsz po pochyłym brzegu rzeki. Co gorsza, czuła się psychicznie nieprzygotowana do czekającego ją zadania, zwłaszcza że usiłujący za nią nadążyć stażysta nie miał pojęcia, że to jej pierwsze niemal od roku wystąpienie w charakterze starszej śledczej.

– Ponura historia, co? – zawołała Roxanne Eastwood z wydziału śledczego, gdy Henley dotarła wreszcie na pierwsze miejsce zbrodni. – Dzień dobry, Ramouter. Trafiła ci się niezła fucha na początek.

Henley zawsze uważała, że Eastwood wygląda i zachowuje się jak prawdziwy detektyw. Stała na brzegu rzeki z pewną miną, podwinęła rękawy żakietu, w ręku trzymała notatnik. Przygotowała się do pracy w tych warunkach: jej dżinsy oraz tenisówki pamiętały lepsze czasy.

– Dzień dobry, Eastie. Jak się czujesz poza biurem? – zapytała Henley, a jej wzrok powędrował ku technikowi, który wkładał odciętą rękę do czarnego worka.

– To ja powinnam cię o to zapytać – odparła Eastwood z zatroskaną miną.

Henley milcząco doceniła ten wyraz empatii i położyła dłoń na ramieniu Eastwood.

– Ale skoro pytasz, czuję się parszywie. Chyba się spiekłam. – Eastwood przesunęła dłonią po zaczerwienionym czole. – Technicy kryminalistyki będą się stąd za chwilę zwijać. Nie mają tu zbyt wiele do roboty. Zapakować, oznaczyć i po zawodach.

– Gdzie jest pan Thomas?

– Kiedy widziałam go ostatnio, nasz poszukiwacz skarbów zmierzał w stronę sklepów. Twierdził, że musi kupić wodę dla psa. – Eastwood pokręciła głową, najwyraźniej nie wierząc w ani jedno słowo mężczyzny. – Wysłałam za nim policjanta, żeby go miał na oku. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że facet wrzucił już na Instagram zdjęcia swego znaleziska.

– Niech go zawiozą do komisariatu. Ramouter może spisać jego zeznania. – Henley powiedziała to celowo, żeby stażysta wiedział, kto tu rządzi. – Jeśli jest typowym zbieraczem, to kręcił się tu od świtu, czekając na odpływ. Gdzie dokładnie znalazł ręce?

– Tam. – Eastwood zsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne i wskazała spienione fale pozostawione przez tramwaj wodny. Zaznaczone miejsce znalazło się już pod wodą. W miarę jak rzeka odzyskiwała swoje terytorium, w powietrzu wyczuwało się pośpiech i napięcie.

– Mówił coś jeszcze?

– Tylko tyle, że drugą rękę znalazł mniej więcej metr od pierwszej.

– Po nitce do koszmarnego kłębka – skwitowała Henley.

– Nawet mi nie mów. A nim zapytasz o monitoring, mają tu mnóstwo kamer...

– Tylko ani jedna nie jest skierowana na ten odcinek rzeki.

– Otóż to.

Henley wyjęła dzwoniący telefon. Zamieniwszy kilka słów, zakończyła rozmowę.

– To doktor Linh Choi. Nie zdążyłeś jej poznać, jest naszym patologiem kryminalnym. Właśnie przyjechała – wyjaśniła Henley Ramouterowi i otarła pot z karku.

– Mamy więc dwie ręce, obie nogi i tułów – podsumował stażysta. – A gdzie głowa?

Dobre pytanie. Henley przypominała sobie, co znajduje się między tymi dwiema lokalizacjami. Szkoła podstawowa, dwa przedszkola i plac zabaw wśród mieszkań i domów. Jeszcze tylko brakowało, żeby natknięto się na głowę w piaskownicy.

– Mogę szybko rzucić okiem? – zwróciła się do asystentki z ekipy śledczej Anthony'ego, która przed chwilą włożyła odciętą rękę do plastikowego worka i zapisywała coś w notesie.

– Jasne. – Asystentka rozpięła zamek błyskawiczny i odsunęła folię na boki.

– Szlag... – mruknęła pod nosem Henley. Puls jej przyspieszył, żołądek wykonał salto.

– Och – wykrztusił Ramouter, zajrzawszy Henley przez ramię. Jedną rękę oblepiał żwir. Pasma wodorostów krzyżowały się na starych bliznach. I druga ręka. Szczupły przegub, palec serdeczny nieco dłuższy niż wskazujący, połamane paznokcie. Czarna skóra. Henley zadźwięczały w uszach słowa Pellacii. „Za wcześnie na stwierdzenie, czy należą do jednej ofiary, czy ofiar jest więcej".

– Zadzwoń do nadkomisarza Pellacii – poleciła Ramouterowi. – Powiedz mu, że mamy dwie potencjalne ofiary.

Rozdział 3

Każdy przechodzień wyszedłby z założenia, że komisariat policji w Greenwich jest zamknięty. Niebieskich żaluzji na froncie nie podnoszono od trzech lat, a dwa samotne pomarańczowe pachołki zagradzały podjazd z rzędem pustych miejsc parkingowych. Wyblakły plakat kierował wszystkich potencjalnych petentów do komisariatu w Lewisham albo zachęcał do zgłaszania spraw pod numerem sto jeden, jeśli nie chodziło o nic pilnego. Lokalni mieszkańcy, mijając budynek, zastanawiali się, kiedy zostanie rozebrany i zastąpiony kolejnym prywatnym apartamentowcem z mieszkaniami w wygórowanych cenach, obsługą konsjerża dla bogatych oraz tylnym wejściem dla garstki szczęśliwców, którym przyznano mieszkania socjalne. Gdyby podnieśli głowy, zauważyliby, że trzy okna na czwartym piętrze są otwarte i wydobywają się z nich delikatne obłoczki papierosowego dymu.

SCU, czyli Wydział Przestępstw Seryjnych, umieszczono tymczasowo na czwartym piętrze budynku na sześć lat. W czasach, kiedy londyńska policja dysponowała większymi funduszami, nadinspektor Harry Rhimes został w nagrodę mianowany szefem SCU po tym, jak jego ekipa pojmała pielęgniarkę środowiskową, niejaką Abigail Burnley, która zamordowała piętnaścioro swoich podopiecznych. Seryjni mordercy nie wyrastają jak grzyby po deszczu, wydział zajmował się zatem seryjnymi gwałtami, włamaniami, porwaniami oraz sprawami uważanymi za nazbyt ekstremalne dla dwudziestu sześciu zespołów dochodzeniowych do spraw zabójstw rozsianych po całym Londynie. Od tamtego czasu minęło sześć lat, Burnley odsiadywała dożywocie, Rhimes nie żył od ośmiu miesięcy, Pellacia dowodził niedofinansowanym wydziałem, a Henley właśnie zmierzała w jego stronę z marsową miną i błyskawicami w oczach.

– Jak śmiesz? – Nie przytrzymała drzwi biura Pellacii, które zamknęły się za nią z trzaskiem.

– Nie sądzisz, że wypadałoby okazać odrobinę szacunku? Może na przykład: „Jak śmiesz, szefie?".

Nadkomisarz Stephen Pellacia, który palił przy oknie papierosa, zgasił niedopałek. Stres towarzyszący szefowaniu SCU powoli dawał o sobie znać. Brązowe włosy przetykały coraz liczniejsze pasma siwizny, cienie pod oczami pociemniały, zmarszczki się pogłębiły. Euforia wywołana objęciem stanowiska dawno ustąpiła, a brak Rhimesa wciąż był odczuwalny.

– Mogłeś mnie ostrzec, zanim mnie tak wystawiłeś. W dodatku zwalasz mi na głowę jakiegoś cholernego stażystę – obruszyła się Henley.

– Dlaczego robisz z tego problem? Przez pół roku miałaś ograniczone obowiązki. Sądziłem, że będziesz...

– Nie ja robię problemy – prychnęła. – To ty powiedziałeś Rhimesowi, że najlepiej będzie posadzić mnie za biurkiem.

– A ty od tamtej pory codziennie się na to uskarżasz. – Pellacia zmrużył zielone oczy, drobne mięśnie żuchwy nerwowo drgały. – Słuchaj, kręcimy się w kółko, a ja nie mam czasu

się z tobą kłócić. Już jestem spóźniony z odprawą. Mam sporo do zrobienia i muszę stawić się w Scotland Yardzie.

– Nim zaczniemy... – Henley nabrała powietrza i policzyła do trzech. – Orientujesz się, kto ma być głównym śledczym w tej sprawie? Im szybciej zaktualizuję raport CRIS i wypełnię protokół przekazania sprawy, tym lepiej.

– Co do tego drugiego... – zaczął Pellacia, obchodząc Henley i sięgając do klamki – nie przekazujemy tej sprawy.

– Co to znaczy, że zatrzymujemy sprawę? – Głos oburzenia należał do detektyw Eastwood. Odgarnęła jasny kosmyk ze spalonego słońcem czoła. – Myślałam, że to jednorazowa historia.

– Nie – odparł stanowczo Pellacia, unikając wzroku Henley.

SCU zajmował pokój, który był dla obecnego zespołu o wiele za duży. Kiedyś policjanci musieli dzielić biurka z CID[2] i Wydziałem Środowiskowym. Budynek trząsł się wtedy od łomotu starych rur, w które zatrzymani walili w swoich celach. Obecnie prędzej znalazłoby się tam Stanforda ucinającego sobie drzemkę na pryczy. Aktualnie zespół składał się z Eastwood, Henley, sierżanta Paula Stanforda, który był właśnie w drodze do Old Bailey, gdzie miał złożyć zeznania w sprawie seryjnego gwałciciela, i – od niedawna – Salima Ramoutera. Wydziałem kierował Pellacia, który ostatnimi czasy rzadko opuszczał biuro, chyba że został wezwany przed oblicze swoich zwierzchników urzędujących w gmachu Nowego Scotland Yardu. SCU miał wsparcie cywilnego zespołu administracyjnego w osobach Ezry, byłego, zaledwie dwudziestotrzyletniego więźnia, a zarazem komputerowego geniusza, którego Pellacia wziął pod swoje skrzydła, oraz Joanny. Nikt nie wiedział, jak długo Joanna błąkała się po komisariatach południowo-wschodniego Londynu ani ile miała lat, panowała jednak powszechna zgoda co do tego, że bez wątpienia znała wszystkie miejsca pochówku ofiar oraz wszystkie wstydliwe sekrety londyńskiej policji.

– Jesteśmy przeciążeni – skarżyła się Eastwood. – Pracowałam jedenaście dni jednym ciągiem, bez żadnego wolnego. Na cały tydzień straciliśmy Stanforda.

– Wytykasz oczywiste rzeczy, Eastie.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, prowadziliśmy sześć śledztw naraz...

– Siedem. – Do pokoju weszła Joanna, niosąc duże pudełko śniadaniowych zamówień z kawiarni po drugiej stronie ulicy. Postawiła je na biurku Eastwood. – Siedem, jeśli uwzględnisz tę robotę z doliny Tamizy, którą „konsultujemy". – Uniosła ręce i zaznaczyła palcami cudzysłów.

Henley widziała, jak Pellacia gryzie się w język na widok przewracającej oczami Eastwood.

– Słuchaj, czy ci się to podoba, czy nie, jest jak jest. Żaden inny zespół nie może zająć się tą sprawą. Śledztwo zostaje u nas. Jasne? – zakończył Pellacia.

– Jak słońce – odburknęła Eastwood, kręcąc głową.

Pellacia przeniósł wzrok na Henley, prowokując ją do zakwestionowania podjętej właśnie decyzji.

– Ponieważ Stanford utknął w sądzie, postanowiłem przydzielić Ramoutera do sprawy rozczłonkowanych zwłok wam. Będzie pracował z tobą, Henley.

– Rozdzielasz bliźniaki? – wykrzyknęła Joanna z udawanym przerażeniem.

– Nie sądzę, by Stanford obraził się na tymczasową rozłąkę z Henley i na to, że przestanie być mentorem Ramoutera.

– To wyłącznie twoje zdanie. – Joanna wyjęła z pudełka kanapkę z kiełbasą. – Ramouter, uprzedzam: ci dwoje znają się jak łyse konie. Stanford jest bratem Henley z innego...

– Wiemy, Joanno – przerwał jej Pellacia. – No dobrze, bierzmy się do roboty.

Henley przewinęła w myślach listę kontrolną. Na miejscu przestępstwa wzięła górę pamięć mięśniowa: obserwuj otoczenie, zwracaj uwagę na to, co znajome i nieznajome. Traktuj wszystko jak materiał dowodowy. Przemyśl kolejność zdarzeń. Zabezpiecz i zachowaj. Na zewnątrz wydawała się spokojna i opanowana. W rzeczywistości serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, a żołądek skręcał się i zaciskał.

Telefon Henley zaczął wibrować na biurku. Zrobiło się jej słabo, gdy przeczytała wiadomość od swojego brata Simona: „Chciałem zajrzeć do taty. Nie wpuścił mnie. Zadzwonię po pracy".

– Wracając do zbrodni nad rzeką... – ciągnął Pellacia. – Potencjalnie dwie ofiary?

– Żadne potencjalnie. Dwie ofiary – sprostowała Henley. Zaczęła pisać do brata SMS-a. – Tułów, nogi i jedna ręka należą do białego mężczyzny. Druga ręka należy do czarnoskórej kobiety, choć płci jeszcze nie potwierdzono.

Telefon Henley zawibrował po raz drugi. Wzięła komórkę do ręki.

– Nie znaleziono innych części ciała?

– Śledczy wydobyli głowę białego mężczyzny ze śmietnika przy Nelson Mews piętnaście – poinformowała Henley. – À propos, dostałam wiadomość od Linh. Części ciała przywieziono do kostnicy.

– Cholera, dwie ofiary – rzekł Pellacia. – Ale nigdy nie wiadomo... Może się okazać, że śledztwo będzie proste i bezproblemowe.

Henley nie odpowiedziała. Każdy nerw w jej ciele mówił, że Pellacia wierzy w to jeszcze mniej niż ona.

Rozdział 4

Budynek, w którym przechowywano zwłoki, dzieliła od komisariatu niewielka odległość. Znajdował się niedaleko głównej ulicy w miejscu, gdzie kawiarnie, puby i biura nieruchomości ustępowały miejsca lśniącym nowym hotelom, nieprzystępnym cenowo apartamentowcom i całodobowej siłowni. Anonimowo wtapiał się między georgiańskie domy oraz osiedle komunalne przy spokojnej uliczce. W eleganckim granatowym mundurze Henley nie czuła już, że nie przystaje do pełnionej funkcji. Mundur oznaczał władzę, nawet jeśli zamiast służbowego obuwia miała na nogach czarne adidasy.

– Kostnica publiczna w Greenwich – Ramouter odczytał tabliczkę na ścianie i dopił kawę. – Brzmi jak biblioteka. Jakby można było sobie ot tak wejść, pokazać kartę, przysunąć krzesło i obejrzeć sekcję zwłok.

– Ile ci jeszcze zostało? – zapytała.

– Czego? – Ramouter czekał, aż Henley zwolni blokadę drzwi w samochodzie.

– Czasu do zakończenia stażu.

– Chcesz wiedzieć, jak długo jesteś skazana na moje towarzystwo? – Uśmiech na jego gładkiej brązowej twarzy szybko zgasł, ponieważ Henley go nie odwzajemniła. – Jeszcze cztery miesiące. – Potarł brodę. – Ale spędziłem pół roku w zespole do spraw zabójstw i ciężkich przestępstw. To był kawał porządnej roboty, jednak zależało mi na jakimś większym wyzwaniu, a w całej policji West Yorkshire nie ma takiego wydziału jak SCU.

Henley poczuła przypływ empatii – w końcu to nie jego wina, że przydzielono go właśnie do niej – ale życzliwość była przelotna.

– No cóż, praca w SCU wygląda nieco inaczej. Bardzo rzadko wkraczamy do akcji od razu. Zwykle sprawy trafiają do nas dopiero po rozpoznaniu, że mamy potencjalnie do czynienia z seryjnym zabójcą albo gwałcicielem. Wstępne działania, które w tej chwili prowadzimy sami, są zwykle zakończone, zanim przystąpimy do pracy.

– Przecież nie tylko to robicie – rzekł Ramouter, idąc za Henley w stronę oddzielnego budynku. – Kilka lat temu zajmowaliście się sprawą seryjnych porwań i handlu ludźmi, no i była jeszcze sprawa mordercy z piłą.

Henley się skrzywiła, poczuwszy bolesny skurcz w szyi. Morderca z piłą. Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Były słowa uznania od współpracowników, pochwała od komendanta, awans na komisarza. Ale tamta sprawa skradła cząstkę niej samej.

– Taka praca na bardziej zaawansowanym etapie musi być niesamowita – ciągnął Ramouter. – Właśnie dlatego chciałem dołączyć do waszego wydziału. To powód... jeden z powodów mojego przyjazdu do Londynu.

Henley odwróciła się i spojrzała na Ramoutera. Choć wiedziała, że jest zdenerwowany, wyrazu ekscytacji w jego oczach nie można było z niczym pomylić.

– Nie daj się zwieść temu, co serwują ci media. SCU jest niedofinansowany i cierpi na niedobór kadr. Dziwię się, że w ogóle zezwolono na twoje przeniesienie. Słuchaj, w przeciętnym wydziale zabójstw nawet setka osób pracujących przy jednym śledztwie – od nadkomisarzy po

personel cywilny – nie jest czymś niezwykłym, natomiast w SCU jesteśmy tylko my i spędzamy mnóstwo czasu na proszeniu innych o przysługę. Nie ma tu splendoru, a wszelkie pochwały są krótkotrwałe.

Henley odwróciła się plecami, wprowadziła kod, którego w zasadzie nie powinna znać, i pchnęła drzwi.

Główny patolog sądowy doktor Linh Choi siedziała przy biurku zwrócona tyłem do wejścia i pochylona nad lunchem. Długie czarne włosy zaczesała do góry i luźno umocowała długopisem na czubku głowy podrygującej w rytm ciężkiego drum and bass, które sączyło się z ustawionego na biurku bezprzewodowego głośnika marki Bose. Henley poznała Linh ponad piętnaście lat temu, kiedy obie dopiero rozpoczynały policyjną karierę i czuły się przygnębione oraz zagubione. Z czasem ich przyjaźń rozkwitła. Henley dotknęła ramienia Linh.

– Jezus Maria! – wykrzyknęła Linh i podskoczyła na krześle. Pikantne skrzydełko wypadło jej z ręki i wylądowało z powrotem w pudełku. – Przez ciebie o mało nie dostałam zawału!

– Wracasz do czasów swojej szalonej młodości? – zapytała z uśmiechem Henley.

– Chyba „naszej" szalonej młodości. Uwielbiasz to tak samo jak ja. Znalazłam w domu boski mix. Muszę ci go przesłać. – Linh wyciszyła dźwięk w laptopie. – Nie powiedziałaś mi, że wracasz. Dowiedziałam się od Anthony'ego.

– Później o tym pogadamy. – Henley ucięła temat.

– No i masz nowego partnera. Co na to Stanford?

– To stażysta, posterunkowy Salim Ramouter. I nie jest moim partnerem. – Henley odsunęła się na bok, żeby Ramouter mógł zrobić krok naprzód. – Jestem jego mentorką. Właśnie przeniesiono go z policji West Yorkshire.

– A, rozumiem. Cóż, nie mogłeś lepiej trafić. Nikt cię tak nie przeszkoli jak komisarz Henley – oznajmiła Linh, wstając z krzesła. Wytarła rękę chusteczką antybakteryjną i dopiero wtedy wyciągnęła ją do Ramoutera. – Miło mi cię poznać. Doktor Linh Choi.

Odebrała gruntowne wykształcenie: stypendium w prywatnej szkole, a potem studia na Uniwersytecie Cambridge, ale nikt by się tego nie domyślił, słysząc jej silny południowolondyński akcent. Zsunęła okulary z czubka głowy.

– Zakończyłam wstępne badanie ofiary płci męskiej, ale pozwólcie, że najpierw opowiem wam o samej ręce. Nie miałam tu dużego pola do popisu, zważywszy na brakujące części. Głowa, nogi, tułów, druga ręka bardzo by się przydały.

– I co z tą ręką?

Linh wzruszyła ramionami.

– Należała do czarnoskórej kobiety. Prawdopodobnie dwudziestokilkuletniej. To wszystko, co mogę powiedzieć, póki nie znajdziecie reszty.

Henley i Ramouter wyszli za Linh do prosektorium, które przypominało salę operacyjną w szpitalu. W środku panował chłód. Rząd metalowych szafek pod ścianą zapewniał tymczasowe przechowywanie zwłok, po stronie przeciwnej znajdowały się trzy głębokie zlewy, a w rogu chłodnia. Na środku stały cztery metalowe stoły. Theresa, asystentka Linh, w słuchawkach na uszach pracowała przy zwłokach spoczywających na najdalszym stole. Zapachy przemysłowych środków antyseptycznych oraz kwaśnych płynów ustrojowych drażniły nozdrza Henley.

Theresa włożyła rozwieracz do klatki piersiowej denata.

– Dwudziestotrzyletni kulturysta – wyjaśniła Linh, kręcąc głową. – Zawał serca. Stracił przytomność w siłowni. Nie muszę robić badań toksykologicznych, by wiedzieć, że jest napompowany sterydami.

Gdy Theresa rozwierała klatkę piersiową zmarłego, uszy Henley wypełnił dźwięk rozgniatanego podeszwą szkła. Ramouter cofnął się o krok.

– Drugie drzwi po lewej, tam jest toaleta – rzekła Linh głosem, w którym dźwięczało lekkie rozbawienie. Ramouter wykonał zwrot w tył i wybiegł z prosektorium.

– Przepraszam – powiedział kilka minut później, powróciwszy z zawstydzoną miną.

– Nic się nie stało. Nie jesteś pierwszy i nie ostatni – pocieszała Linh. – No jak, gotowi?

Henley skinęła głową, Linh zdjęła folię ochronną. Części ciała znalezione nad brzegiem rzeki oraz na podjeździe domu przy Nelson Mews 15 były teraz ułożone na stole sekcyjnym niczym krwawe puzzle, które trzeba jeszcze dopasować. Henley zakręciło się w głowie. Zrobiła krok w tył i starała się zakotwiczyć w podłodze.

– Czy możesz podać nam czas zgonu? – zapytała, próbując ukryć nerwowe drżenie głosu.

– W przybliżeniu – odparła Linh. – Od dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin temu.

Henley przyjrzała się tatuażowi na tułowiu.

– Scena z *Full Metal Alchemist* – wyjaśniła Linh. Wydawała się dość zadowolona. – To taka manga i anime, gdybyście nie wiedzieli. Za młody jesteś, żebyś mógł pamiętać – dodała, zwracając się do Ramoutera. – Na plecach ma wytatuowanego Kena z Fist of the North Star.

– A ciało rozczłonkowano przed śmiercią czy po? – dociekała Henley, powoli okrążając zwłoki, rejestrując każdy szczegół i nie zważając na wibrującą w kieszeni komórkę.

– I przed, i po. – Linh podeszła do szczytu stołu. – Najpierw odjęto prawą rękę i lewą nogę. Spójrzcie tutaj – wskazała miejsce odcięcia nogi. – Krew zaczęła już krzepnąć. Zgon nastąpiłby w ciągu czterech minut.

Linh przekręciła dolną część tułowia w stronę Henley, pokazując kość, mięśnie i jelita. – Tutaj praktycznie nie widać żadnych śladów krzepnięcia. A więc cztery godziny po śmierci zabójca zaczyna odpiłowywać kończyny. W klatce piersiowej tuż ponad sercem znajduje się rana kłuta. Zadano ją przed śmiercią. Będę wiedzieć więcej po lunchu, po przeprowadzeniu sekcji. Ale powiem wam jedno. Rozczłonkowując ciało, ktoś koncertowo spieprzył robotę. Spójrzcie tutaj. – Palcem w rękawiczce wskazała dwa długie postrzępione cięcia na prawym ramieniu. – Zanim wreszcie udało mu się oddzielić rękę, próbował co najmniej dwa razy. Tak jakby nigdy w życiu nie używał piły Black and Decker.

– To była piła Black and Decker? – zapytał Ramouter. Stał prawie metr dalej, plecami do zlewów.

– Nie mam bladego pojęcia. Żeby to stwierdzić, potrzebujemy znającego się na rzeczy majsterkowicza. – Oczy Linh zmarszczyły się od śmiechu, gdy wyprostowała prawą nogę. – Ale przede wszystkim rzućcie okiem na to. – Ujęła w dłonie głowę i odwróciła ją do Henley. Następnie palcami rozwarła szczęki. – Ramouter, podaj latarkę. Brakuje mi rąk.

Stażysta wziął małą srebrną latarkę w kształcie wiecznego pióra i podszedł z nią do stołu.

– Śmiało. Nie bój się. Poświeć tutaj.

Ramouter skierował snop światła prosto do otwartych ust.

– Hm... Gdzie jest język? – zapytał.

Henley niechętnie wzięła latarkę od Ramoutera i oświetliła gardło. Wnętrze ust oblepiała zakrzepła krew, widać było resztki mięśnia prążkowanego tworzącego podstawę języka.

– Jak to się stało?

– Odcięty – rzekła Linh. – Idealna dysekcja, której można było dokonać wyłącznie bardzo ostrym narzędziem – nożem do filetowania albo skalpelem.

– Chyba niełatwo odciąć komuś język? – Henley zaczęła wyginać własny język na wszystkie strony, czując, jak napinają się drobne ścięgna u jego podstawy.

– Za życia? Piekielnie trudno. Dlatego sensowniej byłoby uciąć go po śmierci, ale tak się nie stało.

– Zaraz... żył, kiedy odcinano mu język?

Linh przytaknęła.

– Już samo chwycenie i przytrzymanie języka żywego człowieka byłoby trudne, a cięcie jest precyzyjne, kliniczne. Przypuszczam, że ofiara była nieprzytomna. Jest jeszcze jedna ciekawostka. Powiedz, czy zauważasz coś na nogach.

Henley się pochyliła. Prawa łydka z przylepionymi do skóry ziarenkami piasku, strzępami wodorostów i zaschniętymi wymiocinami była muskularna, porośnięta delikatnymi jasnobrązowymi włosami. Na lewej nodze pas skóry wokół kostki szeroki na mniej więcej pięć centymetrów był bledszy niż reszta kończyny.

– Nosił bransoletkę – powiedziała Henley.

– Tak sądzę – potwierdziła Linh. – Popatrz tutaj. – Linh przekręciła nogę, by przyjrzeć się jaśniejszej plamie, nie większej od pudełka zapałek. – Niewątpliwie nosił bransoletkę. Jestem pewna, że gdyby któraś z firm monitorujących podała mi rozmiary typowej bransoletki, zgadzałyby się z wielkością tego śladu.

– A więc był objęty dozorem elektronicznym? – zapytał Ramouter. – To powinno dać nam jakiś punkt zaczepienia. Na pewno jest sposób, aby dowiedzieć się, czy w ciągu kilku ostatnich dni ktoś naruszył zasady odbywania kary.

– Masz pojęcie, ile osób odbywa karę w domu i jest objętych nadzorem? – zapytała Henley.

– Powodzenia – odparła Linh. – Pobrałam próbki krwi, moczu i tak dalej i dzisiaj rano je wysłałam. Miejmy nadzieję, że dostanę wyniki przed końcem tygodnia. Więc jak? Znamy nazwisko? Nazywanie go... powiedzmy, Manga Manem wydaje się odrobinę niegrzeczne, skoro już leży tu przed nami na stole niemal w całości.

Henley wyjęła z kieszeni telefon, który od dłuższego czasu brzęczał od powiadomień, i przeczytała wiadomość od Anthony'ego Thomasa, potwierdzającą, że sprawdził odciski palców odciętej ręki w policyjnej bazie danych.

– Owszem, znamy – potwierdziła Henley. – Poznajcie Daniela Kennedy'ego.

Rozdział 5

Dochodziła ósma wieczorem, gdy Ramouter wszedł do swojego mieszkania, zdjął buty wciąż jeszcze oblepione zaschniętym błotem i postawił je na wycieraczce. Wprowadził się tutaj cztery dni temu. Zapach mieszkania był mu obcy. Wciąż czuł sztuczny odświeżacz powietrza i chlor. W pokoju dziennym połączonym z kuchnią zalegał stos nieotwartych kartonów. Włączył radio, żeby mieć jakieś towarzystwo, i wyjął z lodówki gotowe danie, ściągnął tekturową opaskę i dźgnął widelcem mocno naciągniętą folię.

Kilka minut później odsunął na bok resztki nijakiego w smaku spaghetti carbonara i wziął do ręki telefon.

– Och, spodziewaliśmy się, że zadzwonisz wcześniej. Właśnie siadamy do kolacji – powiedziała Pamela, oddalając się od kamery. Miała jak zwykle nienaganny makijaż, na jej twarzy nie drgał ani jeden mięsień. Była ubrana w kosztowny strój do jogi, chociaż Ramouter wiedział z całą pewnością, że Pamela nie ma zielonego pojęcia, co to jest pies z głową w dół, i prawdopodobnie uważa, że sawasana to gatunek herbaty.

– Przepraszam, nie przypuszczałem, że tak dużo czasu zajmie mi powrót z komisariatu. Ruch na południowej obwodnicy...

– To może jutro wyszedłbyś o czasie. Rutyna jest ważna.

Ramouter ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć: „Morderstwo to nie praca biurowa od dziewiątej do piątej".

– Gdzie jest Michelle? Próbowałem złapać ją na FaceTimie, ale nie odebrała.

– Prawdopodobnie znów zapomniała naładować telefon. Jest na górze. Są tam oboje. Była zmęczona. Ja zaraz wychodzę odebrać chłopców z treningu piłkarskiego. Zaniosę jej mojego iPada.

Pamela zastała Michelle siedzącą na krawędzi łóżka. Jej sypialnia była lustrzanym odbiciem pokoju dziennego Ramoutera, zastawionego walizkami i pudłami, które zajmowały większość miejsca. Zaśmiał się pod nosem.

– Michelle, kochanie... Wszystko dobrze, skarbie? Gdzie jest Ethan? Jak minął pierwszy dzień w szkole? Tęsknię za wami.

– Leży już w łóżku – odparła Michelle, ustawiając iPada na nocnym stoliku. – Pierwszy dzień w szkole kompletnie go wykończył. Zrobiłam dla ciebie mnóstwo zdjęć.

– Wiem. Wysłałaś mi je dziś rano, pamiętasz? – Widząc konsternację na jej twarzy, Ramouter się zasępił. Wczesny początek demencji w wieku trzydziestu sześciu lat. Rzadka genetyczna postać choroby Alzheimera, wyjaśnił specjalista. Jej ojciec zmarł w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, ale reszta rodziny miała nadzieję, że choroba ominie parę pokoleń. Ramouter dostał potwierdzenie przeniesienia do SCU dwa tygodnie przed diagnozą Michelle. Znaleźli mieszkanie w Forest Hill, szkołę dla Ethana i umówili Michelle na rozmowę o pracy, ale orzeczenie lekarskie wszystko zmieniło. Pamela, starsza siostra Michelle, przekonywała, że jej siostrze potrzebna jest stałość, a przeprowadzka do obcego miasta z dala od rodziny i przyjaciół tylko jej zaszkodzi. Ramouter nie mógł z tym polemizować. W folderze „szkice" nadal miał za-

chowany mail, w którym odrzucał propozycję transferu do SCU. Był gotów go wysłać, lecz Michelle powiedziała, żeby tego nie robił, bo taka okazja trafia się w życiu tylko raz. I że nie chce, żeby później żałował i miał do niej pretensje.

– Jak ci minął dzień? – zapytał.

– W porządku. Pamela zabrała mnie na lunch, żebym poznała kilkoro jej znajomych. Nie przypadliby ci do gustu. A co u ciebie?

– Dobrze. Świetny zespół, a mnie przydzielono do sprawy razem z Anjelicą Henley. Pamiętasz? Opowiadałem ci o niej.

– To ta komisarz?

– Zgadza się – odparł ożywionym głosem.

– Jaka ona jest?

– Hm... twarda. Bystra. Chyba nie jest zachwycona, że utknęła ze mną w parze, ale to dopiero początki.

– Aha. Ethan nie chciał się kłaść, tylko opowiedzieć ci o szkole...

Ramouter patrzył na Michelle na ekranie i czuł przytłaczający smutek. Znów była rozkojarzona. Poznał to po jej oczach. Spoglądała na niego, próbując zatrzymać umykające wspomnienia. Nie był w stanie odwzajemniać jej wzroku. Odłożył telefon na blat. Nie powinien był słuchać Michelle, kiedy mówiła, żeby nie rezygnował z wyjazdu do Londynu. Powinien był zostać przy żonie jak mężczyzna, a nie zwiać przy pierwszej okazji. Dźwigał na barkach poczucie winy, które ciążyło mu jak policyjny mundur. Był zły na Michelle i jej chorobę. Przytłaczały go wyrzuty sumienia oraz wstyd wynikający z tego gniewu.

– Przepraszam – powiedział, biorąc do ręki telefon. – Mam tu kiepski zasięg.

– Daj spokój – rzekła Michelle.

Te chwile przytomności umysłu żony sprawiały, że czuł się jeszcze gorzej. Gdy Michelle patrzyła na niego z taką intensywną klarownością, do oczu napłynęły mu łzy. Znała go i potrafiła z nim rozmawiać.

– Zgodziliśmy się oboje.

– Tak. Po prostu tęsknię za tobą i Ethanem – odparł, ocierając łzy.

– Będzie dobrze. U ciebie i u nas – powiedziała stanowczo.

– Wiem. Pogadam sam ze sobą.

– W porządku. A teraz opowiem ci o lunchu z szurniętymi znajomymi Pameli. Prawdę mówiąc, nie mogę doczekać się dnia, kiedy o nich zapomnę.

Widząc, jak Michelle się rozpogadza, Ramouter się roześmiał. Poczucie winy go nie opuściło, ale podczas godzinnej rozmowy z żoną nie było aż tak dotkliwe.

Rozdział 6

Henley wiedziała, że odpady niepodlegające recyklingowi są wywożone około jedenastej przed południem. Odstawiła torby z zakupami i zerknęła na zegarek. Dwadzieścia sześć po ósmej wieczorem. Niebieski kontener na kółkach blokował furtkę. Tato prawdopodobnie przez cały dzień nie wystawił nosa z domu.

Henley odciągnęła pojemnik na bok i otworzyła bramkę. Gdy szła do drzwi wejściowych, zahaczyła kurtką o ciernie róży nadmiernie rozkrzewionej przy ścieżce. W szczelinach między płytami chodnikowymi wyrastały chwasty.

– Co jest grane? – mruknęła pod nosem. Klucz do drzwi nie chciał przekręcić się w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Ten sam klucz przyczepiony od pięciu lat do tej samej niebieskiej karty Tesco. Wsunęła go ponownie. Nie obracał się.

– Tato, na litość boską...

Przykucnęła i zawołała przez szczelinę na listy:

– Tato, to ja, Anjelica. Otwórz drzwi.

Odsunęła się, przytrzymując palcami klapkę.

– Tato, nie wygłupiaj się. Proszę cię... Chcę zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

– W porządku. Odejdź.

– Najpierw otwórz drzwi. Przyniosłam zakupy.

– Zostaw pod drzwiami.

– Tato. Proszę. Pozwól mi cię zobaczyć. Obiecuję, że nie wejdę do środka.

Zajrzała przez otwór na listy i dostrzegła zbliżające się nogi ojca odziane w spłowiałe szare spodnie dresowe. Klapka się zatrzasnęła i drzwi się otworzyły.

– Tato, przydałby ci się fryzjer. – Tylko tyle zdołała wykrztusić, ponieważ jej żołądek natychmiast zamienił się w kamień. Nie widziała Elijaha, własnego ojca, prawie od trzech tygodni i jego wygląd ją przeraził. Stracił na wadze. Skóra na szyi pomarszczyła się jak zmięta chusteczka. Szok powoli ustępował miejsca temu specyficznemu strachowi, który cię ogarnia, gdy zdajesz sobie sprawę, że twoi rodzice stoją u progu śmierci.

Elijah przygładził włosy, które były teraz nie tyle siwe, ile białe. Cieniowana fryzura przeobraziła się w bezkształtne afro.

– Simon był tu dziś rano. – Henley położyła dłoń na ręce taty. Szybko ją cofnął. – Dlaczego nie chciałeś się z nim widzieć? – zapytała łagodnym tonem.

– Nie chcę widzieć nikogo z was.

– Tato. Musisz pozwolić sobie pomóc.

– Nie potrzebuję waszej pomocy. Radzę sobie.

– Dlaczego wymieniłeś zamek?

– Żebyście ty i twój brat przestali tu przychodzić, kiedy tylko wam się podoba. Nie jestem dzieckiem.

– Nikt nie twierdzi, że jesteś. Po prostu martwimy się o ciebie.

– Nic mi nie jest. Zobaczyłaś mnie. Możesz już iść.

– Tato... Nie bądź... Nie mógłbyś wpuścić mnie chociaż na chwilkę?

– Powiedziałem. Nie!

– No dobrze. Jak chcesz. – Henley chwyciła krawędź drzwi. – Nie wejdę. Tylko weź to ode mnie.

Podniosła torby z zakupami i wcisnęła je przez szparę. – Nie mam pojęcia, co zostało ci w lodówce. O ile cię znam, mógłbyś żywić się samymi krakersami i sardynkami – powiedziała ze złością. – Kupiłam ci podstawowe produkty: jajka, chleb, szynkę, kurczaka i trochę ciasteczek z dziurką. Wiem, że je lubisz...

Elijah wciągnął torby do środka.

– Cholera... – burknęła Henley, gdy ojciec zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

– Czternaście godzin – rzekł Rob, nie podnosząc wzroku znad laptopa. Siedział przy kuchennym stole, który pełnił funkcję jego tymczasowego biura, a robotnicy kończyli przebudowywać szopę w ogrodzie. Był dziennikarzem finansowym, który wybrał pracę zdalną, zamiast zdeponować w banku czek z odprawą. Raz w tygodniu wychodził z domu i zapuszczał się na Old Street, gdzie zaszczycał swą obecnością studia nagraniowe, by w programach ekonomicznych omawiać najświeższe wiadomości ze świata finansów. Ten układ odpowiadał im obojgu, lecz Rob i tak chciałby, żeby Henley siedziała w domu. Luna, mieszaniec owczarka alzackiego z labradorem i nie wiadomo czym jeszcze, spała pod stołem. Przeszklone drzwi były otwarte, ale popołudniowy skwar wciąż wisiał ciężko w powietrzu, przesycony napływającymi z ogrodu woniami jaśminu i wiciokrzewu. Uwodzicielskie zapachy letniego wieczoru nie były w stanie stłumić silnego odoru rozkładu, który towarzyszył Henley od chwili ujrzenia rozczłonkowanego ciała na Watergate Steps.

– Wyszłaś z domu tuż po siódmej rano, a wracasz dwadzieścia jeden minut po dziewiątej wieczorem.

– Rob, miałam naprawdę długi dzień...

– Ty miałaś długi dzień? Musiałem zabrać Emmę z przedszkola, bo źle się poczuła.

– Pisałam do ciebie, żeby dowiedzieć się, jak się miewa.

– Niepotrzebne jej twoje SMS-y. Potrzebna jej mama.

– Darujmy to sobie – poprosiła Henley. Odstawiła torbę na kuchenny blat i podeszła do lodówki. Rob swoim zwyczajem ugotował obiad także dla niej. Nie był samolubem. Wyjęła przykryty folią spożywczą półmisek ze szkła żaroodpornego. Grillowany kurczak w czosnku i miodzie z brokułami i ryżem z warzywami. Wsunęła półmisek z powrotem na półkę i zamknęła drzwiczki. Najpierw musi wziąć prysznic, zmyć z ciała cieniutką powłoczkę śmierci i zapach porażki, który prześladował ją od chwili odejścia spod domu taty. Zastanawiała się, czy Rob się zorientował, że powróciła do pracy w terenie.

– Byłam u taty – poinformowała.

– Aha. – Twarz Roba złagodniała tylko odrobinę. – Jak on się czuje?

– Niedobrze. Nie chciał mnie wpuścić.

– Kiepsko. Co zamierzasz zrobić?

– Nie mam pojęcia. – Ponownie otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę wina. – Będę musiała pogadać z Si, ale... sama nie wiem.

– Słuchaj, wiem, że z twoim tatą nie jest najlepiej, ale mogłaś mnie uprzedzić, że wrócisz późno. Słowo przeprosin byłoby mile widziane.

– Przeprosiny? Za co? – zapytała, wyjmując z kredensu kieliszek do wina. – Za odwiedziny u taty?

– Nie, oczywiście, że nie. Miałem na myśli...

– Mam przepraszać za to, że chodzę do pracy? Muszę pracować, Rob. Jedno z nas powinno mieć stałe zatrudnienie. – Pożałowała tych słów, gdy tylko wyrwały się jej z ust.

– No i? Ja siedzę tu i robię za kurę domową, opiekuję się naszym dzieckiem, smażę dżemy, podczas gdy ty wychodzisz do pracy.

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Wiem, czym się zajmujesz, i... doceniam, jak bardzo się dla nas starasz, ale wałkujemy ten temat na okrągło.

– Doceniasz? – Spojrzał na nią po raz pierwszy, odkąd weszła do kuchni. Zdjął okulary, rozmasował płytkie wgłębienia na nosie w miejscach, gdzie odcisnęły się oprawki. – Nie jestem twoim kolegą z pracy. Jestem twoim mężem. Nie chcę, żebyś mnie „doceniała". Chcę, żebyś rozumiała, co do ciebie mówiłem i nadal mówię.

– Czyli żebym zrezygnowała z pracy. Rzuciła ją...

– Wiesz, że nie o to chodzi. Nie chcę, żebyś w ogóle przestała pracować, tylko znalazła sobie inną robotę. Prawdziwy cud, że Emma jeszcze cię rozpoznaje.

– Nie bądź tak cholernie żałosny. Zachowujesz się tak, jakbym porzuciła własne dziecko. Chodzę do pracy, bo staram się uczynić dla niej świat bezpieczniejszym, mieć w tym swój udział.

– Zza biurka? Niby jaki ona ma z tego pożytek? Wypełniasz swoje obowiązki w ograniczonym zakresie. Nie łapiesz gwałcicieli i morderców gołymi rękami. Czasem zastanawiam się, jaki jest prawdziwy powód, że tak kurczowo trzymasz się tej roboty.

Na kafelkach podłogi zazgrzytały nogi odsuwanego przez Roba krzesła. Henley czekała, aż mąż rzuci jej w twarz dobrze znane oskarżenie o zdradę.

– Nie chcę się z tobą kłócić, Rob. Nie o to. Nie po raz kolejny. Wiem, że musimy porozmawiać.

– Otóż to. Ty zawsze wiesz, ale czy kiedykolwiek znalazłaś na to czas? Przez ciebie nasze życie utknęło w martwym punkcie. W imię czego? W ostatnie Boże Narodzenie mówiłaś, że coś się zmieni, ale tak się nie stało. Ugrzęźliśmy w miejscu.

Rob zgarnął ze stołu zapalniczkę i bibułki do skrętów.

– Wyprowadzę Lunę. Wracam za pół godziny.

Trzasnęły frontowe drzwi, a Henley wydała wstrzymywane dotąd westchnienie. Powinna mu powiedzieć, że wróciła do pracy w terenie. Że już nie jest przykuta do biurka. Że Pellacia znów wysłał ją na ulice. Że ich życie ponownie wywróci się do góry nogami. Zamiast tego poszła na górę do pokoju córki. Emma leżała na łóżku rozciągnięta jak rozgwiazda. Henley korciło, żeby ją obudzić tylko po to, by usłyszeć, jak mówi „mamusiu". Poprzestała na ucałowaniu czubka jej głowy. Dziewczynka pachniała masłem kakaowym i niemowlęcą zasypką. I była jedyną istotą, w której Henley widziała dobro.

Usiadła na brzegu łóżka, opadła na wznak. Ręcznik zsunął się z jej ciała. Choć wzięła prysznic, nie czuła się czysta. Śledztwo już wniknęło w pory jej skóry. Zamknęła oczy i przesuwała pal-

cami w poprzek tułowia, póki nie dotknęły znajomego twardego zgrubienia. Pięciocentymetrowej blizny po prawej stronie. Druga, osiem centymetrów wyżej, była bardziej spłaszczona. Niewiele brakowało, a nóż przeciąłby wątrobę. A gdyby wbił się niżej, straciłaby dziecko, które nosiła w łonie, jeszcze o tym nie wiedząc. Dwa i pół roku później wciąż czuła, jak ostra stal przekłuwa skórę. Zacisnęła powieki i od razu pojawił się jej przed oczami widok rozczłonkowanych zwłok Daniela Kennedy'ego. Zaczerpnęła powietrza. Narobiła rabanu, że powierzono jej funkcję starszego śledczego w tej sprawie, nie mogła jednak zlekceważyć dreszczu emocji, który przeszył jej ciało. Śmierć była jej adrenaliną i to ją przerażało.

Wędrując wzdłuż rzeki, dokonując oględzin zwłok, odzyskała poczucie celu, lecz jednocześnie naprężyły się ścięgna ręki, palce zaczęły drżeć, ciało sygnalizowało, że coś jest nie w porządku. Pokręciła głową, chciała uciszyć wewnętrzny głos niewiele donośniejszy od szeptu, za to natarczywy: „Nadciąga burza, a ty nie jesteś gotowa".

Rozdział 7

Zasady obowiązujące w oddziale o zaostrzonym rygorze więzienia w Belmarsh jego nie dotyczyły. Drzwi do cel mieszczących więźniów kategorii A, uznawanych za zbyt niebezpiecznych, by mogli przestawać z pozostałą częścią więziennej społeczności, otwierano dopiero o ósmej rano. Peter Olivier, osadzony numer A0743TP, przebywał poza celą od wpół do siódmej. Umył zęby, wziął oddzielnie prysznic, a potem przebrał się w nowiutki dres marki Nike i czarne buty sportowe, model Air Force 1. W czasie swojej dwuipółletniej odsiadki tylko raz miał na sobie przepisowy więzienny dres w kolorze rdzawoczerwonym. Pierwsza paczka z ubraniami, przyborami toaletowymi i książkami przyszła czterdzieści osiem godzin po wprowadzeniu go do więziennego gmachu w charakterze zatrzymanego.

Mógł oglądać poranne wiadomości na małym telewizorku w rogu celi, ale wolał zrezygnować z tej porannej rutyny, ponieważ zakłócał mu ją trzydziestoośmioletni handlarz narkotyków zza ściany, który nie potrafił przystosować się do więziennych realiów i co rano wrzeszczał oraz walił głową w mur. Olivier opuścił swoją celę i siedział samotnie w sali rekreacyjnej przed czterdziestosześciocalowym ekranem.

– Chciałeś kawę?

Strażnik więzienny trzymał w ręku parujący kubek. Olivier się uśmiechnął, jego blada skóra zmarszczyła się wokół niebieskich oczu o świdrującym spojrzeniu. Strażnik był nowy. Olivier czuł zapach świeżo krochmalonej bawełny, jaki dochodził od jego koszuli.

– Kawa będzie doskonała. Bardzo dziękuję. Przepraszam, nie dosłyszałem imienia.

– Paul.

– A, no właśnie. Paul. Zaczekaj chwilę, dobrze?

Strażnik stał bez ruchu, a Olivier odchylił głowę w tył, podmuchał kawę i wypił łyk.

– Hm... trochę za dużo syropu orzechowego, ale może być. Byłbyś łaskaw wyświadczyć mi przysługę i podać pilota? Za wcześnie na tego ciula Piersa. – Olivier wyszczerzył zęby, gdy strażnik wręczył mu pilota. – Co tu się dzieje? – mruknął pod nosem Olivier, przełączywszy kanał na BBC One, gdzie rozpoczynały się lokalne wiadomości. Reporter stał na molu w Greenwich.

> *Śledczy potwierdzili, że ciało młodego mężczyzny znalezione wczoraj rano na brzegu rzeki w miejscu znajdującym się kilka metrów za mną zostało oficjalnie zidentyfikowane jako zwłoki Daniela Kennedy'ego. Mamy oświadczenie starszej śledczej, że policja prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa. Detektyw nie potwierdziła jednak pogłosek o rzekomym rozczłonkowaniu ciała ofiary.*

– Koszmarna śmierć – skomentował strażnik, który cały czas tkwił w tym samym miejscu. – Jak ktoś mógł go tak pociąć... – Paul umilkł, widząc, jak Olivier powoli się do niego odwraca i uśmiecha.

– Szalenie zabawny z ciebie człowiek. W każdym razie wątpię, by to była tylko plotka. – Gdy na ekranie pojawiła się fotografia Kennedy'ego, Olivier zbliżył się do telewizora, przekrzywił głowę i trzykrotnie postukał w ekran. – Synu, skąd ja cię znam? – powiedział.

Na dzisiejsze popołudnie zaplanowano konferencję prasową z udziałem oficerów śledczych. Komisarz Anjelica Henley zwraca się z apelem do wszystkich świadków o skontaktowanie się z Wydziałem Przestępstw Seryjnych. Za chwilę ukażą się na ekranie dane kontaktowe.

– Paul, dobrze usłyszałem? Czy ten reporter powiedział „Henley"?

– Henley, Henman... nie jestem pewien.

– Za to ja jestem pewien, że „Henley". – Olivier wziął do ręki pilota i wyłączył telewizor. – A więc moja dziewczyna jest teraz komisarzem.

Rozdział 8

Daniel Kennedy. Trzydzieści sześć lat. W związku. Mieszka w Londynie i stąd też pochodzi. Zdjęcie profilowe na Facebooku przedstawia uśmiechniętego mężczyznę na quadzie, ze wszystkimi czterema kończynami w komplecie. Z kartoteki kryminalnej w centralnym komputerze policji wynika, że mężczyzna posługiwał się dwoma pseudonimami i miał na swym koncie cztery wyroki: za posiadanie narkotyków klasy A i B, napad rabunkowy w wieku szesnastu lat oraz – to najświeższy zarzut – ciężkie uszkodzenie ciała.

– Daje do myślenia, co? – Ramouter przerzucał kartki raportu w formacie A4. Do wczorajszego „szkolnego" stroju wprowadził nieco luzu. Wypastowane buty zamienił na czarne tenisówki. Miał na sobie marynarkę, ale nie włożył krawata.

– Co ci daje do myślenia? – Henley gwałtownie odbiła w bok, by ominąć rowerzystę, który wyrósł znikąd przed maską samochodu.

– Kogo wkurzył Kennedy, że skończył w kawałkach na brzegu Tamizy. Siedział półtora roku za ciężkie uszkodzenie ciała. Wyszedł z pudła w dwa tysiące osiemnastym, trzy miesiące temu skończyło mu się zwolnienie warunkowe, a potem oskarżono go o zakłócanie porządku publicznego i spowodowanie uszczerbku na ciele, ale zwolniono za kaucją.

Henley zadawała sobie to samo pytanie, leżąc bezsennie w łóżku obok chrapiącego Roba, w którego oddechu wciąż wyczuwało się słodkawy, odurzający zapach marihuany.

Skręciła na podjazd pod trzypiętrowym wiktoriańskim domem. Front zarósł trawą i krzewami, z ustawionych rzędem zielonych kubłów wysypywały się śmieci. Na niskim murku siedziało dwóch pensjonariuszy, paląc papierosy i taksując wzrokiem Henley parkującą pomiędzy białym fordem transitem a czerwonym mini.

– Nie wygląda mi to na ośrodek dla zwolnionych za poręczeniem – zauważył Ramouter, sprawdzając, czy jego policyjny identyfikator jest dobrze widoczny.

– A czego się spodziewałeś? – Zgasiła silnik i zanim otworzyła drzwi samochodu, ponownie obrzuciła wzrokiem dwóch mężczyzn na murku.

Ramouter wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie jest tu najschludniej, ale myślałem, że będzie jakoś... zgrzebniej.

– Rozczarowany, że pensjonariusze nie szprycują się przed domem?

– Nie... ale...

Henley wsparła ramiona o dach samochodu.

– Byłeś już kiedyś w takim miejscu?

– Właściwie nie. – Ramouter lekko się speszył. – Gdziekolwiek się ruszę, robię wszystko po raz pierwszy, co?

– Tylko nie narób mi wstydu – ostrzegła, zmierzając ku wzmocnionym drzwiom.

– Kurator sądowy szukał go tu dwukrotnie. – Beryl zaciągnęła się e-papierosem, zostawiając na ustniku ślad jaskraworóżowej szminki. Henley i Ramouter wpisywali się w tym czasie do księgi odwiedzin. – Szczerze mówiąc, byłam w szoku, że w ogóle się zjawił. Zwykle zakładają

elektroniczną bransoletkę i na tym koniec. Więc co przeskrobał? Nigdy go nie lubiłam. Nie żebym lubiła któregokolwiek z nich.

– Kiedy ostatnio widziała pani Kennedy'ego? – zapytała Henley, ignorując pytanie Beryl.

Beryl zamknęła książkę i schowała ją pod kontuarem. Zniknęła, po czym powróciła z pękiem kluczy w ręku.

– Niech się zastanowię. Nie pracuję w weekendy i poniedziałki. W piątek wzięłam chorobowe, więc ostatni raz byłam tu w czwartek, a pracuję tylko na dziennej zmianie, od ósmej do piątej. Nie przypominam sobie, żebym go wtedy widziała. Ostatnio chyba we wtorek.

– Jak długo tu przebywał, zanim kurator założył mu bransoletkę?

– Co najmniej dwa tygodnie. Przeklęte schody. Mieszkał na trzecim piętrze. – Beryl cmoknęła z dezaprobatą i zaczęła wchodzić na górę, a Henley i Ramouter podążali za nią.

– Czy wcześniej przestrzegał godzin wyjść i powrotów?

– Owszem, przestrzegał. Generalnie się nie wychylał. Przez pierwszy tydzień mieszkał ze współlokatorem, ale facet wdał się w bijatykę z kokainistą spod dziewiątki i trafił do aresztu. Więc Kennedy zyskał własny pokój. – Beryl wybrała z pęku klucz i otworzyła drzwi.

– Jeszcze jedno – powiedziała Henley. – Czy Daniel miewał gości?

– Obowiązuje zakaz odwiedzin, ale to nie znaczy, że nikt go nie odwiedzał. Mamy monitoring. Nagrania są usuwane co trzydzieści dni. Jeśli chcecie, możecie je obejrzeć.

Ramouter zakrył ręką nos i wszedł do środka. W pokoju cuchnęło zepsutym jedzeniem i niepranymi ubraniami. Pod ścianami stały dwa pojedyncze łóżka z niewielkimi szafkami przy każdym z nich. Henley otworzyła okno na oścież. Na stole poniewierały się puste opakowania po jedzeniu na wynos, puszki po piwie oraz opróżniona do połowy butelka taniej whisky. Na parapecie stała butelka skwaśniałego mleka. Czarne muszki krążyły nad plastikową siatką pleśniejących klementynek.

Henley naciągnęła lateksowe rękawiczki, które nosiła w kieszeni. Pochyliła się i podniosła foliową torbę. Wypełniały ją ulotki reklamowe, sądowy formularz potwierdzający warunki zwolnienia, informacja o wizycie u lekarza ogólnego oraz listy od prawników.

– Ohyda – stwierdził Ramouter, krążąc po pokoju. – Jak można mieszkać w takim chlewie? Cokolwiek się stało, to nie tutaj, ale cuchnie tu tak, jakby nie było go co najmniej od tygodnia.

– Musisz porozmawiać z innymi pensjonariuszami – rzekła Henley. – Wytłumacz im, że nie prosimy, żeby kapowali na kumpli, chcemy tylko wiedzieć, kiedy widzieli go po raz ostatni i czy z nim rozmawiali. Później rzucimy okiem na nagrania z kamer. Te sprzed budynku mogą okazać się bardziej przydatne.

– Nie ma sprawy. Czyli tutaj skończyliśmy.

– Wygląda, że... – Henley przerwała wpół zdania, ponieważ coś w nogach łóżka zwróciło jej uwagę. Odsunęła na bok parę bokserek i wzięła do ręki komórkę.

– Chyba nowa – zauważył Ramouter. – Dlaczego zostawił nowiutki telefon?

– Masz torebki strunowe na dowody?

Ramouter sprawdził kieszenie i pokręcił głową.

– Nie. Przepraszam. Musiałem zostawić w samochodzie.

Henley zdjęła lewą rękawiczkę, owinęła nią komórkę i podała Ramouterowi, a następnie wsunęła rękę pod łóżko. Dotknęła palcami czegoś twardego i pękniętego. Nie potrzebowała

tego widzieć, od razu wiedziała, co to jest. Wstała i pokazała Ramouterowi niewielkie okrągłe pudełeczko przymocowane do paska. Na czarnym plastiku wyraźnie rysowało się pęknięcie.

– Zerwał bransoletkę? – zdziwił się Ramouter, gdy Henley obracała przedmiot w dłoni.

– I chyba także ją rozdeptał. Zostawia telefon, pozbywa się bransoletki. Co on, cholera, kombinował?

Ramouter wziął od Henley pękniętą opaskę w chwili, gdy zadzwoniła jej komórka. Na ekranie wyświetlił się numer Stanforda.

– Musisz jechać do Ladywell Fields. – Nie bawiąc się w powitania, Stanford od razu przeszedł do rzeczy.

– Po co?

– Myślę, że znaleźliśmy naszą dziewczynę.

Rozdział 9

– Znalazła je jedna z uczestniczek obozu kondycyjnego. Jest tam.

Stanford wskazał czarnoskórą kobietę rozmawiającą z policjantem. Cała drżała. Stojąca obok wyższa od niej biała kobieta objęła ją ramionami.

– Nie muszę mówić, że jest roztrzęsiona. – Stanford, który odznaczał się posturą rugbisty, założył na piersi muskularne ramiona. – Chory sukinsyn. Ponieważ mamy już dwie ofiary... pomyślałem o podobnej sprawie, z którą mieliśmy do czynienia jakiś czas temu.

– Nie będę kłamać, że nie przemknęło mi to przez myśl, ale ćwiartowanie zwłok i porzucanie ich w przestrzeni publicznej nie jest aż tak niezwykłe, więc nie wyciągajmy pochopnych wniosków – odparła Henley, rozglądając się dokoła.

W parku Ladywell Fields nie była całe lata. Trening odbywał się obok kortów tenisowych, w tle było widać szpital w Lewisham. Policja ogrodziła teren porośnięty wypaloną słońcem trawą. – Więc co się stało?

– O wpół do dwunastej w każdą środę Aisha prowadzi tu trening przeznaczony wyłącznie dla kobiet. – Stanford, Ramouter i Henley ruszyli w stronę zarośli. – W ciągu ostatnich paru tygodni mieliśmy zgłoszenia, że w krzakach grasuje ekshibicjonista – ciągnął Stanford. – Stelian Vacarescu, czterdzieści osiem lat. Aisha podzieliła kobiety na mniejsze grupki, które krążyły po parku. I kogo zobaczyła?

Henley zanurkowała pod policyjną taśmą.

– No kogo? Wal.

– Vacarescu. Z fiutem na wierzchu. Biegnie do niego, każe mu spierdalać, grożąc wezwaniem policji. On zapina rozporek, bierze nogi za pas, ale potyka się i przewraca. Wonder Woman Aisha uznaje, że los jej sprzyja, i postanawia dokonać obywatelskiego zatrzymania. Dociera do kolesia, spogląda w dół i zauważa, o co się potknął.

Szczupłą nogę w kolorze karmelu pokrywała zaschnięta krew. Trzy paznokcie pomalowane intensywnie niebieskim lakierem wyzierały przez oczka czarnych siatkowych rajstop, które zaplątały się wokół stopy.

– Cholera – zaklął Ramouter.

– Z początku myślała, że to noga manekina, póki nie zauważyła zakrzepłej krwi, a Vacarescu nie zaczął wrzeszczeć jak opętany.

Metr od nogi przy pniu ściętego drzewa leżały ręka i głowa opleciona czarnymi i fioletowymi warkoczykami. Po prawej stronie było widać łysą plamkę wielkości monety dwufuntowej. Na czole krzyżowały się ślady zadrapań, prawą kość policzkową znaczył siniak. Na wargach pozostały resztki czerwonej szminki. W miejscu oczu dwie sczerniałe dziury. Ramouter zasłonił usta dłonią i odwrócił głowę, gdy do lewego oczodołu wpełzła stonoga.

– Gdzie jest Linh? – zapytała Henley Stanforda. – I dlaczego nie siedzisz w sądzie?

– Zachorował ławnik. A Linh już tu jedzie. – Stanford odwrócił się plecami do zwłok. Henley czytała w jego myślach. Za każdym razem wydaje im się, że widzieli już wszystko, póki ży-

cie nie otworzy przed nimi wrót nowego piekła.

– Jak sobie dajesz radę? – zwrócił się do Henley.

– W porządku – odparła. – Nie masz się o co martwić.

Przygotowała się na moment znalezienia pozostałych części ciała dziewczyny. Nie czuła niepokoju, trwogi, ale na myśl, że ktoś porzucił tę młodą kobietę jak śmiecia, ogarniał ją dojmujący gniew.

– Mieliśmy w zeszłym roku w Bradford pewną sprawę – rzekł Ramouter z wyrazem napięcia na twarzy, starając się odzyskać nad sobą panowanie. – Dzielnicowy znalazł na wpół żywą kobietę w głębi narożnego sklepiku. Wyłupiła sobie oczy. Była narkomanką. Nafaszerowała się metamfetaminą. Ale ta dziewczyna... raczej nie wydłubała ich sobie sama. Tylko po co ktoś jej to zrobił?

– Gdzie jest Vacarescu? – zapytała Henley.

– Na ławce między dwójką policjantów. Jest w szoku – odparł Stanford. Wyjął z kieszeni zmiętą chusteczkę i wydmuchał nos.

– Ramouter, idź z nim porozmawiać. Jeśli kręci się tu regularnie, musiał coś zauważyć. Pamiętaj, nieważne, czy coś wydaje się błahe czy szalenie istotne, grunt, żeby wyciągnąć z tego wszystko.

– I powiedz mu, żeby trzymał swój interes w gaciach – dodał Stanford. Uśmiech na jego twarzy błyskawicznie zgasł, gdy tylko się odwrócił i spojrzał na szczątki kobiety. – Biedna dziewczyna.

– Kiedy zjawią się technicy? Musimy jak najszybciej postawić namiot. Za dużo tu fotografów amatorów. – Henley obejrzała się na grupę gapiów, która powiększyła się od czasu jej przybycia na miejsce. Nastoletni chłopcy porzucili rowery na trawie i stali z wycelowanymi telefonami. – A monitoring?

– Zdziwisz się, ale jest tu mnóstwo kamer. Miejmy nadzieję, że na coś trafimy.

– Daj Boże. – Henley położyła dłonie na czubku głowy i głęboko westchnęła.

– Cholera, kto mógł coś takiego zrobić?

Stanford wzruszył ramionami.

– Zazdrosny kochanek?

– Może. Musimy ustalić jej tożsamość. Jeśli nie znajdziemy jej w bazie danych DNA, trzeba przejrzeć rejestr osób zaginionych.

– Okej, szefowo. Co mam robić dalej?

Henley spojrzała w niebo. Słońce było już w zenicie, upał powrócił, niosąc ze sobą wilgoć i odór miasta.

– Złożyć wraz z Eastwood wizytę kuratorowi. Kennedy nosił bransoletkę, którą sobie zdjął. W ośrodku jest monitoring, poza tym mamy jego komórkę. Rozładowaną. Niech technicy rzucą później okiem na telefon i zerwaną bransoletkę, ale najpierw chciałabym pokazać je Ezrze. Zobaczymy, co uda mu się wskórać.

– Tak jest. – Stanford skinął głową i zasalutował po harcersku, Henley zaś przywołała Ramoutera. W ich kierunku zmierzało policyjne bmw x5 z włączonymi światłami błyskowymi, ale bez syren, tuż za nim ford transit, a na końcu srebrny hyundai.

– Jak tam nasz zboczeniec? – zapytała Ramoutera, który chował do kieszeni notatnik.

– Bezużyteczny. Moja papużka mówi po angielsku lepiej niż on.

– Masz papużkę?

– Nie ja, mój czteroletni syn. – Spojrzał na Henley z wyrzutem, jakby powinna o tym wiedzieć.

– Vacarescu. Rumun?

Ramouter potwierdził. Henley przekazała mu kluczyki samochodowe, a następnie wyjęła komórkę. Obok jej auta zatrzymały się radiowóz, ford transit i hyundai.

– Jedyne, co udało mi się z niego wyciągnąć, to imię i nazwisko, miejsce zamieszkania w Sydenham i przeprosiny. Musiałem w tym celu posłużyć się translatorem Google'a. Potem w kółko powtarzał „kobieta, kobieta". Cała reszta była po rumuńsku, a ja nie umiem tak szybko pisać.

– W porządku. Zawieź Vacarescu do Lewisham – poleciła, przewijając w telefonie listę kontaktów i wybierając właściwy numer. – Jeśli uda mi się złapać Biancę, znaczy tłumaczkę, poproszę, żeby się tam z wami spotkała. Jeśli będziemy czekać, aż załatwi to Wydział Opieki nad Świadkami, utkniesz tam na cały dzień.

Bianca odebrała telefon i powiedziała, że kończy właśnie pracę w sądzie pokoju i powinna dotrzeć na miejsce w ciągu godziny.

– W porządku, załatwione. Przesłałam jej twój numer. Zadzwoni do ciebie z komisariatu. Za żadne skarby nie chciałabym, żeby musiała czekać godzinami w recepcji.

Ramouter wrócił do Vacarescu. Henley ponownie omiotła wzrokiem teren, na którym rozrzucono części ciała. Park Ladywell Fields był otwarty całą dobę i miał kilka wejść. Tak jak w przypadku pierwszej ofiary, sprawca znał okolicę. Nie wybrał miejsca przypadkowo. W którymś momencie ktoś musiał natknąć się na zwłoki. Dwa ciała w dwa dni. Oba pocięte na kawałki i wystawione na widoku. Jedno białe, drugie czarne. Mężczyzna i kobieta.

– Przyznam, że miło od czasu do czasu ruszyć tyłek z biura. – Głos Linh wyrwał Henley z zadumy. – Podobno mamy drugą ofiarę.

– Nie przepadam za przyjmowaniem założeń, ale wydaje mi się, że to reszta tego, co znaleźliśmy wczoraj nad rzeką. Zgodnie z twoją oceną wygląda... czy raczej wyglądała na dwadzieścia do trzydziestu lat.

– Okej. Pójdę ją obejrzeć. Nie wiem, jak długo tu leży, ale upał przyspiesza rozkład. Nawet striptizerka nie zgarnia tak szybko podsuwanych jej banknotów.

– Zdajesz sobie sprawę, że to mało zabawne, prawda?

Linh uśmiechnęła się szeroko i poprawiła ramiączko na lewym ramieniu.

– Czyż można się dziwić komuś w moim fachu? Zostajesz tu dłużej?

– Jeszcze przez chwilę. Zamierzam porozmawiać z Aishą, kobietą, która znalazła szczątki, a potem poprosić któregoś z mundurowych o podrzucenie mnie do Greenwich.

– Wątpię, by zajęło mi to dużo czasu. Im szybciej przewiozą ją do mnie, tym lepiej. Jeśli zaczekasz, aż skończę, podwiozę cię i może wreszcie uda się nam umówić na dziewczyński wieczór w mieście. Tak dawno tego nie robiłyśmy. Zaczynam się czuć zaniedbywana.

Dwadzieścia minut później Henley poczuła, jak ktoś puka ją w ramię. Właśnie poleciła odwieźć Aishę do domu.

– Muszę zamienić z tobą słówko – powiedziała Linh. Uśmiech zniknął z jej twarzy, czoło zmarszczyło się z niepokoju. Potarła podkrążone oczy, wzięła Henley pod ramię i poprowadziła ją w stronę kortów tenisowych, z dala od ekipy techników zbierających w krzakach materiał dowodowy, z dala od tłumu gapiów, który w ciągu godziny urósł z trzydziestu do pięćdziesięciu osób.

– Po pierwsze: oczy. Nie wiem, czy to lisy, czy bezpańskie koty już się do niej dobrały, ale gałki oczne wyglądają na wycięte z oczodołów. Dopiero w kostnicy będę mogła określić czas zgonu.

– Jak długo tu leżała?

– Trudno powiedzieć. Prawdopodobnie nie żyje co najmniej od kilku dni, ale od kiedy jest tutaj, nie mam pojęcia. Jednak nie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Ona ma znak – rzekła Linh ściszonym głosem.

– Co? – Myśli Henley zaczęły galopować, po czym zatrzymały się na jednym wyjaśnieniu. Żółć podeszła jej do gardła i drażniła śluzówki.

– Anjelico, ona ma wycięty na skórze symbol. Na przedramieniu. To nie jest stare nacięcie, tylko świeże. Krew wygląda na zakrzepłą. Przypuszczam, że zrobiono je pośmiertnie.

– Czy to... – Henley nie musiała kończyć zdania. Linh wiedziała. Mimo wszystko dokończyła pytanie. – Podwójny krzyż zwieńczony półksiężycem?

– Tak, o długości około pięciu centymetrów.

– A u Kennedy'ego?

– Są ślady wyglądające na samookaleczenia, stare blizny na ramionach i tułowiu, ale cała skóra jest pokryta tatuażami. Bardzo skomplikowanymi, misternymi. Jeśli mam być szczera – Linh pokręciła głową – to nie, nie ma mowy. Wątpię, bym przeoczyła coś takiego.

– Może niczego nie przeoczyłaś. Może nic tam nie ma. – Henley oparła czoło o ogrodzenie, mając nadzieję, że plecie bzdury.

– Będę musiała wyciągnąć go z chłodni. Niech to szlag. Dla własnego spokoju. Zadzwonię do Theresy. Poproszę, żeby go przygotowała i obfotografowała każdy centymetr.

– Jadę z tobą. Jeżeli ma znak, chcę przy tym być.

– Pod warunkiem że cokolwiek znajdziemy. A jak nie, pozostaje nam tylko ona.

Obie spojrzały na kępę zarośli, w której zebrał się zespół kryminalistyczny.

– Kim ona jest? – zapytała Henley, gdy w jej umyśle pojawił się obraz głowy zamordowanej kobiety.

Rozdział 10

– Nie spieszyłeś się – rzekła Henley do Ramoutera, który wszedł właśnie do SCU. Dochodziła czwarta po południu. Wydawał się skonany. Podwinął rękawy koszuli, czoło połyskiwało mu od potu.

– Przepraszam. Musiałem wrzucić coś na ząb, zanim padłbym z wycieńczenia. – Ramouter pokazał torbę z jedzeniem na wynos: burger z kurczakiem i frytki. – No więc po kolei. Vacarescu jest rozmowny. I to bardzo. Później poszedłem do rady osiedla, która mieści się kawałek drogi za Ladywell Fields. Rozmawiałem z człowiekiem odpowiedzialnym za utrzymanie parku. Przepraszam, powinienem był ci powiedzieć.

– Nic się nie stało – powiedziała Henley. – Jestem ostatnią osobą, która by się ciebie czepiała za wykazanie inicjatywy. No więc co powiedział Vacarescu?

– Stanowczo odmawiał zeznań, póki nie obiecałem, że nie postawimy mu zarzutów obnażania się w miejscu publicznym. Mogłem się na to zgodzić, bo formalnie nikt nie zawracał sobie głowy aresztowaniem go za pokazywanie klejnotów, a Aisha nie złożyła zawiadomienia.

– To chyba ostatnia rzecz, jaka przyszłaby jej do głowy w tych okolicznościach.

– Taaak... – Ramouter wepchnął sobie do ust kilka frytek. – Vacarescu zeznał, że dotarł do parku około wpół do jedenastej rano. Wszedł do kawiarni, wypił herbatę, poczytał książkę, a później wybrał się na spacer. Twierdził, że strasznie go przypiliło i poszedł wysikać się w krzaki.

– Nie mógł skorzystać z toalety w kawiarni?

Ramouter wzruszył ramionami.

– Pewnie musi często sikać, bo od byłej dziewczyny złapał trypra.

Henley zrobiła wymowną minę, gdy Eastwood, która weszła właśnie do biura, parsknęła śmiechem.

Ramouter wytarł ręce w serwetkę.

– W każdym razie powiedział, że się odlewał, a nie trzepał kapucyna, i nie zauważył niczego w krzakach, póki Aisha nie zaczęła na niego wrzeszczeć. Dodał jeszcze, że był tam również wczoraj mniej więcej o tej samej porze.

Henley kiwnęła głową i otworzyła w komputerze folder ze zdjęciami z miejsca znalezienia zwłok.

– Ciało leżało trochę bardziej w głębi i na prawo. – Wskazała krzewy po lewej stronie parku. – Tego terenu nie widać z miejsca, gdzie odbywał się trening, jest za to widoczny z punktu, w którym najpewniej stał Vacarescu. A co powiedzieli w radzie osiedla?

– Skarżyli się na problemy z zaprószaniem ognia w parkach z powodu wyjątkowo upalnej aury. Sucha trawa oraz idioci rzucający niedopałki gdzie popadnie i niewłaściwie obchodzący się z tanimi grillami to kiepskie połączenie. Mówili, że wczoraj po południu o siedemnastej czterdzieści osiem wezwali straż pożarną, bo paliły się zarośla obok kortu tenisowego.

Henley kliknęła w kolejną fotografię i powiększyła ślady po pożarze widoczne w odległości paru metrów od głowy dziewczyny.

– Czy nasz zabójca chciał, żeby ktoś znalazł zwłoki, czy raczej szukał sposobu, żeby się ich pozbyć?

– Po co zadawałby sobie tyle trudu i podrzucał ciało dziewczyny do parku, a Kennedy'ego nad rzeką? – Ramouter zachodził w głowę. – Skoro rozczłonkował zwłoki, dlaczego nie włożył ich do worków na śmieci i nie wrzucił do najbliższego kontenera? Śmieciarze wywieźliby odpadki, a my nie mielibyśmy o niczym pojęcia.

Henley powróciła myślami do znaków zauważonych przez Linh na przedramieniu dziewczyny. Były istotne i nie mogła ukrywać ich przed Ramouterem.

– Jest coś jeszcze – rzekła. – Dziewczyna ma wycięte na skórze dwa symbole. Peter Olivier wyciął takie same wszystkim swoich siedmiu ofiarom.

Wytrzeszczone oczy Ramoutera rozbłysły w nagłym oświeceniu.

– Morderca z piłą? – powiedział z ustami wypchanymi bułką z kurczakiem.

Henley się wzdrygnęła. Nie cierpiała tego przezwiska nadanego Olivierowi przez prasę. Taka trywializacja seryjnego zabójcy wytrącała ją z równowagi.

– Ten, kto zamordował naszą niezidentyfikowaną dziewczynę, naznaczył ją w taki sam sposób, w jaki robił to Olivier – wyjaśniła. – Półksiężycem i podwójnym krzyżem.

– Ale on siedzi teraz w więzieniu, zgadza się?

Aby się uspokoić, Henley powtórzyła słowa sędziego ogłaszającego wyrok:

– Odsiaduje karę siedmiokrotnego dożywocia. Będzie siedział do śmierci. Bez możliwości zwolnienia warunkowego. Umrze w więzieniu.

Henley patrzyła na fotografie z miejsca zbrodni. Członki ciała rozrzucone po południowowschodnim Londynie, który był jej domem. Jedną z ofiar zidentyfikowano, ale młoda czarnoskóra kobieta, niegdyś pełna życia, pozostawała bezimienna. Zamordowana, poćwiartowana, a potem wyrzucona jak zepsuta lalka.

– Kim jesteś? – zapytała na głos Henley. Na zdjęciu ziały puste oczodoły. Brakowało zmętniałej powłoczki śmierci, która zwykle pokrywa oczy denata. Henley mimowolnie zadrżała na myśl, że kilka lat temu to ona mogła być kobietą z fotografii, porżniętą na kawałki i rozrzuconą w parku.

– Nadal nie znamy tożsamości?

Podniosła wzrok i ujrzała Stanforda stojącego przed biurkiem. Była tak pogrążona w myślach, że nie zdawała sobie sprawy z jego przybycia.

– Wprowadziliśmy odciski palców i DNA do naszej bazy danych. Bez rezultatu. Co powiedział kurator?

– Że przygotowanie pełnego raportu potrwa kilka dni. – Stanford rozwiązał czerwony krawat, który wkładał zawsze, gdy musiał stawić się w sądzie, następnie zrzucił marynarkę, którą wyciągał z szafy wyłącznie na śluby, pogrzeby oraz okazjonalne przesłuchania dyscyplinarne.

– Nie musiałeś tu wracać. Mogłeś iść do domu. Na twoim miejscu tak bym zrobiła.

– I oglądać kolejne próbki kafelków, które Gene będzie podsuwać mi pod nos. Dziękuję, postoję.

Henley się roześmiała, wyobraziwszy sobie partnera Paula usiłującego namówić go do współuczestniczenia w kolejnym projekcie remontu domu.

– Innymi słowy, uznałeś, że lepiej sprawdzić, jak daję sobie radę – rzekła Henley.

– Nigdy w życiu. Powiedział, żeby zaprosić cię na niedzielny lunch. Nie musisz przyprowadzać ze sobą Pana Smutasa, tylko ty i brzdąc.

– Naprawdę chcesz spędzić niedzielę z maluchem?

– Nie, mam zamiar upić się razem z tobą w kuchni.

Stanford wziął do ręki butelkę wody, która stała na jego biurku od ponad tygodnia, i ją odkręcił.

– Słyszałem od Eastie, że sprawa zostaje u nas i że ty ją prowadzisz?

– Nie miałam wyboru.

Zaczęła porządkować i tak już schludne biurko. Przełożyła długopisy w kubku i upewniła się, że wszystkie segregatory leżą równo piętnaście centymetrów od krawędzi blatu, jednocześnie słuchając Stanforda gadającego jak najęty o tym, co było w sądzie, i utyskującego na ogłoszone właśnie najnowsze zmiany w zasadach funkcjonowania londyńskiej policji.

– A gdzie twój stażysta? – zapytał. – Spodziewałem się, że nie będzie odstępował cię na krok.

– Miał być twoim stażystą.

– Nie, dziękuję. Trochę strachliwy jak na mój gust.

– Sam kiedyś taki byłeś – zauważyła Henley ze złośliwym uśmieszkiem.

Stanford się skrzywił.

– Nigdy w życiu.

– Uwielbiam te nasze przekomarzania, ale Ramouter czeka na mnie na dole. Jedziemy do Camden porozmawiać z bratem Daniela Kennedy'ego.

Stanford uniósł krzaczastą brew.

– Na północ od rzeki? Dobrze, że nie jadę tam ja. No więc jak daleko posunęło się nasze śledztwo?

– Linh znalazła znak na ciele dziewczyny.

– Znak?

– Podwójny krzyż z księżycem na górze.

Wesołość Stanforda prysła.

– A na drugich zwłokach? Tych znad rzeki?

– Linh właśnie to sprawdza. Czekam, aż się odezwie.

– Przecież niemożliwe...

– Paul, widzieliśmy już niejedno... – Henley wzięła do ręki iPada. Na ekranie widniał wycięty na skórze podwójny krzyż z półksiężycem.

– Olivier był wtedy na wolności i siał śmierć. Teraz siedzi w więziennej celi. To może być robota kogokolwiek.

– Po znanych nam wyczynach Oliviera mówisz serio, że powinniśmy odrzucić możliwość jego udziału w tej zbrodni? – zapytała zniecierpliwiona Henley.

– Usiądź, Anj. – Stanford przysunął sobie krzesło i też usiadł.

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć, Paul, ale to niepotrzebne.

– Potrzebne. I to bardzo.

Westchnęła i w ramach kompromisu przycupnęła na biurku.

– Nie musisz tego robić – rzekł Stanford. – Nie musisz stawiać się w sytuacji, która wywlecze na wierzch bolesne wspomnienia.

– Jak myślisz, na co zda się teraz to gadanie? – odburknęła.

Stanford odchylił się w tył i skrzyżował ramiona.

– Nie rób tego. Jestem twoim kumplem i wiem, ile cię to kosztuje.

– Rozumiem, że się martwisz, ale niepotrzebnie.

– Możesz oddać tę sprawę Eastie. Sprawdziła się nieraz, gdy byłaś odsunięta od części obowiązków. Wiesz, że da sobie radę.

– A ja nie?

Stanford zadarł głowę i rzekł do sufitu:

– Nie to miałem na myśli.

– Zresztą, jak by to wyglądało, gdybym przekazała sprawę Eastwood? Paul, ludzie wzięliby mnie na języki. Dość już krąży plotek na mój temat. Straciłabym szacunek.

– Nie straciłabyś... – Stanford przerwał, ponieważ Henley odwróciła się do niego plecami i ruszyła do wyjścia. – Anjelico... – błagał.

– Wiem, że się troszczysz, ale nigdy więcej nie proś mnie o zrezygnowanie z jakiejkolwiek sprawy.

– Ja pierdolę... – mruknął Stanford, gdy Henley zatrzasnęła za sobą drzwi.

Rozdział 11

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – powiedział Jacob Kennedy, siadając na sofie. Na stoliku stały trzy kubki. Henley nie miała ochoty na kawę, ale widziała, że Jacob potrzebuje zająć czymś ręce. Dysponowali tylko jednym zdjęciem Daniela zrobionym pół roku wcześniej w areszcie śledczym, dostrzegała jednak podobieństwa. Ta sama gęsta czupryna brązowych loków, przenikliwe piwne oczy. – W tym tygodniu miałem pracować zdalnie, ale wszystko wzięło w łeb. Nie potrafię się na niczym skupić.

– Czym się pan zajmuje? – zapytał Ramouter.

– Jestem doradcą finansowym. Służę radą ludziom zakładającym nowe firmy, pomagam im znaleźć inwestorów i tak dalej. Dan... mój brat pracuje ze mną. Projektowanie, prace budowlane, tego rodzaju rzeczy. Jest... przepraszam... mój Boże... był w tym naprawdę dobry... Nie zrozumcie mnie źle. Wiem, że nie był święty. Ma za sobą kilka trudnych, burzliwych lat. Przez pewien czas siedział, ale prawdopodobnie już to wiecie...

Umilkł, gdy jego wzrok powędrował na półkę nad kominkiem z kolekcją rodzinnych fotografii.

– Kiedy ostatnio pan z nim rozmawiał albo go pan widział? – drążyła Henley.

– Chyba w długi weekend. Zorganizowaliśmy grilla z okazji urodzin mojej żony.

– W jakim był nastroju?

– W dobrym. To znaczy wkurzało go, że musi wrócić na konkretną godzinę i że nie może zostać z nami dłużej, ale poza tym wszystko było w porządku.

– Rozmawiał pan z nim po urodzinach żony?

– Na pewno. – Jacob zmrużył oczy i potarł skronie. – Jak już wspomniałem, omawialiśmy jego powrót do pracy. Ależ tak, widziałem go po urodzinach. Poszliśmy razem na mecz West Ham z Arsenalem. Jakieś trzy tygodnie temu.

– Byliście sobie bliscy? – zainteresował się Ramouter.

– To mój młodszy brat. Tato umarł, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, a mama tego nie udźwignęła. Dużo piła. I ćpała. Byliśmy więc zdani na siebie i opiekowaliśmy się sobą nawzajem. – Jacob ciężko westchnął, zakołysał się i zaczął płakać. – Przepraszam... przepraszam.

– Nie ma za co – powiedziała łagodnie Henley i dała Ramouterowi znak, żeby podał ze stolika chusteczki. – Bardzo współczuję.

Jacob podziękował skinieniem głowy, biorąc od Ramoutera pudełko z chusteczkami.

– Brat miał kuratora sądowego za zakłócanie porządku publicznego i uszkodzenie ciała.

– Sąd orzekł, że jego mieszkanie znajduje się zbyt blisko miejsca zamieszkania ofiary – odparł rozgoryczony Jacob. – Chciałem, żeby został u nas. Miałbym go na oku. Ale moja żona uznała, że miałoby to destrukcyjny wpływ na dzieci, co jest kompletną bzdurą. Dzieciaki uwielbiały wujka Dana. Może... Sam nie wiem... Może by do tego nie doszło... To przeze mnie.

– Nie ma w tym pana winy. – Widząc rozpacz Jacoba, Henley poczuła ból własnego pokancerowanego serca. Położyła mężczyźnie dłoń na ramieniu, nie wiedząc, czy ten gest przyniesie

mu pokrzepienie. – Co pan wie o zarzutach, jakie postawiono bratu?

– On po prostu się bronił. Pracowaliśmy nad projektem w Dalston i Dan podejrzewał, że jeden z robotników kradnie materiały. Problem w tym, że Dan jest... był dość porywczy. Bardzo wątpię, że umiałby rozwiązać konflikt w grzeczny sposób. Wdali się w kłótnię...

– Był pan przy tym?

– Nie. Znam to z relacji Dana. Doszło do przepychanek. Szarpali się na ulicy i Dan uderzył tamtego w głowę. Aresztowano go i oskarżono.

Ramouter przerzucał kartki notesu.

– Tomas Nowak – powiedział. – To robotnik, z którym pobił się Dan?

Twarz Jacoba lekko pojaśniała.

– Tak, to on. Myślicie, że maczał palce w śmierci Dana?

– Będziemy z nim rozmawiać – zapewniła Henley. – Czy przypomina pan sobie coś jeszcze?

W tym momencie rozległ się kobiecy głos:

– Jay, jestem!

– Moja żona – wyjaśnił Jacob niemal przepraszającym tonem.

Henley i Ramouter wstali z miejsc, gdy w progu stanęła dobrze ubrana kobieta o prostych, długich brązowych włosach.

Postawiła na podłodze pokaźne żółte torby z zakupami.

– Z kim mam przyjemność?

– Komisarz Anjelica Henley, a to detektyw na stażu Salim Ramouter.

– Przyszliście w sprawie Daniela? – zapytała obojętnym tonem. – Cokolwiek przeskrobał, nie ma to nic wspólnego z nami.

– Zaro! On niczego nie przeskrobał! – zaprotestował Jacob, zrywając się z miejsca.

– Mówiłam tylko...

– To już więcej nie mów.

– Nie dogadywali się ze sobą? – zapytała Henley, gdy Zara odwróciła się i wyszła, stukając obcasami o drewnianą podłogę. Jacob się wzdrygnął, słysząc trzaśnięcie drzwiami.

– Jest po prostu zdenerwowana. Tak jak my wszyscy.

– I jeszcze jedna sprawa. Daniel trafił do więzienia za ciężkie uszkodzenie ciała.

Jacob prychnął i otarł twarz wierzchem ręki.

– Jeśli dacie wiarę, chciał bronić Zary. Byliśmy razem na imprezie, na której jakiś idiota przyczepił się do mojej żony jak rzep. Dan zażądał, by dał jej spokój, i od tego się zaczęło. Wybuchła awantura, facet się przewrócił, uderzył w stół i roztrzaskał sobie kość oczodołu. Dan tłumaczył, że działał w obronie własnej, ale przysięgli mu nie uwierzyli.

– A ty uwierzyłeś?

Jacob rzucił Henley pełne oburzenia spojrzenie.

– Oczywiście. Mój brat miał krewki temperament i czasem bywał idiotą, ale nigdy nie szukał guza. Nie tak go wychowałem.

Rozdział 12

– Poczułeś to?

Mężczyzna spojrzał w dół. Próbował otworzyć usta, obserwując, jak palce obejmują srebrną rękojeść noża. Poruszyć językiem. Uformować słowa, gdy piętnastocentymetrowe ostrze rozcinało mu skórę. Krew, ciemna w przygaszonym świetle, spływała w poprzek uda, ale nie czuł bólu. Zaciśnięte wokół rękojeści palce rozluźniły się, lecz nóż tkwił nieruchomo w miejscu.

– Głupie pytanie. Nie możesz nic czuć. Pewnie wydaje ci się, że to jeden z tych snów. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Mężczyzna usiłował obrócić głowę i śledzić głos krążący po pomieszczeniu.

– Myślisz, że się obudziłeś, ale nie możesz się ruszyć. Nie możesz uruchomić żadnego mięśnia. Nawet małego palca. I jesteś przerażony, co? To czujesz. Ten niemożliwy do opanowania dławiący strach.

Mężczyzna starał się przesunąć rękę, wyciągnąć nóż, ale nic takiego nie nastąpiło. Mógł jedynie patrzeć prosto przed siebie, na swoje wyciągnięte gołe nogi. Kostki miał skrępowane przezroczystą taśmą, która wrzynała się w skórę. Stopy mu zbielały, znaczyły je tylko sine i fioletowe plamy. Nie wiedział, gdzie jest ani jak tam trafił. Nie mógł się zorientować, czy to wieczór, czy noc. Chciał pokręcić głową. Uwolnić pamięć. Wyostrzyć obraz otwierania drzwi komuś, kogo, jak mu się zdawało, znał.

– Nie mogę składać fałszywych obietnic i powiedzieć, że pójdzie szybko, bo szybko nie będzie. Pójdzie powoli.

Nie czuł nic, za to słyszał każdy dźwięk. Bijące się na zewnątrz koty. Deszcz bębniący o dach, jakby sypano nań ciężkie gwoździe. I kroki kręcącego się wpółmroku człowieka, którego nie był w stanie zobaczyć. Słyszał cichy zgrzyt odsuwania zamka błyskawicznego. Metal zahaczający o metal. I wyjmowania czegoś z torby.

Serce podskoczyło mu do gardła, gdy jakiś ciężki przedmiot odbił się od betonowej posadzki, lecz ciało nawet nie drgnęło. Czuł zapach rdzy, wilgotnej ziemi, deszczu i krwi. Do jego nozdrzy docierał także odór nieświeżego potu oraz przyprawiająca o mdłości mieszanka sfermentowanych owoców i zepsutej ryby.

Ludzki głos brzęczał mu w uchu jak natrętny komar.

– Jeśli poprawi ci to samopoczucie, zapewniam cię, nie będziesz czuł bólu, ale patrzenie na to, co zamierzam z tobą zrobić, kompletnie cię rozwali.

Zamrugał powiekami. To jedyne, co był w stanie zrobić. Po chwili brzęczenie ucichło. Uderzył go zapach świeżej krwi, a potem nie słyszał już nic.

Rozdział 13

Nazywała się Uzomamaka Darego, ale lubiła, jak mówiono na nią Zoe. Miała dwadzieścia sześć lat. W lokalnej prasie krążył rysopis dziewczyny oraz jej portret pamięciowy. Po co publikować fotografię trupa z wyłupionymi oczami. Wuj oficjalnie zidentyfikował zwłoki. W tym czasie Henley odwoziła Emmę do przedszkola. Linh doskonale się spisała, układając poszczególne części ciała w taki sposób, że Zoe wydawała się cała. Zamknęła jej powieki, tak że dziewczyna wyglądała, jakby spała. Henley przyczepiła do białej tablicy fotografię formatu A4 obok zdjęcia Daniela Kennedy'ego. Fotografia była świeża, zrobiona trzy tygodnie temu na babskim wieczorku. Zoe patrzyła z niej dużymi, jasnobrązowymi, wesołymi oczami.

– Była pielęgniarką w szpitalu w Lewisham, a jak wiadomo, tyły szpitala przylegają do Ladywell Fields. – Henley odwróciła się plecami do tablicy, twarzą do biura. Stanford, Eastwood i Ramouter przybyli do SCU z samego rana. Choć dochodziła dziewiąta, nigdzie nie było widać Pellacii, a to do niego niepodobne.

– Ładna dziewczyna – zauważyła Eastwood, zdejmując plastikową pokrywkę z kubka z kawą. – I co my na to? Może zamordowano ją na terenie szpitala i porzucono ciało w pobliżu?

– Nie można tego wykluczyć, ale pamiętaj, że jej prawe ramię znaleziono dzień wcześniej w Greenwich. Te dwa miejsca są od siebie oddalone o prawie cztery kilometry. Dziadkowie zgłosili jej zaginięcie w sobotni wieczór w komisariacie Forest Gate, ale jej dane przekazano Wydziałowi Poszukiwań Osób Zaginionych dopiero następnego dnia. Informacja nie została rozpowszechniona w komisariacie, nie podano jej prasie ani nie udostępniono w mediach społecznościowych. Gdy ostatnio sprawdzałam naszą wewnętrzną bazę danych, figurowało w niej dziesięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt zaginionych czarnoskórych kobiet, natomiast na ogólnodostępnej stronie przejrzanej przez Ramoutera podano liczbę czternastu.

– Czternastu?! – wykrzyknął z niedowierzaniem Stanford. – Jak to możliwe?

– Na tej stronie uwzględniane są wyłącznie niezidentyfikowane osoby zaginione, ale nie skupiajmy się na pomstowaniu na beznadziejny system. Znamy nazwiska naszych dwóch ofiar. Linh od rana przeprowadza sekcję zwłok. Autopsja Daniela Kennedy'ego została ukończona, lecz nadal brakuje nam jego lewej ręki. – Henley otworzyła notes. – Stanford, wiem, że po południu musisz wrócić do sądu, ale chcę, żebyś pojechał z Eastie do szpitala w Lewisham. Porozmawiajcie z personelem, zasięgnijcie języka u ochrony obiektu. Muszą mieć na nagraniu Zoe Darego wychodzącą z pracy. Mundurowi zakończyli zbieranie informacji od mieszkańców Watergate Street. Nikt nie zauważył niczego, co można by uznać za podejrzane zachowanie, a na ulicy nie ma kamer monitoringu. Tak więc brak naocznych świadków.

– Zgadza się, szefowo. – Stanford zmiął papierową torebkę po kanapce z bekonem i cisnął ją do kubła.

– A molo w Greenwich? – zapytał Pellacia.

Henley nie słyszała, gdy wszedł, i zastanawiała się, od jak dawna tam stoi i się jej przygląda. Jego spojrzenie zdradzało coś więcej niż zawodowe zainteresowanie. Odwróciła wzrok.

– Poprosiłam Joannę, żeby dorwała kogoś z rady osiedla w Greenwich, a także z firmy zarządzającej mieszkaniami nad rzeką – wyjaśniła.

– To dobrze. Już ona ich dociśnie.

– No, no – odezwała się Joanna zza swojego biurka w głębi. – Ja tu jestem. Z takimi manierami daleko nie zajedziesz.

– Przepraszam cię, Jo – rzekł Pellacia i żartobliwie się ukłonił. – Czy możesz wyciągnąć z bazy raporty o ciężkim uszkodzeniu ciała spowodowanym przez Daniela Kennedy'ego oraz tego niedawnego lekkiego pobicia?

– Już się do tego zabrałam. Ramouter wysłał mi wczoraj wieczorem maila.

– W takim razie zostawiam was z tym. Idę zadzwonić do komendanta Lewisham. Zobaczę, czy są gotowi użyczyć nam ludzi z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego do pomocy przy analizie monitoringu.

Henley podziękowała skinieniem głowy i zatrzymała na Pellacii spojrzenie sekundę dłużej, niż powinna.

– A jakie ty masz plany? – zapytał.

– Zamierzamy złożyć z Ramouterem wizytę dziadkom Zoe Darego.

* * *

– Próbowaliśmy zgłosić jej zaginięcie w piątek wieczorem, ale powiedziano nam, że musimy odczekać czterdzieści osiem godzin. Dlaczego aż dwie doby? Mówiłem kobiecie w recepcji, że musiało jej się coś stać, ale kto by się przejmował zaginięciem czarnej dziewczyny.

Henley zauważyła, że Ramouter się żachnął, ona jednak nawet nie mrugnęła okiem. Nie pierwszy raz słyszała te słowa: „Kto by się przejmował czarną dziewczyną". Powtarzała je sobie przez całe życie i karierę zawodową, wiedząc, że stereotypy i negatywny wizerunek osób czarnoskórych oznacza, iż media mają je gdzieś, są wobec nich uprzedzone i chętniej doniosą o zniknięciu jasnowłosej, niebieskookiej dziewczyny niż czarnej kobiety.

Khalifa podniósł na Henley zaczerwienione, gniewne oczy. Patrzył na nią w taki sposób, jakby to ona ponosiła odpowiedzialność, jakby mogła zrobić coś więcej. Ndidi, żona Khalify, usiadła obok niego i wzięła go za rękę. Od początku nie odezwała się ani słowem. Gdy Henley i Ramouter pokazali służbowe identyfikatory, wpuściła ich z milczącą aprobatą.

W domu było więcej osób. W rogu pokoju na krześle z wysokim oparciem siedział około pięćdziesięciopięcioletni mężczyzna. Khalifa przedstawił go jako pastora. Mężczyzna ostrożnie obserwował Henley. Wiedziała, że zastanawia się, dlaczego czarna kobieta zdecydowała się na pracę w policji. Reszta rodziny – ciotka, wuj, przyjaciółka domu oraz chłopiec i dziewczyna, którzy mieli najwyżej piętnaście i szesnaście lat, tłoczyli się w pokoju w głębi domu. Przez zamknięte drzwi dochodził cichy płacz.

– Nikt się nie przejmuje – powtórzył Khalifa. – Nie kiwnęli palcem.

Uwolnił zgrubiałą dłoń z uścisku żony, która natychmiast kurczowo chwyciła złoty krzyżyk na szyi. Oboje byli prawdopodobnie po siedemdziesiątce. Pokój, w którym przyjmowali Henley i Ramoutera, był zapewne „pomieszczeniem reprezentacyjnym". Na jasnobeżowym dywanie widać było delikatne ślady po szczotce odkurzacza. Poduchy kanapy wydawały się sprężyste, nie straciły fasonu. Wnętrze pachniało pastą do sosnowych mebli i sandałowym odświeżaczem powietrza. Pod ścianą w głębi stał kredens z imitacji mahoniu, na którym usta-

wiono fotografie w ramkach. Wnuczkę uwieczniono w todze, z dyplomem w ręku. Spod nasadzonego trochę krzywo na głowę biretu wystawały długie warkocze. Dziewczyna uśmiechała się promiennie od ucha do ucha. Henley dostrzegała w jej oczach mieszaninę ekscytacji i oczekiwania.

– Uzomamaka – rzekła cicho.

– Zoe – poprawiła Ndidi, przemówiwszy po raz pierwszy. W jej pełnym bólu głosie pobrzmiewała nutka nigeryjskiego akcentu, który z czasem się zanglicyzował. Henley jej współczuła.

– Uzomamaka – upierał się Khalifa. – Nasza wnuczka. Zawsze wracała do domu. Zawsze. Porządna była z niej dziewczyna. Nie szwendała się po ulicach. Uczyła się na akuszerkę. Mogła zostać lekarką, ale nie chciała. – Jego żona pokiwała głową.

– Kiedy ostatnio widzieliście Zoe? – zapytała Henley.

Ndidi sięgnęła po torebkę z czarnej skóry i wyjęła z niej cienki czerwony kalendarzyk.

– Zawsze zapisywałam w kalendarzu dyżury Zoe. W piątek miała dyżur od szóstej rano do szóstej wieczorem, ale czasem kończyła później. Brakuje im personelu.

– Jak długo pracowała w szpitalu w Lewisham?

– Będzie prawie dwa lata. Zaczynała w Park Royal, ale miała tam za daleko. Powrót do domu zajmował jej prawie dwie i pół godziny. Z Lewisham dojeżdżała w godzinę. Nie miała samochodu. Khalifa czasem ją przywoził, gdy późno kończyła pracę.

– Tym razem nie wróciła do domu?

Khalifa pokręcił głową.

– Czasem spóźniała się, bo w mieście były korki. Zadzwoniłem do niej, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Mój syn wysłał jej SMS-a i też nic. O jedenastej pojechaliśmy do szpitala, ale nikt jej nie widział. Poszedłem na policję. Odmówili przyjęcia zgłoszenia. Powiedzieli, że pewnie jest gdzieś z chłopakiem.

– Z chłopakiem? Wiecie, jak ma na imię?

– Daniel. Nazwiska nie pamiętam.

– Może Daniel Kennedy? – podsunął Ramouter.

– Nie wiem. – Ndidi wydawała się zmieszana. – Może. Nie jestem pewna.

– Miał na nią zły wpływ! – wykrzyknął Khalifa. – Uzomamaka to porządna dziewczyna. Chodziła do pracy, do kościoła. Była dobrą... – opuścił ramiona i wydał gardłowy szloch.

Siedzący dotąd w milczeniu pastor wstał i delikatnie wziął Khalifę pod ramię.

– Dobrze mu zrobi łyk świeżego powietrza – powiedział.

Henley przyznała mu rację.

– Kochała go i on ją bardzo kochał – powiedziała Ndidi, gdy za mężczyznami zamknęły się drzwi. – Ja nie wybrałabym Daniela, ale... co robić.

– Jak opisałaby pani ich związek?

– Wydawali się szczęśliwi.

– Szczęśliwi? – Ramouter zdawał się zaskoczony. Zwiesił głowę, ponieważ Henley rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Tak. Szczęśliwi. To znaczy nie opowiadała o nim przez cały czas. To nie Zoe. Ona była dyskretna.

– Nie wspominała o żadnych problemach?

– Nie. Nie wiem, jak było na początku. Nie od razu nam powiedziała, że spotyka się z Danielem.

– A kiedy to zrobiła?

– Mniej więcej po roku.

– Jak długo... byli ze sobą?

– Dokładnie nie wiem. Parę lat.

– Nie mieszkali razem?

– Nie. – Choć Ndidi zaszkliły się oczy, nie popłynęła ani jedna łza. – Ale planowali. Znaleźli mieszkanie niedaleko pracy Zoe i mimo że kosztowało ich to sporo zachodu, nie mogli się tam na razie wprowadzić, bo nie pozwalały na to warunki jego zwolnienia. Musieli się wstrzymać. Już z nim rozmawialiście?

Henley szybko zerknęła na Ramoutera.

– Niestety, Daniel Kennedy nie żyje – powiedziała.

Ndidi zakryła dłońmi usta. Była wyraźnie wstrząśnięta.

– Nie rozumiem...

– Jego ciało znaleziono w poniedziałek rano w Deptford.

Kobieta zaczęła płakać.

– Kto mógł to zrobić? – Z kieszeni swetra wyjęła chusteczkę. – Dlaczego... dlaczego?

– Chciałabym umieć pani odpowiedzieć, ale naprawdę nie wiem – rzekła Henley. – Dlatego musimy przeprowadzić śledztwo. Czy Zoe napomknęła o czymś, co wzbudziło w pani obawy o jej bezpieczeństwo?

Ndidi znów zaczęła szlochać, a Henley jej w tym nie przeszkadzała.

– Gdybym o czymś wiedziała... – podjęła po chwili starsza kobieta – tobym wam powiedziała. Porządna była z niej dziewczyna, ale kto wie? Tak długo utrzymywała Daniela w tajemnicy. Kto wie, co jeszcze przed nami ukrywała?

– A w pracy? Nie miała tam kłopotów?

Ndidi zaprzeczyła.

– Uwielbiała swoją pracę. Uwielbiała pomagać ludziom. Marzyła o tym, żeby sprowadzać na świat nowe życie. Jak można kogoś za to zabić?

Wzruszenie ścisnęło Henley za gardło.

– Znajdziemy człowieka, który zabrał wam Zoe – wykrztusiła.

Ndidi wstała, podeszła do kominka. Zdjęła z półki fotografię uśmiechniętego dziecka.

– Kiedy będziemy mogli sprowadzić ją do domu? – zapytała, delikatnie głaszcząc szybkę.

Tego pytania obawiała się najbardziej. Żadna odpowiedź nie była satysfakcjonująca, ponieważ Henley po prostu tego nie wiedziała.

– Policja nas zlekceważyła, kiedy zgłosiliśmy jej zaginięcie. Niech mi pani obieca, że nie pozwoli zapomnieć o Zoe.

Henley zadźwięczały w uszach słowa jej dawnego szefa. Rhimes zawsze powtarzał: „Nie składaj rodzinie obietnic, których nie możesz dotrzymać. Tu nie chodzi o ciebie".

– Obiecuję – rzekła Henley.

Rozdział 14

Henley z ciężkim sercem odłożyła telefon.

– Co się stało? – Stanford odstawił kawę na biurko.

Pellacia podniósł głowę ze swojego miejsca przy oknie, gdzie ponownie analizował zdjęcia z Ladywell Fields. Należał do tych nielicznych policjantów, którzy po latach służby wciąż czuli się nieswojo w zetknięciu ze śmiercią.

– Dzwoniła Linh – wyjaśniła Henley. – Zakończyła autopsję Zoe. Dziewczyna była w szóstym tygodniu ciąży.

– Cholera. Biedaczka.

– Byłeś w szpitalu, rozmawiałeś z jej znajomymi z pracy. Czy jest możliwe, że to nie Daniel Kennedy był ojcem?

– Czuję się, jakbym trafił do talk-show Jeremy'ego Kyle'a. Daj mi się zastanowić – poprosił Stanford.

– Byłoby miło – powiedziała Eastwood, wrzucając do kosza opakowanie po chipsach i sięgając po leżący na biurku batonik. Uwielbiała śmieciowe jedzenie.

Ciszę, która zaległa w oczekiwaniu na odpowiedź Stanforda, przerwał wchodzący do pokoju Ramouter.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił od progu.

– Odpowiedź brzmi: nie – odezwał się Stanford. – Wedle jej najbliższej przyjaciółki Rachel Bishop, która przez ostatnie osiem miesięcy pracowała z Zoe na jednym oddziale, dziewczyna była po uszy zakochana w Kennedym. Rachel mówiła, że Kennedy był trochę nadopiekuńczy, ale stanowczo oświadczyła, że nigdy nie skrzywdziłby Zoe.

– No dobra, to dlaczego utrzymywała ten związek w tajemnicy, skoro Daniel był taki wspaniały? – zdziwił się Ramouter.

– Jej rodzina należy do Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego i jest całkowicie przeciwna związkom międzywyznaniowym – tłumaczył Stanford. – Kennedy był katolikiem, więc to nie wchodziło w grę. Rachel mówiła, że babci Zoe to nie przeszkadzało, ale dziadkowi i wujowi było bardzo nie w smak. Grozili wydziedziczeniem i nieomal wyrzucili ją z domu, zanim w końcu się opamiętali.

– Jej babcia o niczym takim nie wspominała – rzekł Ramouter.

– Podkreślali, jaka to porządna dziewczyna. Nie chcieliby skalać jej dobrego imienia. A gdzie rodzice Zoe? – zainteresowała się Henley, a potem zaczęła pluć sobie w brodę, że sama o to nie zapytała, gdy byli u nich w domu. Smutek Ndidi odwrócił jej uwagę.

– Nie wiadomo, kto jest ojcem ani gdzie go szukać – wyjaśnił Stanford, przerzucając kartkę w notesie. – Rachel powiedziała, że mama Zoe urodziła ją w wieku osiemnastu lat, przekazała dziadkom i zniknęła w Kanadzie.

– Bratnie dusze – skwitowała Henley. – Mama Kennedy'ego zmarła młodo. Ojca nie znał. Ale powróćmy do piątkowego wieczoru.

– Dyżur kończyła o osiemnastej, ale wylogowała się dopiero osiem minut po dwudziestej drugiej. Wiemy, że służba zdrowia cierpi na braki kadrowe. Na monitoringu widać, jak opuszcza oddział intensywnego nadzoru siedemnaście minut po dwudziestej drugiej, a z budynku szpitala wychodzi o dwudziestej drugiej trzydzieści dwie.

– Jej dziadek mówił, że pojechał do szpitala o dwudziestej trzeciej – wtrącił Ramouter. – Dlaczego tak długo zwlekał, skoro wiedział, że kończy o osiemnastej?

– Słuszna uwaga, bystrzaku. – Stanford zamknął notes i cisnął go na biurko. – Teraz poprosisz mnie o zamienienie słowa z dziadkiem, prawda? – zwrócił się do Henley.

Uśmiechnęła się.

– I z wujem. Przywieź ich tu, jeśli będzie trzeba. Na dobrowolne przesłuchanie. Zobacz, czy nie da się ich przyszpilić, żeby ci opowiedzieli, co dokładnie robili od godziny osiemnastej.

– Załatwione. I jeszcze jedno. Rachel powiedziała, że dwa tygodnie przed zaginięciem Zoe przyszła do pracy roztrzęsiona. Płakała, cała dygotała i tak dalej.

– Co się stało? – spytał Ramouter.

– Wedle słów Rachel jakiś mężczyzna szarpnął Zoe i zwyzywał ją od suk. Zarzucał jej, że zrujnowała mu życie. Parę dni później ten sam człowiek był widziany pod szpitalem.

– Zgłosiła to? – chciała wiedzieć Henley.

– Nie wiadomo, czy powiadomiła policję, ale na pewno poinformowała ochronę szpitala.

W Henley wstąpiła nadzieja. Coś drgnęło. Nie złamie danej obietnicy.

– A te symbole na jej ciele? Czy przypadkiem nie lekceważymy faktu, że mogą mieć jakiś związek z Olivierem? – zaniepokoiła się Eastwood. – Gdyby chodziło tylko o porąbane na kawałki zwłoki, powiedziałabym, że nie, ale zważywszy na ten znak firmowy... – urwała.

– Nie podoba mi się kierunek, w którym to wszystko zmierza – zauważył Pellacia.

– Musimy przyjrzeć się ewentualnym powiązaniom naszych ofiar z Olivierem lub jego siedmioma ofiarami.

– Co może je łączyć? Olivier już się zemścił, wpadając w morderczy szał – rzekła Eastwood.

– Za co się mścił? – spytał Ramouter.

– Wstąpił do wojska w wieku dziewiętnastu lat – wyjaśniła Eastwood. – Był typowym przypadkiem. – Zaczęła wyliczać na palcach. – Rodzice nie dawali sobie z nim rady. Wylano go ze szkoły. Przerzucano od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Trafił do domu dziecka, a gdy skończył osiemnaście lat, wciśnięto mu do ręki czek na dwa tysiące i odprawiono z kwitkiem, a on nie miał bladego pojęcia, co ma zrobić ze swoim życiem. No więc Olivier wstąpił do armii. Pół roku później został zgwałcony. Lekarka wojskowa powiedziała, że to był jeden z najgorszych przypadków, jakie widziała.

Henley pochyliła się nad biurkiem, wdzięczna Eastwood, że wyręcza ją w opowiedzeniu tej historii.

– Dlaczego nazwała gwałt „najgorszym przypadkiem"? – dociekał Ramouter.

– To był gwałt zbiorowy. Użyli kija od miotły, nadtłuczonej szyjki butelki, jak również własnych fiutów. Olivier przez sześć tygodni leżał w szpitalu.

– Jasna cholera.

– Zgłosił to. Podał nazwiska sześciu napastników. Adrian Flynn, Toby Kendrick, Jeremy Hicks, Gary Forde, Richard Lewis i Alastair Nash. Wszyscy z jego oddziału. Odbył się sąd woj-

skowy, sprawa ciągnęła się przez dwanaście dni. Całą szóstkę oczyszczono z zarzutów. Mija osiemnaście lat i sierżant Adrian Flynn zostaje oskarżony o gwałt przez osobę cywilną. Tym razem też go uniewinniają. Trzy miesiące później Olivier rąbie go na kawałki i rozrzuca je na A2 na odcinku pomiędzy pubem Sun in the Sands na rondzie i zjazdem na Kidbrooke. Po dwóch kolejnych tygodniach znajdują Tony'ego Kendricka, też w kawałkach, pod wiaduktem kolejowym w Lewisham...

– Cholernie to wszystko przygnębiające – skonstatował Stanford. – Za wcześnie na wypad do pubu?

– Chętnie bym ci towarzyszył – powiedział Pellacia. Powietrze było ciepłe, duszne. W pokoju panował bezruch, jakby tkwili w samym oku cyklonu.

– Olivier zabił wszystkich swoich oprawców, co do jednego – ciągnęła Eastwood. – I zabiłby także prokuratora oraz sędziego, który przewodniczył obradom sądu wojskowego, gdyby nie przeszkodziła mu w tym Henley.

– Mówiłaś, że zabił wszystkich oprawców, ale ofiar było siedem. Kto był numerem siódmym? – zainteresował się Ramouter.

– Nie mamy zielonego pojęcia. Odmówił zeznań.

Henley odepchnęła od siebie wspomnienia i ponownie skupiła się na tym, co działo się w pokoju.

– Charakterystyczne znaki na ciele oznaczają, że to coś więcej niż zbieg okoliczności i że nie mamy do czynienia ze zwykłym zabójcą. Szukamy plagiatora.

– Nie rozumiem – przyznał Ramouter, pochylając się nad biurkiem. – Dlaczego naśladowca miałby uaktywniać się akurat teraz? Olivier siedzi od dwóch i pół roku.

– Nie byłby to pierwszy taki przypadek – powiedziała Henley, patrząc na Ramoutera. – Człowiek, którego szukamy, działa z premedytacją, chce trzymać nas w ciągłym napięciu. Bo niby dlaczego porzucałby fragmenty zwłok w tych, a nie innych miejscach, w dodatku w odstępie jednego dnia? Mało tego... – Henley powiodła wzrokiem po tych, którzy wiedzieli: po Pellacii, Eastwood i Stanfordzie. Wszyscy unikali jej spojrzenia, próbując uciec przed duchami przeszłości, które powróciły, by ich prześladować. – Nikt o tym nie wiedział – ciągnęła. Otworzyła zdjęcie znaków wyciętych na skórze Zoe. – Te symbole to część jego modus operandi. Jego podpis. Znak firmowy.

– O tym nie wiedziałem – przyznał Ramouter. – To znaczy o symbolach. Nigdzie nie było o nich wzmianki.

– W tym rzecz, Junior – powiedziała Eastwood. – Tej informacji nie ujawniono.

– Ukrywaliśmy ją przed prasą i w trakcie śledztwa, i w czasie procesu – kontynuowała Henley. – Jeszcze zanim rozpoczął się proces, mieliśmy dwa zabójstwa wzorowane na zbrodniach Oliviera, dlatego sędzia wydał zakaz obecności mediów podczas rozprawy. Gazety zwróciły się do Wysokiego Trybunału z żądaniem cofnięcia tej decyzji, lecz wysłuchawszy apelacji, sędziowie zgodzili się, że podanie do wiadomości publicznej informacji o symbolach zaszkodziłoby sprawie...

– Ile osób wiedziało o tym znaku firmowym mordercy? – zapytał Ramouter.

– Wszyscy z naszego ówczesnego zespołu. Linh, Theresa i ekipa kryminalna Anthony'ego.

– Wedle mojej wiedzy – rzekł Pellacia – Olivier siedzi w oddzielnym sektorze w Belmarsh. Spędza w celi dziewiętnaście godzin na dobę. Nie komunikuje się z nikim, z wyjątkiem strażni-

ków i jakiegoś nieszczęsnego prawnika, którego zdołał przekonać do podjęcia próby odwołania się od wyroku.

– Znalezione przez nas ciała sugerują coś przeciwnego – zauważyła Henley. – Możliwości są trzy. Albo mamy naśladowcę-psychopatę, albo to ktoś, kto brał udział w pierwotnym śledztwie i rozprawie, albo Olivier z kimś rozmawiał.

– Na pewno nie możemy iść do pubu? – Stanford ponowił pytanie.

– Ty tak serio? – warknęła Henley.

– Przepraszam, szefowo. – Stanford wyprostował się na krześle. – Okej, z kim mógłby rozmawiać Olivier?

– Z kimś, z kim ma bezpośredni kontakt – zasugerował Ramouter. – Może z kimś koresponduje? Ale jaki miałby w tym cel?

– To narcystyczny, egoistyczny psychopata – rzekła Henley. – Może chce triumfować.

– A jeśli to wcale nie on? Jeśli Olivier siedzi sobie spokojnie w Belmarsh, pilnując własnych spraw, i rozwiązuje sudoku? – podsunęła Eastwood. – Może był przeciek?

Henley pokręciła głową.

– Bez sensu. Po co ktoś zdradzałby tę informację akurat teraz?

– Nie mówię, że teraz, chodzi mi o czasy, kiedy szefem był Rhimes.

– Nawet nie zaczynaj, Eastwood – powiedział Pellacia. Jego głos brzmiał twardo, ostrzegawczo.

Eastwood podniosła ręce.

– Nie zamierzam mówić źle o zmarłych. Po prostu wyrażam głośno myśl, która być może kołacze się w głowach nam wszystkim. Jesteśmy tu we własnym gronie i dobrze wiemy, że Rhimes nie był aniołem.

– Można mu wiele zarzucić, Eastie, ale on nigdy nie ujawniłby takich wrażliwych informacji – skwitowała Henley. Teraz broniła go bardziej niż za życia.

– A te wszystkie krążące wtedy plotki? Więc dlaczego ze sobą skończył?

– Okej – powiedział Stanford, zostawiając Eastwood w spokoju. – Nie zrobiłby tego nikt z nas. A CPS[3]? Na nich nie można do końca polegać. Nie zdziwiłbym się, gdyby jakiś tępawy gryzipiórek wygrzebał akta i zostawił je na siedzeniu w metrze. Nie byłby to pierwszy raz.

– Słuchajcie – odezwał się Pellacia. – A czy można wykluczyć, że mordercą jest zazdrosny były kochanek? Darego nie była zupełnie szczera w kwestii swego związku z Kennedym.

– Nie bądź śmieszny – mruknęła Henley pod nosem.

– Albo Kennedy wkurzył niewłaściwą osobę – ciągnął Pellacia. – Był wcześniej karany za narkotyki.

– Narkotykowe porachunki? – powiedział Ramouter z powątpiewaniem. – Ostatni raz skazano go, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Czyli czternaście lat temu. Trochę późno, żeby ktoś nagle sobie uzmysłowił, że Kennedy sprzedał mu niedoważoną uncję zioła.

– Po prostu bawię się w adwokata diabła – kontynuował Pellacia. – Dotychczas jedyną osobą, która wychwalała Daniela Kennedy'ego, był jego brat.

– Przepraszam, szefie. – Ramouter wzruszył ramionami. – Ale nie wydaje mi się, by miało to związek z narkotykami. Coś mi tu nie pasuje czasowo.

– Zgadzam się – przyznała Henley. – Nie sądzę też, by doszło do wycieku informacji. – Rozumiała, że Pellacia chce ugryźć sprawę z każdej strony, nie mogła jednak zignorować wewnętrznego przeświadczenia, że sprowadzi ich to tylko na manowce.

– Większość tych, którzy ujawniają informacje, robi to albo z mylnego przekonania, że to dobry uczynek, albo dlatego, że im za to płacą. Tego faceta, jeśli w ogóle jest to facet, bardziej interesuje rozgłos. Wyróżnienie się z tłumu – zauważył Ramouter. – A pozostawienie na zwłokach znaku firmowego... Co to było? Półksiężyc i podwójny krzyż?

Pellacia kiwnął głową.

– Zdecydowanie go wyróżnia.

Rozdział 15

– Bystrzak z niego, co? – zapytał Pellacia, zamykając drzwi biura.

– Zadaje właściwe pytania – odparła Henley. – Ale to dopiero pierwsze kroki.

– Minęły dwa dni. A dokładnie – Pellacia spojrzał na zegarek – dwa dni, osiem godzin i czterdzieści dwie minuty, od kiedy zostałaś starszym oficerem śledczym w tej sprawie.

Usiadła.

– Wezwałeś mnie tu na kontrolę?

– Nie mów tak. Po pierwsze, wykonuję swoją robotę, a po drugie, nie sądzisz, że wolałbym być w terenie zamiast tutaj? Słyszałem, co o mnie powiedziałaś. Że jestem śmieszny.

Henley próbowała nie zważać na urażony ton Pellacii. Nie odpowiedziała. Jej myśli pomknęły ku dawnym rozmowom prowadzonym w łóżku w środku nocy, kiedy opowiadał jej o swoich ambicjach zawodowych. Teraz miał twarz człowieka, który sięgnął po najokazalszą pomarańczę na drzewie i przekonał się, że owoc jest gorzki.

– Jaki masz z nią problem? – zapytał.

– Z kim?

– Z tą dziewczyną. Uzomamaką Darego. Zoe.

W pierwszym odruchu chciała skłamać. Wcisnąć mu zwyczajowy kit, że po prostu chce jak najlepiej wywiązać się z zadania, lecz Pellacia zbyt dobrze ją znał.

– Zoe mi ją przypomina – przyznała. – Melissę Gyimah. Opowiadałam ci o niej.

– Zaginioną dziewczynę, z którą chodziłaś do szkoły?

– Nie tylko chodziłam z nią do szkoły. Ja z nią dorastałam. Mieszkała po drugiej stronie ulicy. Policja nie kiwnęła palcem, a prasa też miała to głęboko w nosie. Dopiero zaginięcie białej piętnastoletniej dziewczyny postawiło wszystkich na nogi. Jej twarz była wszędzie. W gazetach, w wiadomościach. Z Melissą byliśmy zdani tylko na siebie. To my jej szukaliśmy, to my rozlepialiśmy afisze, a dziewięć miesięcy później ją znalazłam.

– W rzece – powiedział cicho Pellacia. Znał tę historię.

– Zoe mi ją przypomina. Po prostu. Ktoś wyrzucił ją jak worek śmieci. Zabójcy Melissy nigdy nie schwytano. Nie chcę, żeby to samo przytrafiło się rodzinie Zoe czy Kennedy'ego.

– Nie przydarzy się. – Pellacia zrobił krok w przód, jak gdyby chciał ją przytulić, lecz zamiast tego wsadził ręce do kieszeni. – A poza tym jak się miewasz?

Przyjrzała mu się uważnie, próbując się domyślić, czy pyta ją o życie prywatne czy zawodowe. Tak dawno zatarli te granice, że w gruncie rzeczy nigdy nie potrafiła się zorientować.

– W porządku. Pracuję – odparła powoli. – Cóż jeszcze mogę powiedzieć o śledztwie w sprawie podwójnego morderstwa? Rodziny ofiar, obie, wydają się szczere, ale wiesz, jak bywa z rodzinami: często skrywają mnóstwo tajemnic.

– Niczego nie da się ukryć na zawsze. Sekrety lubią wychodzić na jaw.

– Tak jak znak firmowy sprawcy. Te symbole. – Henley wzięła z biurka paczuszkę żółtych karteczek samoprzylepnych i zaczęła obracać ją w dłoniach. – Trzymaliśmy język za zębami...

a jednak ktoś się dowiedział.

– Nie przesądzajmy sprawy... Może to zwykły zbieg okoliczności.

Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Oboje wiemy, że nie. Ktoś sypnął. Trzeba tylko rozgryźć kto, a to oznacza, że muszę zobaczyć się z Olivierem.

– Przepraszam... po co? Wiesz co, nie odpowiadaj. Do kurwy nędzy. Musi istnieć inny sposób.

– Nie istnieje. Nie będę mydlić ci oczu: wolałabym go nie oglądać, ale nie sądzę, bym miała wybór. Ktoś kopiuje jego sposób działania, łącznie z wycinaniem na skórze symboli.

Pellacia odwrócił się do niej plecami i podniósł słuchawkę.

– Stephenie, co robisz?

– To, o co prosiłaś. Dzwonię do szefa wydziału widzeń.

– To pilne.

– Wiem. Jeśli nie uda mi się umówić cię jeszcze na dzisiejszy wieczór, to tak czy siak spotkasz się z nim jutro rano.

Henley biegła ile sił w nogach. Widziała go przed sobą, jak pędził przez opuszczony teren. Słyszała głos Pellacii, krzyczącego: „Stać! Policja!". Łydki przeszywał ostry ból, lecz ona jeszcze przyspieszała, nie zważając na metalowe pierścienie kajdanek obijające się jej o żebra. Na sekundę straciła go z oczu, coraz bardziej zdyszana. Spaliny wdzierały się do gardła. Nagle się zatrzymał, odwrócił i ruszył w jej stronę...

– Nie, nie, nie – wymamrotała i gwałtownie się obudziła. Jej podkoszulka była zupełnie mokra na plecach i kleiła się do bawełnianego prześcieradła. Pot spływał strużką między piersiami. Henley próbowała zrzucić z siebie kołdrę, w którą zaplątały się nogi. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, dostrzegła Roba leżącego na wznak z rozchylonymi ustami, chrapiącego i nieświadomego jej lęków. Zielone cyfry na budziku wskazywały trzecią czterdzieści osiem.

Zdjęła podkoszulkę i wstała z łóżka. Myślała, że to się już skończyło. Te nocne koszmary i ataki paniki, które męczyły ją od miesięcy. W łazience ścisnął ją strach, oczy zapiekły od łez. Zsunęła szorty i odkręciła prysznic.

– Nie... – powiedziała, czując ciepły strumień moczu na wewnętrznej stronie uda. Zaczerwieniła się ze wstydu, sięgnęła po ręcznik, namoczyła go w wodzie i wytarła podłogę. Powolna dezintegracja jej ciała sygnalizowała, że nie jest w stanie stawić czoła zadaniu. Cisnęła mokry ręcznik do kosza na pranie i weszła pod prysznic. Oparła głowę o kafelki, wdychając parę.

– Nie pozwolę na to – powiedziała, czując, jak woda spływa po plecach. – Nie złamiesz mnie.

Rozdział 16

– Boże, to miejsce jest tak samo przygnębiające jak dawniej – powiedziała Henley, wchodząc z Ramouterem przez rdzawoczerwone drzwi więzienia Belmarsh. Strefa recepcji była nijaka. Ściany pomalowano na pierwszy lepszy odcień szarości, taki sam jak na zewnątrz. Henley oparła się pokusie pomachania do jednej z czarnych kopułek skrywających kamery monitoringu umieszczone we wszystkich rogach sufitu. Strażniczka tkwiąca na posterunku za specjalną wzmocnioną szybą podniosła wzrok znad „Daily Mail". Błyskawicznie omiotła wzrokiem Henley i Ramoutera, po czym sapnęła z niezadowoleniem.

Ramouter rzucił Henley ukradkowe spojrzenie, które nie wymagało wyjaśnień. Stykając się od dzieciństwa z uprzedzeniami wobec swojego koloru skóry, rozumieli się bez słów. Wyczuwając delikatny rasizm strażniczki, Henley poczuła, jak piecze ją twarz. Zadźwięczały jej w uszach niewypowiedziane na głos słowa: „A wy co tutaj robicie?".

Gdy Henley zorientowała się, że kobieta z wyższością uśmiecha się pod nosem, ostro zapukała w szybę. Następnie rzuciła na metalową tacę legitymacje policyjne oraz złożoną kartkę A4 i czekała.

– Komisarz? – wypaliła kobieta.

Henley spodziewała się, że strażniczka doda zaraz: „Czyżby?", ponieważ nuta niedowierzania w jej głosie była aż nadto czytelna. Nie dodała. Oddaliła się w głąb kantorka, podniosła telefon i powiedziała: „Tak. Dwoje. Okej. Okej. Tak, wiem. Dzięki.

Henley westchnęła z irytacją i rozmasowała przybierający na sile skurcz karku. Kobieta oddała im legitymacje, otworzyła drzwi antywłamaniowe. Przeprowadziła kontrolę osobistą obojga. Należąca do Henley klamra do włosów wylądowała w koszu na śmieci. Czekali, aż bezimienni policjanci na stanowisku kontroli porównają ich odciski palców z tymi na dokumentach.

– To było dość męczące. – Ramouter włożył z powrotem marynarkę, rozsunęły się drzwi śluzy bezpieczeństwa. Strażnik prowadził ich obok niewielkiego ogrodu pielęgnowanego przez trzech więźniów w bordowych dresach. Rabata dalii o niemal fluorescencyjnych barwach wydawała się zupełnie nie na miejscu w tym szarym i ponurym otoczeniu. Więźniowie przerwali pracę i gapili się na Henley. Nie zwracała uwagi na dobiegające do nich zaczepne gwizdy, gdy mijali główny budynek więzienia, zmierzając w kierunku oddziału pod szczególnym nadzorem.

Po przejściu przez piętnaście par drzwi Henley i Ramouter znaleźli się w więzieniu wewnątrz więzienia.

– Proszę tu zaczekać – polecił strażnik. Henley słyszała w oddali odgłos telewizora i trzask zamykanych drzwi.

Drugi strażnik w towarzystwie niższego mężczyzny wszedł do korytarza, prowadząc na smyczy czarnego labradora.

– Dzień dobry. Nazywam się Terry Wallace, pełnię obowiązki naczelnika więzienia. Komisarz Henley, jak mniemam? – Wyciągnął rękę do Ramoutera.

– E, e... nie – wykrztusił Ramouter, robiąc krok w tył.

– Och... przepraszam. – Naczelnik zwrócił się do Henley. Sztuczny uśmiech szybko zgasł mu na twarzy, ponieważ Henley nie podała mu ręki. Poprawił poły beżowej marynarki, o wiele dla niego za obszernej, a następnie klasnął w drobne dłonie.

– Poinformowaliśmy pana Oliviera o waszej wizycie.

Zdziwiona Henley uniosła brew.

– Wyznaję zasadę, że choć tutejszych więźniów uważa się za wysoce niebezpiecznych, są ludźmi, a odczłowieczanie ich nie jest moją intencją. Nie wszyscy są mordercami.

– Nie, tylko zwykłymi gwałcicielami, szefami gangów albo przywódcami terrorystów – ironizowała Henley. Nieco się wyprostowała, starając się nie zdradzać zdenerwowania. Prawie nie spała, nie była też w stanie przełknąć śniadania. Korytarz był wąski i bez naturalnego oświetlenia. Ciepło bijące od ciał ich czworga oraz psa podnosiło temperaturę nieruchomego powietrza. Miejsce było klaustrofobiczne.

– Udostępniliśmy wam pokój przeznaczony do odwiedzin prawników. Choć pan Olivier wyraził swoje zaskoczenie, wydawał się dość przejęty waszą wizytą.

– Przejęty?

– Trudno mu się dziwić. Jedyni ludzie, których tu ogląda, to dziewięciu współosadzonych oraz strażnicy.

Naczelnik odsunął rękaw marynarki i spojrzał na zegarek.

– Jak długo potrwa... spotkanie? Dbamy o to, by jak najmniej zakłócać codzienną rutynę pana Oliviera.

– Potrwa, ile będzie trzeba.

Naczelnik pociągnął nosem, otarł ze skroni strużkę potu.

– O, jest inspektor Bajarami.

Do korytarza weszła kobieta. Była nieco niższa od Henley, kasztanowe włosy miała upięte w koczek. Wyglądała na trzydzieści pięć lat. Niczym się nie wyróżniała. Nosiła nietwarzowy i w dodatku niekorzystny dla sylwetki mundur. Była typem kobiety, która zniknęłaby w tłumie, gdyby nie fioletowawe resztki siniaka pod lewym okiem. Miała na sobie koszulę z krótkim rękawem. Wzrok Henley przesunął się po jej prawym przedramieniu z widocznymi śladami zadrapań, które dodawały koloru tatuażowi przedstawiającemu spadające gwiazdy.

– Szkoda, że nie widzieliście tamtego gościa – powiedział naczelnik z niewyraźnym śmiechem. – No cóż, muszę wracać do swoich obowiązków. Pani komisarz Henley, detektywie Ramouter... – Ukłonił się, po czym wyszedł przez przytrzymywane przez Bajarami drzwi. Zamknęła je za nim na klucz.

– Miał na myśli człowieka ze skrzydła dla tymczasowo aresztowanych. Odmówiono mu zwolnienia za kaucją, a wtedy wpadł w szał – wyjaśniła Bajarami. Otworzyła jeszcze jedne drzwi, zaczekała, aż przez nie przejdą, i starannie je za nimi zamknęła. – Żeby oddać mu sprawiedliwość, sędzia był dla niego zbyt surowy. Facet ma dopiero dwadzieścia dwa lata i nigdy dotąd nie siedział.

– I nagle dowiaduje się, że przenoszą go tutaj? – domyślił się Ramouter, gdy wchodzili po schodach.

– Właśnie – potwierdziła Bajarami. Otworzyła przed nimi drzwi pokoju, który w niczym nie przypominał innych pomieszczeń. Niewielki, widny, z dużym oknem, stołem i krzesłami. Wszystkie sprzęty przykręcono dla bezpieczeństwa do podłogi. Czerwone światełko nad kamerą mrugało w narożniku sali; wzdłuż ściany, na wyciągnięcie ręki od biurka, biegł długi czarny pas gumy. Henley zastanawiała się, ilu adwokatów, lekarzy albo policjantów musiało wcisnąć tu guzik alarmowy.

Kiedy ostatnio widziała Oliviera, stał w ławie oskarżonych sądu karnego Old Bailey. Przewodnicząca ławy przysięgłych wstała, wyraźnie się trzęsąc, gdy sędzia zapytał, czy przysięgli podjęli jednomyślną decyzję. Odparła wtedy łamiącym się głosem: „Nie". Głos załamał się jej po raz drugi, kiedy odpowiedziała twierdząco na kolejne pytanie: „Czy przysięgli podjęli decyzję większością głosów przy co najmniej dziesięciu głosach zgodnych?". I dodała ciszej, że uznają Oliviera za winnego siedmiokrotnego zabójstwa.

On stał nieruchomo podczas odczytywania wyroku, ubrany w ten sam garnitur Hugo Bossa, który wkładał każdego dnia procesu. Na twarzy nie drgał mu żaden mięsień. W tym dobrze skrojonym ubraniu i wypastowanych do połysku butach nie wyglądał na mordercę. Przypominał raczej człowieka z ogładą, gotowego udzielić porady, jak uzyskać najlepszy zwrot z inwestycji. Jedyny wyłom w jego zachowaniu nastąpił w chwili, gdy przewodnicząca ławy przysięgłych potwierdziła, że wyrok zapadł większością głosów w stosunku dziesięć do dwóch. Dwie osoby z grona ławników uważały, że jest niewinny.

Henley obserwowała Oliviera przez nietłukącą się szybę. Rozmawiał z jednym ze strażników, w tym czasie drugi wsuwał kluczyk do kajdanek krępujących mu nadgarstki. Olivier coś powiedział, niski Azjata pokręcił głową i się roześmiał. Następnie Olivier położył dłoń na ramieniu drugiego strażnika. Henley się wzdrygnęła. Kajdanki zdjęto, więzień wszedł do pokoju. Oddech uwiązł Henley w gardle.

– Dawno się nie widzieliśmy – odezwał się ochrypłym głosem. – Dobrze wyglądasz. Wybacz ten głos. Trochę niedomagam. W nocy robią się w celach przeciągi. – Wyciągnął dłoń. – Henley jej nie uścisnęła. – Widziałem cię wczoraj rano w wiadomościach. Awansowałaś na komisarza, tak?

Ciemnoniebieskie oczy Oliviera ześliznęły się na jej brzuch, jakby szukały blizn, które tam pozostawił. Uśmiechnął się szerzej, odsłaniając garnitur idealnie równych, choć poplamionych nikotyną zębów. Nadal miał w sobie dawny urok, coś się jednak zmieniło. Nie był już tym samym człowiekiem, który wkroczył do Belmarsh dwa i pół roku temu, ale i nie wyglądał na złamanego.

– Siadaj – powiedziała twardo Henley, wskazując krzesło naprzeciwko Ramoutera. Stojąca przy drzwiach z obojętną miną Bajarami wyszła z pokoju.

– Po co ta wrogość, pani komisarz. Upłynęło wystarczająco dużo czasu. Wybaczanie to droga do odkupienia, możemy więc być uprzejmi dla siebie nawzajem.

– Powiedziałam: siadaj. Nie jestem w nastroju do żartów.

– Nikt mnie tu nie odwiedza. Dostaję swoją pulę korespondencji od fanów, ale nie pozwalają im na widzenia. Od czasu do czasu widuję się z lekarzem, to jednak nie to samo, co wizyta kogoś, kto chce się z tobą zobaczyć, więc schlebia mi twoja obecność, pani komisarz. Szkoda, że przyprowadziłaś kolegę, ale na szczęście nie należę do zazdrośników.

Olivier zlustrował Ramoutera z góry na dół.

– No, no, z pewnością prezentujesz się lepiej niż tamten poprzedni, z którym zadawała się pani komisarz. W takim miejscu człowiek zapomina o manierach. Nie przedstawiliśmy się sobie. Jak się nazywasz? Wyglądasz na nowego. Na żółtodzioba.

– Ramouter. Detektyw na stażu.

– A masz też imię?

– Salim. Salim Ramouter.

– Miło mi cię poznać, Salimie Ramouter. Jesteś nowym partnerem pani komisarz?

– Tak.

Henley zaklęła pod nosem i wymownie spojrzała na Ramoutera. Ostatnią rzeczą, na jakiej jej zależało, to przekonanie Oliviera, że łączą ją z Ramouterem bliższe więzy.

– Zdaje się, że pani komisarz wolałaby, żebyś siedział cicho i patrzył – zauważył rzeczowo Olivier. Skrzyżował na piersi ramiona z widocznymi sznurami niebieskich żył. – Zawsze miała na moim punkcie obsesję. Pamiętam, jak zobaczyłem ją po raz pierwszy. Stała pod Scotland Yardem i nazwała...

– Przyszliśmy zadać kilka pytań – przerwała mu Henley, pilnując się, by nie zwracać się do niego po imieniu ani po nazwisku.

– Nazwała mnie potworem – ciągnął Olivier. – A potem była zdziwiona, gdy dźgnąłem ją nożem. Przecież tylko się broniłem.

Henley zwinęła prawą dłoń w pięść i zacisnęła ją z całych sił, aż do bólu.

– Przyszliśmy zadać kilka pytań – powtórzyła.

– Pytajcie.

– W poniedziałek rano nad brzegiem Tamizy znaleziono części ciała kobiety i mężczyzny. W Deptford oraz Greenwich.

Olivier nie zareagował. Zachowywał kamienną twarz.

– Wczoraj rano w parku Ladywell Fields natknięto się na pozostałe części ciała kobiety. Osobno ręce, nogi. Odciętą głowę porzucono w trawie.

– A więc plotki są prawdziwe – rzekł Olivier. – Ale że nie potwierdzono tego w wiadomościach? Nie było wzmianki o dwóch ofiarach.

– Ludzie nie muszą o tym wiedzieć na tym etapie.

– Próbujecie zapanować nad przepływem informacji. Rozsądne, ale w dobie mediów społecznościowych najeżone trudnościami. Co podano do wiadomości publicznej?

Henley milczała. Olivier starał się przejąć kontrolę nad rozmową. Pokazać Ramouterowi oraz jej, jak wygląda prawdziwa równowaga sił. W końcu niechętnie odpowiedziała na pytanie.

– Mężczyznę zidentyfikowano. To Daniel Kennedy.

– Daniel Kennedy – powtórzył wolno Olivier. – Powiedziałaś to w taki sposób, jakbym powinien go znać. Miał przyjemność odsiadywać wyrok w więzieniu Jej Wysokości?

– Krótko – odparł Ramouter. – Mniej więcej dwa lata temu. Spędził w Belmarsh pół roku, zanim przeniesiono go do High Down.

– Salimie, odsiaduję bardzo długi wyrok w oddziale o zaostrzonym rygorze. Jestem więźniem kategorii A. Nie mam okazji mieszać się z pospólstwem. Uchodzę za potwora.

„Jesteś potworem", pomyślała Henley. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej się denerwowała. Uświadomiła sobie, jak bacznie śledzi każdy jego ruch, jaką ma wyostrzoną czujność wynikającą ze świadomości, że Olivier w każdej chwili może próbować ją zabić.

– To nazwisko nic ci nie mówi? – zapytała.

Nie odpowiedział, tylko wstał, podszedł do drzwi, zapukał w okno. W drzwiach pojawił się strażnik.

– Przyniósłbyś mi szklankę wody? Zaschło mi w gardle. Strasznie tu gorąco.

Strażnik skinął głową. Ramouter bezgłośnie powiedział do Henley:

– A co z Zoe?

– Nie teraz – odparła w ten sam sposób. Olivier siedział, co prawda, za kratkami, ale wyraźnie podporządkował sobie wszystkich. Chyba nikt nie dostrzegał w nim zagrożenia. Z wyjątkiem Henley.

Olivier wrócił na miejsce i wpatrywał się w Henley odrobinę za długo.

– Nie znam żadnego Daniela Kennedy'ego – rzekł w końcu. – Coś jeszcze?

– Jedna z ofiar miała wycięty na skórze krzyż i półksiężyc.

Celowo nie zdradziła, którą ofiarę naznaczono tymi symbolami. Szukała na jego twarzy jakiejś reakcji. Nie znalazła. Strażnik więzienny wrócił z kubkiem wody.

– Mam szczerą nadzieję, że nie uważasz, że mam z tym coś wspólnego.

– Takie same znaki wykroiłeś w skórze swoich ofiar. Wszystkich siedmiu.

Olivier skierował wzrok na Ramoutera, podniósł kubek do ust i zaczął pić.

– Niewiele osób wie o tych symbolach – ciągnęła Henley. – To twój...

Nie odrywając kubka od warg, uniósł palec wskazujący, zmuszając Henley do zamilknięcia.

– To twój znak firmowy. Twoja sygnatura. – Z frustracji podniosła głos. W betonowych ścianach małego pokoju każde słowo zabrzmiało donośnie.

Olivier odstawił opróżniony kubek. Kąciki ust mu drgały.

– Ofiary są ci obojętne, jednak styl zabijania jest absolutnie twój. Wszystko wskazuje...

– Czyżby zbieg okoliczności? – zapytał Olivier z niemal autentyczną ciekawością.

– Mało prawdopodobne. Muszę wiedzieć, czy opowiadałeś komuś, co robiłeś swoim ofiarom.

Milczał.

– Na przykład współwięźniom, strażnikom, odwiedzającym? – dodał Ramouter.

Olivier parsknął śmiechem. Głębokim, gardłowym.

– Odwiedzającym? Pytasz serio? Nie dopuszczają do mnie nikogo poza zespołem prawników.

– Zespołem prawników? – podjęła ostrożnie Henley.

– Oczywiście. Wciąż go mam. Omawiamy zalety apelacji. Ksywka Zabójca z Piłą nie jest zbyt pochlebna, pani komisarz.

– Zamordowałeś siedem osób i uważasz, że są podstawy do odwołania? – zapytał z niedowierzaniem Ramouter.

Olivier ponownie się roześmiał. Puścił do Henley oko.

– Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dlaczego zabójca pozostawił na ciele ofiar twoje znaki firmowe? – Henley nie ustępowała, próbując ponownie skierować rozmowę na właściwe tory.

Nie uzyskała odpowiedzi.

– Czy ktoś stara się przekazać ci jakąś wiadomość?

Skrzyżował ramiona i odchylił się na krześle.

– Zwrócić twoją uwagę? – kontynuowała.

Trzask. Olivier obrócił głowę.

– Jeśli z kimś współpracujesz, jeśli masz cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami, uprzedzam, że...

– Musi cię to wykańczać – wycedził.

Poczuła, jak pod wpływem nieruchomego spojrzenia Oliviera napinają się jej mięśnie karku.

– No i proszę. Siedzisz tu ze mną. Prosisz mnie o pomoc.

– Nie schlebiaj sobie – odparła. – To nie jest prośba.

– A co? Przyszłaś wyciągnąć ze mnie, co wiem. Szamoczesz się.

Henley oparła się na krześle.

– Szamoczę się? Niedoczekanie. Wiesz, co sobie myślę? Że to ty się spalasz. Tkwisz tu bez szans na zwolnienie warunkowe. Wywiozą cię stąd w drewnianej skrzynce, skremują i wsypią prochy do najbliższego śmietnika.

– Ostrożnie, pani komisarz.

– Gnijesz w celi, a tymczasem ktoś się panoszy, sieka zwłoki, posługuje się twoim znakiem firmowym, a ty jesteś zupełnie bezsilny.

– Ostrożnie – powtórzył Olivier, groźnie zniżając głos.

– Nie ty sprawujesz kontrolę – podsumowała dobitnie.

Olivier się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Ramouter starał się stłumić kasłanie w tej głuchej ciszy. Henley zostawiła zegarek w samochodowym schowku. Zegara ściennego nie było. Minuty ciągnęły się jak godziny.

– Skończyliśmy – zwróciła się do Ramoutera.

Miała się na baczności, gdy Ramouter wstał i szybkim krokiem ruszył do drzwi. Słyszała szelest ubrań Oliviera, gdy się odwracał, by odprowadzić ją wzrokiem. Nie obejrzała się za siebie. Nie mogła dać Olivierowi tej satysfakcji. Nie mógł zobaczyć jej sfrustrowanej miny ani wewnętrznej walki o zachowanie zimnej krwi.

Rozdział 17

Doktor Mark Ryan był psychologiem kryminalnym i tak też wyglądał. Pewny siebie, budził zaufanie. Jego gabinet w dawnej fabryce ciasteczek w Bermondsey był przytulny, przyjazny, wygodny i bezpieczny. Nic nie wskazywało, że to miejsce przesiąknięte historiami traum, zdrad, ograniczających przekonań, lęków, a czasem ogłuszającą ciszą, a mimo to Henley nie potrafiła się tu rozluźnić.

– Masz taką minę, Anjelico, jakbyś była na mnie wkurzona – powiedział Mark, siadając w skórzanym fotelu.

– Doskonale wiesz, że tak jest. – Wzięła do ręki filiżankę herbaty, którą Mark postawił przed nią na stoliku.

– Nie rozumiem dlaczego. Powtarzałem ci przez ostatnie trzy miesiące, że nie jesteś gotowa do powrotu. Nie słuchałaś. Jestem absolutnie pewien, że twój terapeuta powiedziałby ci to samo.

– Przestałam do niego chodzić.

– Jak to: przestałaś? Kiedy?

– Siedem tygodni temu.

– Na litość boską, dlaczego?

– Wiesz dlaczego. Doktor Afzal jest zbyt krytyczny.

– To twoja projekcja.

– Nieważne. Wolałabym ciebie.

– Przecież już ci mówiłem, że w terapii obowiązuje podstawowa zasada: pacjent i terapeuta muszą przestrzegać stosownych granic. A nasze wspólne urżnięcie się w Market Tavern zdecydowanie je przekroczyło.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtej minirundki po pubach, którą sobie urządzili, gdy sąd skazał Abigail Burnley za piętnastokrotne zabójstwo.

– Dlatego pytam jak kumpel, nie jak terapeuta, ponieważ byłoby to nieetyczne: jak odnalazłaś się po powrocie?

Umościła się wygodnie na sofie i szukała właściwych słów. Nie mogła powiedzieć mu o ataku paniki wczoraj w nocy. Zdążyła już to wspomnienie od siebie odepchnąć.

– Dobrze. Czuję się komfortowo. To źle, prawda? – Patrzyła przez okno za plecami Marka. Z czwartego piętra roztaczał się widok na miasto.

– Nie powinno tak być. Gdybym był twoim terapeutą, a nie jestem, powiedziałbym, że nie mnie oceniać, czy twoje poczucie komfortu jest dobre czy złe. Skoro tak czujesz, to tak czujesz.

– Bezpiecznie.

– Co? – Mark uniósł głowę.

– Powrót tam, znalezienie się znów w terenie daje mi poczucie bezpieczeństwa. Dziwne, bo o ulicy można powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że jest bezpieczna. Ale zamknięcie w biurze... – zawahała się, jednak rzut oka na wyraz twarzy Marka, na której nie było nawet

śladu krytycyzmu, dodał jej otuchy, zatem kontynuowała: – Czułam się tak, jakbym została ukarana za coś, co nie stało się z mojej winy. Ukarał mnie za błąd, który sam popełnił.

– Masz na myśli Pellacię?

– Nie. – Odstawiła filiżankę. Mark zapomniał dodać cukru. – Nie. Mam na myśli „jego". Rhimesa.

– Rzadko o nim mówisz, co jest dziwne, zważywszy na to, jak byliście ze sobą zżyci.

– Bo nie ma o czym. On nie żyje. Trzeba się z tym pogodzić.

Mark otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie.

– Wybrał najłatwiejsze rozwiązanie. Zostawił nas wszystkich w kompletnej rozsypce. Spodziewałam się po nim czegoś więcej.

Henley nie do końca wiedziała, dlaczego o tym mówi. Nie cierpiała terapii, od kiedy wysłano ją na cotygodniowe sesje z doktorem Afzalem. Przez pierwsze sześć miesięcy, kiedy już mogła wychodzić z domu, siedziała sztywno, prawie się nie odzywając. Nie lubiła być zmuszana do robienia czegokolwiek, a szczególnie gdy zmuszano ją do mówienia o krzywdzie, którą jej wyrządzono.

– Wciąż jesteś na niego zła? Na Rhimesa? To wcale nie takie rzadkie uczucie w sytuacji, gdy ktoś bliski popełnia samobójstwo.

– Nie jestem zła. Po co tracić energię i czas. – Zastanawiała się, czy Mark wie, że ona kłamie. Bo była zła na Rhimesa. Każde wspomnienie niosło ze sobą nagły ból. Serce pękało za każdym razem, gdy myślała o tym, co zrobił.

– Powiedziałaś Robowi, że wróciłaś na ulicę?

– Na ulicę? – Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Zabrzmiało to tak, jakbym była prostytutką.

– Przepraszam. Miałem dzisiaj długi dzień, ale wiesz, o co mi chodzi.

– Tak, powiedziałam mu wczoraj wieczorem. Nie skakał z radości i nie życzył mi wszystkiego najlepszego. – Na wspomnienie reakcji Roba napięły jej się mięśnie karku. Zarzucił jej, że go okłamuje, że na pierwszym miejscu stawia karierę, a nie małżeństwo. Nadal prawie się do niej nie odzywał.

– Trudno go za to winić.

– Wiem, ale słuchaj, nie przyszłam tu rozmawiać o sobie. Chodzi o tę sprawę. – Zrelacjonowała mu dotychczasowy przebieg śledztwa.

– Nie słyszałem nic o tym w mediach.

– Nie wydajemy na razie oświadczeń dla prasy. Z Tamizy codziennie wyławia się jakieś zwłoki. Żadna sensacja, ale dwa rozczłonkowane ciała znalezione dzień po dniu... to już nie bagatela, a chcielibyśmy za wszelką cenę uniknąć spekulacji.

– Trafiliście na jakiś trop? Macie podejrzanych?

– Na razie mamy kilka teorii, które badamy: zemsta, były chłopak albo była dziewczyna...

– Ćwiartowanie jest przejawem skrajnej nienawiści do ofiary i demonstracją siły. Kobiety zwykle tego nie robią. Rozczłonkowanie ciała to psychologiczna forma gratyfikacji oraz zamknięcia pewnego etapu, która wymaga determinacji. Kobiety, Anjelico, tylko się nie obrażaj, są bardziej... emocjonalne.

– Nie obraziłam się. A motyw zemsty?

– Gdyby to była zemsta, zabójca by się nie rozdrabniał. Zabiłby albo nową dziewczynę, albo chłopaka, ale żeby dokonać podwójnego zabójstwa, a potem poćwiartować zwłoki... Moim zdaniem – nie.

– A co z teorią naśladowcy? – Henley pokazała na ekranie telefonu zdjęcia symboli wyciętych na skórze Zoe.

– Poczekaj chwilę. – Mark zdjął okulary i przetarł szkła końcem krawata. – Czy to półksiężyc i krzyż?

Henley skinęła głową.

– Ostatni raz widziałem coś takiego, kiedy Peter Olivier był na wolności. Czy wycięto je na obu ciałach?

– Tylko na skórze Zoe. A to oznaczało, że musiałam zobaczyć się dziś rano z Olivierem.

– Przepraszam. Że co?!

– Słyszałeś.

– I nawet do mnie nie zadzwoniłaś? Mógłbym to z tobą przegadać. Przygotować cię.

– Przypominam, że nie jesteś moim terapeutą.

– Mimo wszystko... Jak było? Jak on się zachowywał?

– Frustrująco. Nie był skory do pomocy. Wolałabym o tym nie rozmawiać – zbyła Marka. – Chciałabym cię o coś prosić. Byłbyś w stanie przygotować dla mnie profil?

– Oczywiście, że tak, ale będę potrzebował raportu ze śledztwa... To znaczy wszelkich informacji, jakich jesteś gotowa mi udzielić, oraz wszystkiego, co ci wiadomo o ofiarach.

– Już przyniosłam. – Podała mu pamięć USB.

– Świetnie. Daj mi parę dni, to coś sklecę.

Gdy Henley wstawała z kanapy, dostała ataku mdłości. Przytrzymała się oparcia fotela.

– Ej, dobrze się czujesz?

– Zbyt gwałtownie wstałam. Nic mi nie jest.

– Nieprawda. Spotkanie z Olivierem musiało wyzwolić jakąś reakcję. Anjelico, w którymś momencie będziesz musiała porozmawiać o tym, co stało się w przeszłości, i to nie z punktu widzenia detektywa, tylko ofiary – osoby, która ocalała po potwornym przeżyciu.

– Nie mów o mnie w ten sposób. Że ocalałam. To brzmi, jakbym była... słaba.

– Jak wyjście cało z opresji może być oznaką słabości?

– Nie lubię etykietek.

– Zespół stresu pourazowego nie mija ot tak. Znam cię, Anjelico. Jesteś bardzo dobra w kompartmentalizacji.

– Dlatego doskonale sprawdzam się w swojej pracy.

– Praca to jedno, ale szufladkowanie prawdziwego życia to zupełnie co innego.

– Za to działa.

– Nadejdzie moment, kiedy przegródki się przepełnią. Wiele przeszłaś. Nadal to w sobie przerabiasz. Od śmierci twojej mamy minęło zaledwie siedem miesięcy. Nawet nie jestem pewien, czy właściwie przeżyłaś okres żałoby.

– Za późno na żałobę, a ty nie jesteś moim terapeutą. – Próbowała się uśmiechnąć. Na próżno. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po ósmej. Przegapiła już czas kładzenia Emmy

do łóżka i Rob najprawdopodobniej przywita ją w domu grobową ciszą. Trudno mieć mu to za złe.

Mark podszedł do biurka, odsunął szufladę.

– Skoro nie zamierzasz rozmawiać z doktorem Afzalem, przynajmniej pozwól mi kogoś ci polecić.

Henley wzięła od Marka wizytówkę.

– Doktor Isabelle Collins?

– Jest bardzo dobra. Zadzwoń do niej, jeśli zmienisz zdanie w sprawie terapii.

– Niczego nie obiecuję. – W kieszeni Henley zaczęła wibrować komórka. Przeczytała wiadomość od Ezry: „Możesz wrócić do SCU? B. ważne info dot. Ladywell".

Korciło ją, żeby odpisać „nie". Powinna być teraz w domu z własną córeczką, utulić ją do snu, pocałować w czoło na dobranoc. Być matką.

– Mark, coś się wydarzyło. Muszę wracać do komisariatu – rzekła z niechęcią. – Dziękuję ci za wszystko.

– Nie ma za co. Tylko pamiętaj, jeśli to naśladowca, który działa wedle modelu Oliviera, ciał będzie więcej i to prawdopodobnie szybciej, niż się spodziewasz.

Rozdział 18

– Drobny kanciarz.

Takich słów użył Rhimes, gdy Pellacia zdradził mu swój błyskotliwy pomysł zatrudnienia Ezry Williamsa w SCU dwa tygodnie po wypuszczeniu Ezry z więzienia Coldingley.

Odrywając plastikową folię z pojemniczka ze słodkim sosem curry, Ezra skwitował: „Trafiła kosa na kamień".

Rhimes mruknął coś niezrozumiale pod nosem, zatapiając zęby w hamburgerze, a Ezra powiedział: „To pogwałcenie moich praw człowieka, brachu".

Ezra niechętnie zjawił się w SCU z laptopem w torbie, elektroniczną bransoletką na kostce oraz – ku niewypowiedzianemu zachwytowi Rhimesa – z dwoma McMuffinami z jajkiem i boczkiem. Nim zażądał przeniesienia do pokoju, w którym nie będzie musiał przez cały dzień oglądać zdjęć zwłok, spędził dwa dni ze swoim laptopem w centrum operacyjnym policji.

Ramouter wszedł do pokoju Ezry.

– Poczekaj chwilkę – rzekł Ezra, zapamiętale stukając w klawiaturę. – Dobra, skończone. – Odwrócił się z fasonem na dużym obrotowym fotelu ze skóry, który doskonale pasowałby do programu *Mastermind*. – A więc telefon?

– Tak, telefon Kennedy'ego i jego bransoletka. Henley powiedziała, że się z tym uporałeś.

– Nigdy się nie zorientują, że w ogóle przy tym majstrowałem – odpowiedział z dumą Ezra. Wstał, przeciągnął się i podszedł do szafki z segregatorami w rogu pokoju. Wysunął szufladę i wyjął z niej dwie zaplombowane torebki na dowody.

– No i jak, znalazłeś coś? – zapytał Ramouter, odbierając od Ezry woreczki.

Ezra skrzyżował ramiona na piersi i przechylił głowę.

– Pytasz mnie serio?

– Nie wiem, co potrafisz, więc muszę pytać.

– Nie musisz. Wiem, że mnie guglowałeś. Pewnie próbowałeś wejść do systemu i wygrzebać moją kartotekę. Prawdopodobnie chciałeś za jednym zamachem wyciągnąć z archiwum także kartotekę Oliviera.

– Skąd wiesz...

– Traktuj mnie jak stróża SCU.

– Więc jak mogę zyskać dostęp do tych akt?

– Chłopie, musisz się nauczyć cierpliwości. Próbowałeś medytować?

– Co?

– Odrobina uważności ci pomoże, bo inaczej przepalisz sobie obwody. Już załatwiłem ci dostęp do akt. Na bezpiecznym serwerze. Nie przepadam za chmurami.

– Masz tu te dokumenty?

Ezra skinął głową.

– W piwnicy. No ale... telefon komórkowy Kennedy'ego. Nówka. Ma dopiero trzy miesiące. Karta SIM też nowa. Telefon na kartę. Zapisanych tylko kilka numerów: brata, kuratora i ko-

goś o ksywie Rinse. Brzmi jak diler, jakby kto pytał mnie o zdanie.

– SMS-y? WhatsApp? Messenger?

– Nic. Wyczyszczone do zera. Skrzynka pusta. Czaty na WhatsAppie usunięte, ale to nie szkodzi. Ludzie są idiotami. Myślą, że wystarczy coś skasować i hulaj dusza.

– A więc coś znalazłeś?

Ezra podszedł do małej lodówki i wyjął butelkę intensywnie zielonego soku.

– Konto na WhatsAppie nie było powiązane z tym telefonem, a ściślej – z SIM-em, który właśnie trzymasz w ręku.

– A z czym?

– Brachu, z innym SIM-em, numerem telefonu i zestawem słuchawkowym.

Ramouter z trudem kojarzył fakty. Był zmęczony. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Chcesz trochę zielonego soku? – Ezra pokazał butelkę. – Szpinak, jarmuż, jabłko, trochę limonki i imbiru. Od razu daje kopa.

– Nie, dzięki. A więc jest inny telefon?

– Okej. Nie obraź się, ale będę z tobą gadał jak z własnym dziadkiem, który przez osiemdziesiąt procent czasu spędzonego ze mną na Skypie pokazuje mi swój cholerny sufit.

Ramouter się roześmiał.

– Kiedy rejestrujesz się na WhatsAppie, musisz wprowadzić numer telefonu. Potem wysyłają ci kod potwierdzający. Wprowadzasz go i gitara. Kumasz?

– No. Kumam.

– No więc wyobraź sobie, że potrzebny ci nowy telefon. Dostajesz nowy telefon i nową kartę SIM, ale z jakiegoś pokrętnego powodu chcesz, żeby ludzie nadal kontaktowali się z tobą na WhatsAppie, a jednocześnie nie chcesz, żeby znali twój nowy numer.

Ramouter kiwnął głową. Jak na razie wszystko było jasne.

– Pobierasz więc WhatsAppa i pytają cię, czy chcesz używać istniejącego konta. Kojarzysz?

– Tak. Masz dane tego starego numeru?

– No pewnie. Odzyskałem numer i zrobiłem, co trzeba.

– Czyli co?

– Tego nie musisz dokładnie wiedzieć. Mogę ci tylko zdradzić, że wiem, w jakiej jest sieci, że telefon miał zasilone konto i był aktywny do wtorku rano.

– Do wtorku? Ciało Kennedy'ego znaleziono w poniedziałek rano.

– Robi się coraz ciekawiej. Są dwie możliwości. Ktoś zwinął telefon i go używał, póki nie wyczerpał limitu. Albo ma go nadal.

– Cholera. A co z bransoletką?

– Z bransoletką jest jeszcze ciekawiej. Założyli mu taką elegancką, z GPS-em. Nie ten badziew, który sam nosiłem. Dla niego źle. Dla nas dobrze. Śledzi każdy jego krok, a facet bez przerwy gdzieś hulał. Kancelarie adwokackie w okolicach London Bridge, Camden, Upton Park. À propos Upton, nie poszedłbym na mecz West Ham nawet, gdyby mi dopłacali. – Ezra przerwał i zmrużył oczy. – I jeszcze sąd koronny Blackfriars, szpital w Lewisham i lokalna biblioteka. Zajęty człowiek, kiedy jednak wybijała godzina policyjna, siedział na tyłku. Ale to wcale nie znaczy, że był takim grzecznym chłopcem przed założeniem bransoletki.

– Kiedy mu ją założyli?

– Aktywowano ją dwudziestego dziewiątego sierpnia.

– Zwolnili go za kaucją dwudziestego szóstego. Kiedy urwał się sygnał?

– Szóstego września o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści siedem. Ale nie przebywał wtedy w ośrodku.

Wzrok Ezry błyskawicznie przeniósł się z Ramoutera na Henley, która stanęła w drzwiach z kubkiem kawy podpisanym jej imieniem – z błędem.

– Cześć, szefowo! Przepraszam, że cię tu ściągnąłem.

– Hej. Nie szkodzi. Co to znaczy, że nie było go wtedy w ośrodku?

– Jak mówiłem – ciągnął Ezra. Jedna z leżących na biurku komórek zaczęła dzwonić. – Gdy bransoletka przestała wysyłać sygnał, Kennedy nie siedział w swoim pokoju. Był w parku Ladywell Fields.

Rozdział 19

Henley nie mogła oderwać wzroku od fotografii Daniela Kennedy'ego i Zoe Darego. Kochankowie przeklęci. Narastała w niej determinacja, żeby złapać zabójcę, ale główną siłą napędową była więź, jaką czuła z Zoe. Jej historia została gwałtownie przerwana, tak jak życie Melissy. Była córką, przyjaciółką. Siostrą. Lakier na paznokciach, szminka na ustach, czarne i fioletowe warkoczyki, które wyglądały na świeżo zaplecione, świadczyły o tym, że dbała o wygląd. Ale same paznokcie, połamane i wyszczerbione, opowiadały inną historię. Zdradzały, że próbowała skądś uciec. Drapała, żeby się wydostać, wyrwać. Ale skąd?

– Co wiemy? – zapytała Ramoutera.

Siedzieli dwa pokoje dalej niż pomieszczenie, które Ezra nazywał swoim laboratorium. W środku było cicho i chłodno, ale Ramouter jakby zaczynał się denerwować. Henley wiedziała, że chce zapytać ją o to, co powiedział mu Olivier. Podciągnęła bluzkę, odsłaniając skórę powyżej pępka.

– Olivier ugodził mnie nożem, gdy próbowałam go aresztować. – Wskazała blizny na brzuchu. – Spędziłam tydzień w szpitalu, a jego oskarżono o usiłowanie zabójstwa. Jakieś pytania?

– Nie. Żadnych.

Zapadło niezręczne milczenie. Henley włożyła bluzkę do spodni.

– Co wiemy? – powtórzyła pytanie. Ramouter zajrzał do notatek.

– Daniel Kennedy i Zoe Darego byli w związku przez około dwa lata, ale ze sobą nie mieszkali. Zoe pracowała w szpitalu w Lewisham.

– Jego bransoletka przestała działać właśnie na terenie parku. Tego samego, w którym znaleziono zwłoki Zoe – wtrąciła Henley.

– Zniknięcie Kennedy'ego i znalezienie jego ciała dzielą cztery dni, natomiast pozostałe fragmenty ciała Zoe znaleziono po pięciu dniach. Doktor Choi twierdzi, że ramię dziewczyny odcięto najpierw, a resztę poćwiartowano dzień lub dwa dni później. Co więc zrobił zabójca? Przetrzymywał dziewczynę przez kilka dni i patrzył, jak cierpi, zanim dokończył dzieła? To chore.

Ramouter rozparł się na krześle.

– Wiemy, że Kennedy przestrzegał warunków zwolnienia – rzekła Henley. – Ma swoją rutynę i nagle coś, niekoniecznie ktoś, zmusza go do zerwania bransoletki. Co skłoniłoby cię do zrobienia czegoś, czego wcale nie chcesz?

– Moja szwagierka.

Henley niemal się uśmiechnęła, było to silniejsze od niej.

– Lekcja numer jeden: nie spiesz się z odpowiedzią. Zawsze uważnie wysłuchaj pytania. Brzmiało „co", nie „kto". Co skłoniłoby cię do zrobienia czegoś, czego nie chcesz zrobić.

– Groźba. Gdyby ktoś mi groził... albo bliskiej mi osobie. Ale nurtuje mnie coś jeszcze. Bransoletka Kennedy'ego. Po co traciłby czas na jej zerwanie i zniszczenie, jeśli był przekonany, że Zoe grozi niebezpieczeństwo? Na jego miejscu bym się nie przejmował. Zaryzykowałbym,

a później próbował wyjaśnić wszystko sędziemu, gdyby aresztowano mnie za złamanie warunków zwolnienia i zdjęcie bransoletki. Przestała być aktywna w Ladywell Fields, a znaleźliśmy ją pękniętą pod jego łóżkiem. Skąd się tam wzięła?

– Dobrze kombinujesz, tylko wciąż nie mamy odpowiedzi na pytania, kto, gdzie i dlaczego. Kto ich zamordował, gdzie i dlaczego?

– Związek Zoe i Kennedy'ego to za mało, prawda?

– Za mało. – Henley zamknęła notes. – A więc co dalej? Jakie mamy jeszcze dowody?

– Monitoring z okolicy znalezienia ciała Zoe, obraz zarejestrowany przez kamery zainstalowane przez radę Greenwich, ale nie mamy nagrań znad rzeki.

– Czego jeszcze nie mamy?

– Naocznych świadków i kompletnych zwłok Daniela Kennedy'ego. Brakuje jego prawej ręki – odparł Ramouter z grymasem na twarzy.

Henley zerknęła na zegarek.

– Już późno. Powinieneś iść do domu. Będę tu z samego rana. Ezra mówił, że próbowałeś zyskać dostęp do oryginalnych akt sprawy.

– Nie węszyłem, nic podobnego – wyjaśnił pospiesznie Ramouter. – Po prostu uznałem, że nie zaszkodzi się z nimi zapoznać.

– I sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy? – Henley położyła rękę na piersi, jakby poczuła się urażona.

– Co? Nie, oczywiście, że nie... ja tylko...

– Spokojnie, żartowałam. Jesteś naszą świeżą parą oczu. Może coś zwróci twoją uwagę.

Patrząc, jak Ramouter się pakuje, Henley nie mogła się uwolnić od jednej myśli, która ją nurtowała. A jeśli Ramouter odkryje, że to ona coś przegapiła?

Ramouter siedział na podłodze pokoju dziennego w spodenkach i spranej koszulce piłkarskiej drużyny West Bromwich Albion z numerem osiem. Pootwierał wszystkie okna, ale wentylator kupiony za wyśrubowaną cenę jedynie mieszał gorące powietrze. Wziął z talerza ostatnią sajgonkę, zanurzył ją w ostrym tajskim sosie chili. Wstydził się swojej aktualnej diety. Zawartość lodówki ograniczała się do dwóch kartonów mleka, połowy bochenka chleba, jajek i kiełbasek, w które zaopatrzył się w niedzielny wieczór.

Wydrukował z pendrive'a akta sprawy. Rozłożył wachlarzem kartki na podłodze, przycisnął pilotem do telewizora, telefonem i dwunastokilogramowym ciężarkiem. Wziął do ręki zdjęcie sygnalityczne Oliviera zrobione przy aresztowaniu. Mężczyzna uśmiechał się do obiektywu, miał ostre rysy twarzy, ale nie pozbawione pewnej surowej przystojności, magnetyzmu. Podczas więziennego spotkania Ramouter także odczuł tę tajemną siłę przyciągania. Na zdjęciu miał rozciętą wargę i zaschniętą krew na nosie. Lewe oko opuchnięte i nabiegłe krwią. Wedle raportu Olivier został pojmany przez Pellacię, kiedy ugodził Henley nożem i stawiał opór. Wziąwszy pod uwagę jego stan, Pellacia najwyraźniej nie poprzestał na potraktowaniu go paralizatorem.

W ciągu ośmiu tygodni Olivier zamordował siedem osób i rozrzucił ich ciała w różnych miejscach na obszarze południowo-wschodniego Londynu. Ramouter podniósł z podłogi inne zdjęcie, rozmazując sos na brzegu kartki. Ostatnia ofiara. Niezidentyfikowana. Do dziś nie odnaleziono głowy. Laptop Ramoutera zasygnalizował brzdęknięciem nadejście nowego maila.

Z działu widzeń więzienia Belmarsh. Choć Olivier nie miał rodziny ani przyjaciół, w ostatnich trzech miesiącach o odwiedzenie go zabiegały czterdzieści trzy osoby. Zgodził się na spotkanie tylko z jedną.

– Kim, do cholery, jest Chance Blaine? – zwrócił się Ramouter do czterech ścian pustego pokoju.

Rozdział 20

Nie minęła nawet godzina, od kiedy Henley i Ramouter zjawili się w czwartkowy poranek w SCU, a Joanna odebrała telefon od inspektora z komisariatu w Deptford. Na cmentarzu przy kościele Świętego Mikołaja znaleziono ciało. W kawałkach. Sam kościół był częściowo przesłonięty murem, który oddzielał go od zabudowy komunalnej oraz prywatnego, zamkniętego osiedla za bramą.

– Niezbyt zachęcające miejsce, prawda? Jak na kościół to wręcz ponure – powiedział Ramouter, przystając przed otwartą bramą. Słupki po obu stronach były zwieńczone czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami. Puste czarne oczodoły świdrowały ich, jakby rzucały im wyzwanie. W wyobraźni Henley czaszki zastąpiła głowa Zoe. Przeszły ją ciarki.

– Kiedy byliśmy mali, mówiono nam, że to kościół piratów. – Niemal uśmiechnęła się na to wspomnienie. – I że czaszki wraz ze skrzyżowanymi piszczelami na furcie były inspiracją dla pirackiej bandery.

– Serio? – Ramouter podniósł wzrok, po czym ruszył za Henley betonową ścieżką w stronę kościoła.

– Tak. W rzeczywistości miały przypominać parafianom o tym, że są śmiertelni, oraz o życiu pozagrobowym.

– Dorastałaś w tej okolicy? Pamiętam, jak ten starszy gość z ekipy kryminalnej, Anthony, mówił, że dobrze znasz rzekę.

– Tak – potwierdziła Henley. – Po drugiej stronie parku.

– Dziewczyna z dzielni zrobiła karierę.

– Opinie są podzielone. No dobra, chodźmy... – Przerwał jej dzwonek komórki Ramoutera. Powstrzymała się od komentarza, ponieważ stażysta spojrzał na nią przepraszająco, następnie odwrócił się plecami, by odebrać telefon, i się oddalił. Po kilku minutach wyłonił się ze skruszoną miną zza białego forda transita, mijając policjanta, który rozwijał niebiesko-białą taśmę. – Skończyłeś? – zapytała z sarkazmem.

– Przepraszam. To... Zresztą, mniejsza z tym. Przepraszam.

Z początku chciała zapytać go o tę rozmowę telefoniczną, ale zmieniła zdanie. Zażyłość z Ramouterem to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje.

– Chodź – ponagliła, sprawdzając, czy ma w kieszeni rękawiczki. Zeszła ze ścieżki na nieskoszoną trawę, wędrując między nagrobkami, na których czas zatarł nazwiska zmarłych. Aktywność policji skupiała się przy średniowiecznej wieży za kościołem. Anthony i zespół techników kryminalistyki już działali, a młody mężczyzna z koloratką na szyi, w koszuli z podwiniętymi rękawami rozmawiał z dwojgiem umundurowanych policjantów.

– Na cmentarz prowadzą trzy wejścia. – Henley przywołała gestem ręki policjantkę, która stała obok drobnej kobiety ściskającej w ręku smycz. Jej bulterier staffordshire leżał spokojnie na ziemi. – Będziemy musieli porozmawiać z pastorem. Ta kobieta obok... jest, jak rozumiem, świadkiem? To Janine Mullins? – zwróciła się do policjantki, która spojrzała na służbowy identyfikator Henley.

– Tak. Mam tu jej zeznanie. – Policjantka sięgnęła do tylnej kieszeni, wyjęła z niej notes i podała go Henley. – Proszę wybaczyć pismo.

– Nie ma sprawy. – Henley przekartkowała notes, nim podała go Ramouterowi.

Oddał go z grymasem na twarzy.

– Widziała, jak lisy zjadają rękę.

Zwierzęta wywlokły ramię i porzuciły je kilkadziesiąt centymetrów od tablicy pamiątkowej poświęconej Christopherowi Marlowe'owi. Reszta ciała leżała bezładnie na dole schodów prowadzących do wieży.

– Jezu Chryste – wymamrotała Henley, schodząc po stopniach. Zatrzymała się trzy schodki przed wejściem i ją zamurowało. Pośród potłuczonych butelek po piwie, wyblakłych opakowań po chipsach i zatłuszczonych pudełkach po kurczaku leżał porąbany na kawałki mężczyzna w stanie rozkładu.

– Jak myślisz, od jak dawna tu jest? – Ramouter zajrzał do cienistego, otwartego „grobu".

Po karku, w miejscu odcięcia głowy, pełzały tłuste białe czerwie. Kończyny były owinięte przezroczystą folią, rozerwaną miejscami przez lisy. Biała niegdyś skóra tułowia przybrała odcień nakrapianej zieleni i była napięta jak za długo gotowana parówka. Henley się wycofała.

– Jeśli lisy znalazły go dopiero teraz, ktoś musiał podrzucić ciało dzisiaj w nocy, ale od jak dawna nie żyje, nie mam pojęcia. Gdzie jest pastor?

– Wrócił do kościoła. Nie rozumiem tylko, dlaczego akurat tutaj? – zdziwił się Ramouter.

– Nie wiem – przyznała Henley. – Ale ten ktoś znał okolicę. To nie przypadek, że Kennedy'ego i Zoe znaleziono nieco dalej i...

– Myślisz, że to jego kolejna ofiara?

Kiwnęła głową. Nie musiała widzieć wyciętych na skórze znaków, żeby wiedzieć, że to trzecia ofiara naśladowcy Oliviera i że poszukują seryjnego mordercy.

– To nie jest chyba normalne? Trzy ciała w cztery dni.

– Nie jest. – Przerwał im ostry dzwonek telefonu Henley. „Numer nieznany", wyświetliła się informacja na ekranie.

– Halo? Tak. Tu komisarz Henley... Rozumiem. Gdzie je znaleźliście?... Jak dawno temu? W wodzie czy na brzegu?... Okej... Powiadomcie mnie jak najszybciej. Dziękuję.

– Kto dzwonił? – zainteresował się Ramouter.

– Sierżant McGrath z policji rzecznej. Znaleźli w wodzie rękę, w pobliżu przystani promowej Woolwich.

– Może to ręka Kennedy'ego.

– Możliwe, ale ta rzeka zwykle wypluwa wszystko, co do niej trafi. Równie dobrze może należeć do kogoś innego. Czekają na kryminalnych, a później przewiozą ją do kostnicy w Greenwich. Chodźmy porozmawiać z Janine Mullins.

Rozdział 21

Filiżanka herbaty trzymana w dłoniach przez Janine Mullins dzwoniła o spodeczek. Henley obstawiała, że kremowa porcelana z subtelnym bladoróżowym wzorem w różyczki roztrzaska się na podłodze gabinetu pastora nie później niż po dwóch minutach. Stało się to po niespełna minucie.

– Przepraszam, ojcze wielebny. Najmocniej przepraszam. – Janine patrzyła na rozbitą porcelanę.

– Proszę się nie przejmować, pani Mullins. Zaraz przyniosę szufelkę i szczotkę. Może zaproponuję pani coś ciut mocniejszego. – W drodze do kuchni pastor Undrill delikatnie dotknął ramienia kobiety.

Janine potarła pomarszczone, pokryte siateczką niebieskich żyłek dłonie i zaczęła obracać na palcu złotą obrączkę.

– Często spacerujemy po przykościelnym cmentarzu, ale w samym kościele jestem pierwszy raz – powiedziała. Jej pies chłeptał z posadzki brązowy napar. – Bądź co bądź, jestem katoliczką, a to kościół anglikański. Mama Briana dostałaby zawału.

Pastor wrócił, szybko zmiótł stłuczoną porcelanę i wytarł rozlaną herbatę.

– Chodzi pani do kościoła? – spytała Henley.

Janine potwierdziła skinieniem głowy.

– Do Najświętszej Marii Panny. Przy głównej ulicy. Zna go pani?

– Zostałam tam ochrzczona. Przystąpiłam do pierwszej komunii i bierzmowania.

– Naprawdę?

– Świat jest mały.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Ramouter z filiżanką świeżej herbaty.

– Na miejscu jest dozorca, pójdę zamienić z nim słowo. Właśnie przyjechała też Linh.

– Sprawia wrażenie miłego człowieka – zauważyła Janine. – W dzisiejszych czasach przyjmują takich młodych. Pani też wygląda zbyt młodo jak na komisarza.

– Proszę nie dać się zwieść pozorom. Bywają dni, kiedy czuję się, jakbym miała sto lat.

– Nigdy dotąd nie widziałam zwłok. – Janine mocno ściskała w dłoniach filiżankę. – Nigdy. Nawet własnego taty.

– Proszę się uspokoić. – Henley delikatnie położyła dłoń na nadgarstku kobiety. – I opowiedzieć, co pani widziała.

– Jak już mówiłam temu pierwszemu policjantowi... Dwa samochody dostawcze, które utknęły za rogiem. Zawsze podjeżdżają od tyłu, żeby uniknąć korków. Parę biegaczy, ale oni minęli kościół, nie wchodzili za bramę. Ja weszłam, usiadłam na ławce i nie zdążyłabym nawet wypić łyka herbaty, gdy usłyszałam za plecami jakiś szelest, a potem zwróciłam uwagę na zapach. Odwróciłam się i wtedy zobaczyłam...

Janine wstrząsnął szloch.

Na rogu zebrała się grupka rodziców odwożących dzieci do przedszkola znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Gdy przez kościelną bramę wjechał ford transit z napisem „Prywatny ambulans", szmer plotkujących głosów przybrał na sile.

W powietrzu wisiał zapach śmierci. Niemal duszący. Henley zrobiła się niespokojna i rozdrażniona.

– Rozejrzałem się wokół i uciąłem sobie pogawędkę z wielebnym Undrillem – oznajmił Ramouter w drodze do samochodu. – Zwykle zamykają kościół o ósmej wieczorem, ale sala obok jest otwarta do dziesiątej. Zależy to od tego, czy odbywają się tam jakieś spotkania lub imprezy. Pastor nie mieszka na terenie parafii. Widać kościół ma dość pieniędzy, by opłacać mu mieszkanie.

– Do rzeczy – ponagliła go Henley zniecierpliwiona.

– Okej. Dozorca zamyka wszystkie trzy bramy o wpół do jedenastej. Pozostają zamknięte do szóstej rano. Są tylko dwa zestawy kluczy: jeden ma dozorca, drugi – pastor. Wczoraj wieczorem dozorca zrobił rutynowy obchód. Zawsze sprawdza cmentarz, wyrzuca ewentualnych pijaczków i zamyka bramy. Gdy przyszedł rano je otworzyć, brama z tyłu, od strony osiedla, była wyłamana.

– A kamery?

Ramouter pokręcił głową.

– Wszystkie zostały uszkodzone kilka dni temu. Dozorca myślał, że to sprawka dzieciaków, ale ja nie byłbym taki pewny.

– Janine zauważyła ciało. Jak to możliwe, że nie widział go stróż? – Henley dostrzegła Linh rozmawiającą z Anthonym. Inny technik robił zdjęcia.

– Twierdzi, że nic nie widział, ale bądźmy sprawiedliwi: słońce wzeszło dopiero o szóstej trzydzieści dwie, więc kiedy otwierał bramy, było jeszcze ciemno.

Henley cmoknęła z irytacją.

– Zdajesz sobie sprawę, że mamy trzy trupy w ciągu czterech dni, wszystkie porzucone w miejscach publicznych, i ani jednego niezależnego świadka.

– Nasz zabójca jest sprytny – skonstatował Ramouter, wyjmując z kieszeni paczkę miętówek. – Porusza się jak duch, dosłownie.

– Nigdy w życiu nie przywyknę do widoku czerwi. Od razu mam gęsią skórkę. – Linh zaczęła oglądać swoje ręce, sprawdzając, czy nie pełzają po nich robaki. – Jestem na nogach od trzeciej nad ranem. Piętnastoletni chłopak powiesił się we własnym pokoju w Kidbrooke. To już trzeci w tym tygodniu. A kiedy jestem już dwie minuty od domu, dostaję telefon, że mam jechać do Nunhead. I wiesz, co tam zastaję?

– Mów.

– Szkielet. Najprawdziwszy szkielet. Bez skrawka mięsa. Posadzony w fotelu. Czyste wariactwo. Ale powróćmy do tego tutaj. Biały mężczyzna. Między trzydzieści pięć a czterdzieści parę lat. Ciało rozczłonkowane, tak jak w wypadku dwóch wcześniejszych ofiar. Wszystkie sześć części w jednym miejscu. Na kostkach i nadgarstkach ślady więzów. Rana kłuta na prawym udzie.

– Od jak dawna nie żyje? – zapytał Ramouter.

– No cóż... jak sami doskonale widzicie, ciało toczą czerwie. Muchy, zwłaszcza przy tej pogodzie, pojawiają się w ciągu dwudziestu czterech godzin od zgonu. – Linh się skrzywiła. – Nie je-

stem ekspertem, ale wiem, że potrafią złożyć do stu pięćdziesięciu jaj naraz. Kolejnego dnia wykluwają się larwy, za następne trzy do pięciu dni przepoczwarzają się w muchy... Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że nie żyje co najmniej od czterech dni. Będę musiała przesłać trochę tych obrzydliwych robali do entomologa. I jeszcze jedno. – Linh przysunęła się bliżej. – Lewe udo. Osiem centymetrów powyżej kolana, coś na kształt podwójnego krzyża wyciętego w skórze.

– Jesteś pewna? – zapytała Henley.

– Zanim stwierdzę to ze stuprocentową pewnością, muszę obejrzeć go na stole. To jednak nie wszystko. Ma odcięte uszy.

– Słucham? Że co?

– Uszy. Obie małżowiny. Odcięte. Tak, wiem. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Idę stąd. Zadzwonię do was później.

– My też się zbieramy – rzekła Henley do Ramoutera.

– Może zechcesz najpierw rzucić na to okiem. – Podał jej swój telefon otwarty na pierwszej stronie „Evening Standard".

LADYWELL FIELDS: POLICJA WSZCZYNA ŚLEDZTWO W SPRAWIE SERYJNYCH ZABÓJSTW PO ZNALEZIENIU DRUGIEGO CIAŁA W POŁUDNIOWO-WSCHODNIM LONDYNIE

Callum O'Brien

Detektywi z Wydziału Przestępstw Seryjnych prowadzą śledztwo w sprawie zabójstwa kobiety, której ciało znaleziono w parku w południowo-wschodnim Londynie. Policję wezwano do Ladywell Fields we wtorek tuż przed godziną dziesiątą rano, wkrótce po dokonaniu makabrycznego odkrycia. Trzy dni wcześniej nad brzegiem rzeki w Deptford w południowo-wschodnim Londynie natrafiono na szczątki Daniela Kennedy'ego, trzydziestosześcioletniego mężczyzny zamieszkałego w Camden wpółnocno-zachodnim Londynie.

Scotland Yard odmówił potwierdzenia, czy znalezione w krzakach ciało kobiety było poćwiartowane, potwierdził natomiast, że powiadomiono jej najbliższą rodzinę o tej tragicznej śmierci. Rzecznik policji powiedział: „Śledztwo jest w toku. Badamy, czy osoba odpowiedzialna za zabójstwo Daniela Kennedy'ego jest także sprawcą tragicznej śmierci tej młodej kobiety".

– Szlag by to trafił! – Henley oddała Ramouterowi telefon w chwili, gdy zaczęła dzwonić jej komórka. – To Pellacia.

– Widziałaś? – zapytał.

– Właśnie skończyłam czytać. Sądziłam, że się wstrzymamy i nie zaczniemy od razu trąbić o ewentualnych powiązaniach. Kto jest rzecznikiem?

– Ktoś z komendy.

– Nie jestem tym zachwycona.

– Ja też nie skaczę z radości – przyznał Pellacia.

– To masa...

– Anj, główny komendant chce się z nami teraz zobaczyć.

– Co to znaczy „teraz"? Jestem w samym środku...

– Wiem, gdzie jesteś, ale musisz zjawić się w Scotland Yardzie dzisiaj w południe. Słyszysz?

– Słyszę. Do zobaczenia. W samo południe.

Rozdział 22

Zator na Old Kent Road oznaczał, że dotarcie na Victoria Embankment zajmie czterdzieści minut więcej niż zwykle. Henley korciło, żeby włączyć syreny.

Turyści tłumnie wylegli na nabrzeże. Zastanawiała się, ilu z nich kieszonkowcy buchną telefony i portfele podczas oglądania popisów „iluzjonistów" i karcianych oszustów. Powietrze gęstniało od spalin, ruch się wzmagał.

Z pomocą pudru i beżowej szminki Henley przeprowadziła szybką akcję ratunkową swojej twarzy. Z włosami niewiele dało się zrobić.

Upewniła się, że zawieszony na szyi policyjny identyfikator jest dobrze wyeksponowany. Straciła rachubę, ile to już razy przekraczała próg Nowego Scotland Yardu i po chwili była zatrzymana przez jakiegoś nadgorliwego policjanta.

W lusterku wstecznym zauważyła Pellacię idącego w jej stronę z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie. Opuściwszy chłodne schronienie w klimatyzowanym samochodzie, poczuła, jak ciężkie powietrze od razu oblepia skórę niczym warstwa oleju. Przypomniała sobie swoją ostatnią wizytę w Scotland Yardzie. Trzy tygodnie po wypisie ze szpitala, z nadal ciągnącymi szwami i sączącą się raną, musiała wyjaśnić swoje postępowanie oraz sytuację, w której dopuściła do tego, że Olivier ugodził ją nożem. Tamtego dnia wszystkie spojrzenia były skierowane na nią. Winiąc ją samą, jej płeć oraz kolor skóry za błąd, który rzekomo popełniła.

– Co za parszywa pogoda – rzucił Pellacia, odciągając od szyi kołnierzyk koszuli. – Czuję się jak w piekarniku.

– Przekrzywił ci się krawat. – Henley oparła się pokusie poprawienia go własnoręcznie. Patrzyła, jak robi to Pellacia.

– Teraz lepiej?

– O wiele.

Stali na szczycie schodów, obserwując policjantów wchodzących i wychodzących z budynku. Oboje nie mieli najmniejszej ochoty siedzieć naprzeciwko swojego szefa, głównego komendanta Jamesa Larsena, i słuchać, jak zrzuca na nich całą odpowiedzialność. Pellacia wyjął paczkę papierosów.

– Nie uważasz, że za dużo palisz? – zapytała Henley.

– Nie sądziłem, że cię to obchodzi.

Miała na końcu języka: „Oczywiście, że obchodzi".

– Gdyby nie Callum O'Brien, w ogóle by nas tu nie było – rzekł Pellacia, zapalając papierosa. – Ten facet to pieprzona żmija. Rhimes też nadal by żył, gdyby O'Brien nie węszył w SCU i nie oskarżył go o korupcję. Nie ufam mu, tak samo jak nie ufam Larsenowi.

Relacje między Larsenem i Rhimesem zawsze były kontrowersyjne i w rezultacie ten pierwszy nie krył swego wrogiego nastawienia do SCU. Henley podzielała opinię całego zespołu, że to Larsen był odpowiedzialny za zarzuty korupcyjne postawione Rhimesowi, o któ-

rych doniesiono Callumowi O'Brienowi, i że to przez Larsena Rhimes leżał teraz dwa metry pod ziemią.

Larsen wyglądał stosownie do zajmowanego stanowiska – od gładko zaczesanych siwych włosów po błyszczące spinki do mankietów. Jednak Henley i Pellacia wiedzieli, że ta nienaganna powierzchowność kryje wewnętrzną zgniliznę. Siedzieli i słuchali jego gróźb obcięcia budżetu SCU i przeniesienia śledztwa do Krajowego Wydziału Walki z Przestępczością.

– Sądziłem, że powodem, dla którego nas tu wezwano, był artykuł w „Evening Standard" – rzekł Pellacia, gdy Larsen w końcu zamknął usta.

– Do tego jeszcze dojdziemy. Przede wszystkim niepokoi mnie fakt, że w ciągu niespełna tygodnia doszło do trzech brutalnych zabójstw, a szczątki ofiar rozrzucono po całym południowo-wschodnim Londynie.

– Z całym szacunkiem – warknął Pellacia – w śledztwie w sprawie seryjnej zbrodni nie da się przyjąć podręcznikowych metod pracy. Z samego swojego charakteru...

– Panie nadkomisarzu, proszę mi oszczędzić tego amatorskiego wykładu z psychologii.

Henley delikatnie trąciła nogę Pellacii. Poczuła, jak jego ciało napina się, a po chwili rozluźnia.

– Jesteśmy oddani sprawie doprowadzenia tego śledztwa do końca i znalezienia zabójcy – oznajmiła. – Nie siedzimy bezczynnie w oczekiwaniu na kolejne zwłoki.

– Niestety, pani komisarz, samo oddanie sprawie nie wystarczy – zaoponował Larsen. – Rzeczą niecierpiącą zwłoki jest dla mnie rozstrzygnięcie, czy mogę nadal usprawiedliwiać istnienie SCU i przecieki informacji do prasy... Cóż, biję się z myślami...

Pellacia przerwał mu dziwnym, napiętym głosem:

– Nie ma żadnych przecieków.

– SCU to bardzo hermetyczny wydział, który zawsze wywiązywał się ze swoich obowiązków – dodała Henley. – Odebranie nam śledztwa jest strategią nader ryzykowną i nie obejdzie się bez kosztów.

– Niekoniecznie – zaprotestował Larsen. – SCU nie jest niezastąpione. Musicie mieć świadomość, że bacznie przyglądam się temu wydziałowi i jeśli bieżące śledztwo okaże się dla SCU zbyt dużym wyzwaniem, NCA[4] ma odpowiednie kompetencje, by je przejąć.

Pub znajdował się dobrych piętnaście minut spaceru od siedziby Nowego Scotland Yardu i nie był uczęszczany przez detektywów.

– Ten facet jest skończonym kretynem. – Pellacia stukał kartą płatniczą w kontuar, czekając, aż młody barman naleje mu piwo. – Na pewno nie chcesz podwójnego?

– Niech będzie. – Henley dobrze wiedziała, że gdy Pellacia jest w takim nastroju, nie należy stawać okoniem w kwestii tak błahej jak ilość alkoholu, a poza tym nie mogła udawać, że nie ma ochoty się napić. – Zajmę stolik.

– On nie ma pojęcia, na czym polega prawdziwa praca dochodzeniowa. – Pellacia podał Henley drinka i razem udali się do małego stolika w głębi pubu. Usiedli w milczeniu.

– Jak sobie radzisz? – zapytał po chwili.

– Jak sobie radzę?

– Przepraszam. Źle się wyraziłem. Chciałem tylko... nigdy nie przestanę się o ciebie martwić.

– Nie musisz się o mnie martwić. – Nie znosiła uczucia, że ktoś delikatnie ją kontroluje, ale też nie mogła powiedzieć prawdy. Że ostatnie czterdzieści osiem godzin wyssało z niej wszystkie siły. Że nie spała. – To nie ma nic wspólnego z radzeniem sobie. Po prostu wykonuję swoją pracę.

– Wiem. Nie traktuję cię protekcjonalnie. Nie pogadaliśmy jeszcze o twoich odwiedzinach u Oliviera.

– To zbędne. Wypełniłam służbowy obowiązek. Wydamy oświadczenie.

– Im szybciej, tym lepiej. Nie chcę, żeby NCA położyła łapy na tym śledztwie. – Wrócę do Scotland Yardu i porozmawiam z biurem prasowym.

– Masz zamiar napomknąć o zwłokach na cmentarzu?

– Myślę, że przemilczenie tego faktu byłoby błędem.

– Błędem byłoby także powiązanie go w tej chwili ze śmiercią Kennedy'ego i Zoe, ale po tym artykule... – Odstawiła szklankę. – Co? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Ciągle używasz imienia?

– Jakiego imienia?

– Zoe.

– No i?

– Kennedy'ego wymieniasz z nazwiska, ale o niej zawsze mówisz tylko po imieniu. Jakby łączyła was jakaś więź. Rozumiem dlaczego, ale to nie pomaga.

– Za dużo sobie wyobrażasz.

– Chyba zapominasz, że wiem. Potrafisz tak wkręcić się w sprawę, że staje się ona częścią ciebie.

– Chyba za często rozmawiasz z Markiem.

– Po prostu się o ciebie martwię.

– Nie musisz się o mnie martwić.

– Zawsze będę się o ciebie martwił. – Pellacia chwycił ją za rękę.

– Nie. – Henley szybko wyrwała dłoń, potrącając przy tym szklankę. Wytarła serwetką rozlaną wódkę z tonikiem.

– Kupię ci jeszcze jedną.

– Nie, daj spokój. Będę się zbierać.

– Anj...

– Stephenie, proszę. Nie mogę. Wiem, czego chcesz. Nie jestem idiotką. Nie mogę.

– Zachowujesz się tak, jakby nic między nami nie było.

– Czas przeszły. Było. Coś między nami było. Na litość boską. Wyszłam za mąż, urodziłam dziecko. Musiałam mieć jakieś życie poza pracą.

– A mimo to po tym wszystkim przyszłaś do mnie. Nie...

– Stephenie, popełniłam błąd. Niedawno zmarła moja mama. Wiedziałeś, że nie byłam sobą. Chryste, każdy to wie...

– Chcesz powiedzieć, że cię wykorzystałem?

Henley ucieszyła się, że jej komórka zadzwoniła akurat w tym momencie.

– To Linh.

– Co do faceta z cmentarza... – Głos Linh brzmiał tak, jakby dochodził z tunelu.

– Tak?

– Zaawansowane stadium rozkładu trochę utrudniło sprawę, ale w końcu znalazłam. Podwójny krzyż i półksiężyc na lewym udzie.

Henley się zasępiła.

– Na tym nie koniec. Co do ręki wyłowionej dziś rano przez policję rzeczną z Tamizy, nie jestem w stanie potwierdzić tożsamości ofiary, ponieważ ryby i co tam jeszcze żyje w rzece obgryzły czubki palców, ale udało mi się zabezpieczyć fragment krawędzi chwytnej strony dłoni. Wyjęłam też z lodówki ciało Kennedy'ego i powiedziałabym, że ręka pasuje jak ulał.

– Znalazłaś coś jeszcze?

Linh westchnęła.

– W zgięciu łokcia podwójny krzyż i półksiężyc.

Rozdział 23

Ramouter rozejrzał się po pustym biurze. Od dołączenia do zespołu niemal tydzień temu był tu po raz pierwszy sam. Nie miał dotąd szansy na złapanie oddechu.

Wpisał w wyszukiwarce nazwisko widniejące w rejestrze odwiedzin Oliviera. „Chance Blaine". Na szczęście więzienie przekazało kopię paszportu, którym legitymował się Blaine.

– Dziwne – powiedział na głos Ramouter. Paszport Blaine'a potwierdzał, że mężczyzna ma dwadzieścia dziewięć lat. Czyli należy do pokolenia błyskotliwych millenialsów, a jest zupełnie nieobecny w mediach społecznościowych. Jego nazwisko nie pojawiło się nawet w spisie wyborców. Ramouter przeczesał policyjny rejestr ogólnokrajowy. Dowiedział się z niego, że Blaine był wcześniej skazany za posiadanie marihuany, pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego oraz za wywieranie wpływu na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości w styczniu dwa tysiące piętnastego roku. Mieszkał w Woolwich przy Ha-Ha Road. Zaledwie trzy kilometry od więzienia Belmarsh i sześć kilometrów od miejsca, w którym znaleziono nad rzeką fragmenty ciała Daniela Kennedy'ego. Po przeczytaniu, że Blaine posługiwał się też drugim nazwiskiem – Joseph McGrath, w głowie Ramoutera zapaliła się czerwona lampka.

Ten człowiek coś ukrywał.

Wznowił poszukiwania, tym razem dotyczące Josepha McGratha, i nie zauważył, kiedy Eastwood i Ezra weszli do pokoju.

– Ej, Ramouter! – rzucił Ezra, klepiąc Ramoutera w łopatki znienacka, że ten aż podskoczył. – Pod nieobecność szefostwa, które właśnie obrywa cięgi, postanowiliśmy wyskoczyć do pubu. Ty stawiasz.

– Ja pierniczę – burknął Ramouter, zbyt rozkojarzony tym, co widział na ekranie komputera, by w pełni dotarły do niego słowa Ezry. Szybko skopiował link do artykułu i przesłał go Henley.

NIEKOMPETENTNY ADWOKAT SKAZANY NA KARĘ POZBAWIENIA WOLNOŚCI ZA WYWIERANIE WPŁYWU NA FUNKCJONOWANIE WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

Farha Winter, 12 czerwca 2018

Świeżo mianowany adwokat z kancelarii Osbourne Barrett Solicitors z północnego Londynu, należący do zespołu prawników reprezentujących skazanego seryjnego mordercę Petera Oliviera, usłyszał dzisiaj wyrok czternastomiesięcznego więzienia.

Joseph McGrath, dwadzieścia cztery lata, zamieszkały w Dalston w Londynie, został uznany za winnego wywierania wpływu na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości 22 maja 2018 roku. Wyrok zapadł po trzydniowym procesie przed Sądem Koronnym Southwark.

We wrześniu 2017 roku McGrath kontaktował się z sędziami przysięgłymi orzekającymi w procesie o zabójstwo wytoczonym Peterowi Olivierowi i oferował im pieniądze w zamian za orzeczenie niewinności. Kamery monitoringu zarejestrowały McGratha wsiadającego za sędzią przysięgłą do autobusu, którym udawała się do domu. McGrath twierdził, że jest niewinny i że z kimś go pomylono. W komentarzu do wyroku sędzia Henry stwierdziła, że ta sprawa „uderzyła w podstawy naszego systemu wy-

miaru sprawiedliwości". Dodała, że McGrath jako prawnik po aplikacji adwokackiej – aczkolwiek bez doświadczenia – musiał wiedzieć, że dążenie do wywarcia wpływu na członków ławy przysięgłych jest całkowicie niedopuszczalne i wskazuje na rażący brak poszanowania systemu prawnego. „Adwokat musi stać na straży prawa i przestrzegać zasad rządzących wymiarem sprawiedliwości. Niestety, w tym wypadku, panie McGrath, uchybił pan tym obowiązkom i jedynym właściwym wyrokiem jest natychmiastowy areszt".

Z powodu wyroku skazującego Joseph McGrath został wykreślony z rejestru adwokatów i zobowiązany do opłacenia kosztów sądowych w wysokości dziewiętnastu tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu sześciu funtów.

Rozdział 24

– No to powiedz, Ramouter, jak ci się na razie podoba? – zapytał Stanford.

Ramouter wypił łyk piwa, dając sobie kilka sekund do namysłu nad satysfakcjonującą odpowiedzią dla Stanforda, który bacznie go obserwował. Ramouter już wcześniej wyczuł jego niezadowolenie, że odebrano mu Henley.

– Dużo się uczę. Nie spodziewałem się, że trafię z marszu na tak grubą sprawę. Dobrze się dla mnie złożyło, że jesteś zajęty procesem.

Stanford się nie roześmiał.

– Tak czy inaczej – ciągnął Ramouter – na pewno odeślą mnie z powrotem do CID, gdy tylko zakończy się to śledztwo albo mój staż. Zależy, co będzie pierwsze. Jak długo pracowałeś z Henley?

– Prawie osiem lat.

– Ale SCU działa dopiero od sześciu.

– Pracowaliśmy razem z Pellacią w Wydziale Zabójstw w Lewisham. Nasz poprzedni szef poprosił, żebyśmy dołączyli do jednostki i tak zrobiliśmy.

– Mówisz o nadinspektorze Rhimesie? Tym, który nie żyje? Słyszałem, że...

– Co słyszałeś?

Zakłopotany Ramouter poruszył się na krześle pod czujnym wzrokiem Ezry Williamsa, Roxanne Eastwood i Stanforda, wręcz prowokującym do dalszych wyznań.

– No że... Słyszałem, że był objęty śledztwem, kiedy...

– Zostaw ten temat – powiedziała Eastwood, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Ja tylko...

– Daj spokój – uciął stanowczo Stanford. – Wystarczy, że się zagazował we własnym garażu. Proponuję darować sobie te plotki.

Wściekły Ezra gwałtownie wstał od stołu.

– Ezra i Rhimes byli sobie bliscy – wyjaśniła Eastwood. – Ciężko przeżył jego śmierć.

Przez następne dwadzieścia minut Ramouter pił piwo w milczeniu, słuchając, jak inni rozmawiają o policjantach, o których nigdy nie słyszał, i plotkują o spodziewanych kolejnych cięciach budżetowych. Po kilku minutach Ezra powrócił do stolika.

– Podobno sprzedali wreszcie nasz budynek – powiedziała Eastwood, odsuwając od siebie pustą szklankę.

– Powtarzają to od trzech lat, a jakoś ciągle tu siedzimy. Od dawna wam mówię, że mają nas gdzieś. Chyba teraz moja kolej – rzekł Stanford, wręczając Eastwood swoją kartę płatniczą. – Zechcesz pełnić honory?

Wzięła kartę i ruszyła do baru.

– Ale z ciebie leniwy drań – rzuciła na odchodnym.

– Chciałbym jeszcze o coś zapytać – odezwał się Ramouter.

– O co? – wtrącił pospiesznie Stanford.

– O Oliviera.

Stanford uniósł brew, a Ezra oparł się wygodnie na krześle.

– A co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

Ramouter wyłapał ostrzegawczą nutę w głosie Stanforda, brnął jednak dalej.

– Zastanawiałem się, co stało się później. To znaczy... przeglądałem akta sprawy. Henley mi powiedziała, że Oliviera oskarżono o próbę jej zabójstwa, ale potem bardzo długo nie pracowała...

– Urodziła dziecko – wtrącił Ezra.

– Wiem, ale jeszcze później. Jakby zapadła się pod ziemię. Dokądś ją przeniesiono? Trochę to dziwne, że po tak głośnej sprawie nagle...

– Zdaje się, że twój umysł detektywa-stażysty robi nadgodziny – powiedział Stanford.

Eastwood wróciła do stolika, niepewnie niosąc w rękach trzy duże piwa oraz gin z tonikiem.

– Coś mnie ominęło? – zapytała.

– Młody Sherlock chce wiedzieć, co działo się z Henley po schwytaniu Oliviera.

– Niezupełnie po tym – sprostował Ramouter. – Byłem ciekaw, co robiła później. Sam bym ją zapytał, ale...

– Nie ma o co pytać – rzekła Eastwood, gdy Stanford rzucił jej wymowne spojrzenie. Atmosfera zrobiła się gęsta i nie miało to nic wspólnego z wynikiem meczu, który kątem oka oglądali w pubie. – Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć o sprawie Oliviera, i tylko o tym, możesz zapytać mnie.

Ramouter wiedział, że to nie jest zaproszenie. Zrozumiał ostrzeżenie.

– Synu, masz interesować się tylko tym, nad czym aktualnie pracujesz – poinstruował Stanford. – A teraz pij piwo.

Ramouter postąpił wedle wskazówek. Sposób, w jaki Eastwood, Ezra i Stanford zacieśnili wokół Henley kordon milczenia, jedynie wzmógł jego ciekawość. Był przekonany, że gdyby teraz ponownie zapytał ich o Rhimesa, byliby bardziej skłonni udzielić mu odpowiedzi, byle tylko uniknąć tematu Henley.

– Na pewno pieką ją uszy – powiedział Stanford, gdy zaczął wibrować jego telefon. – W porządku, szefowo... Tak, właśnie siedzimy w pubie... Czy... Aha, rozumiem. Okej. Przekażę.

– Coś się stało? – zapytała Eastwood.

– Tak. – Stanford schował komórkę do kieszeni. – Szefowa chce, żebyśmy zjawili się zaraz w SCU.

Rozdział 25

Henley pokazywała na tablicy multimedialnej fotografie ze swojego laptopa. Oderwane kończyny na tle starego kamienia, tania folia i wyblakłe opakowania po chipsach. Ciemnoblond włosy zmatowiałe od zaschniętej krwi, przyklejone do białej skóry głowy. Obrączka. Czyjś mąż, może i ojciec. Henley położyła dłonie na biurku, czekając, aż zaczną drżeć. Drżenie się nie pojawiło, za to żołądek podszedł do gardła. Powiększyła zdjęcie głowy. Miejsce odcięcia uszu było usiane wylinkami czerwi, które przepoczwarzyły się w muchy.

– Jak widać – powiedziała – zabójca odciął ofierze uszy.

– Uszy? – Eastwood podeszła do tablicy i z bliska przyjrzała się fragmentowi, gdzie powinny znajdować się uszy. – I to wszystko? Tylko uszy?

– Tak. Niczego więcej nie brakuje. Zabójca zachował także język Kennedy'ego i gałki oczne Zoe. Wszystkie trzy ofiary zostały rozczłonkowane i wszystkie trzy mają na skórze podwójny krzyż i półksiężyc.

– Po co ktoś zadawał sobie tyle trudu, ćwiartował zwłoki i podrzucał je w różnych miejscach, skoro zachował tylko ich przypadkowe fragmenty? – Eastwood powróciła na miejsce.

– Jako trofeum. To wcale nie jest takie rzadkie. Pamiętacie sprawę O'Briena sprzed siedmiu lat? Podrywał mężczyzn pod klubami dla gejów, zapraszał ich do domu, mordował i odcinał im penisy.

Pellacia skrzywił się na to wspomnienie.

– Trzymał je w zamkniętym pojemniku w nocnej szafce, jednak odkrojenie komuś fiuta bardzo różni się od wydłubania oczu, odcięcia uszu i języka. Po co? Żeby włożyć je do zamrażarki obok paczki groszku?

Henley się nie roześmiała.

– Olivier nie zatrzymywał trofeów – przypomniał Ramouter.

– Jemu nigdy nie chodziło o trofea – powiedziała Henley, kończąc pokaz slajdów. – Nie interesowało go kolekcjonowanie pamiątek. Chciał nam pokazać, do czego jest zdolny. Podwójny krzyż i półksiężyc miały dla niego wymiar osobisty. Nasz ekspert od symboli sugerował, że półksiężyc oznacza rozczarowanie, a podwójny krzyż zdradę.

– Moim zdaniem jest po prostu popaprańcem – wymamrotał Stanford.

– Dziękuję, Stanford, za tę uwagę. W tej chwili musimy ustalić, jak nasz zabójca dowiedział się o symbolach. Nie jestem gotowa uznać tego za zbieg okoliczności.

– Zgadzam się z tobą – przyznał Pellacia. – Tylko po co usunął uszy ofierze z cmentarza, język Kennedy'emu i oczy Darego?

– Trzy mądre małpy. – Głos Ramoutera niósł się z kuchni, gdzie nalewał sobie szklankę wody.

– Co tam marudzisz, stażysto? – zapytał Stanford.

– Trzy mądre małpy. Jest takie powiedzenie. Nie widzę nic złego, nie słyszę nic złego, nie mówię nic złego. Nie znacie? Jedna małpa zasłania sobie uszy, druga usta, trzecia...

– A, tak, rozumiem.

Henley próbowała uporządkować myśli, analizując słowa Ramoutera.

– Nasz zabójca prowadzi wendetę – rzekła. – Każda ofiara została wybrana z określonego powodu. Co takiego widziała Zoe, co powiedział Kennedy i co słyszał mężczyzna z cmentarza?

Milczeli. Zza okna wsączał się hałas wczesnowieczornego ruchu ulicznego Greenwich. Niebo było niemal fioletowe, jakby zwiastowało burzę.

– Trzy małpy. Trzy ofiary. Wszystko się zgadza, prawda? – zapytał po chwili Ramouter.

Henley wyczuwała, że powiedział to bez przekonania.

– Musiał być jakiś motyw psychologiczny – powiedziała. – Nie zabił bez powodu. Naszym zadaniem jest jego ustalenie.

W tym momencie zaczął dzwonić telefon Pellacii. Wyszedł odebrać go w swoim biurze. Henley zaczekała, aż wróci, i dopiero wtedy podjęła temat.

– Jest jeszcze jedna rzecz. Ramouter, mów.

– No dobrze – powiedział i odchrząknął. – To coś, o czym wspomniał Olivier, kiedy się z nim spotkaliśmy. Twierdził, że nikt go nie odwiedza, że dostaje tylko korespondencję od fanów. Potem jednak przyznał, że miał kilka wizyt prawników.

– No i? – odezwał się Pellacia.

– Kiedy was tu nie było, poprosiłem naczelnika więzienia o listę gości. Olivier skłamał co do tych prawników, ale jedna osoba odwiedzała go towarzysko.

Ramouter wyjaśnił, czego dowiedział się o osobie Chance'a Blaine'a.

– W jakim, do licha, celu miałby się spotykać z Olivierem adwokat z zakazem wykonywania zawodu? – zachodziła w głowę Eastwood.

– Nie mam pojęcia, ale coś tu śmierdzi. Po pierwsze, Olivier kłamał, po drugie, naczelnik więzienia potwierdził, że po wyjściu z więzienia Blaine próbował umówić się na spotkanie najpierw pod swoim prawdziwym nazwiskiem, jednak figurował na czarnej liście. Cztery miesiące później zmienia nazwisko i ma nowy paszport.

– I przychodzi na widzenia z Olivierem – dodała Henley.

– Olivier nie jest idiotą – zauważyła Eastwood. – Wiedział, że sprawdzicie książkę wizyt i dowiecie się o Blainie.

– Dlatego jutro wybieramy się do niego ponownie – oznajmiła Henley. – W chłodni leżą trzy pokawałkowane ciała. Nie mogę pozwolić, by Olivierowi się wydawało, że może pociągać za sznurki.

– Ten cały Blaine alias McGrath wiedziałby o wycinanych przez Oliviera symbolach – rzekł Stanford. – Jako jego adwokat praktycznie musiał znać wszystkie szczegóły.

– Otóż to – odparła Henley. Wzięła do ręki czarny marker i podeszła do białej tablicy. Wpisała nazwisko Chance'a Blaine'a do pustej jak dotąd rubryki „podejrzani".

Rozdział 26

Luna zaczęła szczekać i podskakiwać, zanim jeszcze Henley przekroczyła próg domu. Gdy w końcu udało się jej wyjść z SCU, było już dobrze po siódmej wieczorem.

– Okej, okej, wiem, że późno wracam – powiedziała na widok Roba wchodzącego do holu.

– Nie przejmuj się. Nie szkodzi. Rozumiem, że ta sprawa jest dla ciebie ważna.

– Przepraszam. Myślałam, że wyjdę przed piątą, ale... to był ciężki dzień. – Henley głaskała psa, który odgradzał ją od Roba. – Myślałam, że ze mną nie rozmawiasz.

– Przepraszam. Prawie nie widywaliśmy się w tygodniu, a kiedy mi powiedziałaś, że znów prowadzisz śledztwo, powinienem był stanąć na wysokości zadania. A zachowałem się jak niedojrzały idiota.

– Nie jesteś idiotą.

– Ale że niedojrzały to już nie zaprzeczyłaś?

– Co u Emmy? – Henley w końcu puściła Lunę i zdjęła sportowe buty. – Wszystko dobrze?

– Trochę kaprysiła. Nie chciała spać, pytała o ciebie.

– Nie wzbudzaj we mnie wyrzutów sumienia. Nie sądzisz, że czuję się podle za każdym razem, kiedy ją zostawiam? Potrzebuję od ciebie odrobiny wsparcia. To dla mnie niełatwe. Staram się, jak mogę, ale jest mi trudno. – Zwiesiła ramiona.

– Hej, przepraszam. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. – Wyraz twarzy Roba złagodniał. – Chodź do mnie. – Przyciągnął ją do siebie. Wdychała jego zapach, wtulając głowę w jego szyję. – Nawet nie próbuję udawać, że wiem, co przeżywasz. Masz pojęcie, jak fatalnie się czułem ze świadomością, że nie spisałem się jako mąż?

– Kochanie, wiem, że chcesz mnie chronić i że czasem ci się wydaje, że bardziej obchodzą mnie zmarli niż ty...

– Nawet tak nie mów, Anj. Nigdy tak nie myślałem. Po prostu chciałbym, żebyś miała taką pracę, bym nie musiał się martwić, że któregoś dnia nie wrócisz do domu.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – rzekła, odsuwając się od Roba.

– Co się stało? – zapytał spokojnie.

– Nic. Tylko... jutro rano... Muszę zobaczyć się z Olivierem. – Ugryzła się w język, żeby nie dodać „jeszcze raz". Miała wyrzuty sumienia, ale potrzebowała jego życzliwości i zrozumienia.

Milczał. Słychać było jedynie grający telewizor. Usiadła na schodach i czekała.

– Oddychaj – powiedział Rob, siadając obok niej na łóżku i delikatnie masując jej ramiona. – Musisz się rozluźnić. Oddychaj.

– Nie mogę – wykrztusiła. Jej puls przyspieszył.

– Spróbuj. Zrobimy to razem. Na wdechu liczysz do trzech, zatrzymujesz powietrze i wydychasz, znów licząc do trzech.

Henley przytuliła się do męża, oddech zaczął się uspokajać, dzwonienie w uszach ustało, a puls zwolnił.

– Nie chcę, żebyś widziała się z Olivierem – rzekł Rob, gdy Henley położyła się obok niego. – Nie chcę, żeby znów cię skrzywdził.

– Nie może mnie skrzywdzić.

– Nikt nie będzie cię osądzał za to, że odpuścisz.

„Mylisz się", pomyślała. Położyła głowę na piersi Roba i wsłuchiwała się w uspokajający rytm jego serca.

– Nie mogę odpuścić – wyszeptała. Słowa uwięzły w miękkiej bawełnie jego koszuli.

Rozdział 27

Chance Blaine wyglądał marnie pod witryną agencji nieruchomości przy Sydenham Road, gdzie zmieniał zdjęcia dostępnych obiektów. Pomimo znękanej twarzy ubrany był nienagannie w grafitowy garnitur i bladoniebieską koszulę. Zauważył dwoje ludzi przyglądających mu się zza szyby i otworzył drzwi.

– Czym mogę służyć?

– Dzień dobry. Komisarz Henley i detektyw Ramouter. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Henley podsunęła mu służbową legitymację, lecz Blaine nie wziął jej do ręki. Prawdę mówiąc, nie wydawał się zaskoczony wizytą dwojga policjantów w jego miejscu pracy.

– W sprawie zgłoszonego przez nas oszustwa? Nie spieszyliście się – powiedział, nie ruszając się z progu.

– Panie Blaine, my nie w sprawie oszustwa i wolałabym porozmawiać o tym w środku. Pojechaliśmy najpierw do pańskiego mieszkania, ale jak widać ranny z pana ptaszek.

– Byliście u mnie... O co chodzi? – zapytał lekko podniesionym głosem.

– O Petera Oliviera.

Henley i Ramouter weszli do biura, nie przejmując się spojrzeniami dwojga innych agentów siedzących przy swoich biurkach. Sądząc po wyglądzie miejsca, agencja nie działała w pełni legalnie.

– Napijecie się herbaty? Może czegoś innego? – zapytał Blaine, otwierając drzwi do zagraconego pokoiku na tyłach. Na stosie lokalnych gazet stały dwa opróżnione do połowy kubki herbaty z poprzedniego dnia.

– Nie, dziękujemy. – Henley omiotła wzrokiem zdezelowane krzesło i postanowiła nie siadać.

– Spora zmiana, prawda? Z adwokata na agenta nieruchomości.

– Nie miałem wielkiego wyboru – odparł gorzko Blaine. – Po odsiadce niełatwo o pracę.

– Wyobrażam sobie. Panie Blaine, prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa, a pewne aspekty tej sprawy przypominają morderstwa popełnione przez Petera Oliviera.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Wiemy, że odwiedzał pan Oliviera w więzieniu.

– O ile mi wiadomo, nie jest to nielegalne.

– To prawda, ale my także widzieliśmy się z Olivierem – rzekł Ramouter, siadając na krześle. – Zaprzeczył, jakoby z kimkolwiek się spotykał. Nie wspomniał o panu ani słowem.

Henley dostrzegła przelotny wyraz twarzy świadczący o urazie.

– To zrozumiałe. Peter jest bardzo skrytym człowiekiem.

– Jakikolwiek jest, chcemy zadać panu kilka pytań.

Henley cofnęła się i pozwoliła Ramouterowi kontynuować przesłuchanie. Musiała przyznać, że zaimponował jej swoją autorytatywną postawą.

– Jak wspomniała moja przełożona, prowadzimy śledztwo w sprawie serii zabójstw. Znaleziono rozczłonkowane zwłoki trzech osób. Na ciele całej trójki wycięto nożem te symbole. – Ramouter wziął ze stołu długopis i na odwrocie ulotki reklamowej agencji narysował półksiężyc i podwójny krzyż. – Z pewnością je pan rozpoznaje. Ujawniono je panu w czasie, kiedy bronił pan Oliviera i występował pod nazwiskiem Joseph McGrath.

– Nie mogę zdradzać żadnych szczegółów tamtej sprawy – odparł zadowolony z siebie Blaine. – Tajemnica adwokacka. Moje rozmowy z Olivierem są poufne.

Henley z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Panie Blaine, nie oczekuję od pana ponownego naruszenia zasad postępowania, niemniej pańskie wizyty towarzyskie nie są objęte żadnymi przywilejami, a od czasu zmiany nazwiska widuje się pan z nim regularnie. Dlaczego go pan odwiedza?

– Zaprzyjaźniliśmy się. Czuł się odpowiedzialny za to, co się stało, miał wyrzuty sumienia.

– Czy to on skłonił pana do próby wywarcia wpływu na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości? Do przekupywania przysięgłych? – zapytała Henley.

– Oczywiście, że nie. To była z mojej strony głupia decyzja. On nie ma nikogo, a kiedy go reprezentowałem, dobrze się rozumieliśmy.

– Mimo że wykreślono pana z rejestru adwokatów? I odsiadywał pan wyrok? – Ramouter nawet nie próbował ukryć niedowierzania.

– Staram się iść naprzód, zamiast tkwić w przeszłości – odparł Blaine.

– Panie Blaine, wiedział pan o tych symbolach – powiedziała Henley z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Czy w ciągu kilku ostatnich miesięcy ujawnił pan komuś tę informację? Jeśli tak, choćby mimochodem, ważne, by nam pan o tym powiedział.

– Nie, po co miałbym ujawniać? – Blaine wydawał się szczerze zdumiony. – Prawdę mówiąc, staram się nie wracać myślami do tamtej historii. Zniszczyła mi życie.

– A mimo to utrzymuje pan kontakt z Olivierem?

– Towarzyski – odparł z mocą Blaine. – On wciąż potrzebuje przyjaciół.

– Chce się pan przyjaźnić z seryjnym zabójcą? – Henley czekała na odpowiedź, nie mogąc się pogodzić z absurdalnością tego wyznania. Blaine miał dość rozsądku, by nie próbować się tłumaczyć. – Zidentyfikowaliśmy dwie ofiary – poinformowała. – Daniela Kennedy'ego i Uzomamakę Darego. Czy te nazwiska coś panu mówią?

– Nigdy ich nie słyszałem – odpowiedział bez zastanowienia. – Czy coś jeszcze? O dziesiątej mam umówionych klientów.

– Na razie nie, ale będziemy musieli potwierdzić, w jakich miejscach bywał pan w zeszłym tygodniu.

– Dlaczego? Jestem podejrzany? To jakiś absurd. Zajmuję się handlem nieruchomościami. Jestem zadłużony po uszy. Już raz siedziałem w więzieniu i nie mam najmniejszego zamiaru trafić tam ponownie.

– Wobec tego nie będzie pan robił problemu z dostarczenia nam tych informacji. Co prawda nie jest pan już adwokatem, ale doskonale zna pan procedury – rzekła i rzuciła na biurko swoją wizytówkę.

Blaine sięgnął po wiszącą na gwoździu marynarkę.

– Prześlę mailem mój harmonogram pracy. Choć nie jest to pasjonująca lektura. Pracuję po dwanaście godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu. Dwa wieczory w tygodniu spędzam na siłowni, a resztę czasu z moją dziewczyną Lorelei.

– Będą nam potrzebne także jej dane.

– Proszę bardzo.

Blaine'owi zrobiło się słabo, gdy czekał, aż Henley i Ramouter odjadą. Zanotował w pamięci numery rejestracyjne ich samochodu. Wrócił do biura i nie reagując na pytania współpracowników, zamknął za sobą drzwi, następnie wyjął z portfela kartę SIM przyklejoną taśmą na odwrocie jakiejś sklepowej karty stałego klienta. Zamienił SIM-y w telefonie, poczekał, aż komórka złapie sieć, i wysłał tylko jedną wiadomość.

„Miałeś rację. Dopadli mnie w pracy. Właśnie wyszli. Pytali o

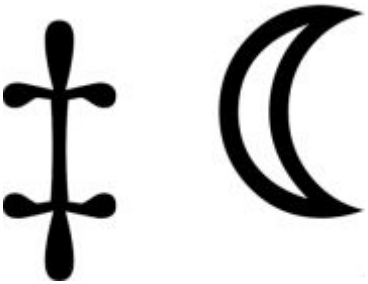

Nie martw się. Nie puściłem pary z ust. Pozdr.".

Rozdział 28

– Więc jak? Powiemy Olivierowi, że złożyliśmy jego kumplowi wizytę? – zapytał Ramouter, gdy wchodzili do sali widzeń więzienia Belmarsh.

– Nie, na razie nie. Trzeba oddać Olivierowi sprawiedliwość: nie jest głupi. Prawdopodobnie domyślił się, że widzieliśmy się z Blaine'em, i wiemy, że kłamał.

– Nie rozumiem po co. Co przez to zyskuje?

– Kto wie? Chce zapewnić sobie jakąś rozrywkę.

Henley przyłożyła palec do ust, usłyszawszy ochrypły głos Oliviera rozmawiającego w korytarzu ze strażnikiem.

– Komisarz Henley i det. s. Ramouter. Znów się spotykamy – powiedział Olivier. Zatrzymał się przy drzwiach, zaczekał, aż strażnik zdejmie mu kajdanki. – Bardzo ci dziękuję, Paul.

– Będę w korytarzu – rzucił Paul.

Henley była lekko zdumiona. Czyżby strażnik więzienny ich ostrzegał, że stoi murem za Olivierem?

– A więc co się stało? Kolejna ofiara? W kawałkach, pocięta w kółko i krzyżyk? – Olivier usiadł. – Wolę ten pokój. Jest dużo widniejszy i można oglądać ludzi. – Skinął głową przechodzącej za oknem prawniczce. Kobieta przystanęła, niepewnie się uśmiechnęła i poszła dalej.

– Det. s. Ramouter – powiedział Olivier, wyciągając rękę.

– Tak. – Ramouter uścisnął ją z wahaniem.

– Myślałem o tobie. Myślałem o literze „s".

– To znaczy?

– To świeży dodatek, prawda? Usiłowałem rozgryźć, co to „s" oznacza, i w końcu mnie oświeciło. „S" jak stażysta. Jesteś więc stażystą komisarz Henley. Kimś, kim trzeba się opiekować. Kogo trzeba przysposobić, wyszkolić. I zacząłem główkować, co się stało z...

– Olivier! – ostrzegła Henley kategorycznym tonem.

– Z Pellacią – dokończył. – Który szkolił ciebie. Mówił, żebyś dała sobie spokój, ale nie posłuchałaś. Pellacia...

Wypowiedział to nazwisko tak dobitnie, że drobinki jego śliny wylądowały na twarzy Ramoutera, który szybko je otarł.

– Pellacia. Włoskie nazwisko, prawda? Był piździelcem i prawdopodobnie jest nim nadal.

Henley opanowała się siłą woli. Olivier nie zamierzał być ugodowy. Chciał podjąć grę. Nie miała zamiaru mu na to pozwolić.

– Wczoraj rano znaleziono trzecią ofiarę na cmentarzu w Deptford – oznajmiła.

Uniósł brew.

– Tylko tyle? Nie rzucisz mi się do gardła w obronie swojego przydupasa?

– Zamknij się i słuchaj.

Olivier uśmiechnął się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Potwierdzono, że na ciałach wszystkich trzech ofiar były wycięte symbole: podwójny krzyż i półksiężyc – kontynuowała. – To twój znak firmowy. Ty lubiłeś tak robić. Wyrzynać je w skórze swoich ofiar. Oznaczać swoją własność.

– Niczego nie zrobiłem – powiedział Olivier, pochylając się nad stołem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Ramouter.

– Co chcę przez to powiedzieć? Że dziesięciu niedoinformowanych idiotów uwierzyło, że zamordowałem siedem osób, choć wcale tego nie zrobiłem. Położyłem rękę na Biblii i przysiągłem na Boga, że niczego takiego nie zrobiłem.

– Uznano cię za winnego.

– Otóż to: „uznano". Słowo klucz – odparł Olivier. Machnął ręką tuż przed nosem Ramoutera. – Co ty tam wiesz, stażysto. Przychodzisz tu w swoim gustownym garniturku, z hipsterską brodą i zachowujesz się tak, jakbyś coś o mnie wiedział. Guzik wiesz. – Olivier utkwił wzrok w Henley. – Dlaczego mu nie powiesz, pani komisarz? Wyjaśnij swojemu stażyście, że uznano mnie za winnego. Ja sam nie przyznałem się do winy. Nie przyznałem się do niczego, bo niczego nie zrobiłem. – Odchylił się w tył. – Doszło do pomyłki sądowej.

– Wiesz, że informacja o twoich znakach firmowych nigdy nie została udostępniona, tymczasem ktoś w mieście kiepsko naśladuje twój styl. Partaczy.

– Niewłaściwy dobór słów. – Olivier uśmiechnął się z wyższością.

– Używa twoich narzędzi.

– Domniemanych. Jak powiedziałem...

– Słyszałam, co powiedziałeś – warknęła Henley.

– Bądź miła. Mogłem odmówić widzenia.

– Komu powiedziałeś?

– Niczego nie zrobiłem – powtórzył znudzonym tonem.

– W takim razie porozmawiajmy hipotetycznie. Gdybyś zamordował siedem osób i posiekał ich ciała, powiedziałbyś komuś o tych symbolach, wyjąwszy twoich prawników od siedmiu boleści?

W pokoju zapadła cisza. Henley nie odrywała wzroku od Oliviera, rzucając mu nieme wyzwanie. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi, zabrzęczały klucze. Paul, więzienny strażnik, przedefilował pod oknem, na chwilę przystanął, skinął Olivierowi i ruszył dalej.

– Mówiąc hipotetycznie... nikomu. Wsadzili mnie do aresztu śledczego i trzymali w izolatce do czasu procesu przed tym sądem kapturowym. Z nikim się nie widziałem. Z nikim nie rozmawiałem. Ale nie zrozum mnie źle: pytano mnie o ofiary.

– Kto cię pytał?

– Inni stąd. Ci więzienni strażnicy to strasznie wścibska zgraja. Chcieli wiedzieć, jak to zrobiłem i dlaczego. Czy sprawiało mi to przyjemność. Oczywiście, mówiąc hipotetycznie.

– A sprawiało?

Olivier głośno się roześmiał.

– Ramouter, czy ty to słyszałeś? Twojej szefowej się wydaje, że jest sprytna.

– Powiedziałeś im? – Henley nie ustępowała.

– Nie miałem im nic do powiedzenia, ponieważ nic nie zrobiłem. Ale wyobrażam sobie, że byłoby z tym sporo zachodu – ciągnął Olivier cichym głosem. – Dużo krwi. Odpowiednie usta-

wienie piły wymagałoby sporo pracy i cierpliwości. Domyślam się, że kość nastręczałaby problemów. Pewnie jest twarda i wytrzymała i jeśli nie masz odpowiedniego ostrza... cóż, można bez trudu zniszczyć kilka ostrzy, zanim opanuje się technikę, ale kiedy dotrze się do szpiku, pójdzie już jak po maśle, bo galaretowata miękkość nie stawia oporu.

Zawisło ciężkie milczenie.

– A te symbole? – Henley przemogła się i zadała pytanie.

– Byłby to mój znak firmowy, mój artystyczny podpis. Miałbym go komuś użyczać? Po co? Zrobiłem dla ciebie prezent.

Henley zamrugała powiekami, zbita z tropu tą nagłą zmianą tematu.

Olivier wsunął rękę za klapę ogrodniczek.

– Nie chciałem, żeby się pogniótł, więc trzymałem go w bezpiecznym miejscu. – Położył na stole małego ptaszka, origami zrobione z wydawanego więźniom papieru listowego. – Wiem, co sobie myślisz. To nie jest łabędź. To czapla. Znasz się na czaplach, stażysto?

Ramouter nie odpowiedział.

Olivier pokręcił głową i cmoknął z dezaprobatą.

– Dobre wychowanie wymaga odpowiedzi, gdy ktoś zadaje ci pytanie. Czaple to częsty widok wzdłuż Tamizy, zwłaszcza przy Deptford Creek podczas odpływu. Lubią podróżować parami. Zrobiłem ją dla ciebie.

Henley nie spojrzała na leżącą na stole papierową czaplę.

– Mogłabyś przynajmniej zerknąć. – Jego głos był ochrypły, nagle poirytowany. – Ej, ty, stażysto. – Olivier trzasnął ręką w stół z taką siłą, aż Henley się zdziwiła, że nie pękł laminat. Słyszała oddech Ramoutera, płytki, przyspieszony. Dobrze znała ten dźwięk – tak oddycha człowiek próbujący zapanować nad atakiem paniki. – Dlaczego nie uważasz, stażysto? Ktoś ci odciął język?

– Ja nie... – wyjąkał Ramouter.

– Ty nie. Co to niby ma być? Ty nie co? Nie jesteś wart noszenia tej żałosnej odznaki w portfelu?

Olivier podparł dłonią policzek, odgradzając Henley od Ramoutera. Szybko się odsunęła, gdy musnął jej rękę ramieniem.

– Skąd w ogóle pomysł, że nadajesz się do tej roboty? Może powinieneś rozważyć powrót tam, skąd przyszedłeś. – Syknął na Ramoutera. – Nie patrz tak na mnie. Nie jestem rasistą. Po prostu wydaje mi się, że nasz mały stażysta czułby się lepiej, bawiąc się w policjantów i złodziei na swoich wrzosowiskach.

– Przestań – warknęła Henley.

Olivier uśmiechnął się z satysfakcją, zwracając się do Ramoutera.

– A ty kim jesteś? Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery lata. Żonaty. – Rozpostarł długie palce i stuknął w złotą obrączkę na palcu Ramoutera. Ten cofnął rękę jak oparzony i schował ją pod stołem.

– Wątpię, by twoje małżeństwo było szczęśliwe – ciągnął. – Raczej nie, skoro spędzasz cały czas z panią komisarz. Ostrzegali cię przed nią? Potrafi owijać sobie facetów wokół palca.

– Powiedziałam: przestań – przerwała mu Henley.

– Nie. Mówię do stażysty. Twoja żona już poznała panią komisarz? Przypuszczam, że poczułaby się nieco zagrożona. Niepewna. Samotna. A może to ty cierpisz na samotność? – Twarz Oliviera rozciągnęła się w uśmiechu. – Zgadłem, co? Jesteś tutaj sam jak palec. Masz do towarzystwa tylko mnie i panią komisarz.

Ramouter ze zdumienia szerzej otworzył oczy.

– Nie sądzisz, że jest do niego podobny? – Olivier zwrócił się z tym pytaniem do Henley i pokazał osiem palców. – Do Jeremeya Hicksa. Ta sama budowa. Ten sam wzrost. Te same nerwowe oczy. Tak samo zagubiony.

Hicks był piątą ofiarą Oliviera znalezioną w ośmiu częściach przez grupę uczniów.

– Znaleźli go w Bermondsey. Błagał o litość. Czy Ramouter nie wygląda jak ktoś, kto by żałośnie błagał o darowanie mu życia?

Ramouter wstał od stołu i zrobił krok do drzwi.

– Wychodzisz? Nie jestem już tym samym człowiekiem, który wepchnął nóż w brzuch twojej pani komisarz. – Olivier wstał, a Ramouter wcisnął czerwony przycisk alarmowy na ścianie.

– Siadaj! – krzyknęła Henley.

– Spójrz na niego. – Olivier powoli opadł na krzesło i położył obie ręce na stole. Zawył alarm. – Zdaje mi się, że twojemu stażyście przydałaby się świeża para spodni.

Henley podniosła rękę, gdy w drzwiach pojawili się trzej strażnicy. Dała Ramouterowi znak, by opuścił pomieszczenie. Została z Olivierem sam na sam. Próbowała uspokoić nerwy w przedłużającej się ciszy.

– Co wiesz o tych morderstwach? – zapytała wreszcie.

– Moim zdaniem nie powinnaś go trzymać. Nie wytrwa nawet miesiąca.

– Stul pysk.

– I za to cię lubię. – Uśmiechnął się niemal z czułością. – Zawsze miałaś w sobie ikrę. Miło widzieć, że jej nie utraciłaś pomimo przelania krwi.

Henley wstrzymała oddech, czując, jak wzbiera w niej furia.

– Trzęsiesz się.

Spojrzała na swoją prawą rękę. Miał rację. Schowała obie ręce pod stół.

– Czy rozmawiałeś z kimś o tym, co zrobiłeś? Jak zabiłeś tamte siedem osób? I teraz ten ktoś z ciebie drwi. – Dostrzegła zmianę w jego zachowaniu. Gierki się skończyły. – Musi cię to wkurzać. – Postanowiła pójść za ciosem. Chciała mu dopiec. Tak jak sok z cytryny piecze na świeżym skaleczeniu.

– Uważaj.

– Że tu ugrzązłeś, nie mogąc ruszyć palcem, podczas gdy ktoś uważa się za lepszego od ciebie. To musi być strasznie frustrujące. Bo czujesz się... nie wiem... bezsilny.

Świdrował ją wzrokiem.

– Powtarzam: ja tego nie zrobiłem.

– Opowiedziałeś komuś o wycinaniu symboli na ciałach ofiar. Może zaangażowałeś do pomocy Josepha McGratha... przepraszam: Chance'a Blaine'a.

Wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem, nawet nie drgnęła mu powieka.

– Zdobądź dowody i wróć do mnie. Będę tu na ciebie czekał.

Olivier krążył po pustym spacerniaku. Pilnowali go dwaj strażnicy. Zażądał wypuszczenia na dwór, choć wiedział, że wolno wychodzić dopiero po obiedzie. Obserwowali, jak chodzi tam i z powrotem, zdając sobie sprawę, że lepiej, żeby był na zewnątrz, niż znów wyładował złość na którymś ze współwięźniów. Odebrali tę lekcję osiem miesięcy temu, kiedy złamał żuchwę innemu osadzonemu, ponieważ ciągle nucił przy jedzeniu.

„Bezsilny". Nazwała go bezsilnym. Pod wpływem wzbierającej w nim furii przyspieszył kroku. Miał ochotę zrobić komuś krzywdę. Poczuć czystą przyjemność dawania upustu złości, tak jak wtedy, kiedy zadawał ból Henley. Fakt, że ktoś na wolności mordował ludzi w jego imieniu, nie pochlebiał mu ani trochę. Był wręcz zniewagą. Nie chciał nikogo inspirować ani motywować do działania. Niesława należy się jemu. Podłość to jego znak. Mają się bać jego, Oliviera, a nie jakiegoś nędznego imitatora.

– Cholerna suka – wycedził. Był rozdrażniony, od kiedy powiedziała mu o pierwszej ofierze. Jedną by przebolał, ale teraz były trzy. Miał przed oczami twarz Henley, ten wyraz przyjemności, jaką czerpała z opowiadania mu o jego plagiatorze. Myli się, jeśli uważa, że jego naśladowca ma większą moc niż on. Skurwielowi nie ujdzie to płazem.

– Kim ty jesteś?

Głos Oliviera przeszył powietrze, wznosząc się ponad skrzeczące wrony, które przysiadły na szczycie więziennego muru.

Rozdział 29

Ramouter zwymiotował natychmiast po znalezieniu się na świeżym powietrzu. Henley wcale mu się nie dziwiła. Po spędzeniu czterdziestu minut w dusznym pomieszczeniu z Olivierem sama nie mogła doczekać się wyjścia. Miała ochotę zanurzyć się w wannie wypełnionej gorącym płynem do dezynfekcji. Podłość i toksyczność Oliviera zdołały wniknąć we wszystkie pory jej skóry i przedostać się do krwiobiegu. Podała Ramouterowi paczkę chusteczek. Trzymał się dobrze, dopóki Olivier nie wyłączył uroku i nie przełączył się na jad. Zrobił sobie z Ramoutera worek treningowy, a ona mu w tym nie przeszkodziła.

– Przepraszam – powiedział, wycierając usta, po czym z obrzydzeniem spojrzał na ziemię pod nogami. – Powinienem być przygotowany. Wiedziałem, co się święci. Mogłem mieć więcej oleju w głowie.

– Nie twoja wina. Nazwanie go diabłem to i tak zbytek uprzejmości – odparła w drodze na parking. – Wiem, że pozbyłeś się całego śniadania i że dopiero dochodzi wpół do jedenastej, ale myślę, że przydałoby się nam obojgu coś mocniejszego... Pijesz?

Ramouter uśmiechnął się blado.

– Tak. Ale jesteśmy na służbie.

– Nikomu nie powiem. Chodź. Królestwo za drinka.

– Może chcesz coś przekąsić? Choć nie powiem, żebym mogła coś polecić. – Henley dźgała słomką cząstkę cytryny na dnie szklanki. Siedzieli w Duke of Gloucester, specjalizującym się w pieczonym mięsie pobliskim lokalu, który przycupnął pod korytarzem powietrznym samolotów wylatujących z miejskiego lotniska w Londynie. Z ich loży roztaczał się fantastyczny widok na dwupasmówkę i Tesco Express.

– Nie, dziękuję – odparł, obracając szklankę.

– Nie brałam cię za amatora whisky.

– Bo nie jestem, ale mój tato zawsze powtarza, że mocny trunek dobrze robi na problemy żołądkowe. Taką miał w każdym razie wymówkę. Dziwne... zacząłem dzień od oglądania rozkładających się, poćwiartowanych zwłok i nie twierdzę, że mnie to nie ruszyło, bo ruszyło, ale dopiero kiedy zaczął się mnie czepiać...

Do baru wtoczyła się grupa rozweselonych ludzi.

– Sprawiedliwość! – wrzasnął ktoś z przybyłych, a pięćdziesięciokilkuletnia kobieta zaczęła płakać.

– Ktoś tu jest w szampańskim humorze – skwitował Ramouter.

– Ława przysięgłych ogłosiła wyrok – rzekła Henley, obserwując, jak mężczyzna obejmuje płaczącą kobietę.

– Skąd wiesz?

– Odwiedziny rozpoczynają się w więzieniu dopiero po wpół do drugiej. Mamy czwartek, więc najprawdopodobniej ława przysięgłych obradowała przez parę dni, a dziś rano wydała werdykt. Gdy zapada wyrok skazujący, ludzie raczej się tak nie ekscytują, nawet jeśli należą

do rodziny ofiary, jest więc szansa, że faceta w eleganckiej koszuli i garniturze z Marksa & Spencera oczyszczono dziś z zarzutów. Poza tym pochodzi z tej dzielnicy.

– Potrafisz to rozpoznać? – zdziwił się Ramouter, próbując, bez powodzenia, dyskretnie obejrzeć się za siebie.

– Gdybyś telepał się przez pół Londynu na rozprawę w Sądzie Koronnym w Woolwich i został uniewinniony, to czy tu byś świętował?

– Jezu, nie. Wyrwałbym stąd najszybciej, jak się da.

– No widzisz. Mówiłam. Miejscowy.

Gdy podniosła szklankę do ust, zaczęła drżeć jej ręka. Zerknęła na Ramoutera, czy coś zauważył, on jednak był pogrążony we własnych myślach. Szybko wychyliła drinka i czekała, aż wódka z tonikiem zacznie działać.

– Już ci lepiej? – zapytała.

– Tak. O wiele. Popełniłem błąd. Nie doceniłem go. Po poprzednim spotkaniu uznałem, że nie jest taki straszny. Nie powinienem był podawać mu ręki.

– To by niczego nie zmieniło. Potrafi rozszyfrowywać ludzi. Ma do tego talent i umie go dobrze wykorzystać.

Ramouter kiwnął głową, choć ta odpowiedź go nie usatysfakcjonowała.

– Byłeś numerem jeden – przypomniała Henley, starając się osłabić wpływ, jaki wywarł na Ramouterze atak Oliviera. – Prymusem. Najwyższe oceny na egzaminie państwowym dla detektywów.

Przez twarz Ramoutera przemknął wyraz zdziwienia pomieszanego z zakłopotaniem.

– Może i byłem prymusem, ale nie nauczyli mnie rozpoznawać psychopatów, którzy mordują z zimną krwią. Na arkuszach egzaminacyjnych nie było takich pytań.

Duke of Gloucester zapełniał się kolejnymi pozwanymi oraz członkami ich rodzin – zrozpaczonymi albo z wyrazem ulgi na twarzach. Dochodziła jedenasta, prawnicy zaczną tu ściągać dopiero za dwie godziny.

– Nie przepada za szefem, co? – zapytał Ramouter.

– On nikogo nie lubi. Wszystko, co mówi i robi, obliczone jest na wywołanie reakcji. Czytałeś protokół, prawda?

– Tak.

– Podczas przesłuchania na każde pytanie Pellacii odpowiadał „pizda". Może pan wyjaśnić, dlaczego odcisk pańskiego kciuka znajdował się na lewym piszczelu ofiary numer dwa? „Pizda". Czy wysyłał pan sierżantowi Adrianowi Flynnowi obelżywe wiadomości? „Pizda". I tak przez bitą godzinę. Tak brzmiały wszystkie odpowiedzi. Dopóki głośno nie oznajmił, że żąda prawnika, ponieważ ma powyżej dziurek w nosie patrzenia na piździelcowatą twarz Pellacii.

– Urocze.

– Pełna rozkosz.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobił. To znaczy dlaczego poprosił o adwokata.

– Dla kontroli. U niego wszystko kręci się wokół kontroli. Szydził z ciebie, dokuczał. Chciał kontrolować narrację. Nawet w odmowie odpowiedzi chodziło mu o kontrolę i nie mógł znieść, że Pellacia go jej pozbawił.

– Ale to ty go dopadłaś, zanim... – Ramouter umilkł. – Przepraszam.

Henley poczuła skurcz żołądka. Powróciło wspomnienie tamtej chwili, kiedy po raz pierwszy próbowała założyć Olivierowi kajdanki. Pchnęła go, zarył twarzą w błocie, a potem ją kopnął, łamiąc jej dwa żebra. Zauważyła nóż dopiero wtedy, gdy podniósł rękę. Z czubka ostrza kapała jej krew, krople spadały jej na twarz. Gdy ugodził ją ponownie, wezwała na pomoc Pellację. Chciała się bronić, lecz Olivier przygniótł ją do ziemi, szepcząc do ucha, że chce, by poczuła na sobie każdą część jego ciała, i że nie ma dokąd uciekać. Czas zwolnił. Myślała, że Pellacia ją opuścił, pozostawił na pewną śmierć na tym pustkowiu. Pamięta ostry, przeszywający ból w piersi, towarzyszący każdej próbie oddechu, pamięta, jak trzymała się za brzuch, żeby zatamować krwotok. Pamięta migające niebieskie światła na twarzy Oliviera, gdy przykładał jej nóż do gardła. Zamknęła oczy. Nie chciała, żeby to był jej ostatni obraz przed śmiercią. Pellacia wykrzyknął jej imię. Wtedy poczuła, jak zwalnia się ucisk na piersi. Pellacia rzucił się na Oliviera. Otworzyła oczy, przeturlała się na bok i ujrzała leżącego na wznak Oliviera oraz zbliżającego się Pellację. Spojrzała Olivierowi prosto w twarz. Miał zakrwawione usta i złamany przedni ząb. Zawołała o pomoc, kiedy poderwał się z ziemi i dwukrotnie uderzył Pellację pięścią w twarz. Następnie podszedł do Henley, splunął jej w twarz i się uśmiechnął. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, był jego krzyk, gdy dwa strzały z paralizatora Pellacii trafiły go w pierś.

– Mnie też nienawidzi – powiedziała.

– Dlaczego? Po tym, co ci zrobił...

Zacisnęła powieki, ponieważ zaczynały dawać o sobie znać pierwsze objawy migreny.

– Na konferencji prasowej obiecałam, że złapię potwora odpowiedzialnego za te zbrodnie. Nazwałam go żałosną kreaturą i przysięgłam, że go dorwę. Nie podobało mu się, że dotrzymałam słowa.

Rozdział 30

– Jesteś – rzekł Pellacia, gdy Henley weszła do biura. – Jak poszło z Chance'em Blaine'em?

– Zadowolony z siebie, nerwowy i coś ukrywa.

– A z Olivierem?

– A jak sądzisz? Tyle z niego pożytku, co z zeszłorocznego śniegu. Zajęty swoimi głupimi gierkami. Ale była też perełka: oznajmił, że jego dożywocie w Belmarsh jest wynikiem pomyłki sądowej.

– Odgrzewany kotlet.

– Wyżywał się na Ramouterze. Chłopak sobie... poradził. – Czuła się w obowiązku bronić stażysty.

– Czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. Gdzie jest teraz Ramouter?

– Przy swoim biurku. Pracuje.

– A ty?

– Co: ja?

– Nie widziałaś Oliviera od dawna, a tu nagle w ciągu dwóch dni rozmawiasz z nim dwukrotnie.

Drżenie ciała się uspokoiło, ale ból głowy nie ustąpił, wciąż pulsował.

– Nie będę kłamać i opowiadać, że miałam ubaw po pachy – odparła Henley.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Jak się czujesz?

– Nie załamię się w kąciku, jeśli o to pytasz.

– To nie w twoim stylu, zupełnie nie w twoim. Powiedział cokolwiek, co mogłoby nam pomóc?

– Nie. Zaprzecza, jakoby z kimkolwiek rozmawiał. Wypiera się zabójstwa, ale w pewnym momencie zapytał Ramoutera, czy ktoś odciął mu język.

– Język? Myślisz, że...

Pokręciła głową.

– Nie wspominałby o tym, gdyby wiedział o języku, oczach i uszach. Jest zbyt inteligentny, by dawać nam powody do podejrzeń.

Raport nadesłany przez firmę Sentinel dostarczającą systemy dozoru elektronicznego oraz zeznania personelu więziennego potwierdziły to, co mówił Ezra. Kennedy przestrzegał godziny policyjnej aż do szóstego września, kiedy o dwudziestej trzeciej czterdzieści siedem jego bransoletka przestała wysyłać sygnał w Ladywell Fields.

Do tablicy były przyczepione fotografie Daniela Kennedy'ego i Zoe Darego.

– Całkiem ładna z nich para – zauważył Ramouter, siadając.

– Czy to są billingi z obu telefonów Kennedy'ego? – zapytała Henley. Odsunęła na bok raporty i otworzyła szarą kopertę. Wyjęła z niej trzy płyty DVD. Wszystkie zawierały nagrania zarejestrowane przez kamery monitoringu. Na jednej był materiał filmowy z ośrodka, dwie

pozostałe dostali dzięki uprzejmości rady osiedla Lewisham. Jako pierwszy wsunęła dysk z ośrodka.

– Tak. Operator komórkowy potwierdził, że Zoe miała zawartą z nimi umowę. Obiecali dostarczyć mi jeszcze dzisiaj wykaz jej połączeń. I uprzedzę twoje kolejne pytanie: tak, rozmawiałem z Ezrą. Póki nie dostanie jej telefonu, ma dość ograniczone możliwości, ale może pójdzie mu lepiej z jej laptopem.

Laptop znalazła babcia Zoe w pokoju dziewczyny. Był zabezpieczony hasłem, ale dla Ezry to bułka z masłem.

– Przypomnisz mi jej numer? – poprosił Ramouter, sięgając po żółty pisak.

– Cztery ostatnie cyfry to siedem cztery trzy dwa. – Henley włączyła odtwarzanie. – Zaczynam od końca.

Powiększyła obraz na cały ekran. Kamery na zewnątrz ośrodka nie działały od pół roku, więc dysponowali jedynie nagraniem z okolic recepcji. Henley cofnęła je do dnia, w którym Kennedy złamał godzinę policyjną.

– Jej numer nie pojawia się w jego telefonie na kartę – mruknął Ramouter, przeglądając rejestry połączeń.

– Tu go mamy – rzekła Henley. Zatrzymała nagranie i zapisała w notesie godzinę. Kennedy pojawił się w zasięgu kamery o jedenastej czterdzieści trzy. Przystanął w holu, przez dwie minuty i osiemnaście sekund rozmawiał z innym mężczyzną. Był ubrany w T-shirt marki Superdry oraz dżinsy. O jedenastej czterdzieści sześć wyjął telefon z tylnej kieszeni spodni i spojrzał na ekran. Henley powiększyła obraz. Był to srebrny iPhone, który znalazła pod jego łóżkiem.

– O, jest – powiedział Ramouter, energicznie zakreślając coś na kartkach papieru. – Na jego drugim numerze. – Wyrazu podniecenia na jego twarzy nie dałoby się pomylić z niczym innym. – Ciało Kennedy'ego znaleziono w poniedziałek rano, zgadza się?

Henley zatrzymała nagranie.

– Linh twierdzi, że prawdopodobnie nie żył od około czterdziestu ośmiu godzin. Zginął więc wcześnie rano w sobotę albo w nocy z piątku na sobotę.

– Zoe dzwoni do niego w piątek o dwudziestej drugiej czterdzieści sześć, dwukrotnie. On nie odbiera. Pamiętam, że jego godzina policyjna zaczynała się o dwudziestej pierwszej, powinien więc być w ośrodku. Dziewczyna dzwoni po raz trzeci o dwudziestej drugiej czterdzieści siedem. Tym razem Kennedy się zgłasza, rozmawiają przez czterdzieści pięć sekund. O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt siedem dzwoni do niego ponownie. Ta rozmowa trwa osiemnaście sekund.

– Czekaj – poprosiła Henley i przesunęła nagranie. Kennedy ponownie wszedł do hostelu dwie minuty po dwudziestej. – O, jest, wychodzi. – Wcisnęła pauzę. Zegar na nagraniu wskazywał dwie minuty po dwudziestej trzeciej. Kennedy miał na sobie krótką wiatrówkę i wyszedł szybkim krokiem.

– Zoe już więcej nie dzwoni. On do niej nie oddzwania, ale wysyła wiadomość. Siedem minut po dwudziestej trzeciej. „Jadę. Zostań na miejscu. Biorę taksówkę". Ona odpisuje: „OK". Dziewiętnaście minut po dwudziestej trzeciej wysyła mu kolejnego SMS-a: „Ile ci to zajmie?". On odpowiada: „Ok. 15 min. Jadę, skarbie". I kolejny SMS także o dwudziestej trzeciej dziewiętnaście: „Czekaj na mnie w szpitalu. Jadę. Całusy". Na tym kończą się telefony i SMS-y. Ezra ma rację. Telefon jest aktywny do wtorku, ale wszystkie połączenia zostają przekierowane do

poczty głosowej. Numery zaczynają się od zero trzysta czterdzieści pięć i zero osiemset. Jest też zero sto sześćdziesiąt jeden. To kierunkowy do Manchesteru. Mogą to być centra obsługi klienta.

– Zoe dzwoni do niego, ponieważ ma jakieś kłopoty. Coś wystraszyło ją na tyle, że skłania go do naruszenia warunków zwolnienia.

– Przecież znalazłaś jego bransoletkę pod łóżkiem.

Henley przesuwa nagranie do przodu. Zegar w rogu ekranu pokazuje północ, pierwszą, drugą, trzecią. Drzwi hostelu otwierają się ponownie sześć minut po trzeciej.

– To nie on – mówi Henley, wciskając pauzę. Na obrazie widać mężczyznę w krótkiej wiatrówce i T-shircie.

– Jak to? Wychodził w takim samym ubraniu.

Cmoknęła i pokręciła głową.

– Widzisz ten zielony znak wyjścia ewakuacyjnego na ścianie? Na wcześniejszym nagraniu, gdy po raz pierwszy widzimy Kennedy'ego, jego głowa sięga górnej krawędzi tabliczki. W protokole z ostatniego aresztowania odnotowano, że ma metr osiemdziesiąt osiem wzrostu. Ten facet...

– Jest niższy co najmniej o osiem centymetrów.

– Właśnie. Idzie ze spuszczoną głową, w dodatku ma czapkę z daszkiem. Kennedy nie wychodził w czapce. – Wstała i podeszła do okna. Niebo pociemniało, deszcz bębnił w brudną szybę. Słychać było daleki pomruk burzy, pierwszy zwiastun załamania się upalnej pogody.

– Tylko dlaczego się fatygował? Po co zawracał sobie głowę z podrzucaniem bransoletki Kennedy'ego do jego pokoju? Dlaczego po prostu nie wyrzucił jej gdzieś do kubła? – zastanawiał się Ramouter.

Na niebie błysnęło. Henley zerwała się z miejsca.

– Idę zobaczyć się z Linh. A ty dociśnij kryminalnych i sprawdź, czy jesteśmy choć trochę bliżsi zidentyfikowania trupa z cmentarza.

– Ten koleś... – Ramouter postukał długopisem w ekran. Stop-klatka pokazywała mężczyznę w czapce z daszkiem. – Myślisz...

– Przejrzyj od nowa cały materiał. Zobacz, czy w jakimś punkcie widać, jak ktoś zabiera go spod hostelu. To może być nasz zabójca. – Umilkła, spoglądając ponownie na zatrzymany obraz. – Ile, twoim zdaniem, może mierzyć Chance Blaine?

– Niewiele więcej ode mnie. Metr osiemdziesiąt, może trochę mniej.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie był w piątkową noc. Przesłał już nam swój harmonogram?

– Nie, jeszcze nic nie przyszło.

– Ponaglij go. Powiedz, że ma dwie opcje. Albo prześle nam informacje, albo zostanie aresztowany przy najbliższych oględzinach nieruchomości.

Rozdział 31

Dopadło ją znienacka. Fala nudności, ból pod prawą pachą, a potem mrowienie ręki. Skóra głowy zaczęła szczypać od potu.

Raz, dwa, trzy, wdech. Raz, dwa, trzy, wydech.

Próbowała techniki oddechowej, której nauczył ją terapeuta, lecz płuca odmówiły współpracy. Nie spodziewała się takiego ataku paniki. Od odkrycia pierwszego ciała minęło dopiero pięć dni.

– Wszystko w porządku? – zapytała Linh. Henley nie odpowiedziała. – Nie, widzę, że nie w porządku.

Henley zaczerpnęła powietrza, żeby uwolnić się od nudności.

– Chodź. Wyjdźmy na zewnątrz.

Wspięły się po schodach, Linh otworzyła drzwi przeciwpożarowe prowadzące do ogrodu na dachu, jak prześmiewczo zwała to miejsce. Burza szybko minęła, powietrze nadal było parne.

Linh przetarła chusteczką siedzisko krzesła.

– Dziękuję – powiedziała Henley. Usiadła i odkręciła butelkę wody.

– Lepiej ci trochę? – Linh wyjęła z kieszeni elektronicznego papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła duży obłok pary o zapachu malin.

Henley pochyliła się, wsparła brodę na dłoni. Taras znajdował się na pierwszym piętrze, więc widok ograniczał się do sąsiedniego parkingu.

– Nie chce mi się wierzyć, że to się stało – powiedziała Henley. – Od tak dawna nie miałam... – umilkła. Nie chciała kwalifikować tego, co właśnie przydarzyło się jej w biurze Linh, nazywając rzecz po imieniu. – Już jest dobrze.

– Ale to nie pierwszy raz.

Henley nie potwierdziła. Powtórzyła tylko:

– Już jest dobrze. Nic mi nie jest. Mam teraz sporo na głowie, a nie odżywiam się, jak należy. Nie umiem żyć na herbacie i fast foodzie.

– Ja jadę na kawie i papierosach. To znaczy na ich namiastce. Boże, ależ brakuje mi fajek. Wiem, że nie jest ci łatwo. Długo nie było cię w pracy.

– Byłam, Linh. Pracowałam przez cały czas. Tylko nie w terenie.

– Tak, jednak śledztwo na papierze to nie to samo co oglądanie krwi i bebechów na żywo, prawda? Każdy może...

– Masz coś dla mnie? – przerwała jej Henley.

– Jezu, czasem zachowujesz się jak humorzasty babsztyl. – Linh ponownie zaciągnęła się e-papierosem, po czym otworzyła teczkę, która leżała na jej kolanach.

– Wciąż czekam na wynik badań toksykologicznych mężczyzny z cmentarza. W wypadku Kennedy'ego i Darego analiza wykazała obecność propofolu, powszechnie stosowanego środka znieczulającego, oraz bezylanu atrakuriowego.

– Bezylanu... jakiego? Co to jest? – zapytała Henley. Wyprostowała się. Tamto uczucie w piersi przypominające trzepoczącego się w klatce ptaka ustąpiło, podobnie jak zniknęło mrowienie w prawej ręce.

– Bezylan atrakuriowy – wyartykułowała powoli Linh, tak jakby uczyła pięciolatka pisowni. Henley nie poczuła się urażona. – Środek zwiotczający mięśnie stosowany podczas zabiegów chirurgicznych. Blokuje przewodzenie w centralnym układzie nerwowym i wywołuje paraliż. Zależnie od podanej dawki jego działanie może utrzymywać się od czterech minut do godziny. Przesłałam raport z autopsji tych dwojga na twoją zaszyfrowaną skrzynkę. Miejsce wkłucia znajdowało się tutaj. – Linh przekręciła głowę i wskazała punkt poniżej lewego ucha. – Prosto do żyły szyjnej. Na podstawie ilości substancji w ich krwi szacuję, że paraliż trwał od trzydziestu do czterdziestu minut.

– Traci się od tego przytomność czy następuje tylko paraliż?

– Tylko paraliż. To nie to samo co podanie komuś pigułki gwałtu, która w gruncie rzeczy jest zwykłym środkiem uspokajającym i zaczyna działać po dwudziestu minut. Reakcja na tę substancję następuje od trzech do pięciu minut od wprowadzenia jej do krwiobiegu, po czym szybko dochodzi do paraliżu. Obniża się ciśnienie krwi, zmniejsza jej dopływ do mięśni, ale człowiek zachowuje przytomność.

– Olivier w ten sposób nie działał.

– Z tego, co pamiętam, nie. Przecinał tętnicę szyjną, a następnie ćwiartował. Nasz nowy przyjemniaczek najwyraźniej najpierw wstrzykuje BA, a dopiero potem kroi ofiary na kawałki.

– Jak to? Wszyscy zginęli w ten sposób?

– Z wyjątkiem tego z cmentarza nie mają ran kłutych. Wykrwawili się albo po przecięciu tętnicy udowej, albo po dekapitacji. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ten nowy to jakiś sadysta. W organizmie Darego znajdowało się więcej bezylanu atrakuriowego niż w ciele Kennedy'ego. Nie chcę się wtrącać do twojej roboty, ale powiedziałabym, że...

– Zabójca dłużej utrzymywał Zoe przy życiu.

Henley podeszła do krawędzi dachu i spojrzała w dół na ulicę. Zbliżała się godzina szczytu. Policyjny motocykl cicho przemykał między sznurem samochodów, mrugając niebieskimi światłami. Nagle coś jej zaświtało. Naśladowca postępował wedle własnych, nowych reguł. Nie kopiował Oliviera.

– Skoro przepływ krwi zostaje spowolniony, nie umiera się od razu – zauważyła. – On chce, żeby widzieli, jak odcina im kończyny. Chce, żeby patrzyli. Żeby Zoe cierpiała jak najdłużej.

Henley bezmyślnie chrupała krewetkowe krakersy, na ekranie telewizora przewijały się napisy końcowe. Emma spała na jej kolanach, kurczowo ściskając żółty kocyk w drobnej piąstce. Powinna była położyć córeczkę do łóżka, ale trzymała się jej jak szalupy ratunkowej.

– Butelka się skończyła. – Rob ostrożnie wstał z sofy. – Przyniosę drugą.

Henley jęknęła, gdy w drugim końcu pokoju rozległ się dzwonek jej telefonu. Rob podał jej komórkę. Dzwonił Anthony.

– Anj, przepraszam, że cię niepokoję. Ale wiesz, że nie zawracałbym ci głowy, gdyby to nie było nic ważnego.

– Wiem. Co się stało?

Anthony westchnął. Wydawał się zmęczony.

– Zidentyfikowaliśmy ofiarę z cmentarza.

– Naprawdę?

– Tak. Musieliśmy posłużyć się kartą leczenia stomatologicznego, dlatego tak długo to trwało.

– Kto to?

– Nazywa się Sean Thomas Delaney. Urodzony szesnastego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. W poniedziałek jego matka zgłosiła zaginięcie. Prześlę ci mailem wszystko, co wiemy. Muszę lecieć. Mamy kolejny atak nożownika, tym razem w Kennington. Znów dzieciak.

– Ile lat?

– Trzynaście – odparł z rezygnacją.

Henley otworzyła raport. Dołączono do niego fotografię. Nie zauważyła, że Rob wrócił do pokoju.

– Kto to? – zapytał.

– Sean Delaney.

– Hm... Przystojny. – Rob napełnił winem jej kieliszek. – Zakładam, że ma związek z twoją pracą.

– Tak. Z pracą.

– Daj spokój, zostaw to. Zaniosę Ems do łóżka. Mieliśmy spędzić razem w domu nudny piątkowy wieczór, pamiętasz?

– Masz rację. – Henley odłożyła telefon i przyglądała się, jak Rob delikatnie bierze córeczkę na ręce. Sięgnęła po kieliszek i próbowała skupić się na telewizorze, nie była jednak w stanie śledzić, co działo się na ekranie. Coś ją nurtowało. Myśl, że Sean Delaney wygląda znajomo. Że już gdzieś go spotkała.

Rozdział 32

– Chyba sobie żartujesz? Jest sobota.

Rob stanął w drzwiach łazienki. Henley klęczała obok wanny, podtrzymując Emmę, która udawała, że pływa.

– Tylko na parę godzin – wyjaśniła.

– W ogóle nie powinnaś tam iść. Mamy plany.

– To dziecięce przyjęcie. Simon zrozumie.

– Szukasz wymówki, chcesz się wymigać.

– Wcale nie. W końcu to urodziny mojego bratanka. Obiecuję wrócić na czas. Zdążę.

– Nie w tym rzecz i dobrze o tym wiesz. Znowu pozwalasz, żeby to śledztwo pochłonęło cię w całości. Tak samo jak ostatnio.

– Nie mogę zostawić mojego zespołu. Sądziłam, że zrozumiesz.

– Rozumiem, ale to wszystko jest gówno warte.

– Nie przeklinaj przy Ems. Podaj mi jej ręcznik.

Rob z obrażoną miną podszedł do wieszaka i wręczył Henley różowy ręcznik.

– Będzie tam Stephen?

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła Emmę z wanny i owinęła ją ręcznikiem.

– Więc jak? Będzie?

– Przestań robić z igły widły. Oczywiście, że będzie. To praca. Uwierz mi, nikt nie ma ochoty siedzieć w sobotę w SCU.

Henley skupiła całą uwagę na wycieraniu córeczki. Nie zamierzała ciągnąć tematu.

– Chodź, skarbie – powiedziała do dziecka. – Ubierzemy się. Mamusia musi pójść do pracy.

Rob ciężko westchnął, zdał sobie sprawę, że toczy przegraną bitwę.

– Tylko pamiętaj, wróć przed trzynastą – powiedział, kiedy Henley niosła Emmę do ich sypialni.

– Zbezczeszczenie zwłok to ewidentna przesada – skomentował doktor Mark Ryan.

– Wydawało mi się, że porąbanie ciała na kawałki to przesada – wtrącił Stanford.

Pomimo że od kwietnia nikomu z SCU nie zapłacono za nadgodziny, zespół zebrał się w komplecie. Mark patrzył prosto na Stanforda, który siedział na biurku w centrum koordynacyjnym, racząc się wraz z Eastwood paczką chipsów o smaku octu winnego i soli. Mark i Stanford nie przepadali za sobą. Ten drugi uważał, że profilerzy kryminalni są zbyt dobrze opłacani za wskazywanie rzeczy oczywistych. Mark, który protestował przeciwko tej nazwie, utrzymując, że jest psychologiem kryminalnym, dawał jasno do zrozumienia, że uważa Stanforda za człowieka aroganckiego, niegodnego zaufania i niestabilnego.

– Stanford, zachowuj się. – Henley wsypała do herbaty paczuszkę brązowego cukru i odgryzła kęs placka ziemniaczanego z McDonald'sa. Jej dieta naprawdę zeszła na psy.

– Rozczłonkowanie ciała nie było przesadą – rzekł Mark kategorycznym tonem. – Tu chodzi o okrucieństwo. Tacy ludzie jak Olivier przez lata tłumili ból i gniew. Ten ból zwykle wywodzi się z jakiejś traumy z przeszłości.

– Ale co go sprowokowało? Przecież nie jest tak, że człowiek budzi się pewnego dnia rozdrażniony i wkurzony i nagle postanawia dokonać serii brutalnych morderstw. Dlaczego nie poprzestał na jednym? – zastanawiał się Ramouter. Pochylił się do przodu, wyraźnie zaintrygowany.

To właśnie Henley lubiła w Marku. I dlatego potrafił skutecznie przekonać ławę przysięgłych, gdy pojawiał się w sądzie w roli biegłego.

– Dlatego, że rozczłonkowanie rozładowuje emocje, przynosi ulgę. Samo zabójstwo nie wystarcza. Olivier jest psychopatą. W jego przypadku poćwiartowanie ciał i wystawienie ich na widok publiczny stanowiło odzwierciedlenie jego narcyzmu, megalomanii, pogardy. Był dumny ze swego dzieła. To jedyne uczucie, jakie mu towarzyszyło.

– Nie trzeba mieć cholernego doktoratu, żeby to wykombinować – mruknął pod nosem Stanford.

Henley zmięła zatłuszczoną torebkę z McDonald'sa i cisnęła ją w głowę Stanforda.

– Przestań – skarciła go. Stanford wypowiedział bezgłośne „przepraszam" i podniósł zgniecioną torebkę.

– Nasz naśladowca jest natomiast inny. – Mark zaczął przechadzać się po pokoju niczym wykładowca. Choć nie krył swojej niechęci do hollywoodzkiego wizerunku profilera kryminalnego, lubił mieć publiczność.

– Zabójcom-naśladowcom zależy na skupieniu na sobie uwagi. Ten człowiek prawdopodobnie boryka się z takimi samymi problemami psychicznymi, jak Olivier. Jest samotnikiem. Ma traumę z dzieciństwa. Cechy psychopatyczne. Ale różnica polega na tym, że u niego występuje także kompleks niższości. Nasz naśladowca nie jest zainteresowany zabawą w kotka i myszkę, wodzeniem policji za nos. On pragnie zyskać uznanie, rozgłos, a nawet aprobatę samego Oliviera.

Stanford parsknął, gdy doktor Ryan zatrzymał się przy jego biurku, spojrzał mu prosto w oczy i uśmiechnął się z wyższością.

– Ego naśladowcy będzie zawsze odgrywało pewną rolę. Tacy ludzie będą próbować w jakiś sposób odcisnąć na zbrodni swoje indywidualne piętno.

– To by tłumaczyło użycie środka zwiotczającego mięśnie oraz zachowanie niektórych części ciała – stwierdziła Henley.

– Otóż to. Istnieją dwa typy seryjnych zabójców. Ci, którzy koncentrują się na czynie, oraz ci, którzy koncentrują się na procesie – ciągnął doktor Ryan.

– Czym to się różni? – zapytała Henley.

– Olivier skupia się na czynie. Zabija szybko, ponieważ daje upust swojemu gniewowi, natomiast wasz naśladowca skupia się na procesie. Obezwładnia i unieszkodliwia swoje ofiary, żeby widziały, jak odcina im kończyny, przygląda się ich powolnej śmierci, a później okalecza zwłoki. Zabija powoli, ponieważ czerpie przyjemność z zadawania tortur. Głównym motywem Oliviera była zemsta. Wasz sprawca morduje, bo to lubi.

Doktor Ryan przestał krążyć po pokoju. Zaległa cisza. Henley odsunęła na bok zjedzonego do połowy McMuffina z bekonem i jajkiem. Straciła apetyt.

– Żeby tu przyjść, zrezygnowałem z oglądania meczu Arsenalu na ich stadionie – burknął Stanford. – Powiedz nam może coś, czego nie wiemy.

– Kogo szukamy? – wtrąciła Henley. – Czy mamy do czynienia z obsesyjnym fanem Oliviera, czy człowiekiem rzeczywiście z nim powiązanym?

– Gdyby był po prostu opętanym fanem, spodziewałbym się losowego wyboru ofiar, a w tym wypadku tak nie jest – odparł Mark. – Ludzi zabija się z czterech powodów: z miłości, pożądania, czystej nienawiści albo dla pieniędzy. Podejrzewam, że wasz zabójca morduje z nienawiści. Kennedy i Darego byli parą i byłbym bardzo zaskoczony, gdyby nie istniał żaden związek między nimi a Delaneyem. Wasz naśladowca nienawidzi swoich ofiar z powodu czegoś, co zrobili mu wspólnie.

– Co wiemy o Delaneyu? – zapytała Eastwood.

– Niewiele – odrzekł Ramouter. – Poza tym, że miał czterdzieści jeden lat, pracował jako opiekun w Ośrodku Leczenia Uzależnień w Catford. W związku małżeńskim z Jamiem Hawkinsem-Delaneyem. Od razu poszedłem z nim porozmawiać, ale jego stan na to nie pozwalał. Spróbuję jeszcze raz dziś wieczorem.

– Ale nasz naśladowca wie o symbolach – zauważyła Eastwood. – Przejrzałam protokoły z procesu Oliviera. Potwierdzają, że jedynymi osobami obecnymi na sali rozpraw byli sędzia, ławnicy, sekretarz sądowy, woźny, prokurator, młodszy obrońca oraz dwaj funkcjonariusze siedzący na ławie oskarżonych obok Oliviera.

– Informacja nigdy nie trafiła do prasy? – zapytał Mark.

– Nigdy. Rozmawialiśmy z dwunastoma ławnikami i wszyscy stanowczo oświadczyli, że nie omawiali z nikim tej sprawy.

– Czy to oznacza, że naszego naśladowcę musi coś łączyć z Olivierem? – zastanawiała się Henley.

– Znajomi, rodzina – podsunął Ramouter.

Mark pokręcił głową.

– Olivier to typ samotnika, ale nie chcę przez to powiedzieć, że inni nie mieliby ochoty się z nim zaprzyjaźnić. Ludzie od zawsze korespondują z więźniami. Może i jest psychopatą, ale potrafi też być ujmujący.

– Blaine wygląda mi tu na mocnego kandydata – rzekł Ramouter. – Należał do zespołu jego obrońców. Nadal go odwiedza i nie ma alibi na piątkową noc, choć kiedy go pytałem, twierdził, że był ze swoją dziewczyną.

– No dobrze, skoro ma jakieś powiązania z Olivierem, dlaczego tak się spieszy? – zapytała Eastwood.

I właśnie to pytanie nurtowało Henley najbardziej.

– W ciągu tygodnia zabił trzy osoby – mówiła dalej Eastwood. – Olivier zamordował siedem w czasie ośmiu tygodni.

– Przyznaję, to budzi obawy. Temu zabójcy zależy na wywarciu wrażenia. Jedyne, co może działać na waszą korzyść, to większe prawdopodobieństwo, że powinie mu się noga. Niewykluczone, że zabijał już wcześniej, że przed Kennedym i Darego były inne ofiary, lecz odstęp czasu między zbrodniami nie jest niczym niespotykanym. Nie wiem, czy pamiętacie sprawę Futoshiego Kobayashiego z Japonii sprzed około pięciu lat. W ciągu trzech tygodni zamordował dziewięć kobiet. To doprawdy fascynujące...

– Jak można się czymś takim fascynować – mruknął pod nosem Stanford.

– Kobayashi – kontynuował Mark – polował w Internecie na kobiety o skłonnościach samobójczych. Wabił je do siebie i namawiał do popełnienia zbiorowego samobójstwa. Oczywiście tak się to nie kończyło.

– A jak? – Ramouter był ciekaw.

– Dziwnym trafem on także je ćwiartował. Ba, posunął się jeszcze dalej. Przeprowadzał kompletną sekcję zwłok, wyrzucał organy, mięśnie i skórę do śmietników komunalnych, a kości przechowywał w pojemnikach.

Henley rozejrzała się po pokoju. Wszyscy siedzieli jak skamieniali. Na twarzy Stanforda obrzydzenie mieszało się z niedowierzaniem.

– Żałuję, że w ogóle spytałem – skwitował Ramouter.

Rozdział 33

Henley leżała w łóżku, wpatrując się przez niemal godzinę w martwego pająka w rogu sufitu. Zza okna docierały odgłosy miasta. Zegarek wskazywał siódmą czterdzieści dwie. Łóżko po stronie Roba było puste. Wkurzył się na nią, że spóźniła się na przyjęcie. Po dziesięciu minutach od ich powrotu do domu wyszedł ponownie. Henley spędziła resztę wieczoru z butelką czerwonego wina. Emma spała. Przez otwarte okno Henley usłyszała terkot helikoptera, trzaśnięcie furtki i zapalanie silnika samochodu. Przez jej głowę przemykały miliony myśli. Na stoliku nocnym leżało nietknięte opakowanie pigułek nasennych. Nie widziała sensu ich zażywania, skoro była już czwarta rano i świergotały ptaki.

Westchnęła i wreszcie wygramoliła się z pościeli. Zajrzała do śpiącej Emmy i powędrowała myślami do rodzin ofiar, do ich rozpaczy. Jedynym wspólnym mianownikiem było to, że ich bliscy zostali zamordowani, a ciała rozrzucono po okolicy. Okolicy dobrze Henley znanej.

Włączyła czajnik, podeszła do lodówki. Może najwyższy czas zrobić wreszcie coś miłego. Zachować się jak prawdziwa żona. Postarała się w piątkowy wieczór i wiedziała, że powinna starać się nadal. Nie była w pełni przekonana, czy zaserwowanie Robowi porządnego angielskiego śniadania sprowadzi ich relację na drogę do odkupienia win, ale zawsze to jakiś początek.

Obecni na miejscu świadkowie twierdzili, że ciało znalezione na cmentarzu przy kościele Świętego Mikołaja w Deptford było rozczłonkowane. Nie ujawniono tożsamości ofiary, ale podejrzewa się, że morderstwo może mieć związek z zabójstwem Uzomamaki Darego, dwudziestosześcioletniej pielęgniarki ze Stratford, której zwłoki...

– Że co? – wykrzyknęła i podgłośniła radio. Słuchała spikera podającego w dalszym ciągu informacje, które nie zostały przekazane mediom. Ostatnią osobą z SCU, która rozmawiała z prasą, był Pellacia wydający oświadczenie, że potwierdzono tożsamość Daniela Kennedy'ego.

Podskoczyła na dźwięk głośnego pukania do drzwi, wylewając gorącą herbatę na swoje gołe nogi. Dochodziła ósma rano, Emma już się obudziła i przyczłapała na dół z sypialni.

– Dzień dobry, skarbie. – Henley podniosła dziewczynkę. – Oho, robisz się ciężka.

Wyjrzała przez matową szybę w drzwiach wejściowych, ale nikogo nie zauważyła. Zaniosła Emmę do pokoju, posadziła na kanapie i włączyła telewizor. Na pewno ktoś pukał, wyraźnie słyszała. Podeszła ponownie do drzwi frontowych i je otworzyła. Na zewnątrz nie było nikogo, za to przed progiem leżało tekturowe pudełko z jej nazwiskiem starannie wypisanym czarnym tuszem. Żadnych nalepek adresowych.

Ruszyła żwirową ścieżką do czarnej żelaznej furtki, oparła się o jej pręty. Żadnych samochodów. Nikogo. Nawet bezpańskiego kota czy zabłąkanej wiewiórki.

– Luna, chodź tutaj. – Pies obwąchiwał pudełko. Henley zaciągnęła zwierzę do domu, a sama uklękła i podniosła klapy kartonu, odsuwając na bok pociętą na strzępy gazetę. Zastygła, gdy jej palce zaplątały się w kołtun sztywnych włosów. Miała krew na ręku. Pędem pobie-

gła na górę i chwyciła ładujący się w sypialni telefon. Wybierając numer Pellacii, pozostawiła na ekranie dwa lepkie, czerwone odciski. Zbiegła ze schodów. Niczego nieświadoma Emma oglądała telewizję.

– No szybciej, odbierz – powiedziała do siebie. Włączyła się poczta głosowa. Zadzwoniła jeszcze raz, nie zostawiwszy wiadomości.

Usłyszała skrzypnięcie zardzewiałej furtki.

– Stój! – krzyknęła do Roba. Miał wilgotne od potu włosy. Koszulkę treningową zawiązał sobie w pasie.

– Co? – odkrzyknął, zdejmując słuchawki bezprzewodowe i przewieszając je na szyję.

– Nie ruszaj się. Zostań tam, gdzie jesteś.

– Jak to: mam się nie ruszać? – Rob zaczął iść żwirową ścieżką. – Co się z tobą dzieje?

– Do ciężkiej cholery... – Nie zdążyła dokończyć, ponieważ odezwał się sygnał jej komórki. Odebrała połączenie, rozmazując przy tym krew na ekranie. Nie spuszczała oczu z Roba.

– Co to jest? – zapytał. Zatrzymał się przy pudełku i pochylił.

– Nie dotykaj! – wrzasnęła, błyskawicznie robiąc krok w jego stronę.

– Anj, co się stało? – Zgłosił się Pellacia.

– Stephenie, potrzebuję... – urwała, ponieważ usłyszała wołanie Emmy. Odwróciła się tylko na sekundę, ale to wystarczyło, by Rob podniósł pudełko. Usłyszała donośny krzyk i głuchy łomot. Żwir prysnął na podjazd, Rob zatoczył się w tył, potknął i upadł.

– Anjelico? – powiedział Pellacia.

– Wyślij do mnie do domu ekipę i zespół techników.

– Po co, do cholery?

Henley odruchowo wyciągnęła rękę, by złapać Emmę, która przydreptała z pokoju. Dziewczynka zrobiła krok naprzód, stanęła i się rozpłakała. Henley spojrzała w dół i zobaczyła krew na palcach.

– Wszystko dobrze, kochanie. Mamusi nic się nie stało.

Uklękła, ostrożnie objęła córeczkę ramieniem, uważając, by nie pobrudzić jej krwią.

– Jesteś tam? – zaniepokoił się Pellacia.

– Natychmiast, Stephenie. Wyślij ich natychmiast.

Rozdział 34

Anthony, który błyskawicznie dotarł z Shepherd's Bush, kucnął w rozbitym na trawniku Henley małym policyjnym namiocie, który z daleka wyglądał jak pawilon ogrodowy. Zjawił się też Stanford, Linh była w drodze.

Stanford zajął się Emmą. Siedział z nią w ogrodzie, starając się odwrócić uwagę dziecka oraz Luny od zgromadzonych wokół furtki gapiów.

– Opowiedz mi jeszcze raz, co się stało – poprosił Pellacia. Siedział na krześle naprzeciwko Henley, Rob stał przy kuchennym zlewie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, zupełnie bez ruchu. Tylko obserwował.

Henley odsunęła się od Pellacii, żeby znaleźć się bliżej męża.

– Byłam tutaj. Słuchałam radia. Piłam herbatę. Zabierałam się do robienia śniadania, bo wiedziałam, że Rob niedługo wróci z joggingu. – Spojrzała na niego. Wyraz jego twarzy się nie zmienił, nie znalazła na niej żadnej oznaki wdzięczności. – Rozpoczynały się wiadomości, więc musiała dochodzić ósma. Wtedy ktoś zapukał. Tak głośno, że aż podskoczyłam. Wstałam z krzesła i napotkałam Emmę na dole schodów. Wyjrzałam przez szybę w drzwiach, ale nikogo nie zauważyłam. Posadziłam Emmę w salonie, włączyłam jej telewizor i poszłam otworzyć drzwi.

Henley poczuła, jak robi się jej gorąco. Zdjęła z włosów chustkę.

– Nie powinnam była otwierać kartonu. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Nie było adresu. Tylko moje imię. Dziwne.

– Zupełnie nikogo nie widziałaś?

– Powiedziała to już dwa razy – wtrącił Rob ze swego miejsca przy zlewie.

– A ty? – Pellacia spytał zaczepnie. – Ty pierwszy wychodziłeś rano z domu. Zauważyłeś coś podejrzanego?

– Sugerujesz, że to moja wina? – zapytał z agresją Rob.

– Tego nie powiedziałem – odparł Pellacia przez zaciśnięte zęby.

– Wyszedłem o wpół do ósmej. Zauważyłbym, gdyby ktoś kręcił się pod domem.

– A samochody, skutery?

– Może jeszcze latające spodki?

– Rob, przestań – poprosiła Henley. Podeszła do niego. – Nie zachowuj się jak kawał kutasa – szepnęła za jego plecami, zdjęła szklankę z ociekacza i odkręciła kran.

– Nie działo się nic wyjątkowego – burknął naburmuszony. – Widziałem, jak pan Flores spod ósemki wyprowadza psa.

Pellacia zapisał tę informację w notesie.

– I chłopaka spod piętnastki.

– Liama? – zapytała Henley, powracając na swoje miejsce.

– Nie, tego młodszego... Jak mu tam... Terrella. Szedł pograć w piłkę. Przebiegałem obok jego domu, kiedy wychodził, ale to było już w drodze powrotnej.

Pellacia skinął głową. Henley zwróciła uwagę, że nie podziękował Robowi.

– Będziemy musieli pobrać twoje odciski palców – oznajmił.

– Po kiego grzyba? – Rob zbliżył się do Pellacii, który wstał wtedy z krzesła. Henley nie zdążyła ustawić się między nimi w charakterze buforu. Rob był wyższy od Pellacii i szerszy w barkach, ale nie przytłaczał go swoją sylwetką.

– Trzymałeś w rękach dowód rzeczowy – wyjaśnił Pellacia z ledwo dostrzegalnym ironicznym uśmieszkiem. – Potrzebne nam twoje odciski do badań eliminacyjnych.

– W porządku, poproszę Anthony'ego. – Henley położyła dłoń na ramieniu Roba. Ten ze złością ją zepchnął.

– Coś jeszcze? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź, tylko przeszedł obok Pellacii, niemal się o niego ocierając, a następnie sztywnym krokiem wymaszerował z kuchni.

– Nie musiałeś tego robić – rzekła Henley, gdy Rob skręcił za róg i zniknął na schodach. – Obaj jesteście tacy sami.

– Twój mąż jest idiotą – odparł Pellacia. – Powiedziałaś, żeby nie ruszał, a on co zrobił?

– Nie w tym rzecz. Z innymi świadkami nie rozmawiałbyś w taki sposób.

– On nie jest pierwszym lepszym świadkiem. Tylko... Przepraszam. Przepraszam. – Pellacia przyciągnął Henley do siebie. Przytulona do niego czuła się przez krótką chwilę bezpiecznie.

Ktoś głośno zakasłał. Dwukrotnie. Odsunęli się od siebie, gdy w progu zjawił się Stanford z Emmą na rękach.

– Ta młoda dama właśnie mnie powiadomiła, że nie jadła jeszcze śniadania – oznajmił Stanford, rzucając Pellacii ostrzegawcze spojrzenie. W tej sytuacji zasady starszeństwa nie obowiązywały.

– O, Boże – przypomniała sobie Henley. Jajka, kiełbaski i bekon nadal leżały na blacie, tam, gdzie je zostawiła.

– Nie kłopocz się – powiedział Stanford. – Ubiorę ją i zabiorę do McDonald'sa. Zje naleśniki z wujkiem Paulem. Co ty na to, księżniczko?

– Tak – powiedziała Emma.

Henley zrobiło się ciepło na sercu, gdy Paul wydął policzki, wystawił język i zabawnie parsknął, rozśmieszając dziecko.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Bardzo urosła – skomentował Pellacia, odprowadziwszy wzrokiem Stanforda i Emmę.

– Przestań. – Henley zabrała z blatu produkty śniadaniowe i zaniosła je do lodówki. – Nie mówmy o niej.

Zacisnął szczęki.

– Rozpoznałaś, kto to? – zapytał.

– To znaczy?

– Pytam o głowę w pudełku.

– Nie, nie. Nawet nie patrzyłam. Czułam tylko, że... Nie, nie spojrzałam. Nie mam pojęcia, kto to jest ani dlaczego znalazł się pod moimi drzwiami i – nim zapytasz – za żadne skarby nie pójdę go oglądać!

Pellacia podparł się pod boki i ciężko westchnął.

– Wyślę dwóch ludzi, niech przejdą się po domach i zbiorą wywiad wśród sąsiadów. Porozmawiają z panem Floresem i... jak ten chłopak ma na imię? Terry?

– Terrell. To dobre dziecko, ma dopiero dwanaście lat, więc go nie wystraszcie. O miejski monitoring nawet nie pytaj. Na tej ulicy nie ma żadnych kamer.

– Pudełko dostarczył ktoś osobiście. Któryś z sąsiadów musiał coś widzieć.

– Uhm... – brzmiała cała odpowiedź Henley.

– Wszystko dobrze?

– Oczywiście, że nie. Im szybciej ta banda się upora...

– Bardzo dziękuję – powiedział Anthony, wchodząc do kuchni.

– Przepraszam. Już kończycie? – zapytała Henley.

– Tak. Jeszcze pół godzinki i masz nas z głowy. – Anthony zdjął lateksowe rękawiczki. – Cholera, niefortunnie się wyraziłem.

– Możesz nam coś powiedzieć?

– Na pewno człowiek. Na pewno mężczyzna. Na pewno martwy.

– Anthony!

– Przepraszam. Nie wiem, co jeszcze miałbym ci na tym etapie powiedzieć. Zdjęliśmy odciski palców z pudełka i taśmy. Trzymaj kciuki, żeby się nie okazało, że wszystkie należą do ciebie i Roba. Ale najciekawsze jest... – Anthony umilkł, jakby sam nie dowierzał temu, co zamierza powiedzieć. – Ta głowa się rozmraża.

– Co?!

– Linh nie potrafi określić, od jak dawna ofiara nie żyje, ponieważ głowę przechowywano w zamrażarce.

Rozdział 35

Henley nie mogła opanować drżenia. Stała przy umywalce, ochlapała twarz zimną wodą i umyła zęby. Dom był jakiś inny, zbrukany, przeklęty. Powinna usiąść i zrobić plan, nie wiedziała jednak, od czego zacząć i czego ów plan miałby dotyczyć.

– Gdzie jest zebra Emmy? – zapytał Rob.

– Powinna leżeć na jej łóżku. Dlaczego pytasz?

– Pakuję nasze rzeczy. – Zamaszystym ruchem otworzył szafę i zaczął zdejmować ubrania z wieszaków.

– Poczekaj. Zamierzasz się wyprowadzić bez omówienia tego ze mną?

– Anj, czyś ty postradała rozum? – krzyknął Rob.

– Ciszej, obudzisz Emmę.

– W tej chwili mam to w dupie. Jakiś psychol podrzucił nam pod drzwi odciętą głowę. Głowę, Anjelico. Prosiłem, żebyś rzuciła tę wariacką pracę...

– Nie prosiłeś. Żądałeś.

– Nie bez cholernie istotnego powodu. Nie zostanę tu i nasza córka też nie. Twój wybór, czy chcesz z nami jechać, czy nie.

– Nie w ten sposób. Nie bez wcześniejszej rozmowy.

– Jakoś ze mną nie rozmawiałaś, zanim do niego wróciłaś.

– Wróciłam do pracy, nie do niego, na litość boską! – wykrzyknęła z wściekłością, zapominając, że przed chwilą sama ostrzegała Roba, że obudzi Emmę. Usiadła na łóżku, ból pulsował jej w skroniach.

– Dokąd jedziecie? – zapytała w końcu.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Może do brata albo do rodziców, w każdym razie miarka się przebrała, Anjelico. Próbowałem. Naprawdę starałem się spojrzeć na to z innej strony, jednak sprawy zaszły o wiele za daleko. Musisz podjąć decyzję.

– Stawiasz mi ultimatum?

– Nazywaj to, jak chcesz. Tak czy owak, musisz zdecydować, co się dla ciebie bardziej liczy: kariera czy rodzina.

– Wyszłam za neandertalczyka. Wiedziałeś, na co się piszesz, kiedy brałeś ze mną ślub.

– Daję ci tydzień.

– Cóż za wielkoduszność.

– Masz szczęście, bo i tak byłem cierpliwy. Jednego możesz być pewna. Emma i ja nie zostaniemy tu dziś na noc. Kto wie, co jutro rano znaleźlibyśmy pod drzwiami.

Rozdział 36

– Jesteś na to gotowa, Henley?

– Przestań zachowywać się tak, jakbyś ogłaszał finalistów The Voice – odparła.

Stała wraz z Ramouterem przy biurku Anthony'ego w komisariacie w Southwark. W środku panowały ruch i gwar. Była zmęczona, skacowana, dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie pojechała z Robem i Emmą jak prawdziwa rodzina.

– A więc wiemy, że głowa leżała w chłodni lub zamrażarce, ale zanim podrzucono ci ją pod drzwi, gdzieś już zaczęła się odmrażać – stąd krew. Nie było łatwo, ale udało się nam rozewrzeć szczęki, żeby zrobić wycisk stomatologiczny. Tak więc mamy próbki krwi i włosów. Choć nie robiłem sobie wielkich nadziei, zdołaliśmy je dopasować do niejakiego pana Icelanda.

– Kto to? – zapytała.

– Dokładnie nie wiem, ale to nie najciekawszy element tej łamigłówki. Cofnij się pamięcią o nieco ponad dwa i pół roku.

Przewróciła oczami, Ramouter zaś nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Nigdy nie zidentyfikowaliśmy ostatniej ofiary Oliviera – ciągnął Anthony. – Nie mieliśmy DNA, nie mieliśmy odcisków, nie mieliśmy głowy...

– Powiedz, że żartujesz. – Henley osłupiała.

– Nie żartuję. Ostatnią ofiarą Oliviera był Azjata w wieku dwudziestu – trzydziestu pięciu lat. Głowy nie znaleziono. Aż do teraz.

– Gdy zdał sobie sprawę, że przypieramy go do muru, zaczął wodzić nas za nos – wyjaśniła Henley Ramouterowi. – Odmówił jakichkolwiek informacji na temat siódmej ofiary. Nie wiedzieliśmy, czy to ktoś, kto służył z nim w wojsku, czy zupełnie obcy człowiek, który po prostu miał pecha. Mogliśmy postawić Olivierowi zarzut siedmiokrotnego zabójstwo tylko dlatego, że zrobił się niedbały. Na ciele denata znaleźliśmy jego włosy oraz włókna z wykładziny w jego mieszkaniu. Prócz symboli wyciętych na plecach.

– I to jest jego głowa? – zapytał Ramouter. W ostatnich dniach zapoznał się z aktami tamtej sprawy. – Ofiary numer siedem?

– Mamy dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności – odrzekł Anthony. – Wprawdzie wszystko, czym dysponuję, to zgodność z DNA w bazie danych, jeśli jednak jakiś idiota nie oznaczył źle dowodów, rzecz jest rozstrzygająca. Jeżeli chcesz być pewna na sto procent, trzeba pobrać próbki z ciała.

– Pod warunkiem, że zostało w ogóle pogrzebane – zauważyła Henley. – Równie dobrze mogli skremować szczątki. Nie będą przecież przechowywać zwłok w chłodni na wypadek, gdyby udało się je kiedyś jakimś cudem zidentyfikować.

– Tak się składa, że przechowują – sprostował Anthony. – Ciało znajduje się w kostnicy w Finchley. Masz szczęście. Udało się uniknąć nacisku NCA na kremację niezidentyfikowanych zwłok w całym kraju. Poprosiłem kolegę o przysługę. Właśnie pobiera próbki. Gdy tylko dostaniemy zgodę, materiał trafi do Linh.

– Jesteś gwiazdą, wiesz o tym – rzekła Henley.

– Kokietujesz – odparł z uśmiechem Anthony. A po chwili spoważniał. – Ale wiesz co? Choć wykonuję tę robotę od dwudziestu pięciu lat, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Musisz przyznać, Henley, że raczej nie jestem znany z wulgarnego języka, ale to jest kompletnie popierdolone.

* * *

– Ktoś przechowywał głowę w zamrażarce? – zachichotał Pellacia.

– To nie jest śmieszne – obruszyła się Henley.

– Nie jest... tylko... tylko... Cholera, sam nie wiem. – Pellacia się wyprostował. – Przepraszam. Przepraszam... Mamy jakiekolwiek pojęcie, kto to jest i dlaczego głowę podrzucono pod twoje drzwi?

– Właśnie wprowadziliśmy jego rysopis do rejestru osób zaginionych i dziś po południu będziemy mieli wynik elektronicznego rozpoznania twarzy. Dlaczego głowa wylądowała pod moimi drzwiami? Zapewne to sposób Oliviera na pokazanie, że wciąż pociąga za sznurki i że chce namieszać nam w śledztwie. Nasz naśladowca musi z nim współpracować.

– Nie było nigdy żadnego dowodu, że Olivier z kimś współpracował. Ryan też mówił, że on był samotnikiem, a sam Olivier w zasadzie to potwierdził podczas naszej rozmowy w więzieniu – przypomniał Ramouter. – Nie miał znajomych ani członków rodziny, których można by wziąć pod uwagę. Czytałem oświadczenia policjantów, którzy przeprowadzali rewizję w jego mieszkaniu, jak również raporty speców od kryminalistyki. Nie ma mowy, by ktoś nie zauważył ludzkiej głowy obok paczki kiełbasek.

Henley posłała Pellacii surowe, ostrzegawcze spojrzenie, żeby nie zaczął się znów śmiać. Powiedział więc tylko:

– Słuszna uwaga.

– Ramouter ma rację – potwierdziła Henley. – Rodzi się więc pytanie, gdzie przez tyle czasu podziewała się głowa?

– À propos... nasz człowiek rozmawiał dziś rano z twoim sąsiadem, panem Floresem. Okazuje się, że widział kuriera na motocyklu jadącego waszą ulicą. Zapamiętał nawet nazwę firmy. Velocity Couriers. Stanford wyszedł już z sądu, posłałem go więc razem z Eastwood, żeby to sprawdzili.

– W porządku. Może wreszcie ruszymy z miejsca. Ale i tak muszę jeszcze raz zobaczyć się z Olivierem.

Ramouter zaczął rozmasowywać sobie skronie.

– Wiem, że Olivier z kimś współpracuje. Te symbole wycięte na skórze. Głowa jego ostatniej ofiary przyniesiona pod moje drzwi. Tylko idiota by przypuszczał, że to wszystko zbieg okoliczności.

– Przecież przebywa na oddziale o zaostrzonym rygorze. Jego korespondencja jest monitorowana. Nie ma dostępu do komputera ani żadnych tego rodzaju urządzeń – zauważył Ramouter.

– Proszę cię... Naprawdę myślisz, że wszyscy w Belmarsh siedzą jak aniołki i grają w Connect 4?

– Więc jaki jest kolejny krok? – zapytał Pellacia.

– Jedziemy do Belmarsh – oznajmiła Henley.
Ramouter jęknął i złapał się za głowę.
– Musimy?
– Tak, musimy. Złożymy Olivierowi kolejną wizytę.

Rozdział 37

– Tak szybko? – Olivier siedział rozparty na krześle, które nie było solidnie przykręcone do podłogi. – Wiedziałem, że za mną tęsknicie – dodał z cieniem uśmiechu.

Henley miała nadzieję, że Olivier nie zorientuje się, z jaką niechęcią tutaj przyszli. W drodze na spotkanie wygłosiła krótką przemowę, żeby dodać Ramouterowi otuchy. Prowadzono ich przez kolejne skrzydła więzienia, pod siatkami zabezpieczającymi. Musieli wysłuchiwać więźniów wyzywających Ramoutera od świń i wykrzykujących, co mieliby ochotę zrobić z Henley.

– O co chodzi tym razem? – zapytał Olivier. – O wyciąganie informacji czy dobrowolną rozmowę?

– Chcemy porozmawiać z tobą o twojej ostatniej ofierze – rzekła Henley.

Westchnął ostentacyjnie.

– Już to przerabialiśmy, pani komisarz. Nie mam na koncie żadnych ofiar.

– W niedzielę rano na progu mojego domu znalazłam głowę.

– Głowę? – Olivier zrobił zdumioną minę. – W całości?

– W pudełku. Z moim imieniem na wieczku.

Parsknął krótkim śmiechem, podobnym do szczeknięcia.

– Musiało być dość nieprzyjemnie. Spodziewałaś się kwiatów od męża? Albo od Pellacii okazującego ci swoje uczucia? Co ty na to, stażysto? Twoja służbowa partnerka w klinczu między dwoma mężczyznami. Jakież to... romantyczne.

Ramouter milczał.

– Zdaje się, że stażysta nie chce dzisiaj ze mną rozmawiać. – Uśmiech znikł z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił. – Głowa w pudełku. – Jego głos zabrzmiał twardo.

– Twoja ostatnia ofiara. To przez nią się tutaj znalazłeś. Zgubiło cię niedbalstwo. Nie zachowałeś takiej ostrożności jak przy poprzednich zabójstwach. Ktoś widział, jak porzucasz zwłoki pod ośrodkiem kultury, pozostawiłeś swoje DNA i zatrzymałeś głowę. Nie sądziłam, że kręci cię nekrofilia.

Olivier wessał prawy policzek, jakby przygryzał go od środka.

– Ted Bundy dokonywał dekapitacji niektórych swoich ofiar, uprawiał z nimi seks, a głowy przechowywał – ciągnęła Henley. – Czy tak samo postąpiłeś z ofiarą numer siedem? Schowałeś jej głowę do zamrażarki, ponieważ snułeś jakieś romantyczne plany? – Utrzymując z Olivierem ciągły kontakt wzrokowy, Henley się uspokoiła. Śledziła rytm swojego oddechu. Nie pozwoli mu się zastraszyć. – Kto to jest? – zapytała. – Kto podrzuca mi pod drzwi odcięte głowy? Kto robi za ciebie brudną robotę?

Olivier pochylił się w jej stronę. Poczuła jego nieświeży oddech.

– W razie gdybyś nie zauważyła, tkwię w zamknięciu. Z trudem organizuję sobie dostawę curry z owocami morza, a co dopiero mówić o załatwieniu człowieka, który znalazłby głowę i podrzucił ją do pewnego szeregowego domku w Brockley.

Wzdrygnęła się. Wiedział, gdzie mieszka. Co jeszcze wiedział o jej życiu osobistym?

– Bardzo przyjemnego z, powiedzmy, niebieskimi drzwiami wejściowymi. Nie, niebieski to nie twój kolor. Masz w sobie głębię. Wybrałabyś kolor, który świadczyłby o twardości, wytrzymałości. Nie czarny. To zbyt oczywiste. Może ciemnofioletowy?

Henley poczuła się obnażona. Policzyła w myślach do dziesięciu, próbując zapanować nad nerwami.

– Kto cię naśladuje?

– To – nie – jest – mój – naśladowca – wycedził Olivier wyraźnie poirytowany.

– Musi ci być ciężko, że nie masz nad nim żadnej władzy. On działa szybko. O wiele skuteczniej niż ty.

– Trzy ofiary, a mamy dopiero poniedziałek – przemówił śmiało Ramouter.

– Może nie chciałeś, żeby twój naśladowca zostawił mi pod domem karton z głową. Może miałeś inne plany, ale ten człowiek postępuje wedle własnych zasad.

Pierś Oliviera falowała. Widać było, że wzbiera w nim złość.

– Czego się boisz? Że okaże się lepszy od ciebie?

Plastikowe krzesło Oliviera wygięło się i żałośnie zatrzeszczało, gdy odchylił się na oparcie.

– Może te nowe zabójstwa są częścią jego planu, nie twojego. Ja i detektyw Ramouter siedzimy tu, co prawda, i rozmawiamy z tobą, ale cała nasza uwaga skupia się na twoim naśladowcy. Uświadamiasz sobie powoli, że nie wszystko kręci się wokół ciebie.

– Zawsze i wszystko – odrzekł szyderczo.

– Są trzy ofiary – mówiła dalej Henley, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. – Sean Delaney, Uzomamaka „Zoe" Darego i Daniel Kennedy.

Te nazwiska wywołały jakąś reakcję. Dostrzegła to w jego oczach. Powtórzyła je bardzo powoli. I znów coś zauważyła. Błysk zdradzający, że poruszyły jakąś strunę w pamięci.

– Ile miała lat? Ta dziewczyna – zapytał.

– Wiesz ile. Trąbiono o tym na lewo i prawo.

– Osiem, trzy i cztery – rzekł Olivier.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – warknęła Henley.

– Nie powiem – odpowiedział śpiewnym głosem.

– Dwadzieścia sześć lat. Była pielęgniarką – rzekł Ramouter. – Miała przed sobą całe życie, zanim ktoś nie pokroił jej na kawałki i nie wyciął na jej skórze półksiężyca z podwójnym krzyżem.

– Kiedy ludzie mówią tak o zmarłych, zawsze wydaje mi się to dziwne. „Mieli przed sobą całe życie". Jak widać, nie mieli, bo nie żyją. Może nie podobać się nam metoda usunięcia ich z tego świata, ale kiedy nadchodzi czyjś czas, to nadchodzi. – Przerwał. – Osiem, trzy i cztery.

Heney wstała i ruszyła do drzwi.

– Chodź, Ramouter. Marnujemy czas.

– A ta ostatnia ofiara? – rzucił na odchodne Ramouter.

Olivier pokręcił głową.

– Już mówiłem. Ja go nie zabiłem, ale miło, że ktoś zamierza poskładać go wreszcie do kupy. – Zarechotał. Donośny, ochrypły śmiech odbił się od ścian. – Pan Humpty Dumpty. Tylko że jego nie zdołali poskładać do kupy.

Rozdział 38

Osiem, trzy i cztery. Gdy strażnik zakładał mu kajdanki, Olivier powtarzał w myślach te cyfry jak mantrę. Maksymalne środki bezpieczeństwa. Wysokie ryzyko. Dla wszystkich, z nim samym włącznie. To ostatnie bardzo go śmieszyło. Miałby być niebezpieczny sam dla siebie? Już samo prawdopodobieństwo, że przyszedłby mu do głowy pomysł pozbawienia się życia, było absurdalne. Osiem. Trzy. Cztery. Trzy morderstwa. Trzy ciała, zbezczeszczone i rozrzucone po południowym Londynie w jakimś złożonym mu żałosnym hołdzie. Nie chciał być wielbiony. Chciał budzić postrach.

Spojrzał w dół na kark strażnika, gdy zimny metal zatrzasnął się na cienkiej, bladej skórze nadgarstka i zebrał ją w czerwieniejące fałdki.

– Co ty sobie wyobrażasz? – zapytał lodowatym głosem. Strażnik zadrżał, gdy Olivier zrobił ku niemu krok. Gdy podsunął mu nadgarstki pod sam nos, oddech strażnika gwałtownie przyspieszył.

– Przepraszam – wyjąkał mężczyzna. – Przepraszam, po prostu...

– Luźniej.

– Oczywiście.

Olivier ziewnął niecierpliwie, kiedy strażnik rozpinał mu kajdanki. Patrzył, jak skóra na jego karku naciąga się i bieleje. To był najlepszy moment na atak, gdyż ofiara jest tego nieświadoma i pochłonięta prozaiczną czynnością. Odciąć komuś głowę – to łatwiejsze, niż sobie wyobrażał. Ludzka głowa składa się z dwudziestu kości. Szyja zaledwie z siedmiu kręgów. Mniej mięśni do przecięcia, nie za dużo ciała, ale są jeszcze ścięgna i więzadła. Sierżant Flynn miał nadwagę. Tłuszcz przerastał zwiotczałe mięśnie i zapychał zastawki serca. Olivier splunął mu w twarz, oddał mocz na jego nagie ciało, a potem przyłożył piłę tuż pod grdyką i wcisnął niebieski guzik. Silnik ryczał, skóra i krew oblepiły metalowe zęby, piła zahaczyła o trzeci krąg i się zatrzymała. Olivier się roześmiał, przypominając sobie, jak szybko stępiło się ostrze. Czekał, aż strażnik zapyta, co go tak śmieszy, on jednak tylko poluzował kajdanki i odprowadził go do specjalnie strzeżonego skrzydła więzienia, nie zadając żadnych pytań.

Odepchnął od siebie obraz odpiłowanej głowy Flynna i przerzucił się na nią. Trzy. Uzomamaka Darego. Duże, brązowe, zaintrygowane oczy nerwowo zwrócone prosto na niego. Obserwował ją. Próbował wciągnąć ją w swoją grę. Chciał widzieć, jak nerwy biorą nad nią górę, chciał ją złamać, ale tak się nie stało. Nie złamała się, za to ktoś złamał ją.

Olivier wziął do ręki gazetę ze stosiku zostawionego dla niego na łóżku. Artykuł o rozkawałkowanych zwłokach w parku zaznaczono zieloną karteczką samoprzylepną. Nie było wzmianki o symbolach wyciętych w skórze ofiary ani o dwóch pozostałych ofiarach. Osiem, trzy i cztery.

– Kim jesteś, do ciężkiej cholery? – powiedział do siebie na głos, chwytając ołówek i rysując figury na białym marginesie gazety. Swój znak firmowy. Papier rozerwał się pod mocnym na-

ciskiem rysika. Ten symbol wcale nie był podwójnym krzyżem. Mylili się. To był podwójny sztylet i należał wyłącznie do niego.

„Czy ktoś próbuje zwrócić na siebie twoją uwagę?" To pytanie zadała mu Henley podczas pierwszej wizyty. Podobał mu się wyraz jej oczu. Ta gorączkowość, ta odraza, że jest zmuszona prosić go o pomoc. Widział tę wewnętrzną walkę pomiędzy trzymaniem nerwów w ryzach a nienawiścią i furią, które w niej wzbierały, gdy czekała na jego odpowiedź. Henley niczego się nie domyślała. Potrzebowała jego pomocy.

Narastał w nim intensywny gniew, kłębił się w środku, pełzł po skórze. Wiedział, że naśladowca nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, i to go irytowało.

– Nie jesteś wystarczająco dobra, pani komisarz – powiedział na głos, a następnie zaczął krążyć po ciasnej celi. Brakowało mu miejsca. Potrzebował przestrzeni, żeby zebrać myśli. Usłyszał gwar pod swoimi drzwiami. Pozostała ósemka osadzonych wychodziła z cel na pięciogodzinną socjalizację. Olivier poszedł na półpiętro. Oddział o zaostrzonym rygorze był więzieniem w więzieniu. Osiem. Trzy. Cztery. Musi sam znaleźć tego pieprzonego szachraja. Musi się wydostać.

Rozdział 39

– Nie jestem jego dziewczyną. W zasadzie nigdy nią nie byłam, a już na pewno nie spędziłam z nim piątkowego wieczoru.

Lorelei Fosse podniosła sportową torbę, wrzuciła ją do bagażnika i zatrzasnęła klapę. Nasunęła na oczy markowe okulary przeciwsłoneczne i oparła się o samochód. Ramouter patrzył na nią, mrużąc oczy przed słońcem. Stali na parkingu luksusowej siłowni w East Dulwich. Chance Blaine naprawdę mierzył wysoko. Lorelei otaczała aura gwiazdy reality TV.

– Nie był twoim chłopakiem?

– Nigdy. Nie zmieniłam nawet mojego statusu na Facebooku. Poznałam go jakiś miesiąc temu w pubie na Borough Market. Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy, a potem mnie zablokował.

– Zablokował?

– No. Wyobraź sobie. To ja przyłapałam go z inną kobietą, a on mnie blokuje.

– Kiedy to się stało?

– Boże, ze trzy tygodnie temu. Przypadkiem jechałam Lewisham High Street. Chciałam odwiedzić babcię, zatrzymałam się na światłach naprzeciwko szpitala. I widzę go z jakąś dziewczyną. Rozmawiał z nią, skręcili razem w boczną ulicę. Szli pod rękę.

– Możesz ją opisać?

Lorelei bawiła się końskim ogonem, sięgając do pamięci.

– Czarna. Dwadzieścia parę lat. Nie widziałam dokładnie jej twarzy. Miała długie warkoczyki.

Ramouter wyjął telefon i pokazał dziewczynie artykuł z gazety. Powiększył zdjęcie Zoe Darego.

– Czy to tę kobietę widziałaś z Chance'em Blaine'em?

Lorelei wzięła do ręki komórkę, przez kilka sekund wpatrywała się w fotografię, po czym oddała telefon Ramouterowi.

– Możliwe, ale szczerze mówiąc, nie przyjrzałam jej się dokładnie. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Dziękuję za pomoc.

– Proszę bardzo. A dlaczego o nią pytasz?

– Została zamordowana.

Z twarzy Lorelei odpłynęła cała krew. Dziewczyna położyła dłonie na dekolcie.

– On to zrobił? Wcale bym się nie zdziwiła. Fascynowały go wszelkie zboczenia.

Rozdział 40

Henley wracała do SCU z delikatesów po drugiej stronie ulicy, niosąc w torbie lunch. Wypiła łyk zielonego soku, choć zdawała sobie sprawę, że to marna próba zneutralizowania wódki i pieczonego kurczaka z niedzielnej popijawy.

Ramouter stał z boku z telefonem przy uchu.

– Mam tu Stanforda. Chce z tobą rozmawiać.

Henley zamieniła torbę z zakupami na telefon.

– Dobre wiadomości – oznajmił Stanford. – Trud nie okazał się daremny. Paczkę wysłano za pośrednictwem Velocity Couriers z Rotherhithe New Road. Zamówienie złożono przez Internet w niedzielę, z samego rana.

– Skąd odebrali przesyłkę?

– Z Manor Park. Z kompleksu chłodni Franklin-Jones. Zajmują się dokładnie tym, co mają na szyldzie. Większość ich klientów to firmy, głównie restauracje i praktyki lekarskie, ale wynajmują także chłodnie klientom indywidualnym. Podają im kod do bramy i oddzielny kod oraz klucz do wynajętego miejsca. Jeśli znasz kody, możesz wejść do budynku o dowolnej porze.

– Jest jakaś obsługa?

– Najwyżej cztery osoby, w tym menedżer. Pracują od ósmej rano do ósmej wieczorem. W obiekcie jest monitoring, nocą pilnuje go ochrona, ale na tym koniec.

– Co powiedział kurier odbierający przesyłkę?

– Kurier, Vincent Tiegan, mówi, że wszystko przebiegało zwyczajnie. Nie wchodził do budynku. Kobieta...

– Kobieta?

– Tak, mówi, że to była kobieta. Biała, około trzydziestopięcioletnia. Szatynka albo ciemna blondynka, nie był pewien. Niespecjalnie się przyglądał. Podpisała pobranie z magazynu i tyle. Około wpół do siódmej.

– Dlaczego nie zaczekał, aż pokwituję odbiór, skoro wszystko odbywało się legalnie?

– Podobno był spóźniony. Mam kopię formularza kontaktowego. Prześlę.

Henley siedziała przy biurku, wybierając z kanapki cebulę, a Ramouter przeglądał w tym czasie formularz.

– Na umowie najmu figuruje nazwisko Isaac Felton. Podpisano ją dwa dni po znalezieniu ostatniej ofiary Oliviera. Jest adres, numer telefonu oraz kopia rachunku telefonicznego.

– Sprawdziłeś nazwisko?

– Owszem, sprawdziłem. Jedyny Isaac Felton, na którego natrafiłem, zmarł w wieku sześciu lat w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, a adres jest fałszywy. Nie istnieje.

– Świetnie. Co za partacka firma. Wracamy więc do punktu wyjścia.

– Dwa i pół roku to szmat czasu. Takich rzeczy nie przechowuje się tak na wszelki wypadek.

– Olivier wyraźnie miał coś w planach, zanim mu je pokrzyżowaliśmy, aresztując go.

– Ale dlaczego akurat teraz? Jak to możliwe, że jest w stanie kontrolować sytuację do tego stopnia, że wysyła kogoś pod twój dom z makabryczną przesyłką?

– Nie wiem, w każdym razie zabił siedem osób. Jego naśladowca zamordował dotychczas trzy.

– Mogę się mylić – rzekł Ramouter – ale nie wydaje mi się, by Olivier miał coś wspólnego z tymi nowymi zabójstwami. Przypomnij sobie, jak zareagował, gdy powiedziałaś do niego „twój naśladowca". Wydawał się tym zirytowany.

– Zirytowany to mało powiedziane. On się wściekł, a te nazwiska nie były mu obce – zauważyła Henley. – Miał taki wyraz twarzy, jakby próbował je skojarzyć. Zwłaszcza kiedy dopytywał się o Zoe, jednak ani w życiorysie jej, ani Kennedy'ego nie ma niczego, co sugerowałoby jakieś związki z Olivierem. Choć ją mogło coś łączyć z Blaine'em.

– Zoe zwierzyła się koleżance, że w drodze do pracy napastował ją jakiś mężczyzna, a Lorelei widziała Chance'a w pobliżu szpitala. Poprosiłem radę osiedla o udostępnienie monitoringu z tamtego dnia.

– Przyprowadzimy Blaine'a do komisariatu, jak tylko obejrzymy nagranie. A na razie... – Henley przypomniała sobie rysopis kobiety, która załatwiała doręczenie przesyłki. – Musimy znaleźć tę kobietę.

Rozdział 41

Jamie Hawkins-Delaney zdjął łańcuch z drzwi wejściowych i wpuścił do środka Henley i Ramoutera. Wyglądał inaczej, niż Henley go sobie wyobraziła podczas rozmowy telefonicznej. Sprawiał wtedy wrażenie osoby silnej, pewnej siebie, rzeczowej, a stojący przed nią mężczyzna był człowiekiem załamanym. Niegotowym do przyjęcia roli wdowca. Pociągnął nosem, potarł i tak już mocno zaczerwienione oczy. Żaluzje były opuszczone, we wnętrzu panował ten charakterystyczny zaduch, jak w mieszkaniu osoby, która odcięła się od świata i od kilku dni nie opuszczała domu.

– Przepraszam za bałagan. – Jamie pozbierał z podłogi puste puszki po piwie poniewierające się przy skórzanej sofie.

– Nie ma sprawy. Proszę się tym nie przejmować – rzekła Henley. – Ale chyba nie zaszkodziłoby otworzyć okien. Wpuścić odrobinę światła i powietrza.

Jamie zajął się podnoszeniem żaluzji, po czym zupełnie się rozsypał.

– Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma. – Zakrył twarz dłońmi i osunął się na sofę pośród czasopism i paczek chipsów.

Henley zdjęła z fotela torbę na zakupy oraz rzuconą tam koszulę i usiadła.

– Współczuję z powodu Seana. – Wyjęła z kieszeni żakietu paczkę chusteczek. Jamie przyjął je z wdzięcznością. – Jak długo byliście małżeństwem?

– Tylko dwa lata, ale poznaliśmy się dwadzieścia pięć lat temu na studiach. Z początku byliśmy tylko kumplami. Ja zawsze wiedziałem, że jestem gejem, ale Sean to wypierał. Spał z połową studentek, paroma wykładowczyniami i spłodził dwoje dzieci, zanim wreszcie się ujawnił.

Henley spojrzała na wiszącą na ścianie kolekcję czarno-białych fotografii chłopca i dziewczynki. Obok nich wisiało ślubne zdjęcie Seana i Jamiego.

– Bliźniaki – wyjaśnił Jamie. – Mieszkają ze swoją mamą w Rotterdamie. Mieliśmy pojechać do nich w odwiedziny podczas przerwy semestralnej... rozmawiałem z Marie, to znaczy z ich mamą, ale jeszcze im nie powiedziała... Ja sam wciąż nie mogę zrozumieć, co się stało.

– Wiem, jakie to trudne. Obiecuję, że nie zajmiemy z detektywem Ramouterem dużo czasu.

– Dobrze, dobrze. – Jamie sięgnął po butelkę whisky i nalał sobie szklaneczkę. – Zwykle nie piję w środku dnia, ale...

– Proszę się nie krępować. Czy Sean miał jakieś problemy w pracy?

– Pracował w klinice odwykowej w Catford. Z osobami uzależnionymi od narkotyków i alkoholu. Od około ośmiu lat. Zawsze chciał pomagać ludziom. Uważał, że każdy zasługuje na drugą szansę.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Poleciałem do Maroka. Miałem tam zlecenie. Jestem fotografem. Wyleciałem w zeszły czwartek. To był nocny lot, więc Sean odwiózł mnie na lotnisko. Pamiętam, że po wylądowaniu wysłałem mu SMS-a. W sobotę rozmawiałem z nim przez FaceTime, to był dzień urodzin

jego mamy. I wtedy widziałem go po raz ostatni. Zacząłem się martwić, kiedy przestał się odzywać. Jego mama też nie miała od niego żadnych wieści i obdzwoniła wszystkie szpitale. Zanim dotarłem do domu w poniedziałek po południu, już zgłosiła jego zaginięcie.

– Ciało Seana znaleziono w Deptford. Czy domyśla się pan, co robił w tamtej okolicy? Może pojechał tam w ramach pracy? Do pacjenta?

Jamie wzruszył ramionami.

– Możliwe. Nie mieliśmy tam żadnych znajomych. Byliśmy tam kiedyś na targu, raz na koncercie w Albany Theatre, ale wiele lat temu.

– Czy Seana coś trapiło?

– Nie. Naprawdę nie miał powodów do zmartwień. Uwielbiał swoją pracę. Czasem się o to kłóciliśmy, bo zawsze siedział tam do późna. Dał nawet pacjentom swój prywatny numer. – W głosie Jamiego wyczuwało się pewną szorstkość. Gorycz i niechęć wzięły górę nad żalem. – Było zabawnie, jak o drugiej w nocy budził człowieka jakiś ćpun desperacko potrzebujący kolejnej działki.

– Czy przychodzi panu jeszcze coś do głowy, co mogło wydawać się dziwne, nietypowe?

– Nie pozwolili mi zobaczyć ciała – powiedział ze wzrokiem utkwionym w podłodze. Henley rzuciła Ramouterowi porozumiewawcze spojrzenie. Im bardziej Jamie pogrążał się w smutku, tym bardziej gdzieś odpływał.

– Zaparzę panu herbatę. Ile pan słodzi, Jamie? – zapytał Ramouter.

– Och... – Mężczyzna spojrzał na Ramoutera, jakby właśnie sobie przypomniał, że nie jest sam w pokoju. – Wcale. Dziękuję.

Po kilku minutach Ramouter powrócił z herbatą i podał ją Jamiemu.

– Policjantka, która była tu przed wami, nie pokazała mi nawet zdjęcia jego twarzy, tylko obrączkę. Powiedziała, że Sean... że jego ciało...

– Zgadza się – potwierdziła Henley.

– Cholerna ironia, co?

– Nie rozumiem?

– Zasiadał kiedyś w ławie przysięgłych...

Henley poczuła mrowienie na karku.

– Kiedy to było?

– Jakieś dwa lata temu. Poza nim nie znałem w życiu nikogo, kto ekscytowałby się udziałem w procesie.

– Na czym polega ta ironia?

– Na tym, że Sean... nie żyje. Jego przypadek... Proces dotyczył podobnego.

– Opowiadał coś jeszcze o tamtym procesie?

– Nie miał za wiele do opowiadania. Wszystko skończyło się po tygodniu. Nie pamiętam jak. Od tamtej pory minęło sporo czasu.

Henley wstała z fotela i przysiadła się do Jamiego na kanapie. Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie obróciła go ku sobie.

– Jamie, wiem, że jest panu ciężko i zapewne ma pan w tej chwili sto innych rzeczy w głowie, ale czy Sean wymienił nazwiska osób, które uczestniczyły wraz z nim w procesie? Czy mówią panu coś nazwiska Zoe Darego i Daniel Kennedy?

Jamie lekko się wyprostował i wziął głęboki oddech.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie kojarzę. Kto to? Pacjenci?

– Nie. Wiem, że już o to pytałam i że to dla pana bardzo trudny czas...

– Nie szkodzi. Jeśli tylko pomoże wam to w schwytaniu sprawcy... Pamiętam, jaki był totalnie wkurzony, kiedy sędzia powiedział, że nie mogą kontynuować... – Jamie umilkł, ponieważ zadzwonił telefon Ramoutera. Henley spojrzała na niego wymownie.

– Przepraszam – rzekł Ramouter. – Odbiorę na zewnątrz.

– To był proces człowieka z piłą – oznajmił nagle Jamie. W jego oczach błysnęła determinacja.

– Słucham?

– Tamten proces, na którym był Sean. Sam nie mógł uwierzyć. Sądzono tak zwanego człowieka z piłą.

– Petera Oliviera? Sean zasiadał w ławie przysięgłych, która go skazała?

– Tak. Był bardzo zirytowany, gdy sędzia wcześniej zakończył rozprawę...

Henley przestała słuchać. Sean Delaney był ławnikiem na procesie Oliviera. Procesie, który nie mógł być kontynuowany. Olivier drgnął, słysząc pełne brzmienie imienia i nazwiska Zoe. Szukali ogniwa łączącego Kennedy'ego, Delaneya i Zoe. I właśnie je znaleźli.

– Były dwa procesy – tłumaczyła Henley, gdy znaleźli się na zewnątrz. – Pierwszy przerwano po paru tygodniach. Olivier zareagował, gdy wymieniłam Zoe z imienia i nazwiska.

– Jesteś pewna? – Ramouter nacisnął zielony guzik bramki.

– Całkowicie. Pytałam go dwukrotnie. Uruchomiło to w nim jakieś wspomnienia.

– Okej. Załóżmy, że Zoe była na tym pierwszym procesie. Skąd w ogóle znałby jej personalia?

– Uczestniczyłeś kiedyś w rozprawie przed sądem koronnym? – zapytała, wyjmując kluczyki samochodowe.

– Nigdy – odparł i zajął miejsce pasażera. – Tylko raz składałem zeznania przed sądem pokoju.

– Gdy wybiera się ławników, pozwany siedzi na ławie oskarżonych. Słyszy ich nazwiska co najmniej dwukrotnie. Raz, kiedy są wywoływani do zajęcia miejsca w składzie przysięgłych, i drugi raz, gdy składają przysięgę.

– Przecież sprawdzaliśmy listę ławników, żeby zobaczyć, kto znajdował się na sali sądowej, gdy przedstawiano dowody dotyczące symboli, i nie było tam żadnej z naszych ofiar.

– Sprawdzaliśmy wyłącznie listę z procesu, na którym Olivier usłyszał wyrok. Nie interesował nas tamten, który nie przyniósł rozstrzygnięcia. Musimy zdobyć tę listę i porozmawiać jeszcze raz z Chance'em Blaine'em. Skazano go za wywieranie wpływu na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Jego działania doprowadziły do zaniechania pierwszego procesu. W dodatku niewykluczone, że widziano go w towarzystwie Zoe.

– Po co tracić czas? Nie lepiej po prostu go aresztować?

Henley bębniła palcami w kierownicę, rozważając ten pomysł.

– Nie. Ma o sobie wysokie mniemanie. Jest cwany. To wyszkolony prawnik i kawał przebiegłego drania. Muszę mieć jakieś dowody, zanim doprowadzę go na przesłuchanie.

– No dobrze. Jak tylko wrócimy do biura, zacznę pracować nad zdobyciem tej listy.

Henley spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Wpół do ósmej. Nie miała najmniejszej ochoty na powrót do komisariatu, lecz z równą niechęcią myślała o powrocie do pustego domu.

– Nie, to nie ma większego sensu. O tej porze niczego już nie załatwimy. Sekretariat ławników w Old Bailey będzie zamknięty. Może odwiozę cię do domu? Twoja żona i synek z pewnością się ucieszą, jeśli raz na jakiś czas wrócisz o przyzwoitej porze.

– Nie ma ich tu ze mną. Mieszkają w Bradford – odparł ze smutkiem.

– Aha... Przepraszam... nie zdawałam sobie sprawy, że...

– Nie, nie, nie jesteśmy w separacji ani nic takiego. Tylko że... moja żona nie jest...

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

– Nie. Powinienem. Moja żona choruje. Ma początki demencji. Została zdiagnozowana całkiem niedawno.

Henley zjechała na bok i włączyła światła awaryjne. Była ślepa na to, że z Ramouterem coś jest nie w porządku. Wkurzyła się, że Olivierowi udało się to rozgryźć przed nią.

– Dlaczego nic nie mówiłeś? I nie jesteś z nią, tylko w Londynie?

– Miała tu ze mną przyjechać. Mieliśmy zamieszkać wszyscy razem. Z Ethanem i jego irytującą papużką, ale sytuacja się skomplikowała. Rodziny potrafią być... apodyktyczne.

– Nawet nie musisz mi mówić. I dlatego tak często dzwonił twój telefon?

– Tak, przepraszam.

– Nie ma za co. Teraz już wiem... i lepiej, że wiem. Okej, zakładam więc, że w mieszkaniu czeka na ciebie tylko odcinek Master Chefa i gotowe danie do podgrzania.

Ramouter się roześmiał.

– Czyżbyś już u mnie była?

– Mam dobrą intuicję. – Uśmiechnęła się pomimo głębokiego smutku, który wywołała w niej trudna sytuacja życiowa Ramoutera. – Ponieważ jest już późno i nie wracamy do komisariatu, zapraszam cię do Nando's na soczystego kurczaka.

Rozdział 42

– Możemy się oszukiwać, że ten zawód nie odbija się na naszych rodzinach. Że one łatwo to znoszą.

Henley otarła skroploną parę z szyjki butelki z piwem. Taras na dachu Nando's nie był zatłoczony. Ramouter i Henley usiedli w najdalszym kącie z widokiem na Tamizę. Niebo zaciągnęło się już fioletem, turkusem i odcieniami bursztynu, w oddali migotały światła rozrastającego się miasta. Zdawało się, że jedynym zadaniem szkła i stali jest oderwanie uwagi od śmierci i chaosu na ulicach.

– Problem polega na tym, że rodziny zawsze zapewniają, iż dadzą sobie radę, i przez pierwsze kilka miesięcy, a jeśli dopisze ci szczęście, to nawet przez rok, faktycznie tak jest, a potem coś się wydarza. Wdziera się rzeczywistość. Nigdy nie przychodzisz do domu na czas, nie ma cię na siedemdziesiątych urodzinach teścia, nie chcesz mówić o parszywym dniu w pracy i na domiar złego jakiś świr próbuje cię zabić – zakończyła Henley, wypijając łyk piwa.

– Wiem, że jest trudno, ale marzyłem o tym od dawna. Sam się zdziwiłem, jak bardzo tego chciałem. – Ramouter polał kurczaka wściekle pikantnym sosem peri-peri. – A najgorsze w tej pracy, to znaczy, najgorsze dla nas, jest to, że sami siebie próbujemy przekonywać, że wcale nie zdradzamy ani siebie, ani naszych środowisk.

Henley przypomniała sobie zagorzałe sprzeczki z rodziną i przyjaciółmi wokół jej decyzji porzucenia lukratywnej posady analityka w banku inwestycyjnym, by dołączyć do podyplomowego programu rekrutacyjnego do londyńskiej policji metropolitalnej.

– Mój brat Simon nie odzywał się do mnie przez trzy miesiące – zdradziła. Ramouter empatycznie pokiwał głową. – Zanim skończył dwadzieścia pięć lat, był trzydzieści dwa razy zatrzymany przez policję za jazdę samochodem tylko dlatego, że jest czarny, a tu nagle ja oznajmiam wszem wobec, że zamierzam szkolić się w Hendon.

– Moja mama modli się za moją duszę za każdym razem, kiedy idzie do świątyni. Powiedziała, że wstąpienie do policji to większy wstyd niż wzięcie sobie za żonę kobiety spoza sikhów.

Henley udało się trochę rozluźnić podczas kolacji, delektować ciepłem miejskiego wieczoru. Na początku tak zżymała się na przydzielenie jej stażysty, iż zapomniała, że to przecież taki sam człowiek, jak ona.

– Przykro mi, że twoja żona ma kłopoty ze zdrowiem. Nie myślałeś o powrocie? – Henley zdawała sobie sprawę, że skłaniając Ramoutera do dokonania wyboru: rodzina albo praca, zachowuje się w tym momencie jak Rob.

– Co? Rezygnować z kolacji na dachu Nando's? – Uśmiech na twarzy Ramoutera zamarł równie szybko, jak się pojawił. – To ona nalegała, żebym pojechał.

– Ale czy ty tego chciałeś?

– Zależy mi i na pracy, i na rodzinie. Wygląda na to, że nie mogę mieć jednego i drugiego naraz. – Wziął ze stołu serwetkę, szybko przyłożył ją do oczu.

– Sos peri-peri podrażnił ci spojówki?

– Coś w tym stylu.

Henley wiedziała, że potrafi skłaniać ludzi do refleksji. Miała wrodzoną potrzebę sprawdzania, co kimś powoduje, jaki trzeba wcisnąć guzik, żeby ktoś zaczął weryfikować swoje zdanie. Nie wiedziała, czy ma naturę manipulatorki, czy po prostu dar perswazji.

– A jak jest u ciebie? – zapytał Ramouter, gdy Henley nabierała na widelec porcję ryżu. – Wydaje się, że udało ci się wszystko pogodzić. Nie byłaś zmuszona wybierać.

– Mój mąż przypierał mnie do muru mniej więcej raz na dzień. A później, po ataku Oliviera, kiedy dostałam zwolnienie z powodu PTSD[5], zaczął to robić dwa razy dziennie.

– PTSD?... Nie wiedziałem. Przepraszam.

Henley zbyła przeprosiny machnięciem ręki.

– Nie masz za co przepraszać. Należysz do zespołu i ze mną pracujesz. Powinieneś wiedzieć.

– Należę do zespołu... – Ramouter szeroko się uśmiechnął. – Ale już jest dobrze? Mam na myśli PTSD.

Henley popatrzyła w górę na dwa śmigłowce Chinook powracające do pobliskiej bazy wojskowej, unoszące w dal jej odpowiedź.

– Jest pod kontrolą.

Rozdział 43

Po kolejnej niespokojnej nocy Henley obudziła się o czwartej rano w pustym domu, cała spocona i zaplątana w pościel. Nie próbowała ponownie zasnąć i o szóstej rano była już w SCU.

– Sean Delaney był ławnikiem na pierwszym procesie Oliviera – oznajmił triumfalnie Ramouter, trzaskając dłońmi w biurko z taką werwą, że Henley aż podskoczyła. – Daniel Kennedy i Zoe Darego także zasiadali wówczas w ławie przysięgłych.

– Masz kompletną listę ławników? – zapytała i wypiła łyk kawy, licząc na kofeinowego kopa.

– Z pierwszego procesu. Skład pierwszej ławy przysięgłych wybrano dwudziestego piątego września dwa tysiące siedemnastego roku. – Podał kartkę z dwunastoma nazwiskami. – Ale już w następnym tygodniu ją rozwiązano, ponieważ...

– Jeden z przysięgłych odkrył jakąś informację dotyczącą Oliviera, a następnie przekazał ją innym. – Henley zaczęła sobie przypominać przyczynę krótkiej przerwy w procesie, zanim ponownie ruszył rollercoaster pod nazwą „Proces o zabójstwo przeciwko człowiekowi z piłą". – Wiemy, który z sędziów się wygadał?

– Było ich dwóch. Alessandro Naylor, sędzia numer pięć, oraz Dominic Pine, sędzia numer jedenaście. Z samego rana dorwałem prokuratora i z tego, co zapamiętał, Naylor i Pine dowiedzieli się w jakiś sposób, że sierżant Adrian Flynn, pierwsza ofiara Oliviera, był oskarżony o gwałt na Olivierze, gdy ten miał dziewiętnaście lat. Jak to możliwe, że sobie nie przypominasz?

Henley zerknęła na zegar, a potem na cienie pod oczami Ramoutera, i postanowiła wybaczyć mu to zachowanie oraz irytację w głosie. Poniekąd to przez nią zarwał noc.

– Mój udział w procesie sprowadzał się do złożenia zeznań w charakterze oficer śledczej oraz... ofiary. – Poczuła, jak czerwieni się ze wstydu. – Pierwszy skład ławników rozwiązano, zanim złożyłam zeznania. Nawet nie pojawiłam się w sądzie. Oficjalnie przebywałam na urlopie macierzyńskim. Poinformowano nas, że rozwiązano skład przysięgłych, ale przerwanie procesu z powodu jakichś niezrozumiałych dla ogółu kwestii prawnych nie jest niczym wyjątkowym. Proces wznowiono po kilku dniach z nowymi ławnikami. Wydaje mi się, że w trzecim tygodniu procesu spędziłam w sądzie raptem dwa dni.

Pamiętała to wyraźnie. Siedziała w sali rozpraw numer dziewięć w Old Bailey, będąc prawie w ósmym miesiącu ciąży. Prokurator zapytał ją, czy życzy sobie skorzystać ze środków specjalnych, na przykład złożyć zeznania za pośrednictwem łącza wideo albo zza osłaniającej ją przed Olivierem kurtyny. Pamięta, jak odmówiła i oznajmiła stanowczym głosem, że nie czuje się bezbronna ani zastraszona i zdoła jeszcze wcisnąć się za pulpit dla świadka. Emma bez przerwy kopała, jakby buntowała się przeciwko pobytowi w takim miejscu.

– Cztery dni później urodziłam córkę przed terminem. Do czasu ogłoszenia wyroku nie zaprzątałam sobie głowy Olivierem ani całą tą sprawą.

– Uhm. Tak czy owak, zarówno Naylor, jak i Pine zostali uznani za winnych obrazy sądu w grudniu dwa tysiące siedemnastego roku i obydwu zasądzono karę sześciu miesięcy pozba-

wienia wolności.

– Nawet nie będę pytać, skąd mieli informacje o Olivierze.

Ramouter się uśmiechnął.

– Od Josepha McGratha, znanego nam obecnie pod nazwiskiem Chance Blaine naszego ulubionego agenta nieruchomości. Ale zerknij jeszcze raz na tę listę. Dalej robi się jeszcze ciekawiej. Pomyśl o ofiarach i zwróć uwagę na cyfry.

Henley przyjrzała się liście.

– Uzomamaka Darego, czyli Zoe, sędzia przysięgła numer cztery. Daniel Kennedy jest pod trójką, a Sean Delaney pod ósemką. Cholera! Osiem, trzy i cztery. Tak powiedział Olivier. I powtórzył te cyfry podczas naszej ostatniej wizyty.

Henley zrobiło się słabo na myśl, że Olivier wyprzedza ich o krok. Że wcześniej niż oni rozgryzł powiązania między ofiarami.

– Ale ci ludzie nie mieli na pieńku z Olivierem – rzekł Ramouter. – Nie uznali go za winnego. Zrobił to drugi skład ławników. Gdyby to był akt zemsty, ofiarami stałyby się osoby z drugiej ławy przysięgłych. Nie widzę w tym żadnego sensu.

– Choć mówię o tym z wielką niechęcią, myślę, że Olivier powiedział nam prawdę. Nie sądzę, by zaaranżował te zabójstwa. – Podeszła do tablicy z fotografiami Daniela Kennedy'ego, Zoe Darego i Seana Delaneya. Po drugiej stronie znajdował się wygenerowany komputerowo obraz głowy podrzuconej pod drzwi jej domu. – Ofiary mogą natomiast mieć coś wspólnego z Blaine'em.

– Okej, powiedzmy, że to na sto procent robota Blaine'a. Człowiek nie zaczyna zabijać bez powodu – zauważył Ramouter. – Nie budzisz się nagle w środę rano, stwierdzasz, że skończyło ci się mleko, i postanawiasz poćwiartować za to mleczarza.

– Może to była tylko rozgrzewka. A co z innymi przysięgłymi?

– Dwoje z nich nie żyje – odparł Ramouter, poprawiając się na krześle. Henley odniosła wrażenie, że zaraz wyrecytuje nazwiska z pamięci. – Albert Kraenish, umarł w zeszłym roku z przyczyn naturalnych. W akcie zgonu wpisano raka wątroby.

– A ta druga osoba?

– Carole Lewis. Czterdzieści osiem lat. Pchnięta nożem. Jej ciało znaleziono w maju w Highgate Woods. Śledztwo jest w toku. Prowadzi je sierżant Lancaster.

Mózg Henley pracował z prędkością światła, lecz mimo to nie wiedziała, co powiedzieć.

– A jeśli Kennedy wcale nie był pierwszy? – zasugerował Ramouter.

– Jak to?

– Sama przed chwilą powiedziałaś. Rozgrzewka. Może przed Kennedym była Carole Lewis?

Henley spojrzała na zegar ścienny. Sierżant śledcza Lancaster się spóźniała. Jej dyżur rozpoczął się szesnaście minut temu. Inni detektywi kręcili się po sali, wyraźnie zaintrygowani, co robi w ich komisariacie dwoje ludzi z SCU. Henley już dwukrotnie podziękowała za propozycję kawy lub herbaty, natomiast Ramoutera ignorowano.

Do pomieszczenia weszła niska, przysadzista kobieta niosąca cienki niebieski segregator. Nie przykładała wagi do stroju. Henley natychmiast się zorientowała, że detektyw Lancaster

jest typem policjantki, która chce pokazać, że liczy się tylko praca. Miała w sobie jakąś gniewną surowość, która nie przypadła Henley do gustu.

Wszyscy troje stłoczyli się wokół biurka. Lancaster zaborczym gestem położyła rękę na niebieskim segregatorze zawierającym jej notatki, zeznania świadków oraz raport kryminalistyczny ze śledztwa w sprawie zabójstwa Carole Lewis.

Henley postukała w krawędź segregatora.

– Dość cienki, co?

– To moje osobiste materiały śledcze – odparła Lancaster, instynktownie przyciągając je do siebie.

– To wszystko, co pani przyniosła, choć wiedziała pani, że się tu wybieramy?

Gwar w pokoju operacyjnym wyraźnie przycichł, gdy Lancaster zdjęła rękę z segregatora i pchnęła go w ich stronę. Henley zignorowała niezbyt subtelne cmoknięcie dezaprobaty ze strony Lancaster.

– Podejrzewamy męża – powiedziała.

Henley rzuciła detektyw wymowne spojrzenie, przypominające, że rozmawia z osobą wyższą rangą. Lancaster się zreflektowała i poprawiła.

– Fakty są następujące... – rzekła z wyraźną niechęcią. – Ciało zostało znalezione w sobotę rano niedaleko boiska przez dwoje dzieci idących na trening piłkarski. Rany kłute klatki piersiowej, poderżnięte gardło. Doszło niemal do dekapitacji. Podejrzenie w sposób naturalny padło na męża, ponieważ szybko się dowiedzieliśmy, że miał romans z sąsiadką.

– Urocze – prychnął Ramouter.

– Tak, gdybyście go zobaczyli, zastanawialibyście się, kto w ogóle chciałby się z kimś takim zadawać – ciągnęła Lancaster. Przeniosła wzrok na Ramoutera, błędnie zakładając, że będzie jej naturalnym sprzymierzeńcem.

Henley przyłapała Lancaster, jak zerka ukradkiem na jego obrączkę na lewej dłoni.

– Napije się pan herbaty albo kawy? – zaproponowała. – Mamy naprawdę porządną, w kapsułkach.

Henley oparła się pokusie przewrócenia oczami albo ostrego upomnienia Lancaster za flirtowanie na służbie, w dodatku jawnie.

Ramouter odchrząknął.

– Nie, dziękuję.

– Pan z Yorkshire, prawda? – zgadywała Lancaster.

– Pani sierżant! – Henley nie siliła się na dalsze ukrywanie swojej irytacji. – Skończyliśmy na tym, że podejrzewacie męża.

– Świadczy przeciwko niemu to, że trzy miesiące przed śmiercią żony wykupił polisę ubezpieczeniową na życie ich obojga. Przeszukaliśmy dom i znaleźliśmy ślady krwi na jego butach sportowych. Twierdzi, że żona kilka dni wcześniej skaleczyła się w kuchni, a on wdepnął w jej krew.

– Jakie macie inne dowody? – zapytała ostrym tonem Henley.

– Żadnych bezpośrednich. – Lancaster sięgnęła po butelkę wody mineralnej. – Wezwaliśmy go na przesłuchanie i oczywiście zaprzeczył, jakoby miał z tym cokolwiek wspólnego. Podał nam alibi. Powiedział, że spędził wieczór z sąsiadką w hotelu Travelodge, lecz kobieta

wszystkiemu zaprzeczyła. Zasięgnęliśmy też języka w hotelu: nie mieli rezerwacji ani na nazwisko sąsiadki, ani na jego. CPS uważała, że nie posiadamy wystarczających dowodów do postawienia mu zarzutów, więc go wypuściliśmy, a śledztwo toczy się nadal.

– Sądząc po wyglądzie tego segregatora, raczej kuleje.

– Słucham? Nie...

– Mąż Carole Lewis został zwolniony prawie pół roku temu, a wy nie ścigacie żadnych innych podejrzanych.

– Nie ma innych podejrzanych.

– Na pewno? Wedle raportu śledczego w ciele Lewis znaleziono DNA, które przypisano niejakiemu Gary'emu Wilkinsowi.

– Rozmawialiśmy z nim – odrzekła Lancaster obronnym tonem. – Przyznał się do odbycia stosunku płciowego z Carole Lewis, ale doszło do niego dwadzieścia cztery godziny przed znalezieniem zwłok.

– I automatycznie wyeliminowaliście go z grona podejrzanych. Nie ma dowodów, że w ogóle sprawdzaliście jego alibi.

– Zamierzamy je sprawdzić. Śledztwo trwa.

– Zamierzacie je sprawdzić po upływie niemal sześciu miesięcy? – Ramouter się zdziwił. – A czy w ogóle wiecie, że specjalna jednostka Scotland Yardu badała przeszłość Gary'ego Wilkinsa pod kątem napaści na tle seksualnym?

Lancaster zacisnęła usta, jakby poczuła w nich gorycz. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie spodziewała się, że Henley i Ramouter odrobią zadanie domowe i przyjdą na rozmowę przygotowani.

– Nie dopuściłam się zaniedbania – odparła wyzywająco. – Nasz oddział prowadzi jednocześnie siedemnaście śledztw w sprawie zabójstw. Nie mamy luksusu wybiórczego traktowania trafiających do nas spraw ani swobody zajmowania się wyłącznie zabójstwami seryjnymi, które zdarzają się od wielkiego dzwonu.

Ta kąśliwa riposta rozsierdziła Henley. Zdawała sobie sprawę z obecności grupki detektywów po swojej prawej stronie, którzy otwarcie przysłuchiwali się tej wymianie zdań. Lancaster siedziała z zadowoloną miną, świętując nieczysto zdobyty punkt.

– Wiedzieliście, że Lewis była ławnikiem na procesie Oliviera? – zapytała Henley.

– Nie, nie wiedzieliśmy – odparła Lancaster. – A nawet gdybyśmy wiedzieli, nie sądzę, by w owym czasie ten kierunek śledztwa mógł być brany pod uwagę. Niemniej zamierzamy czynnie...

– Niczego nie zamierzacie. Przejmujemy sprawę – oznajmiła Henley.

Twarz Lancaster stężała.

– Nie możecie tego zrobić. To moje śledztwo.

– Owszem, ale moim zdaniem – powiedziała głośno Henley na użytek wszystkich wścibskich uszu w pomieszczeniu – nie było prowadzone w odpowiedni sposób.

– Z całym szacunkiem... Prowadzę je...

– Źle. Prowadzi je pani źle.

Henley była świadoma, że ruch w pokoju niemal zamarł, rozmowy urwały się wpół zdania, umilkły nawet telefony.

– Nie możecie tak po prostu go nam zabrać. Nie macie upoważnienia...

– Pani sierżant Lancaster, proszę nie kłopotać się kwestiami administracyjnymi. Ktoś z SCU skontaktuje się z wami i załatwi przekazanie akt sprawy. – Henley odsunęła krzesło i dała Ramouterowi znak, by poszedł w jej ślady. – Swoje notatki robocze może pani zatrzymać.

Lancaster piorunowała ją wzrokiem. Kipiała ze złości.

– Jest pani wolna – rzuciła Henley na odchodne.

– No cóż, nie wydaje mi się, że dostaniesz od niej życzenia na święta – skwitował Ramouter po wyjściu z komisariatu.

– I mam to gdzieś – odparła Henley. W tej samej chwili zaczął dzwonić jej telefon. – Próbowała kombinować, a ja nie lubię, kiedy ktoś bezczelnie robi ze mnie idiotkę.

– Mimo wszystko ma rację. Nie mamy upoważnienia. Nie możemy tak po prostu odebrać jej śledztwa.

– Chyba nie sądzisz, że tego nie wiem. Pellacia będzie musiał dokonać cudu i załatwić nam upoważnienie. Boże, on mnie za to zabije.

Wyjęła z kieszeni dzwoniący telefon. Przez dłuższą chwilę słuchała w milczeniu. Żołądek podjechał jej do gardła, fala nudności wzbierała z każdą sekundą.

– Musimy jechać. Natychmiast – powiedziała, biegnąc do samochodu.

– O co chodzi? – Ramouter przyspieszył kroku, żeby ją dogonić. – Co się stało?

– Olivier. Musimy natychmiast jechać do szpitala Królowej Elżbiety.

Rozdział 44

Olivier po raz trzeci próbował otworzyć oczy. Głosy wokół niego stawały się wyraźniejsze i przybierały na sile. Tył głowy pulsował z bólu, w ustach czuł dziwny metaliczny posmak.

– Peter. Peter. Słyszy mnie pan?

Olivier zwrócił twarz w kierunku, z którego dochodził głos, i z trudem uniósł powieki.

– Tak – odparł ochrypłym głosem, krztusząc się przy tym i kasłając. – Wody.

– Oczywiście. Zaraz podniesiemy panu odrobinę łóżko. Usunęliśmy rurkę intubacyjną, więc przez kilka godzin będzie pan odczuwał suchość i ból gardła, ale najważniejsze, że pan żyje.

Pielęgniarka przyniosła kubek wody. Wyciągając po niego rękę, zauważył podpiętą kroplówkę. Nie widział żadnych pasów mocujących go do poręczy łóżka. Odwrócił głowę i skrzywił się z bólu. Ade, strażnik z więzienia, siedział w rogu ze złożoną na kolanach gazetą. Olivier stłumił uśmiech, który wywołał na jego twarzy widok z okna. Wydostał się z więzienia Belmarsh. Udało się.

– Proszę nie wyjmować – ostrzegł lekarz, gdy Olivier poprawiał plastikowe wąsy pompujące tlen prosto do nosa. – Na szczęście nie był to atak serca, jak początkowo sądziliśmy, jednak nie możemy jeszcze odesłać pana do więzienia.

– Dlaczego? – zapytał Olivier, przesuwając dłonią po czujnikach na klatce piersiowej.

– Belmarsh zostało, zdaje się, chwilowo zamknięte – odparł lekarz, szukając potwierdzenia u strażnika.

– Jeśli nie będzie można wrócić tam dzisiaj, pojedziemy do Brixton albo do Pentonville, gdy już rozstrzygnie się kwestia transportu – wyjaśnił Ade.

– Jak długo tu jestem?

– Od wczoraj rano. Pamięta pan, co się stało? – zapytał lekarz.

Olivier zrobił wdech i zmrużył oczy.

– Jak przez mgłę, ale wydaje mi się, że ominęło mnie śniadanie. Jest szansa na dostanie czegoś do zjedzenia?

Lekarz odhaczył coś na karcie.

– Oczywiście. Poproszę pielęgniarkę. Przy pierwszej próbie wstania może pan odczuwać zawroty głowy i nudności. Proszę nie wpadać w panikę, to normalna reakcja. Podamy panu środki przeciwwymiotne, jeśli objawy będą bardzo nasilone.

Kiedy lekarz wychodził, Olivier dostrzegł na korytarzu Karen Bajarami, która pełniła straż pod salą. Spojrzała na niego niepewnie, a następnie zamknęła drzwi.

Ade nadal siedział na krześle, ale głowa opadła mu w tył, a z ust dobywało się wyraźne chrapanie. Olivier odkleił już z piersi czujniki, a gdy zaczął wyciągać z żyły wenflon, w zagłębieniu dłoni zebrała się kałuża krwi. Minęła prawie godzina od zjedzenia lunchu, który pielęgniarka z wahaniem postawiła mu na tacy i czym prędzej wybiegła z pokoju. Zsunął z łóżka nogi, postawił bose stopy na podłodze. Podczas próby pionizacji dopadły go intensywne mdłości. Usiadł

z powrotem, zwiesił głowę między kolanami i głęboko oddychał, czekając, aż ustąpią zawroty i palpitacje serca. Zjedzony wcześniej gulasz jagnięcy kotłował mu się w żołądku, podjeżdżał do gardła. Po kilku minutach Olivier odepchnął się od materaca i wstał. Więzienne ubranie wraz z butami sportowymi leżało w foliowym worku rzuconym w kąt sali.

Ade zerwał się z krzesła, ponieważ Olivier kopnął metalowy stojak na kroplówkę. Następnie roztrzaskał na głowie strażnika talerz i przewrócił go na podłogę. Chwycił ostry odłamek stłuczonego fajansu, wbił go z impetem w bok Adego. Zanim do środka wpadł szpitalny ochroniarz i odciągnął Oliviera od strażnika, Olivier kilkakrotnie uderzył głową Adego o podłogę. Bajarami mówiła do krótkofalówki:

– Pomocy. Potrzebujemy pomocy!

Krzyknęła, widząc, jak Olivier ciska ochroniarza o ścianę. Ade leżał i rzęził, w korytarzu zawył alarm. Olivier się zachwiał, ponieważ dopadł go kolejny atak mdłości. Ochroniarz, zataczając się, dotarł do drzwi, usiłując wydostać się na korytarz. Olivier potrząsnął głową, doszedł do siebie i zauważył u swych stóp tacę i widelec. Podniósł tacę i dwukrotnie uderzył nią ochroniarza w twarz.

– Olivier. Przestań. Przestań! – wrzasnęła Bajarami. Ochroniarz czołgał się w korytarzu.

– Stul pysk! – warknął Olivier. Kolejne mdłości powaliły go na kolana. Kątem oka widział stojącą w drzwiach Bajarami. Chwycił widelec, wyprostował się z wysiłkiem i podszedł do Adego. Podniósł nogę i dwukrotnie stratował głowę mężczyzny. Towarzyszył temu przerażający chrzęst. Bajarami rzuciła się na Oliviera, próbowała odciągnąć go od wstrząsanego konwulsjami ciała strażnika. Olivier wyrwał się jej i odwrócił do niej twarzą.

– Nie. Nie. Przestań! – wrzasnęła.

Zamachnął się i wbił jej w oko widelec. Patrzył, jak jej twarz tężeje w szoku, a z ust wydobywa się gardłowy krzyk. Przycisnął dłoń do jej ust, a potem wepchnął ją do sali.

Szpitalny alarm wył coraz głośniej. Olivier pędził korytarzem do wyjścia awaryjnego.

Rozdział 45

Tu lokalne wiadomości radia BBC. Policja ściga znanego recydywistę Petera Oliviera, który zbiegł ze szpitala Królowej Elżbiety w Woolwich w południowo-wschodnim Londynie. Peter Olivier, znany również pod pseudonimem Człowiek z Piłą, został w dwa tysiące siedemnastym roku skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności za zabójstwo siedmiu osób.

Trzydziestoośmioletni Olivier był poddawany hospitalizacji z powodu podejrzenia ataku serca. Aby umożliwić sobie ucieczkę, dokonał napaści na dwoje strażników więziennych. Podajemy rysopis zbiega: biały mężczyzna, wzrost metr osiemdziesiąt, średniej budowy ciała, krótkie włosy, szatyn. W chwili ucieczki był ubrany w biało-niebieski szlafrok szpitalny. Policja informuje, że zbieg jest bardzo niebezpieczny, i ostrzega, by się do niego nie zbliżać, tylko wezwać...

Krew pulsowała Henley w uszach. W szpitalu roiło się od strażników i policji. Musiała włączyć syreny i niebieskie światła, żeby przecisnąć się przed wozy transmisyjne telewizji BBC News i Sky, które pojawiły się przed szpitalem. Nad głowami krążył helikopter, policjanci spisywali zeznania i potwierdzali przez policyjne radia najświeższe informacje.

Henley spojrzała na zegarek. Olivier był na wolności od dwóch godzin i dziewiętnastu minut. Dotarłaby szybciej, gdyby nie wypadek na A406 i zepsuty samochód blokujący tunel Blackwall. Postawiono w stan gotowości wszystkie czterdzieści trzy jednostki policji terytorialnej w Wielkiej Brytanii. Na Twitterze i w lokalnych serwisach informacyjnych umieszczono najnowsze zdjęcie Oliviera, zrobione w komisariacie policji w Lewisham tuż po jego aresztowaniu niemal trzy lata temu. Gromadka dziennikarzy nadawała relacje na żywo spod szpitala Królowej Elżbiety, ostrzegając widzów, że Olivier jest bardzo niebezpieczny i nie należy się do niego zbliżać.

Strażnik zaprowadził Henley i Ramoutera do pomieszczenia na parterze obok kiosku z prasą. Zastanawiała się, czy przypadkiem coś nie umknęło jej uwadze w czasie ich ostatniej wizyty w więzieniu. Odtwarzała w pamięci tamtą rozmowę, nie wyłowiła jednak żadnej zaszyfrowanej wiadomości, niczego, co z perspektywy czasu wydawałoby się oczywiste. Mimo to czuła się tak, jakby zawaliła sprawę.

W pomieszczeniu ochroniarskim było czuć zapach środka odkażającego, przypalonej kawy i zastałego dymu z papierosów. Adam Cole, szef szpitalnej ochrony, oraz Lyle Denman, starszy strażnik więzienny odpowiedzialny za transport Oliviera do szpitala, stali przed rzędem monitorów.

– Jeśli uważacie, że weźmiemy winę na siebie, to jesteście w błędzie – oznajmił Cole, stukając w klawiaturę.

– Chyba sobie żartujesz. Umywamy ręce – rzekł Denman. – Wyraziliśmy się jasno, że będziemy potrzebowali przy Olivierze dodatkowej pomocy doświadczonych funkcjonariuszy. Może gdybyście zatrudniali ludzi, którzy nie posługują się kartami bezpieczeństwa wyciągnię-

tymi z pudełka płatków śniadaniowych, mieszkają w tym kraju trochę dłużej niż pięć minut i w ogóle potrafią mówić po...

– Dosyć. – Henley obrzuciła Denmana wściekłym spojrzeniem.

Mężczyzna podparł się pod boki, ukazując pod pachami żółte plamy od dezodorantu.

– Kim, do cholery... – Umilkł, zauważywszy na szyi Henley smycz z identyfikatorem.

– Nie mam czasu na utarczki – oświadczyła, dając Ramouterowi znak, by przysunął sobie krzesło. – Ile jest tu kamer monitoringu?

– Sto osiemdziesiąt sześć w samym budynku szpitala i trzydzieści dwie na zewnątrz, łącznie z parkingiem – udzielił informacji Cole.

– Macie nagrania z piętra, na którym leżał Olivier?

– Właśnie zbieram je w całość.

Henley starała się nie zważać na Denmana, który posapywał z irytacji w rogu pokoju.

– Od czasu wypadku zwiększyliśmy ochronę wokół szpitala – powiedział Cole.

– Zamknęliście wrota stajni, gdy koń wziął nogi za pas? Może należało to zrobić, zanim przywieziono tu Oliviera.

– Z całym szacunkiem, pani detektyw...

– Komisarz – poprawiła go twardym, lodowatym głosem.

– Przepraszam. Pani komisarz. Do mnie należy obowiązek zapewnienia szpitalowi bezpieczeństwa i ja się z niego wywiązuję. Jak tylko dowiedzieliśmy się o transporcie więźnia, wdrożyliśmy wszystkie środki bezpieczeństwa. Gdy znalazł się w szpitalu, zadanie pilnowania go spadło na strażników z więzienia.

– Co dokładnie się wydarzyło? – Henley zwróciła się do Lyle'a Denmana. – Dlaczego w ogóle tutaj trafił? Raport sugeruje atak serca.

– Zasłabł wczoraj rano przy śniadaniu. Chcieliśmy go przenieść do skrzydła medycznego, ponieważ jednak zupełnie nie reagował na bodźce, pomyśleliśmy, że to może być udar, dlatego wezwaliśmy karetkę.

– Ilu strażników go eskortowało?

– Początkowo dwoje. – Denman wbił wzrok w podłogę.

– Dwoje. Na kogoś takiego – zdumiał się Ramouter.

Henley nie upomniała go za to wtrącenie. Miał rację.

– Nie było wyboru. Wiecie, jakie mamy braki kadrowe. Dwóch funkcjonariuszy to minimalny wymóg.

– Dla kogoś, kto buchnął własnej babci dwieście funtów, ale nie dla seryjnego mordercy, do jasnej cholery. – Henley cofnęła się o krok i skrzyżowała ramiona. Głośno westchnęła. – Wiem, że eskortowała go Karen Bajarami, ale kto był z nią?

– Ade Nzibe – odparł Denman. – To jeden z moich najbardziej doświadczonych ludzi. Pracuje ze mną od dwudziestu lat.

Podniósł na Henley wzrok, jakby oczekiwał od niej nagrody.

– Czy Olivier był skrępowany?

– Na początku tak, ale gdy go przywieźliśmy, zabrano go na ostry dyżur i lekarze kazali nam zdjąć mu kajdanki, żeby mogli działać...

– Przepraszam. – Cole podniósł rękę, jakby zgłaszał się na lekcji. – Znalazłem ten moment na nagraniu.

Zebrali się wokół monitora.

– O, kurwa... – zaklął Cole. Denman odwrócił głowę, kiedy Olivier bosą stopą miażdżył głowę strażnika. W drzwiach pojawiła się Bajarami i rzuciła się na Oliviera.

Następnie obraz przełączył się na nagranie z osobistej kamery Bajarami. Po krótkim ładowaniu zatrzymał się na Olivierze stojącym w szpitalnej koszuli. Bajarami krzyczy, żeby przestał. Widać widelec w jego ręku. Na to on się uśmiecha, a następnie na nią naciera. Mrożący krew w żyłach krzyk Bajarami rozdziera uszy.

– Cholera – mruknął Ramouter.

Olivier skręca w lewo i znika z kadru.

– Dokąd uciekł? – zapytał Ramouter. Henley odeszła od monitorów i stanęła przy drzwiach.

– Ta kobieta... – zaczął Cole.

– Ma na imię Karen – wycedził Denman przez zaciśnięte zęby i usiadł na krześle obok.

– Przepraszam. Karen. Zdołała uruchomić alarm, ale do tego czasu on zdążył już dobiec do schodów. Kamery zarejestrowały go ponownie przy wyjściu awaryjnym, które prowadzi prosto na parking, gdzie, jak wam wiadomo, ukradł samochód któregoś z odwiedzających. Podaliśmy szczegóły policji. Ochrona wybiegła na parking, gdzie próbował przejechać jednego z moich ludzi.

Henley zrobiła długi wydech. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że przez kilka sekund wstrzymywała oddech. Pomieszczenie ochrony wydało się jej teraz jakby mniejsze, klaustrofobiczne. Brakowało jej powietrza.

– Gdzie są teraz Karen i Ade? – zapytała Denmana.

– Myślę, że pod opieką lekarzy na czwartym piętrze.

– Idziemy – rzuciła do Ramoutera. Wyszła z pokoju bez pożegnania i podziękowań.

Rozdział 46

– Samochód został znaleziony około czterdziestu minut temu. Porzucony w Charlton. – Eastwood postawiła na stole dużą torebkę na dowody wypełnioną listami. – Od czasu wydania komunikatu widziano go wielokrotnie, ale gwarantuję, że większość tych doniesień to bzdury. W ciągu ostatniej godziny mieliśmy zgłoszenia z Hackney, Greenford, z pubu w Clapham, z Aberdeen i Benidormu.

Henley stała przy oknie i obserwowała Pellacię, który zorganizował na schodach przed budynkiem konferencję prasową.

– To wszystkie rzeczy z jego celi? – zapytała, patrząc, jak Eastwood wyciąga z kartonu kolejne torebki z dowodami.

– Tak, to wszystko. Dostawał dużo listów od... nie wiem, jak ich nazwać... od fanów. Wiele kobiet chce mieć z nim dzieci, a mężczyźni... – Eastwood się skrzywiła. – Nie rozumiem tego.

– A telefon?

– Cierpliwości, szefowo. Właśnie do tego zmierzałam.

Eastwood sięgnęła do pudła i wyjęła z niego niewielką zaplombowaną torebkę na dowody. Wewnątrz znajdował się telefon komórkowy nie większy niż batonik Kit Kat.

– Maleńki – skwitowała Henley, ważąc komórkę w dłoni. Wcisnęła przycisk i czekała, aż rozświetli się ekranik.

– Najbardziej podstawowa wersja. W Carphone Warehouse sprzedają je po osiem funtów. Można z nich tylko dzwonić i wysyłać SMS-y. W środku jest karta SIM, znaleźliśmy też ładowarkę.

– Gdzie?

– Telefon i ładowarka były za obudową umywalki w jego celi. Karta SIM na dnie kartonu płatków czekoladowych.

Henley była na siebie coraz bardziej zła. Powinna była wcześniej zażądać przeszukania celi.

– Z kimś rozmawiał. – Przewinęła rejestr połączeń. – Ostatnią rozmowę przeprowadził mniej więcej piętnaście minut przed północą w dniu poprzedzającym rzekomą chorobę. Zaniesiesz Ezrze?

– Oczywiście. Ale to jeszcze nie wszystko. – Eastwood podała Henley notes formatu A4. Na okładce dużymi czarnymi literami wypisano słowa: WYNIKI POSZUKIWAŃ 101. Henley otworzyła notatnik. Na pierwszej stronie natrafiła na szkic celi Oliviera. Jak wszystko, co robiła Eastwood, rysunek był staranny i dokładny.

– Powiedz, czy coś rzuca ci się w oczy, szefowo.

Cela miała wymiary metr osiemdziesiąt na dwa czterdzieści, stały w niej łóżko, stolik i szafa. Po lewej stronie muszla klozetowa i umywalka. Henley przeszła do spisu znalezionych przedmiotów. Książki, PlayStation, telewizor, radio, czasopisma. Insulina. Strzykawka.

– Co tu takiego niezwykłego?

– Olivier nie jest diabetykiem – wyjaśniła Eastwood. – Skarżył się na złe samopoczucie. Był u lekarza ogólnego, który stwierdził niskie ciśnienie i lekko podwyższony poziom glukozy, ale nie zdiagnozował cukrzycy. Pojawia się pytanie, dlaczego ktoś, kto nie jest cukrzykiem, bierze insulinę?

– Kto mu, do cholery, pomaga? – Henley trzasnęła pięścią w stół. – Nie tak trudno przemycić do więzienia telefon, ale insulinę? Do kurwy nędzy! Musimy się dowiedzieć, kto mu ją dostarczył.

– Powiedziałabym, że Blaine, ale nie ma mowy, by udało mu się przemycić do Belmarsh ampułki i strzykawki.

– A ktoś z wewnątrz? – zastanawiała się Henley. Oddała Eastwood notes. – A jeśli pomaga mu ktoś z więzienia?

– Bardzo prawdopodobne. Straciłam już rachubę, ilu to szemranych strażników skończyło karierę z powodu szmuglowania więźniom narkotyków i telefonów. Przemycenie odrobiny insuliny to przy tym pestka.

– Zdobądźcie ze Stanfordem listę całego personelu więziennego z oddziału o zaostrzonym rygorze. Wszystkich, którzy pracują tam od początku odsiadki Oliviera, i zorganizujcie przesłuchania. Im szybciej, tym lepiej.

Henley pogłośniła telewizor. Wyglądało na to, że wszystkie kanały informacyjne ustawiły swojego reportera albo pod szpitalem Królowej Elżbiety, albo pod więzieniem Belmarsh. Na ekranie mignęła stara fotografia.

– To mylące – powiedziała Henley, gdy Pellacia wynurzył się ze swojego biura i usiadł przed jej biurkiem.

– Co masz na myśli?

– Kiedy ostatnio widziałam Oliviera, był chudy, zmizerniały. Nie wyglądał na człowieka zdolnego do ucieczki. Ludzie będą rozglądać się za kimś podobnym do mężczyzny z fotografii, za kimś silnym i zdrowym. Za inną osobą.

– Cóż, jest na wolności, a innego zdjęcia nie mamy.

– To jakieś szaleństwo. Słuchaj, Stanford i Eastwood wybierają się niebawem do więzienia przesłuchać strażników, a ja chcę aresztować Blaine'a.

– Nie – odparł zdecydowanie Pellacia.

– Co to znaczy: nie?

– Rozumiem, dlaczego chcesz go aresztować, ale nie masz wystarczających dowodów.

– Stephenie, on miał powiązania z ławnikami, odwiedzał Oliviera i napastował Zoe.

– Nie masz żadnego dowodu bezpośredniego ani sądowego, że ją napastował. Jedyne, czym dysponujesz, to słowa ciętej na niego byłej dziewczyny oraz wątpliwe zgłoszenie Zoe w biurze ochrony szpitala.

– Więc co? Mam zostawić go w spokoju i czekać, aż znajdziemy kolejne poćwiartowane ciało? – wyrzuciła z siebie gniewnie.

– Uspokój się. Mówię tylko, że trzeba zdobyć jakieś namacalne dowody. Nie chciałbym, żeby nas zlikwidowali dlatego, że wyskoczyliśmy przed szereg i aresztowaliśmy niewłaściwą osobę.

Henley nie odpowiedziała. Zdawała sobie sprawę, że Pellacia ma rację.

– A jak tam Ramouter? Radzi sobie?

– Tak, i to całkiem nieźle, mimo że to śledztwo... jest wyzwaniem. Nigdy nie musiałam mierzyć się z czymś takim na stażu. Moją pierwszą sprawą był napad rabunkowy z bronią w ręku. Żeby tu z nami pracować, Ramouter zostawił w Bradford rodzinę.

– Tak? Rozstał się z żoną?

– Nie. Nic podobnego. – Henley wyłączyła telewizor. Biuro było puste.

– Jak się miewasz?

– Dobrze. Jestem zmęczona, ale poza tym okej.

– Wzmocniliśmy ochronę wokół domu rodziców Roba.

– Nawet mi nie przypominaj. Jego mama nie była zachwycona widokiem parkującego pod domem radiowozu, ale naprawdę mam to w nosie. Jej samopoczucie nie jest dla mnie priorytetem.

– A co z tobą? Nie podoba mi się, że jesteś sama w domu.

– Nie jestem sama. Domu pilnuje wóz policyjny. Zainstalowali kamery i przyciski alarmowe. Szanse na to, by Olivier czy jakakolwiek inna osoba zbliżyła się do mnie na odległość trzech metrów, są znikome.

– Pojedźmy do mnie. Zostań u mnie.

Henley spuściła wzrok, gdy Pellacia wziął ją za rękę i splótł z nią palce. Nie protestowała.

– Chcę, żebyś została u mnie. Pozwól mi...

– Dlaczego tak wszystko utrudniasz?

– Nie utrudniam. Staram się ułatwiać. Nie komplikować.

– Nie komplikować? Więc dlaczego zachowujesz się tak, jakbym nie była mężatką?

– Bo wciąż tak na mnie patrzysz...

– Poproszę Stanforda, żeby u mnie przenocował. – Henley cofnęła dłoń. – Nie mogę zamieszkać u brata. Ma dzieci. Nie mogę go narażać.

Odwróciła głowę w stronę drzwi, które znienacka się otworzyły i stanęła w nich Joanna, kierowniczka administracji.

– W porządku. Rób, jak uważasz – rzekł Pellacia. – W czym mogę ci pomóc, Joanno?

– Potrzebna mi ona, nie ty.

– Słowo daję – powiedział z ciężkim westchnieniem. – Nie mam tu żadnego szacunku.

– Może powinieneś popracować nad swoimi zdolnościami interpersonalnymi. Zapisać się na jakiś kurs czy coś.

– O co chodzi, Jo? – zapytała Henley.

– Potrzebny mi twój podpis na wniosku o przekazanie akt śledczych z Lewis. A na ciebie, nadinspektorze Pellacia, czeka na drugiej linii bardzo wzburzony nadinspektor Chambers z wydziału kryminalnego w Wood Green.

Henley podeszła z Joanną do biurka.

– Widzę, że znów narobiłaś kłopotów – powiedziała Joanna, wręczając jej wniosek o przekazanie dokumentów.

– Nie miałam wielkiego wyboru.

– Więc myślisz, że Carole Lewis też jest jego ofiarą?

Henley podpisała papiery i podniosła wzrok na fotografie Darego, Kennedy'ego i Delaneya. Miała przeczucie, że wkrótce dołączy do nich zdjęcie Carole Lewis.

Rozdział 47

Henley zaparkowała przed dworcem Greenwich i włączyła światła awaryjne. Doznała ulgi na widok brata, wysokiego i smukłego, wychodzącego z budynku dworca. Simon też ją zauważył i podbiegł do samochodu.

– W porządku, siostruniu? – Wsiadł do auta, od razu sięgając do dźwigni, żeby odsunąć fotel. – No, teraz lepiej. Mogliśmy się przecież spotkać w domu mamy i... – Umilkł. – Przepraszam. Boże, jakoś tak dziwnie mówić „w domu taty". Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem doskonale. – Wyłączyła światła awaryjne i ruszyła z miejsca.

– Próbowałem się do niego dodzwonić, ale nie odebrał.

– Ode mnie też nie.

– A więc, siostruniu. Jak się miewasz? Słyszałem o ucieczce tego drania. Liczyłem, że sama mi opowiesz.

Brat Henley zaczął manipulować przy radiu samochodowym. Wiedziała, że nie przejdzie mu przez gardło nazwisko Oliviera. Pamiętała, jak czuwał przy jej łóżku, skończywszy wcześniej dyżur w Guy's Hospital, gdzie pracował jako onkolog, jak pędził do szpitala Królowej Elżbiety. „Mogłaś wymyślić lepszy sposób na powiadomienie mnie, że zostanę wujkiem", zażartował, ukradkiem sprawdzając jej ciśnienie krwi na monitorze.

– Rozumiem, że jeszcze go nie złapali?

– Nie. Ale szukają. Wszyscy.

– Chyba nie będzie próbował cię dopaść? Bo wiesz... ta historia pod twoim domem...

– Nie wydaje mi się. – Miała nadzieję, że jej słowa zabrzmiały uspokajająco. – Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałby się tutaj kręcić.

– Oby znaleźli tego łajdaka gdzieś u stóp klifu. – Simon ziewnął. – Jestem wykończony.

– Przestań narzekać. Sam chciałeś być chirurgiem.

– Bo myślałem, że dzięki temu kobiety będą za mną szaleć. À propos: co słychać u uroczej Linh?

– Odczep się od Linh. – Klepnęła brata w ramię.

– Au. Nic nie zrobiłem. Jestem żonatym mężczyzną i ojcem trójki potworów. Daj człowiekowi trochę pofantazjować.

– Pofantazjuj sobie o żonie.

– Błagam... Nawet w moich fantazjach Mia wymawia się bólem głowy.

– Dowcipniś – rzekła ze śmiechem. – Simon, jesteś chirurgiem, tak?

– W każdym razie byłem nim jeszcze niedawno.

– Jak łatwo można zdobyć altri... Och, na litość boską. Altrakiu...

– Bezylan atrakuriowy. – Simon przyciszył radio. – Do czego ci to potrzebne?

– Mnie do niczego. Ma związek ze śledztwem. Łatwo to zdobyć? – Zatrzymała samochód przed domem rodziców.

– No wiesz, nie dostaniesz tego w drogerii, zapewniam. To środek wykorzystywany w procedurach chirurgicznych. Trzymany pod kluczem, dosłownie. Nawet ja nie mogę sobie tak po prostu wejść do magazynu leków i zabrać kilku ampułek. Nie twierdzę, że gdyby ktoś bardzo go potrzebował, nie znalazłby sposobu. Kradzież leków ze szpitala przez lekarzy i pielęgniarki to nic nowego.

Zatrzymali się pod drzwiami wejściowymi. W zamku tkwił klucz.

– To do taty niepodobne. – Simon przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Henley miała wrażenie, że weszła do obcego domu. Kredens, na którym mama stawiała zawsze wazon ze świeżymi kwiatami, zaścielała nieotwarta korespondencja. Na lustrze w pozłacanej ramie były rozmazane odciski brudnych palców. W domu czuć było papierosowy dym i kwaśny odór długo nieopróżnianego kubła na śmieci.

– Och, tato – powiedziała Henley, wchodząc z Simonem do salonu. Elijah siedział w fotelu i oglądał wiadomości. A raczej wiadomości oglądały Elijaha, ponieważ on sam patrzył w pustkę. Popielniczka, z której niemal wysypywały się niedopałki, niepewnie balansowała na jego kolanach. Na podłodze stał brudny talerz, obok poniewierała się puszka po guinnessie. W pokoju panował bałagan. Tato wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Co wy tu robicie? Dlaczego jesteście w moim domu? – Elijah wstał. Niedopałki i popiół rozsypały się po dywanie.

– Tato. Tato, uspokój się – poprosiła Henley.

– Nie powinno was tu być. Mówiłem, że nie chcę, żebyście przychodzili. Powinienem wezwać policję.

Henley się roześmiała. Bardziej z rozpaczy niż z komizmu sytuacji. Wzięła go pod ramię.

– Tato, proszę...

– Nie powinno was tu być. – Ojciec wyrwał rękę. – Jej już tutaj nie ma, więc po co przyłazicie?

Henley głośno przełknęła ślinę, powstrzymując łzy.

– Chcemy ci tylko pomóc, tato – rzekł Simon, otaczając ojca ramieniem. – Wiemy, że cierpisz.

– Przestań – powiedział Elijah.

– Wszystkim nam brakuje mamy.

– Przestań. Przestań! – Mężczyzna cofnął się i opadł znów na fotel.

Henley popatrzyła na brata. Kiedy byli młodsi, nie wiedzieli, jak traktować te momenty, gdy tato im się wymykał. Przenosił się do gościnnej sypialni i spędzał tam całe tygodnie. Nie odsłaniał zasłon, pokój spowijała ciemność, a on leżał na łóżku, gapiąc się w sufit. Mama mówiła, żeby dać mu spokój, pozwolić odpocząć. Mimo to po powrocie ze szkoły Henley siadała na krawędzi jego łóżka i opowiadała, co się działo, pytała, kiedy wstanie i zabierze ją na gimnastykę. Miała piętnaście lat, gdy podsłuchała, jak w rozmowie z ciocią Cecile mama wspomina coś o „depresji".

– Posprzątamy tu z Simonem i może...

– Może byś do nas przyjechał i spędził trochę czasu ze mną, Mią i dzieciakami – wtrącił Simon, podnosząc brudny talerz z podłogi. – Wezmę wolne.

– Nie mogą zobaczyć mnie w takim stanie – powiedział Elijah. – Nie chciałem, żebyście wy mnie takiego widzieli.

Pod Henley ugięły się nogi. Opadła na trzyosobową sofę. Ukryła twarz w dłoniach. Zrobiły się mokre od gorących łez, kiedy tato powiedział:

– Jestem załamany. Nie chciałem, żebyście kiedykolwiek oglądali mnie w takim stanie.

Rozdział 48

Henley siedziała w piżamie przy kuchennym stole, patrząc przez oszklone drzwi na padający za szybą deszcz. Wyczerpanie ogarniało ją falami. Przekonywanie taty, żeby spakował swoje rzeczy i przeniósł się do Simona, zajęło im prawie godzinę. Wróciła do domu o północy. Stanford zdążył już zasnąć na sofie. Było cicho. Emma nie śpiewała przy telewizyjnych programach dla dzieci, Luna nie szczekała, Rob nie narzekał na rynki finansowe znad swojego laptopa. Zaparzona przez Stanforda herbata dawno wystygła. Babie lato czmychnęło gdzieś w pośpiechu, niebo za oknem było ciężkie i ponure jak jej nastrój. Spała zaledwie trzy godziny.

Zesztywniała, słysząc przekręcanie klucza w zamku.

– To niechybny znak, że mam się wynosić – powiedział Stanford, biorąc banana z misy na owoce.

– Dzięki, że zostałeś na noc.

– Nie ma za co. Nie miałem wczoraj większych złudzeń, Anj, ale posłuchaj mojej rady.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. – Wstała i wylała do zlewu zimną herbatę.

– Nie wątpię. Znam cię. Chcesz sama wziąć wszystko na siebie, ale nie możesz, więc potraktuj go łagodnie. To wszystko nie jest łatwe.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Henley miała jeszcze minutę, nim Rob zdejmie buty i mokrą bluzę. W SMS-ie napisał tylko: „Musimy porozmawiać". Dwa słowa. Taki wstęp do rozmowy nigdy w całej historii nie doprowadził do happy endu ani polubownych konkluzji.

– Przyniosłem ci latte. – Postawił kawę na blacie. – Paul? Nie wiedziałem, że tu jesteś.

– Dzień dobry, stary. – Stanford uścisnął rękę Roba. – Nie chciałem, żeby Anjelica była tu sama. No dobra, zmywam się. Przekaż Emmie pozdrowienia od wujka Paula.

– Przekażę. – Rob podał Henley biały kubek z jak zwykle błędnie wypisanym z boku czarnym mazakiem jej imieniem.

– Dziękuję. – Gorący napar wyciekł zza źle dopasowanej pokrywki i oblał jej ręce. Choć nie miała ochoty na kawę, wypiła łyk. – Jak się miewa Ems? Miałam zamiar porozmawiać z nią przez FaceTime'a, ale wieczorem utknęłam z tatą.

– Zupełnie dobrze. Kilkoro dzieci podłapało jakiegoś wirusa żołądkowego, więc się nie zdziw, jeśli i Ems się rozchoruje. Mama jest zachwycona, że ma ją przy sobie, i rozpuściła ją jak dziadowski bicz, ale ogólnie jest niezadowolona.

Henley przewróciła oczami.

– Wiadomo.

– Nie można mieć jej tego za złe. Już było wystarczająco kłopotliwe, kiedy policja co pięć minut sprawdzała, czy nic się nie dzieje, a teraz stoją pod domem non stop.

– Chyba rozumie, że to dla bezpieczeństwa jej wnuczki? Jeśli chce ryzykować...

– Wiesz, że nie chce. Nie idziesz dzisiaj do pracy?

– Idę, tylko trochę później. Mam kilka rzeczy do zrobienia.

– Dużo ostatnio myślałem... Ta sytuacja mi nie służy.

– „Ta sytuacja"? Co chcesz przez to powiedzieć? – Henley mocniej ścisnęła w dłoniach kubek. – Jaka to, twoim zdaniem, sytuacja? – Patrzyła na Roba z tym samym obojętnym wyrazem twarzy, komunikującym „daruj sobie te bzdety" i zarezerwowanym zwykle dla podejrzanych, których przesłuchiwała.

– Po tym, co się stało, nie chciałem, żebyś wracała. Nadal uważam to za błąd, ale kiedy pracowałaś stacjonarnie, nie było najgorzej. Teraz jednak, gdy znów jesteś w terenie, wszystko się zmieniło. Narażasz nas na niebezpieczeństwo.

– Rob...

– Naraziłaś Emmę.

Szach-mat. Henley wstała i wylała latte do zlewu. Obserwowała, jak brązowy płyn wiruje zgodnie z ruchem wskazówek zegara i znika w odpływie.

– Nigdy nie naraziłam was na niebezpieczeństwo. Gdybym miała choćby cień podejrzeń, że ktoś... Czy ty naprawdę sądzisz, że chcę w ten sposób żyć?

– Oczywiście, że nie chcesz, ale co właściwie zrobiłaś, żeby to zmienić? Mogłaś się wycofać. I nadal możesz. A skoro Olivier zbiegł, to wręcz powinnaś. Może i nie jestem cholernym detektywem, ale nawet ja wiem, że on może się tu zjawić. O mało cię nie zabił. Przypadkiem o tym zapomniałaś.

– Och, nie przesadzaj. Dwie rany kłute. Nie stałam na progu śmierci. – Nawet tylko o tym mówiąc, poczuła przyspieszone bicie serca. Oboje wiedzieli, że sytuacja była poważniejsza.

– Niespełna tydzień temu jakiś psychopata zostawił ci pod drzwiami ludzką głowę. A gdyby na tym nie poprzestał? Gdyby wszedł do domu i zrobił krzywdę Emmie?

– Nigdy bym do tego nie dopuściła, Rob. Zachowujesz się tak, jakby to wszystko było moja wina. Dlaczego chcesz mnie ukarać za to, że wykonuję swoją pracę? Myślisz, że nie mam wyrzutów sumienia? I takich samych obaw co ty? – Ścisnęło się jej gardło. Usiadła na krześle. – Gdyby stało się coś Emmie, nie przeżyłabym tego. Ona jest moim życiem. Myślisz, że jestem zadowolona, że wiozłeś ją przez pół Londynu, żeby zamieszkać z nią u swoich rodziców?

Twarz Roba stwardniała.

– Dla ciebie praca zawsze była i jest na pierwszym miejscu. Przedkładasz to, czego chce Stephen Pellacia, nad potrzeby moje i naszego dziecka. Było tak wcześniej i jest tak teraz! – Rob krzyczał. Wstał i złapał się za głowę.

Henley widziała, jak ze złości pulsuje mu żyła na szyi. Zaczęła jej drżeć prawa ręka.

– To nie ma nic wspólnego ze Stephenem – oznajmiła wreszcie. Przyszło jej na myśl, że Rob podejrzewa ją o przespanie się z Pellacią po śmierci mamy, tylko że nie jest w stanie tego udowodnić.

– Czyżby? To on podjął decyzję o twoim powrocie do pracy w terenie i to on cię tam pozostawił pomimo wydarzeń zeszłego tygodnia.

– Mówisz tak, jakby mną kierował i pociągał za sznurki.

– Skoro nie może zaciągnąć cię do łóżka, to manipuluje tobą w inny sposób.

Henley działała bez namysłu. Chwyciła najbliższy przedmiot, który był pod ręką, czyli swój ulubiony kubek Arsenalu, i cisnęła nim w Roba. Zrobił unik, kubek przeleciał obok i roztrzaskał się o ścianę.

– Jak śmiesz! Stoisz tu i zgrywasz świętoszka, prawisz mi kazania, jak to narażam własne dziecko na niebezpieczeństwo, a tak naprawdę chodzi o ciebie i twoje drogocenne ego! Lepiej byś się poczuł, gdybym ci powiedziała, że zamiast szukać nie jednego, lecz dwóch zabójców, spędzam wieczory na pieprzeniu się ze Stephenem na podłodze komisariatu? To chciałbyś usłyszeć, Rob?

– A tak było?

– Na litość boską, nie! O co ci chodzi? Nie ufasz mi?

Nie odpowiedział. Ciszę przerwał odgłos wrzucanej przez otwór w drzwiach korespondencji. Rzęsisty deszcz głośno bębnił w okno połaciowe.

– Przestań owijać w bawełnę i powiedz mi, czego chcesz – rzekła Henley.

– Już ci powiedziałem. Albo praca, albo my. Proste.

– Ty i to twoje cholerne ultimatum.

Rob wzruszył ramionami.

– Nazywaj to, jak chcesz. Idę na górę po więcej ubrań dla Emmy i dla siebie.

– Nie możesz jej ode mnie separować. Jestem jej mamą. – Henley zagryzła policzek, żeby się nie rozpłakać. Przełknęła krew, która zebrała się jej w ustach.

– Skoro chcesz ją zobaczyć, wiesz, co powinnaś zrobić.

Henley wstała i otworzyła drzwi do ogrodu. Potrzebowała świeżego powietrza. Podmuch zimnego wiatru uderzył ją prosto w twarz, ale nic nie pomagało uspokoić palpitacji serca.

– To nie wszystko – rzekł Rob.

– Co jeszcze? – Henley skupiła wzrok na białych gwiazdkach kwiatów jaśminu rosnącego na końcu ogrodu. Nie chciała patrzeć na Roba.

– Nasz związek. Zmienił się. Ty się zmieniłaś. Nie traktujesz mnie jak męża. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio się kochaliśmy. Odnoszę wrażenie, że nasze małżeństwo się rozsypało.

I znów to słowo. „Rozsypało się". „Załamało". Żołądek zaczął jej ciążyć jak kamień. Czy to kobieca intuicja, czy instynkt detektywa podpowiadały jej, że w ich małżeństwo wplątała się trzecia osoba.

– Tamtego wieczoru, kiedy wyszłam z domu... wpadłam na jedną z mam z przedszkola Emmy.

– Na którą?

– Nie znasz.

– Gdzie?

– Co za różnica. Spałeś z nią? – Henley odwróciła się do Roba i próbowała odczytać wyraz jego twarzy. – Więc jak? Spałeś?

– Pojechałem do jej mieszkania, wypiliśmy kilka drinków. Byłem na ciebie zły.

– Spałeś z nią?

– Wróciłem do domu.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy z nią spałeś?

– Nie. Nie spałem.

– Ale chciałeś? W przeciwnym razie jaki byłby sens mówienia mi o tym?

– Właściwie nie. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale nie. Nie mógłbym. W razie gdybyś zapomniała. – Podniósł lewą rękę, stukając kciukiem w obrączkę. – Lubię ją, ale jej nie pragną-

łem. No ale ty i ja... już nie wiem, na czym stoimy...

– Tylko nie mów o rozsypce. – Wyszła z kuchni. Nie mogła być z nim w jednym pomieszczeniu.

– Dokąd idziesz? – zapytał, wychodząc za nią na korytarz i chwytając ją za ramię.

– Nie dotykaj mnie. – Wyrwała mu rękę. – Możesz sobie grozić, ile chcesz. Możesz rżnąć się z każdą mamą z tego cholernego przedszkola, jeśli poprawia ci to samopoczucie, ale nigdy więcej nie proś mnie o dokonanie wyboru.

Rozdział 49

Henley wyszła z domu. Ścigał ją głos Roba wyzywający ją od samolubnych suk. Jechała drogą A12 do sądu koronnego w Snaresbrook, gdzie mąż Carole Lewis pracował jako ochroniarz.

– Wiem, że twój mąż potrafi być kutasem, ale... – Głos Linh wypełniał kabinę samochodu. – Tak na serio... Wydaje mu się, że kim niby jest, do ciężkiej cholery, że ci w ten sposób grozi? I po co w ogóle powiedział ci o tej puszczalskiej z przedszkola?

– Nawet nie umiem sobie... Miał czelność oskarżać mnie o brak rozsądku.

Linh przez chwilę milczała.

– No wiesz... Bądź co bądź ktoś zostawił ci pod drzwiami odciętą głowę. Nie można go winić, że chce być z Emmą w bezpiecznym miejscu.

– Trzymasz jego stronę? – zapytała z niedowierzaniem Henley.

– Nie. Po prostu staram się być obiektywna. Słuchaj, Anj, wiesz, że uwielbiam obrabiać mu tyłek przy butelce wina, ale w tej chwili musisz słuchać głosu rozsądku. Zwłaszcza kiedy prowadzisz. I choć trudno w to uwierzyć, ja jestem teraz tym głosem rozsądku.

– Tego jeszcze nie słyszałam. Linh, wszystko rozumiem. Nie jestem potworem, ale on chce, żebym zrezygnowała z pracy. I żebyś była nie wiem jak obiektywna, to nie jest fair.

– Nie jest – przyznała Linh z mocą. – A jaki konkretnie ma pomysł? Żebyś znalazła sobie miłą posadkę w City? Bo przecież nie zależy mu na tym, żebyś siedziała w domu i bawiła się w kurę domową. Robowi chodzi tylko o to, żebyś trzymała się z dala od „niego".

– Nie wszystko kręci się wokół Stephena – mruknęła Henley, włączając kierunkowskaz i zjeżdżając z drogi szybkiego ruchu.

– Nie wszystko, ale nie zaprzeczysz, że czasem zachowuje się jak natrętna mucha, której nie możesz wygnać z kuchni.

– Linh – burknęła Henley. – Dzwonisz z jakiegoś konkretnego powodu?

Linh westchnęła.

– Tak. Dostałam oryginalny protokół z autopsji Carole Lewis, ale muszę obejrzeć ją osobiście.

– Jak to: osobiście?

– Musicie ją odkopać.

Henley gwałtownie zahamowała, gdy zapaliło się czerwone światło.

– Co? Dlaczego?

– W protokole jest wzmianka o jakichś znakach, które wyglądają jak szereg zadrapań. Ciało, miejmy nadzieję, nie znajduje się w stanie daleko posuniętego rozkładu. Gdybyśmy je odkopali, mogłabym je dokładnie obejrzeć i wtedy będę pewna, czy to dzieło naszego naśladowcy, czy męża.

– Mąż tego nie zrobił.

– Cóż, to już twoja działka. Ja muszę zbadać ślady na skórze.

– I trzeba ją w tym celu ekshumować? – Henley nie miała problemu z oglądaniem zwłok, ale inaczej miała się rzecz z zakłócaniem spokoju człowieka, który został już złożony do grobu. – Nie możesz tego ustalić na podstawie protokołu sekcyjnego?

– Nie. Punktem wyjścia pierwszego patologa była hipoteza, że zamordował ją mąż. Wtedy zwłoki bada się pod innym kątem. Ja opieram się na hipotezie, że to robota seryjnego mordercy, który spanikował przy swojej pierwszej ofierze. Muszę obejrzeć zwłoki.

Rozdział 50

Pięć miesięcy wcześniej...

Carole Lewis wyprostowała się na ławce, wypluła gumę do żucia i przeczesała palcami włosy. Zastanawiała się, czy on się zorientuje, że przed chwilą z kimś była. Miała nadzieję, że nie wyczuje zapachu innych mężczyzn na jej skórze. Wyjęła chusteczkę, delikatnie otarła pot z czoła. Niespodziewana fala upałów sprawiła, że pomimo późnej pory powietrze było parne. Prychnęła poirytowana, gdy w świetle latarni zobaczyła przed sobą postać.

– To nie twoje miejsce – powiedział.

Carole odchyliła się na oparcie ławki, skrzyżowała nogi i ramiona.

– Czekam na kogoś. Powinien zjawić się lada chwila.

– Długo czekasz? – Mężczyzna obejrzał się na drogę, którą przyszedł. Ponieważ nie odpowiadała, rzekł: – No dobra. Wiesz, gdzie mnie szukać, gdyby twój amant się nie pojawił.

Gdy mężczyzna się oddalił, Carole wyjęła telefon. Dwudziesta druga trzydzieści pięć. Siedziała tu od dwudziestu minut. Przeczytała ostatnią wiadomość, którą do niej wysłał: „Już jadę".

Tak. Chciał się z nią zobaczyć. Niczego sobie nie wymyśliła, ale nie zamierza tkwić całą noc w środku parku i czekać.

– Jeszcze pięć minut i stąd idę – wymamrotała do samej siebie. Schowała telefon, a następnie pospiesznie wstała, zauważywszy biegnącego w jej stronę mężczyznę. – Szlag by to trafił! – Rąbek sukienki zahaczył o drzazgę na siedzeniu ławki. Szarpnęła tkaninę i zaklęła ponownie, ponieważ w sukience zrobiła się dziura.

– Carole – powiedział. – Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. Tylko... sam wiesz, nieważne. Cieszę się, że w końcu dotarłeś.

– Najmocniej przepraszam. Późno skończyłem pracę. Zadzwoniłbym po wyjściu ze stacji, ale padł mi telefon.

– Nie szkodzi. Nie przejmuj się. Chcesz najpierw wstąpić gdzieś na drinka? Pewnie zaschło ci w ustach po biegu pod górę w taką pogodę.

Zanim mężczyzna zbliżył się do Carole i pocałował ją w usta, rozluźnił kołnierzyk koszuli.

– Dobry pomysł. Chodźmy na jednego, a później, nie wiem... wrócimy do ciebie?

– Jak najbardziej. Po drugiej stronie parku jest pub Harp. Znam skrót.

Mężczyzna przywarł do Carole. Kąsał jej szyję, wsunął dłoń pod sukienkę, pomiędzy uda.

– Wiedziałem, że nie nosisz majtek.

– Nigdy ich nie zakładam. Nie przeszkadza ci, że robimy to tutaj?

– Mówiłaś, że to dobre miejsce.

Carol rozpięła mu rozporek.

– Prawie nikt nie przychodzi do tej części parku. Mam kondomy.

– To dobrze.

– O Boże – powiedziała zaskoczona, gdy mężczyzna objął dłonią jej gardło i zacisnął palce. Zamknęła oczy. Całował jej szyję, ściskał piersi. Poczuła podniecenie oraz nagły przypływ adrenaliny w chwili, gdy włożył w nią palce. Przesunęła prawą dłoń w dół jego pleców, ku talii. I wtedy dotknęła zimnego metalu na rękojeści noża.

Wszystko stało się bardzo szybko. Błyskawicznie wyciągnął nóż z tylnej kieszeni i uniósł go ponad głowę.

– Nie! – krzyknęła Carole. Zasłoniła twarz skrzyżowanymi ramionami i zawyła z bólu. Ostrze rozcięło przedramię. Mężczyzna chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Zadawał cios za ciosem, raz za razem zatapiał nóż w jej brzuchu, wstrząsały nią spazmy. Wydała zdławiony krzyk, po całym ciele rozlewało się nieznośne gorąco.

Blask pełni księżyca sączył się przez gęste listowie i lśnił na wyciąganym z brzucha nożu. Nasiąknięty krwią materiał sukienki lepił się do zębatego ostrza. Chwyciła je, broniąc się przed kolejnym pchnięciem, napastnik był jednak zbyt silny. Rozpruł jej ramię z góry na dół, przecinając nerwy i ścięgna. Prawa ręka Carole opadła bezwładnie wzdłuż boku. Próbowała wezwać pomoc, ale słowo „ratunku" utonęło w wylewającej się z ust kałuży krwi.

Trzęsącą się ręką Carole zasłaniała brzuch. Zachwiała się, uniosła głowę i spojrzała na niego. Stał nieruchomo. Jego twarz zastygła w wyrazie koncentracji i zaintrygowania. Rzucił się na nią ponownie, kiereszując jej ciało. Czuła, jak wstrząsają nią konwulsje, jak uginają się pod nią kolana. Upadła, próbowała odczołgać się dalej, ale powstrzymał ją piekący ból. Nóż wbił się w plecy, odłupując fragment kości łopatki.

Kolejne pchnięcie rozerwało płuco. Mężczyzna bestialsko wwiercał ostrze z takim zacięciem, że złamał czubek ząbkowanego noża. Jednym szarpnięciem odwrócił Carole przodem do siebie. Słyszała szelest przemykających przez park lisów.

„Pozwól mi umrzeć. Pozwól mi umrzeć".

Przebłysk świadomości zarejestrował to błaganie, lecz ciało je zignorowało, nawet gdy nóż ponownie rozdarł pierś. Powieki zamrugały, otworzyły się oczy, krew zamazywała obraz. Carole nie widziała, jak nóż unosi się nad jej głową. Śmierć wciąż nie nadchodziła, gdy podrzynał jej gardło brutalnym, zamaszystym ruchem.

Rozdział 51

Henley wierciła się na fotelu. Zegar w samochodzie wskazywał za kwadrans jedenastą. Ramouter wrócił do SCU, żeby umówić spotkania z sędziami przysięgłymi orzekającymi podczas pierwszego procesu Oliviera. Henley dotarła do sądu koronnego w Snaresbrook przed czasem i teraz siedziała w aucie na parkingu, przeglądając akta śledztwa w sprawie zabójstwa Carole Lewis. Miała dziwne wrażenie jakiegoś oderwania od sprawy, gdy przewijała na ekranie iPada zeznania świadków i raporty policji. Brakowało jej dotyku papieru. Czasem była przekonana, że wręcz czuje zapach krwi ofiary na kartkach policyjnego notesu.

Nawet nie drgnęła, gdy na ekranie ukazały się zdjęcia z miejsca zbrodni. Carole nie próbowała uciekać. Jej torebka, zamknięta i obryzgana krwią, leżała zaledwie kilka centymetrów od jej głowy. Niebieska sukienka w kwiaty była podciągnięta na wysokość talii. Kobieta nie miała na sobie bielizny. Krew z kłutych ran brzucha spłynęła strużkami i zakrzepła na owłosionym łonie.

Były dowody na odbycie stosunku płciowego. Badania wykazały obecność środków plemnikobójczych i lubrykantów w pochwie oraz spermy w gardle. Z ciała pobrano DNA trzech różnych mężczyzn.

Henley rozumiała, dlaczego Lancaster szybko wzięła na celownik męża. Zazdrość, zdrada małżeńska, młodsza kobieta i starszy małżonek. Ramouter dowiedział się, że okolica, w której znaleziono zwłoki Carole Lewis, była popularnym miejscem uprawiania seksu na łonie natury. We wszystkich okienkach raportu zaznaczono zbrodnię w afekcie, co pozwalało obronie powoływać się na „utratę kontroli", jednak zdaniem Henley nic tu się nie zgadzało. W torebce Carole znaleziono cztery prezerwatywy, obrączkę i pierścionek zaręczynowy, ale telefonu tam nie było. Naoczny świadek zeznał, że gdy wychodzili z żoną z parku, natknęli się na kobietę odpowiadającą rysopisowi Carole. Jego żona dodała jednak, że sprawiała ona wrażenie osoby spóźnionej, a nie przed kimś uciekającej.

Po zamknięciu akt Henley była pewna dwóch rzeczy. Carole Lewis znała zabójcę i sama umówiła się z nim na spotkanie.

Alan Lewis nie był typem przystojniaka. Rzadkie siwe włosy zebrał w ciasny kucyk. Zaczerwieniona skóra na łysiejącej głowie brzydko się łuszczyła. Spojrzenie brązowych oczu osadzonych jakoś niefortunnie między fałdami bladej skóry błyskawicznie przerzuciło się z legitymacji policyjnej Henley na jej twarz. Mężczyzna oblizał wargi i dopiero wtedy się odezwał.

– Jestem zajęty. Nie można później?

– Z przyjemnością porozmawiam z panem tutaj – odparła Henley, siadając na stole pokrytym spękanym białym laminatem.

Bramka bezpieczeństwa nerwowo piszczała do wtóru poirytowanych posapywań Alana, który musiał przez nią przejść.

– Nie dość, że muszę znosić, jak podjeżdżacie pod mój dom, kiedy wam się żywnie podoba, i wywracacie wszystko do góry nogami, to jeszcze robicie mi naloty w pracy – powiedział

Alan, idąc w stronę dużego stawu, który obsiadły gęsi kanadyjskie. Zatrzymał się przy ławce, wyjął torebkę tytoniu i bibułki. – Gdzie tamta druga? Ta brunetka. Sierżant Lancaster.

– Nie jestem z wydziału kryminalnego w Wood Green. – Henley wyminęła Alana i usiadła na ławce. Widok na sadzawkę przyciągał bardziej niż ten na gmach sądu, w którym dawniej mieścił się sierociniec.

– Więc skąd?

– Z Wydziału Przestępstw Seryjnych.

Alan przestał zwijać papierosa. Płatki tytoniu sfrunęły na trawę.

– To dlaczego chcecie rozmawiać akurat ze mną?

– Ponieważ nie sądzę, że rozmawiam z zabójcą Carole. Oto dlaczego. Mam do pana kilka pytań oraz prośbę. – Henley nie odrywała wzroku od gęsi drepczących w stronę wody.

– Wierzy mi pani? Wierzy pani, że jej nie zabiłem?

Odwracając się do Alana, zdążyła zauważyć, jak z ulgą rozluźnia ramiona.

– Trzymali mnie w komisariacie ponad dwa dni. Wie pani, jak to jest siedzieć w zimnej celi wśród smrodu własnych odchodów, a tamci mają jeszcze czelność pytać człowieka, czy chce śniadanie?

Odczekała, aż Alan się uspokoi.

– Powracając do pańskiej żony. Jak długo byliście małżeństwem?

– Sześć lat. – Wyjął zapalniczkę z tylnej kieszeni i usiadł na drugim końcu ławki. – Poznałem ją... poznałem ją w parku.

Usłyszała wahanie w jego głosie.

– Co w tym parku robiliście?

– Oddawaliśmy się pewnym czynnościom, które często można obserwować w parku między psem a suką.

Henley nie prosiła o dalsze wyjaśnienia.

– Spotkaliśmy się kilka razy. Zaprosiłem ją na drinka. Była miła, lubiliśmy te same rzeczy. Reszta to już historia.

– Jej ciało znaleziono w parku Highgate Woods.

– Wiem. Uzgodniliśmy, że po ślubie zrezygnujemy z seksu w parku i mniej więcej przez pięć miesięcy się tego trzymaliśmy. Potem jednak chciała do tego wrócić. Tak jakby potrzebowała zainteresowania, uwagi. Nie miałem ochoty z nikim się nią dzielić, ale... była uparta. Ja jej nie wystarczałem. Chciałem tylko, żeby na siebie uważała. Byłem gotów jej towarzyszyć, nie po to, żeby patrzeć, bo to mnie już nie interesuje, wiem jednak, że czasem chodziła tam sama.

– Więc nie był pan zaskoczony, gdy nie wróciła do domu.

– Byłem. Zawsze wracała. Pod tym względem była niezawodna. Mam drugą pracę. Pracuję jako ochroniarz klubu na Kings Cross. Wracałem stamtąd około czwartej nad ranem, a ona nigdy nie przychodziła później niż o wpół do piątej. O tej porze zaczynają kursować autobusy dzienne. Ponieważ rano nie zastałem jej w domu, wiedziałem, że coś się stało. Zadzwoniłem do niej na komórkę, ale telefon dzwonił i dzwonił. Poszedłem szukać jej w parku, nie było jej tam, gdzie zwykle. Zadzwoniłem na policję i chciałem zgłosić zaginięcie, ale zwyczajnie mnie zbyli. A później, po południu, pod moimi drzwiami zjawiła się ta cholerna sierżant Lancaster. – Alan zaciągnął się papierosem.

– Zeznał pan, że tamtą noc, gdy zamordowano pańską żonę, spędził pan z Dawn Bradley, jednak alibi nie zostało potwierdzone.

– Poznała pani męża Dawn? Nic dziwnego, że zaprzeczyła. O ile znam Dawn, to podała inne imię.

– Czy Carole rozmawiała z panem o swoim udziale w procesie Petera Oliviera?

– Czy rozmawiała? Nie zamykały się jej usta. Wydawało się jej, że jest niezmiernie ważna, jak włóczy się codziennie między domem a Old Bailey.

– Co mówiła na ten temat?

– Już powiedziałem. Wszystko. Że była ławniczką na procesie mordercy z piłą. Opowiadała, jak ćwiartował ciała. Jej zdaniem cały ten Olivier był atrakcyjny... – urwał i wykrzywił twarz. – Czarujący. Wyobraża sobie pani? Czasami naprawdę myślałem, że ma nie po kolei w głowie.

– A inni przysięgli? Wspominała coś o nich?

Alan strzepnął popiół na brzeg stawu.

– O kilku. Opowiadała o jakiejś dziewczynie. Zoe. Czasem umawiały się na drinka.

– O kimś jeszcze? – Henley zapisała informację w notesie.

Alan potarł siwiejącą szczecinę na brodzie.

– O kobiecie, której nie mogła zdzierżyć. Nazywała ją Agathą Christie na cracku. I był jeszcze on.

Henley przestała notować.

– On?

– Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. Bez przerwy do niej wydzwaniał. Zajrzałem do jej telefonu i widziałem od niego SMS-y.

– Sypiała z nim?

– Zaprzeczyła, ale z tego, co do niej pisał... Nie rozmawia się z kimś w ten sposób, jeśli nie miało się intymnego kontaktu. Rozumie pani?

– I nie jest pan w stanie sobie przypomnieć, jak się nazywał?

Pokręcił głową.

– Nie. – Zerknął na zegarek. – Długo to potrwa?

– Prawie skończyłam. Jeszcze tylko potrzebuję pańskiej zgody.

– Zgody? Na co?

– Na ekshumację ciała żony.

Mężczyzna pobladł.

– Po co, do ciężkiej cholery?

– Sądzimy, że to zabójstwo może mieć związek z serią morderstw, które aktualnie bada SCU.

– Chcecie ją odkopać? – Z niedowierzaniem pokręcił głową, papieros tlił mu się w palcach. – Myślicie, że ten sam człowiek zabił moją Carole?

– Istnieje takie prawdopodobieństwo, ale nie możemy być pewni, póki...

– Jej nie odkopiecie?

Henley kiwnęła głową.

– Niestety. Przepraszam.

– Za co pani przeprasza? Nie pani ją zabiła. – Zgasił papierosa na ławce i rzucił niedopałek na trawę nad stawem. Odetchnął tak gwałtownie, że aż zaświszczało. – W porządku. Zróbcie to. Zróbcie wszystko, co trzeba. Możecie ją odkopać, skoro dzięki temu oczyszczą mnie z zarzutów.

Rozdział 52

– Zaskoczyłem cię? – Olivier oparł się o framugę drzwi i zsunął z głowy kaptur.

– No... co ty... – Blaine był w szoku. Wychylił się, sprawdzając, czy nie ma nikogo w korytarzu. – Jak się tu dostałeś? – zapytał. Zgasił światło w mieszkaniu w nadziei, że stojący przed nim mężczyzna... zniknie.

– Macie tu marną ochronę. Każdy Tom, Dick czy Harry może tu spokojnie wejść prosto z ulicy. – Olivier przecisnął się obok Blaine'a z prędkością błyskawicy, wszedł do mieszkania i na powrót zapalił światło.

– Mówiłem ci, że gadała ze mną policja – rzekł Blaine. Ruszył za Olivierem, ale zawahał się w progu, nieskory do znalezienia się z nim sam na sam w jednym pomieszczeniu. – Wydzwaniają do mnie, pilnują. Być może obserwują mnie nawet w tej chwili, nie wiadomo...

– U-spo-kój się, kurwa – wycedził Olivier. Otworzył lodówkę, wyjął puszkę piwa i ją otworzył. – Pęka mi przez ciebie łeb.

– Nie powinieneś tu przychodzić.

Olivier zlustrował go znad puszki piwa.

– Nie zamierzam zostać. Po prostu czegoś od ciebie potrzebuję.

Blaine nie miał pojęcia, czego może chcieć od niego Olivier, wiedząc, że policja ma już go na oku.

– Na przykład czego? – zapytał wreszcie. Olivier zbliżył się tak szybko, że Blaine aż odskoczył w tył.

– Coś taki nerwowy? – Roześmiał się. – Nie bałeś się, kiedy odwiedzałeś mnie w pace. Patrz. – Olivier podniósł ręce. – Tym razem bez kajdanków.

Blaine zebrał się w końcu na odwagę i odwrócił plecami do Oliviera. Wszedł do niewielkiego pokoju dziennego, sprawdził, czy zasłony są dobrze zaciągnięte. Olivier usiadł, a po chwili wyciągnął się na sofie. Blaine stał przy oknie, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Wszyscy cię szukają. – Blaine przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu jak najdalej od Oliviera.

– Wiem. Ale nauczyłem się jednego: policja nigdy nie zagląda w najbardziej oczywiste miejsca.

– Czego ode mnie chcesz? – Blaine nie potrafił ukryć drżenia w głosie.

Olivier ciężko westchnął, oparł głowę o poduszki.

– Masz tu w okolicy jakiegoś przyzwoitego hindusa? – zapytał.

– Co?

– Hindusa. Żarcie. Na wynos. Małego człowieczka na skuterku, który dostarczy ci wyżerkę pod drzwi.

– Mam, ale...

Olivier zerwał się na nogi, chwycił Blaine'a za gardło i przyparł go do ściany.

– Pewnie żałujesz, że się nie zmyłeś – szeptał mu prosto do ucha, jednocześnie zaciskając palce na szyi. – Że nie spakowałeś walizeczki i nie zniknąłeś w tej samej sekundzie, w której usłyszałeś, że jestem na wolności.

Olivier go puścił. Blaine zakasłał, jego pierś zafalowała, gdy łapczywie nabrał powietrza.

– Będą myśleli, że pomagałem – rzekł Blaine słabym głosem, osuwając się na podłogę. – Nie mogę tam znowu trafić.

– Chyba nie masz wielkiego wyboru. Znajdą na ciebie jakieś haki. – Olivier wziął leżącego na sofie laptopa. – Jak myślisz, jak czuje się mój naśladowca, wiedząc, że jestem na wolności? Cieszy się, czy tak jak ty ze strachu robi pod siebie? Może go to wręcz kręci.

– Nie wiem... nie mam pojęcia. – Blaine ponownie zakasłał i ostrożnie dotknął obolałej szyi.

– Oryginalne akta sprawy, twoje notatki z mojego procesu. Dokumenty z twojego procesu. Masz je tutaj? Mówiłeś, że wszystko przechowujesz.

Blaine kiwnął głową i wskazał na teczki oraz segregatory na dolnej półce biblioteczki spięte razem gumkami.

– Wszystkie?

– Komplet – potwierdził ochrypłym głosem.

– Świetnie. – Olivier otworzył laptopa, nacisnął klawisz. – Poproszę hasło. Pospiesz się, przecież cię nie ugryzę.

Blaine wstał z ociąganiem, podszedł do komputera i wprowadził hasło.

– Uprzejmie ci dziękuję.

– Co robisz?

Olivier nie odpowiedział. Pisał coś, popijając przy tym piwo. Po kilku minutach spojrzał Blaine'owi prosto w oczy i rzekł:

– Pomagam policji w śledztwie.

Rozdział 53

Daniel Kennedy, Zoe Darego, Sean Delaney i Carole Lewis. Nazwiska były wypisane na białej tablicy zmywalnym czerwonym pisakiem.

– Jesteś całkowicie pewna, że powinno się tu znaleźć nazwisko Lewis? – zapytał Pellacia. Henley zerknęła na Ramoutera, który gapił się na szefa szeroko otwartymi z niedowierzania oczami.

– Oczywiście, że jest pewna – oznajmiła Joanna, po czym rzuciła plik papierów na biurko Ramoutera.

– Bawię się w adwokata diabła – ciągnął Pellacia. – Mamy odstęp czterech miesięcy między zabójstwem Lewis a znalezieniem zwłok Kennedy'ego i Darego. I różnicę w sposobie zabijania. Kennedy, Darego i Delaney zostali rozczłonkowani. Lewis nie, jej poderżnięto gardło.

– To drobna nieścisłość – zaoponowała Henley. Przysunęła sobie dużą torbę na dowody wypełnioną listami. – Ten, kto poderżnął jej gardło, o mało nie odciął całej głowy. Może zabójca wykorzystał sprzyjające okoliczności, niemniej zbrodnia wymagała do pewnego stopnia planowania. Intuicja mi podpowiada, że Lewis poszła do parku spotkać się z kimś, kogo znała. Nie wiem tylko z kim.

– Obawiam się, że intuicja nie wystarczy. A próbki DNA pobrane z jej ciała? Udało się je dopasować? – spytał Pellacia.

– Dwie tak. Jedna należy do jej męża, druga do Gary'ego Wilkinsa. Stanford aresztował i przesłuchał Wilkinsa wczoraj wieczorem. Facet przyznał, że tamtego wieczoru uprawiał z Carole seks. Twierdzi, że nie po raz pierwszy i że regularnie umawiali się w Highgate Woods. Powiedział, że gdy doszło do zabójstwa Carole, był w pracy, ale od tamtej pory zmienił miejsce zatrudnienia, a Stanford ma kłopot z odszukaniem jego kierownika z poprzedniej pracy. Trzeciej próbki nie zidentyfikowano.

– Możliwe, że nasz zabójca jest jednym z mężczyzn, z którymi sypiała.

Henley pokręciła głową.

– Nie możemy tego wykluczyć, jednak niezidentyfikowaną próbkę DNA pobrano spod paznokci i z zaschniętego nasienia na nogach. Nie znaleziono jej wewnątrz ciała. Nie wydaje mi się, by zabójca odbył z nią pełny stosunek.

– Wiem, że traktujemy Blaine'a, a teraz także Wilkinsa jako potencjalnych podejrzanych, ale co z pozostałą dwójką przysięgłych, których skazano za obrazę sądu? Między innymi przez nich pierwszy proces zakończył się fiaskiem. Rozmawiałeś z nimi? – Pellacia zwrócił się do Ramoutera.

– Pine pracuje na etacie ratownika medycznego, więc trudno było umówić się z nim na spotkanie ze względu na zmianowy charakter pracy, a z Naylorem spotykamy się później. Nie powiem, żeby był tym zachwycony.

– Co z pozostałymi ławnikami? Jakieś postępy w ich namierzaniu? – dociekał Pellacia.

– Zajęło mi to prawie cały poranek, ale ich odnalazłem. Dwojgiem z nich nie musimy na razie zaprzątać sobie głowy. Naomi Spencer spędza miesiąc miodowy w Wietnamie. Wyjechała

mniej więcej miesiąc temu i ma wrócić dopiero za dwa i pół tygodnia. Kushal Bollasingham odsiaduje wyrok w High Down. Osiemnaście miesięcy za wyłudzanie zasiłków. Ma zostać zwolniony przedterminowo w kwietniu. Następny – Hamilton Bryce. W zeszłym roku przeprowadził się do Manchesteru. Pytałem go, czy po procesie utrzymywał jakieś kontakty z ławnikami. Zaprzeczył.

– Miejmy nadzieję, że możemy odpuścić sobie Bryce'a. Z wyjątkiem przypadku Lewis nasz naśladowca zdaje się ograniczać swe działania do południowego Londynu, jednak mimo wszystko powinniśmy poprosić policję z Manchesteru, żeby mieli go na oku – zasugerowała Henley.

Pellacia z aprobatą skinął głową.

– Zostają nam więc Alessandro Naylor, Jessica Talbot, Dominic Pine i Michael Kirkpatrick – rzekł Ramouter, składając kartkę na pół. – Co teraz? Nie możemy wyrosnąć nagle pod ich domami i oznajmić, że są potencjalnym celem ataków seryjnego mordercy.

– Będziemy musieli.

– Co mówią w UKPPS[6] o ochronie pozostałych ławników? – zapytał Pellacia.

Henley jęknęła, przypomniawszy sobie niesłychanie irytującą rozmowę z Gią Mapess, londyńską dyrektorką UKPPS.

– Bardziej troszczą się o zasady i procedury niż o posługiwanie się zdrowym rozsądkiem – rzekła Henley. – Muszą zrewidować sprawę, by oszacować poziom zagrożenia przysięgłych.

– Seryjny zabójca panoszący się w mieście to niewystarczające zagrożenie? – zapytał Pellacia.

– Nie, dopóki tego nie stwierdzą, a potem przysięgli zdecydują, czy wyrażają zgodę na ochronę i w jakiej postaci: alarmu osobistego, patroli policyjnych...

Przerwał jej dzwonek telefonu na biurku. Rozpoznała numer: należał do Anthony'ego.

– Co zrobiłaś ze swoją komórką? – zapytał. – Nie odbierałaś, postanowiłem więc łapać cię w dobry stary sposób.

Henley podtrzymała słuchawkę ramieniem i sięgnęła do torby po telefon komórkowy. Pięć nieodebranych połączeń od Anthony'ego, komórka przełączona na tryb cichy.

– Przepraszam. Więc cóż to za pilna sprawa?

– Twoja głowa.

– Słucham?

– Twoja głowa. Ta, którą bezceremonialnie porzucono pod twoimi drzwiami. Zidentyfikowana. Sprawdź maile.

Henley uruchomiła komputer i otworzyła załącznik. Z ekranu spoglądał na nią uśmiechnięty mężczyzna. Gęste czarne włosy opadały na czoło. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat.

– Nazywa się Elliot Shen Cheung. Gdy zaginął, miał dwadzieścia cztery lata. – Henley powiększyła fotografię na tablicy multimedialnej. – Rozesłano portret pamięciowy, w zeszłym tygodniu umieszczono go na stronie Wydziału Poszukiwań Osób Zaginionych. Mniej więcej dwie godziny temu dostali pilne powiadomienie, że być może dokonano identyfikacji.

– Więc kto to jest? – zainteresował się Ramouter. – I co zrobił Olivierowi?

– Pochodzi z Hongkongu. Przyjechał tu w wieku osiemnastu lat na uniwersytet w Cardiff. Po dyplomie przeprowadził się do Londynu i pracował w agencji reklamowej przy Hoxton

Square. Kolega zgłosił jego zaginięcie tydzień przed odnalezieniem bezgłowego ciała, lecz wygląda na to, że nie widziano go co najmniej dwa tygodnie poprzedzające odkrycie zwłok.

– A jego pracodawcy? Nie wydawało im się dziwne, że nie zjawił się w biurze? – zapytał Pellacia.

– Powiedzieli, że to nie pierwszy raz, kiedy młodszemu pracownikowi nie chciało się po prostu przyjść do pracy – odparła Henley.

– Kto dokonał identyfikacji? – zainteresował się Ramouter.

– Właśnie w tym rzecz. Wydział Poszukiwań Osób Zaginionych dostał dwa zgłoszenia. Pierwsze od niejakiej Tanyi O'Brien, byłej dziewczyny Elliota. Zerwali ze sobą jakiś tydzień przed jego zaginięciem.

– A drugie?

Henley czuła, jak zaczynają ciągnąć ją blizny na brzuchu, gdy przyglądała się fotografii uśmiechniętego Elliota Cheunga, który leżał teraz w kostnicy w sześciu częściach.

– Od Petera Oliviera.

– Co?! Peter Olivier skontaktował się z wydziałem? – spytał Pellacia.

– Nie, zadzwonił. Zrobił to wczoraj po południu przez stronę internetową. Rozmawiałem już z Ezrą, próbuje namierzyć adres IP, z którego korzystał.

– Jeśli rzeczywiście był to Olivier – wtrącił Pellacia. – Oszołomów nie brakuje. Równie dobrze ktoś może się pod niego podszywać.

– Niewykluczone – przyznała Henley. – Ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to był on. Grunt, że znamy tożsamość ofiary.

– Więc kim jest ten cały Elliot Cheung? Nie przypominam sobie, żebym natknął się na to nazwisko w wysuwanych przez Oliviera oskarżeniach o gwałt – rzekł Pellacia.

– Poza tym jest za młody – zauważyła Henley. – Cheung zaginął w wieku dwudziestu czterech lat. Olivier musiał mieć jakiś powód. Wybór ofiary na chybił trafił nie pasuje do jego schematu działania.

Pellacia w skupieniu zmarszczył czoło. Henley nie musiała pytać, nad czym się zastanawia. Wiedziała.

– Martwisz się, że sprawa wymyka się nam spod kontroli? – zapytała.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójcy-naśladowcy; Olivier zwiał, a my w zasadzie stoimy w obliczu ponownego otwarcia dawnego śledztwa.

– Niczego ponownie nie otwieramy. Musimy się tylko dowiedzieć, co łączyło Oliviera z Elliotem Cheungiem.

– I dlaczego zlecił dostarczenie głowy Cheunga pod twoje drzwi.

– Znam odpowiedź na to drugie pytanie – odparła Henley. – Ponieważ jest chorym popaprańcem.

Rozdział 54

Choć Blaine bardzo się starał panować nad sobą, w końcu zlał się w gacie. Olivier uśmiechnął się z politowaniem na to wspomnienie. Skomlał, kiedy trzymał mu przy gardle kuchenny nóż i opowiadał, w którym miejscu rzeka wyrzuci różne części jego ciała, jeśli waży się zawiadomić policję. Skomlenie nie zagłuszyło ciurkania strużki moczu na gołych nogach Blaine'a. Spodziewał się, że koleś okaże mu więcej wdzięczności za darowanie mu życia. Gdy się teraz nad tym zastanawiał, uznał, że powinien był skrócić jego cierpienie.

Olivier oparł się o ogrodzenie z kutego żelaza i wpatrywał w brudną wodę. Obserwował, jak para łabędzi omija unoszące się na powierzchni plastikowe butelki. Był przypływ. Drobne krople pryskały mu na ręce, fale Tamizy rozbijały się o murowane nabrzeże. Resztki biało-niebieskiej taśmy policyjnej owinięte wokół prętów ogrodzenia trzepotały na wietrze, obijając się o jego kolana. Żółta tabliczka nieopodal apelowała do świadków zbrodni o kontakt z policją.

Spojrzał w stronę dawnych doków. Wyrastał tam las nowych wieżowców oraz dźwigów zwieńczonych czerwonymi światełkami zdających się sięgać nieba.

Nie powinien był rezygnować z ucieczki. Mógł wskoczyć na ciężarówkę zmierzającą w przeciwną stronę, do Calais. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej złożony fragment gazety znaleziony na podłodze skradzionego przez siebie samochodu. Siódma strona „Evening Standard" sprzed paru dni. Przesunął zgrubiałym palcem po nagłówku. Ofiara zidentyfikowana. Daniel Kennedy. To ten pierwszy.

– Zasrany amator – mruknął Olivier, czytając ponownie o znalezieniu ciała u stóp Watergate Steps, niewiele ponad metr od miejsca, w którym teraz się znajdował.

Tutaj wszystko się zaczęło. W pewnym sensie powinien być wdzięczny swemu naśladowcy. Zabójstwo Kennedy'ego podziałało jak katalizator. Jak zapłon, który pchnął go do wcielenia wreszcie w życie planu ucieczki.

Wdychał zapach rzeki i zastanawiał się przez chwilę, czy naśladowca stał w tym samym miejscu i czy czuł na skórze krew ofiary. Olivier uśmiechnął się do siebie, ale nie było w tym uśmiechu wesołości. Henley miała rację. Ten człowiek, ten naśladowca, jest tylko jego nędzną imitacją. Olivier nie miał zamiaru siedzieć z założonymi rękami, skoro ta miernota tak sobie poczyna. Podarł gazetę, patrzył, jak wiatr unosi strzępy papieru. Nie będzie czytał w prasie, jak to Henley schwytała naśladowcę. O nie. Prasa doniesie, że Henley znalazła szczątki naśladowcy pozostawione przez Oliviera.

Rozdział 55

– To jakiś żart? Z pewnością żart. – Jessica Talbot stała pośrodku zabałaganionego pokoju z ośmiomiesięcznym synkiem na biodrze. Drugi, dwuletni, bawił się na podłodze puzzlami i samochodzikami.

– Niestety, to nie jest żart – wyjaśniła Henley. Dwulatek przydreptał do Ramoutera i wręczył mu klocek Lego.

Jessica pobladła jak płótno. Zatoczyła się w tył i opadła na sofę. Dziecko w jej ramionach zachichotało, jakby to była kolejna wymyślona przez mamę zabawa.

– Nie pamiętam ich. Tamtych pozostałych. Z jakiego powodu ktoś miałby ich zabijać?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Zorganizowaliśmy już dla pani policyjną ochronę. Dwóch funkcjonariuszy, którzy będą dbać o pani bezpieczeństwo, zjawi się tu lada chwila i się przedstawi.

– Ochrona? Mam troje dzieci. Moja mama niedawno złamała nogę... mam... nie mogę. Mojemu mężowi nie spodoba się to ani trochę. Tego już za wiele.

– Ogromnie mi przykro, ale bezpieczeństwo pani i pani rodziny jest tu kwestią nadrzędną – oznajmiła stanowczo Henley.

– A co z moją córką? Ma osiem lat, chodzi do szkoły. Co mamy robić? Jak chcecie nas chronić? Jakoś nie ochroniliście tamtej trójki ławników. – Głos Jessiki stawał się coraz bardziej histeryczny.

– Jessico, proszę, niech się pani uspokoi.

– Jak mam się uspokoić, skoro ściga mnie seryjny morderca?

– Nie pozwolimy, by spadł pani choćby jeden włos z głowy. Daję na to moje słowo.

– Możecie mi to obiecać? Tak? – Jessica próbowała powstrzymać dziecko przed ciągnięciem jej za włosy. Zniżyła głos do gorączkowego szeptu. – Możecie obiecać moim dzieciom, że ich mama nie zostanie poćwiartowana i wyrzucona w kawałkach na środku stacji benzynowej?

Reakcja Michaela Kirkpatricka, sędziego przysięgłego numer dziesięć, wiele się nie różniła.

– Przede wszystkim nigdy nie chciałem zasiadać w tej cholernej ławie przysięgłych. – Michael zamknął drzwi pokoju konferencyjnego na dwudziestym czwartym piętrze TL Global Banking w City. Jego arogancja doskonale harmonizowała z pogodą: gęste ciemne chmury deszczowe przesłoniły czubki Ogórka oraz Sharda. Sprawiał wrażenie człowieka, który bez skrupułów opowiedziałby się za montażem specjalnych kolców odstraszających bezdomnych przed biurowcem, w którym rezydował.

– Wiecie, ile mnie kosztowało siedzenie tam przez dwa tygodnie? Lepiej bym wyszedł na zapłaceniu sądowi za moją nieobecność. Tak jakby pięć funtów na lunch i pokrycie kosztów dojazdu komunikacją publiczną miały zrekompensować mi straty.

– Rozumie pan, o czym mówimy? – zapytał Ramouter.

Michael zrobił sobie espresso i wziął słodką bułkę ze stosu wypieków.

– Bardzo wątpię, by ktoś chciał mnie ścigać – rzekł z pełnymi ustami.

Henley nie zdołała stłumić ataku sardonicznego śmiechu.

– Nie przyszliśmy tu marnować pańskiego czasu. Sprawa jest poważna.

– Jak mam w tej sytuacji pracować? Zaplanowałem spotkania z bardzo ważnymi osobami, w przyszłym miesiącu muszę lecieć do Nowego Jorku. Psy będą za mną łazić na każde spotkanie?

– Gdyby miało to gwarantować, że nie skończy pan w... ilu kawałkach, detektywie Ramouter? Pięciu? – zapytała Henley, przekrzywiając na bok głowę.

– Sześciu – poprawił Ramouter z kamienną twarzą.

– Racja. Odcinał też głowy – ciągnęła. Od początku rozmowy Michael po raz pierwszy się zaniepokoił.

– Jeśli nie złapiemy zabójcy, może nie zobaczyć pan Nowego Jorku, ale skoro podjęcie takiego ryzyka nie jest dla pana problemem, możemy skierować nasze siły gdzie indziej – podsumowała, doskonale wiedząc, że Michael zdecyduje się na maksymalną ochronę.

Dominic Pine wydawał się niewzruszony, gdy Henley pokazała mu w drzwiach policyjną legitymację.

– W sprawie wczorajszego wieczoru? – zapytał.

– Co wydarzyło się wczoraj wieczorem? – odpowiedziała pytaniem.

– Sąsiedzi z góry robili awantury.

– Nie, my nie w tej sprawie. Rano rozmawiał pan z moim kolegą. – Odsunęła się na bok, żeby Dominic mógł zobaczyć Ramoutera.

– Dzień dobry. Detektyw Ramouter.

– Och, przepraszam. Kompletnie wyleciało mi to z głowy. Miałem wczoraj długą zmianę.

Drzwi zamknęły się im przed nosem. Usłyszeli szuranie metalu o metal. Pine odsuwał łańcuch.

– Dziękuję – powiedziała, wchodząc do środka. Ramouter zamknął drzwi.

Henley pociągnęła nosem. Mieszkanie chyba nigdy nie było wietrzone. Korytarz rozpaczliwie prosił się o remont. Wzór na wykładzinie przesłaniała skorupa brudu, wyblakła tapeta odklejała się tu i ówdzie, ale było w tym mieszkaniu coś jeszcze, czego nie potrafiła sprecyzować.

– Pozwolicie, że coś na siebie włożę. Trochę głupio się czuję, rozmawiając z wami w samych bokserkach.

Dominic Pine wrócił ubrany w spodnie dresowe i niebieską koszulkę włożoną na lewą stronę. Zaprosił ich do pokoju.

– Skoro nie przyszliście w sprawie tamtych świrów z góry, to o co chodzi?

– Jak już wspomniałam, ja i detektyw Ramouter pracujemy w Wydziale Przestępstw Seryjnych.

– Coś kojarzę...

– W dwa tysiące siedemnastym roku był pan ławnikiem w procesie Petera Oliviera podejrzanego o zabójstwo.

– Podobno uciekł. Mówią o tym w każdych wiadomościach. Już go złapali?

Henley zignorowała pytanie.

– Prowadzimy śledztwo dotyczące serii zabójstw, które są powiązane z tamtym procesem.

– Co to ma ze mną wspólnego? Wiecie, że wykopali mnie z tamtej sprawy, prawda? Spędziłem przez to trzy miesiące w więzieniu. Coś mi grozi? Dlatego tu przyszliście? – Dominic się roześmiał. Henley rzuciła okiem na półki wypełnione płytami DVD i kompletem starych encyklopedii w czerwonych okładkach. Nie spieszyła się z odpowiedzią. Ciszę zakłócały tylko niewyraźne głosy kłócącej się piętro wyżej pary.

– Niewykluczone, że jest pan celem – powiedziała wreszcie. – Troje z ławników zasiadających na pierwszym procesie zabójcy z piłą zostało zamordowanych. W zeszłym tygodniu znaleziono ciała Daniela Kennedy'ego, Zoe Da...

– Jezu Chryste. Robi mi się niedobrze – powiedział Dominic, wstał i wyszedł z pokoju.

Henley poszła za nim do małej kuchni. Dominic zwymiotował do zlewu. Na blacie leżały rozsypane ziarenka cukru i granulki kawy. Niechlujstwo wnętrza, jego zaniedbanie i wrażenie, że nikt w nim nie mieszka, przypominały jej dom taty. Wyjrzała przez kuchenne okno i poczuła wyrzuty sumienia na widok samochodu policyjnego wjeżdżającego na teren osiedla. Jak skuteczną ochronę mogą rzeczywiście zapewnić Dominicowi Pine'owi oraz pozostałym?

– Czy to musi być oznakowany samochód? – Alessandro Naylor wyjaśnił Henley i Ramouterowi, że mieszka z ciotką i wujem, i odmówił wpuszczenia ich do domu. – Mimo że jesteście w cywilu, to i tak wyglądacie na gliny. Tutaj ludzie nie przepadają za policją, wolałbym, żeby sąsiedzi nie widzieli, jak zapraszam was do środka.

– Samochód jest oznakowany nie bez powodu – odparła Henley.

– Więc wszystko na legalu. Widziałem, że Olivier dał nogę, ale nie myślałem, że może mnie to w jakiś sposób dotyczyć.

– Ale widział pan w wiadomościach, co się stało z innymi?

– Dwa miesiące temu gościa z drugiej strony ulicy znaleziono z kulką w głowie w jego własnej kuchni. W zeszły wtorek dwa gangi dzieciaków postanowiły urządzić sobie w parku bitwę na noże. Więc, szczerze mówiąc, puściłbym te informacje mimo uszu.

– Rozumiem. – Henley nie miała siły drążyć tematu. – Chcieliśmy się z panem spotkać, żeby zapytać, czy przychodzi panu do głowy jakikolwiek powód, dlaczego ktoś chciałby obrać sobie pana za cel. Tak jak tamtych.

Alessandro pokręcił głową i cisnął niedopałek papierosa do rynsztoka.

– Żaden. Już mówiłem. Po procesie moje życie szlag trafił. Popełniłem błąd. Poniosło mnie i przyszło mi za to zapłacić. Od czasu wyjścia z więzienia się nie wychylam. Podjąłem pracę w firmie hydraulicznej wuja, nie dlatego żebym lubił czyścić cudze gówna, ale jest jak jest.

– Czy utrzymywał pan kontakty z pozostałymi ławnikami?

– Po co? Mówiłem: próbowałem wyrzucić to z głowy. Zebrało się razem dwanaście przypadkowych osób. Żadnej z nich nie znałem i prawdę mówiąc, zapomniałem o nich, jak tylko zabrali mnie do więzienia w Pentonville.

– Czy w ciągu dwóch ostatnich tygodni coś wzbudziło pański niepokój? Czyjeś podejrzane zachowanie? Anonimowe telefony?

– Poza tymi, co zwykle – „czy chciałby pan zmienić dostawcę energii?" – żadnych telefonów i w ogóle cisza. Myślicie, że zabił ich Olivier?

– Nie. Zginęli, zanim uciekł.

– Nie możecie objąć mnie programem ochrony świadków czy czymś w tym rodzaju? Wiecie, że nie jestem zachwycony widokiem policyjnej bryki przed domem, i powiem bez ogródek, że nie pogardziłbym krótkimi wakacjami.

Rozdział 56

Policjant pilnował sali Karen Bajarami. Henley go rozpoznała – służył w komisariacie w Plumstead. Był dość sprawny i skuteczny, ale w sytuacjach takich jak obecna Henley żałowała, że londyńska policja zrezygnowała ze stosowania kryteriów minimalnego wzrostu przy rekrutacji świeżego narybku.

– Ktoś ją odwiedzał? – zapytała Henley.

Policjant lekko się wyprostował.

– Od kiedy przejąłem dyżur – nie. Czterdzieści minut temu była u niej pielęgniarka, nikt więcej. Żadnych odwiedzin. Ale nie wiem, czy nie śpi.

– Dziękuję – powiedziała Henley, a następnie zwróciła się do Ramoutera. – Może przejąłbyś inicjatywę? Szczerze mówiąc, nie mam teraz do tego głowy.

Ramouter wydawał się wykończony po dniu spędzonym na krążeniu po Londynie, ale zdołał wykrzesać z siebie entuzjazm. Wciąż zależało mu na robieniu dobrego wrażenia.

– Serio? Wspaniale – odparł i wyjął notes oraz długopis.

Policjant odsunął się na bok i otworzył drzwi. Karen przeniesiono do pokoju zarezerwowanego zwykle dla płatnych pacjentów. Zasłony miały tu barwę ciepłej, słonecznej żółci, nad prawdziwym fotelem wisiał obraz przedstawiający nabrzeże Tamizy nocą. Telewizor był włączony, ale Karen nie patrzyła na ekran. Była zwrócona do okna.

Ramouter odchrząknął.

– Przepraszam, pani Bajarami.

Karen odwróciła się, a Henley stłumiła okrzyk przerażenia. Lewe oko kobiety zasłaniały bandaże, sińce na twarzy przybrały różne odcienie fioletu. Żuchwa była opuchnięta, wkłuty w lewą rękę wenflon podłączono do stojącej przy łóżku kroplówki. Henley zastanawiała się, w jakim stanie jest Ade Nzibe oraz ochroniarz, skoro Olivier do tego stopnia poturbował Karen.

– O Boże. Jest aż tak źle? – Karen ostrożnie podniosła rękę do czoła. – Nie sprawdzałam. Nie, lepiej mi nie mówcie.

Ramouter szybko zerknął na Henley, zanim się odezwał.

– Już się spotkaliśmy. W więzieniu.

Kiwnęła głową, delikatnie podciągając się na łóżku.

– Z samego rana odłączyli mi morfinę. W nocy siedział na tym fotelu Kermit z Muppetów i wydawało mi się to zupełnie normalne.

– Tak działa morfina – rzekł Ramouter. – Nie będziemy pani długo męczyć. Chcielibyśmy tylko mieć pełniejszy obraz wczorajszych wydarzeń.

Karen zamknęła zdrowe oko, po chwili zaczęła mówić.

– Lekarze twierdzili, że są zadowoleni z postępów Oliviera. Po powrocie do Belmarsh trafiłby od razu do skrzydła dla zdrowych. Powiedzieliśmy personelowi medycznemu, że Olivier powinien być skrępowany, ale nas nie słuchali. Tak czy owak, siedziałam pod jego salą i nagle

usłyszałam jakiś rumor i Adego... – Skrzywiła się i zaczerpnęła powietrza. – Mogłabym prosić o wodę?

– Już przynoszę. – Henley podeszła do nocnej szafki, nalała letniej wody do plastikowego kubka i podała go kobiecie.

– To z powodu morfiny. Wywołuje pragnienie.

Karen z bólem przełknęła kilka łyków, oddała kubek Henley i oparła głowę na poduszce.

– Dziękuję. Przez tego sukinsyna mogłam stracić wzrok. Na takie gówno się nie pisałam. Przepraszam.

– Nie ma za co przepraszać – rzekł Ramouter. – Więc usłyszała pani Adego i...?

– Tak. Kiedy weszłam... Ade... leżał na podłodze przy łóżku. Z głowy płynęła mu krew. Nie wiem, czym Olivier go uderzył. Nim zdążyłam się obejrzeć, szarpnął mnie i pchnął na ziemię... i... nie zauważyłam widelca w jego ręce. – Karen zaczęła płakać.

– Proszę. – Henley podała jej chusteczki ze stojącego na nocnej szafce pudełka.

– Dziękuję. To... przez ten ból. – Przyłożyła chusteczkę do prawego oka. – Nie wiem, co działo się potem. Musiałam stracić przytomność, bo obudziłam się już tutaj. Kompletnie nie pojmuję, jak Peter mógł... Co z Adem? Gdy tylko zamykam oczy, od razu widzę go leżącego tu na podłodze.

– Jest w tej chwili operowany. Doznał tępego urazu głowy i zrobił mu się zakrzep w mózgu.

Z oka Karen pociekły łzy.

– A ochroniarz? Podobno Peter jego też zaatakował.

– Pęknięty obojczyk, kość policzkowa i szczęka. Złamany nos, okaleczona twarz. To nie był zwykły atak. Olivier zdawał się czerpać z tego przyjemność.

– Jezu, zaczynam uważać, że mi się upiekło. Czuję się potwornie zmęczona, a głowa dosłownie pęka mi z bólu. – Karen sięgnęła do pompy morfinowej, nacisnęła guzik.

– Przypomina sobie pani coś jeszcze? Czy Olivier coś powiedział, gdy wybudził się ze śpiączki?

– Mówił coś o widoku z okna, że wreszcie ma widok, ale... – Głowa Bajarami opadła do przodu. Kobieta krzyknęła z bólu.

– Ramouter, sprowadź pielęgniarkę. Szybko.

Henley otoczyła ranną strażniczkę ramionami i starała się ją pocieszyć, a Ramouter wybiegł na korytarz.

– Spokojnie, pomoc już nadchodzi.

Bajarami krzyknęła ponownie i wtuliła się w Henley.

– Jesteśmy tu – zapewniła Henley.

– Olivier mógł ją zabić – skonstatował Ramouter.

– Nie wydaje mi się, by miał taki zamiar. Po prostu stanęła mu na drodze. Zbierajmy się. Miejmy nadzieję, że Ezra już wie, gdzie on się ukrywa.

Mark określiłby to mianem „okresu wyciszenia", pomyślała Henley, idąc Greenwich High Road. Nieraz tłumaczył jej, że robią tak wszyscy seryjni mordercy. Delektują się spokojem, kiedy powracają – tymczasowo – do normalnego życia. Zastanawiała się, jak długo potrwa ów okres wyciszenia w wypadku zabójcy tej dwójki. Dni, tygodnie, miesiące?

W pobliżu sklepu z kurczakami z rożna zaburczało jej w brzuchu. Niemal cały dzień piła kawę, za którą musiała przepłacać, za to nie miała nic w ustach. Nim zdążyła pchnąć drzwi, zawibrował jej telefon.

„Numer nieznany"– wyświetliła się informacja na ekranie. Henley odebrała połączenie.

– Cześć, Anjelico.

Po kręgosłupie przebiegł dreszcz. W uszach dźwięczał głos Oliviera.

Rozdział 57

– Skąd masz mój numer?

– Mnie też bardzo miło cię słyszeć. Pracowity dzień? – zapytał Olivier.

– Można tak powiedzieć. Domyślam się, że nie zechcesz mi zdradzić, gdzie jesteś? – Głos miała opanowany, choć tak naprawdę chciało jej się wyć.

Nie odpowiadał. Słyszała jego oddech, czekała, aż przerwie milczenie.

– Nadrabiałem zaległości. Miałaś pełne ręce roboty. Co słychać u rodzinki?

– Dlaczego nie oddasz się w ręce policji?

– Niby po co? Czuję słońce na twarzy, wiatr we włosach.

– Nie przyzwyczajałabym się.

Roześmiał się. Głęboko, sarkastycznie, z politowaniem.

– Dlaczego się ukrywasz? – zapytała, czując bolesny skurcz żołądka.

Olivier tylko cicho pogwizdywał.

– Pilnujesz mnie? Mną raczej nie powinieneś się przejmować. – Modliła się, by nie wyłapał drżenia w jej głosie.

– To znaczy? – zapytał znudzonym tonem.

– Ktoś się na tobie wzoruje, udaje ciebie, przywłaszcza sobie twój charakterystyczny... znak firmowy. Kto to może być? Z kim rozmawiałeś?

– W kółko zadajesz te same pytania. A ja chciałem tylko usłyszeć twój głos. Zrobiłaś ze mnie niewolnika moich uczuć.

Ze sklepu z kurczakami wyszedł kurier, Henley cofnęła się na główną ulicę.

– Myślałem, że będziesz mi wdzięczna za ten telefon. Musi doskwierać ci samotność, odkąd mąż i córeczka się wyprowadzili.

Henley stanęła jak wryta. Kurier na skuterze wcisnął hamulec, zapiszczały opony, zatrąbił klakson samochodu.

– Uważaj, głupia krowo! – wrzasnął kurier, wykonując gwałtowny manewr, żeby ominąć Henley. – Patrz, jak leziesz!

– Skąd wiesz, że... – wykrztusiła, przebiegając przez ulicę.

– Nie udawaj głupiej.

Zatrzymała się przy schodach komisariatu. Ścisnęło ją w gardle, mięśnie nóg zrobiły się jak z waty. Oparła się o zardzewiałą poręcz.

– Byłeś w moim domu?

Milczenie.

– Byłeś w moim domu? – powtórzyła, tym razem głośniej.

Zaśmiał się.

– Byłem w więzieniu, pani komisarz. – I pauza, która zdawała się trwać wieczność. – Ale może ktoś przesłał mi prezent. Krótkie nagranie wideo. Być może.

Brakowało jej tchu.

– I może widziałem twój uroczy domek. Ciebie, jak otwierasz drzwi, twojego męża na ścieżce. Nie tak to sobie wyobrażałem. Kazałaś mu pozostać na miejscu. Ale wiadomo, jak jest z mężczyznami... Nigdy nie słuchają.

– Ktoś przesłał ci nagranie?

Olivier nie odpowiadał.

– Czego chcesz? – Była teraz na granicy paniki. – Czego ode mnie chcesz?

Przemilczał to pytanie. Zamiast tego powiedział:

– Dam ci radę, Anjelico. Następnym razem uważaj przy przechodzeniu przez jezdnię. Ten skuter o mało cię nie potrącił.

Spojrzała na ekran telefonu, ale rozmowa została zakończona. Gorączkowo rozejrzała się wokół, a potem usiadła ciężko na schodach. Panika ogarniała ją falami. Kiedy Olivier ugodził ją wtedy nożem, strach skupiał się w jednym punkcie. Teraz zaś próbowała się bronić przed czymś lub przed kimś niewidocznym. Oblała się potem pomimo chłodu w powietrzu. I choć nie jadła nic od ostatniej kolacji, zwymiotowała na środku ulicy.

Rozdział 58

Obserwował ją.

Wszystkie siły policyjne Wielkiej Brytanii pilnowały lotnisk i dworców kolejowych, szukając wiatru w polu, a nikomu nie przyszło do głowy, że Olivier jest tuż obok, że ją znajdzie.

– Skąd miał twój numer?

Henley podniosła wzrok na agenta NCA, który zadał jej to pytanie. Sierżant Bailey pracował kiedyś w wydziale kryminalnym na Charing Cross i stamtąd go pamiętała. Zwykle zajmował się poważnymi oszustwami. Zastanawiała się, kogo wkurzył, że przydzielono go do tej paskudnej i zagmatwanej sprawy.

– Może od Chance'a Blaine'a? Dałam mu wizytówkę. Zresztą Olivier jest zaradny. Zawsze taki był. Ktoś mógł połączyć go ze mną bezpośrednio. Sprawdzaliście w głównej centrali? – zapytała, przysuwając się do okna. Tłoczyli się wszyscy w biurze Pellacii.

– Kogoś do tego oddelegujemy. Jesteś pewna, że tam był i cię obserwował?

– Skoro tak powiedziała, to tak było. – Siedzący przy biurku Pellacia wziął ją w obronę.

– Ostrzegł mnie, żebym uważała przy przechodzeniu przez ulicę. Nie powiedziałby tego, gdyby nie widział, że o mało nie potrącił mnie jakiś idiota na skuterze.

– Po wyjściu ze szpitala nie zauważyłaś niczego niecodziennego?

– Nie. Jak mówiłam, wróciłam ze szpitala razem z Ramouterem. Zaparkowałam. On wszedł do komisariatu, a ja przeszłam na drugą stronę ulicy kupić coś do jedzenia. Zadzwonił nieznany numer. Nawet by mi nie przyszło do głowy, że Olivier jest gdzieś w pobliżu, póki nie powiedział, żebym była ostrożna.

– To dobra wiadomość – stwierdził agent Bailey. – Oznacza, że on nigdzie się nie wybiera. Zostaje na miejscu. Przepraszam, wiem, że dla ciebie to wcale nie jest dobra wiadomość.

– Fantastycznie. Przez cały czas był w okolicy. Co konkretnie robiła NCA? – dopytywał Pellacia.

– Przed ucieczką widziałaś się z nim trzykrotnie – ciągnął agent Bailey, ignorując pytanie Pellacii.

– Serio sugerujesz, że to jej wina, że zwiał? – wykrzyknął Pellacia.

Agent Bailey nawet nie mrugnął, skupiał całą uwagę na Henley.

– Oczywiście, że nie, ale zadzwonił do ciebie, Anjelico. Próbuje się do ciebie zbliżyć. Masz dziecko, prawda?

Przytaknęła.

– Twój kolega, sierżant Stanford, powiedział, że mąż i córka przebywają w Kensal Green. Posłaliśmy tam naszych ludzi. Na wszelki wypadek. Na pewno nic złego się nie dzieje. A co z głową, którą ktoś doręczył ci w niedzielę? Czy śledztwo w tej sprawie posunęło się naprzód?

– Namierzyliśmy firmę chłodniczą i zdobyliśmy nagrania z kamer przemysłowych, ale w umowie wynajęcia chłodni były podane fałszywe dane – wyjaśniła Henley.

– A ten przeciek do prasy dotyczący najświeższych zabójstw? Zdołaliście ustalić, kto jest za to odpowiedzialny?

– Zmierzasz do czegoś konkretnego? – warknął Pellacia.

– Wydział jest mały, są przecieki – powiedział agent Bailey. – Sprawa powoli ewoluuje, a starsza oficer śledcza, która ją prowadzi, zdaje się potencjalnym celem ataku mordercy-recydywisty. Nie muszę chyba mówić, że nie wygląda to zbyt różowo.

Henley wyczuła, jak Pellacia się zżyma. Ten człowiek wkroczył na jego terytorium, zwracał się do niego po imieniu, jak gdyby byli sobie równi i mieli za kilka godzin wyjść z SCU i usiąść razem w pubie.

– Jak sądzisz, czego on chce? – Bailey zwrócił się do Henley.

– Nie mam pojęcia – odparła wymęczona.

Była na siebie wściekła, ponieważ sama powinna była go o to zapytać. Czego chcesz? Od jak dawna mnie śledzisz? Współpracujesz ze swoim uzurpatorem? Kim on jest? Dlaczego uwziąłeś się właśnie na mnie?

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Olivier przyssał się do niej jak pijawka. Tak jakby wiedział, że ma teraz kruchą psychikę, a więc jest łatwym łupem. Albo jakby rozumiał, że ona nie może mu odpuścić.

Pellacia podał Henley kubek brandy.

– Powinnam być już w domu. – Wypiła łyczek trunku. – Muszę porozmawiać z Robem.

– Czy to rozsądne?

– Nie mogę ukrywać przed nim, co się dzieje – powiedziała znużonym głosem. – On obserwuje mój dom. Tylko dlaczego?

Zacisnęła powieki. Chciała się odciąć od świata. Zniknąć. Teraz pojęła, co to znaczy, gdy ktoś mówi, że coś wstrząsnęło nim do głębi. Otworzyła oczy i ujrzała wpatrującego się w nią Pellacię.

– Dla niego to nie to samo, prawda?

– O czym mówisz? – Nie rozumiała.

– O zainteresowaniu, uwadze. Gdyby zadzwonił do gazety albo wrzucił przypadkowego tweeta, zainteresowanie byłoby chwilowe. Ludzie by o nim mówili, ale bez zaangażowania. Byłby gorącym tematem tylko dopóty, dopóki inny celebryta od siedmiu boleści nie zrobiłby się modny, natomiast w twoim wypadku wie, że zawsze będzie miał twoją niepodzielną uwagę.

– Nie podoba mi się kierunek, w którym to śledztwo zmierza – rzekła Henley, zmieniając temat. – Naśladowca zapada się pod ziemię, a Olivier spod niej wychodzi.

– Załóżmy, że ze sobą nie współdziałają – powiedział Pellacia. – Jak myślisz, jaki będzie kolejny krok Oliviera?

– Nie mam zielonego pojęcia – odburknęła. – Może zacznie ścigać ciebie, rozprawi się ze mną do końca albo postara się sam znaleźć swojego naśladowcę.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Ramouter wszedł, nie czekając na zaproszenie. Już miała go zbeształ, ale nagle zobaczyła wyraz jego twarzy.

– Co się stało?

– Nie chciałem nic mówić w obecności agentów, ale mamy problem. – Podał Henley swój telefon.

Przeczytała nagłówek na pierwszej stronie „Evening Standard".

– Niech to szlag.

SERYJNY ZABÓJCA WYBIERA NA OFIARY
ŁAWNIKÓW ZPROCESU CZŁOWIEKA ZPIŁĄ

– Cholera! Jasna cholera!

Rozdział 59

Dwa lata wcześniej...

– Oskarżenie wniesie o rozwiązanie ławy przysięgłych, a w zaistniałych okolicznościach nie mamy podstaw do zgłoszenia sprzeciwu – oznajmił obrońca Oliviera, Brendan Turnmill QC[7].

Niewielki pokój narad wypełniło rytmiczne bębnienie palców Oliviera w akta sprawy.

– To dwunasty dzień – odezwał się wreszcie. – Nie skończyli jeszcze przedstawiać argumentów, a chcą się pozbyć moich przysięgłych.

– Zgadza się – przyznał Brendan.

– A my nie zgłaszamy sprzeciwu? – Olivier wyjął notes i zaczął go kartkować. Zatrzymał się przy wtorku. „Dzień drugi. Lista sędziów przysięgłych". Powiódł palcem po dwunastu zapisanych przez siebie nazwiskach.

– Nie...

– To znaczy, że popełniliście błąd. – Olivier rozparł się na krześle i spojrzał na swojego drugiego adwokata, Davida Samuelsa, który siedział w milczeniu obok Brendana i robił wszystko, byle tylko uniknąć wzroku Oliviera.

– Co pan zrobił, panie Samuels? – zapytał Olivier twardym, kategorycznym tonem. – Bardzo wątpię, by to nasz uczony kolega, pan Turnmill QC, uczynił coś tak monstrualnie głupiego, co doprowadziło do zwolnienia moich ławników. On jest małpą. A pan kataryniarzem.

Adwokat z trudem przełknął ślinę i przesunął palcem po kołnierzyku koszuli. Przez szpary w ścianie z sąsiedniego pokoju sączył się głos płaczącej kobiety.

– Co pan zrobił? – Olivier powtórzył pytanie.

– Panie Olivier... No cóż...

– A gdzie jest Joseph? – Olivier mu przerwał. – Zwykle przysyłacie tę małą kanalię na narady.

– I w tym rzecz, panie Olivier – odparł Brendan, zerkając na kolegę z wyraźnym niesmakiem.

– Nie pana pytałem – rzekł Olivier, nie spuszczając oczu z Davida.

Ten odezwał się cichym, zdławionym głosem.

– Joseph...

– Głośniej – zażądał Olivier.

– Wczoraj wieczorem Joseph został aresztowany i oskarżony o wywieranie wpływu na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości przez manipulacje i przekupstwo przysięgłych. Pańskich przysięgłych – wyjaśnił.

Olivier nie zareagował, tylko ponownie spojrzał na nazwiska ławników.

– Rzekomo przekazał informacje jednemu z przysięgłych i prawdopodobnie próbował przekupić innego – ciągnął David. –Dzisiaj stanie przed sądem pokoju w Westminster.

– Którzy to?

– To znaczy? – David nie zrozumiał.

– Przysięgli. Pan Olivier pyta o nazwiska tych przysięgłych! – wybuchnął z irytacją Brendan.

– Och, nie sądzę, by trzeba było w tej chwili zaprzątać sobie tym głowę. Rzeczą istotną jest skupienie się na kolejnych krokach.

– Pytam, z kim próbował się dogadać wasz zidiociały koleżka?! – wrzasnął Olivier, rzucając się na Davida i ciągnąc go za krawat. Brendan poderwał się z krzesła i wybiegł z pokoju. Davidowi wypadł z ręki iPad i wylądował na betonowej podłodze.

– Którzy to? – powtórzył Olivier, usiłując przekrzyczeć przeszywający dźwięk alarmu.

– Młoda czarna dziewczyna i... i...

Gdy do pokoju wtargnęło dwóch krzepkich policjantów, Olivier błyskawicznie wypuścił z rąk krawat Davida.

– Nikomu nic się nie stało – powiedział, cofnął się w róg pomieszczenia i podniósł ręce. – Informowałem mojego prawnika, że został zwolniony.

Obecnie...

– Wszystko zaczęło się od ciebie – powiedział Olivier. Wyjął długi okrawek mięsa z zatłuszczonego kubełka z kebabem i wepchnął go sobie do ust.

– Nie powinienem się tu pokazywać – rzekł Blaine, przysuwając się do kościelnego muru.

Olivier się nie zatrzymał.

– Tutaj leżał numer trzy. – Tupnął stopą w kamienne schody, na których odkryto zwłoki Seana Delaneya. Nocne niebo spowijało całunem przykościelny cmentarz. Nikłe światło padało jedynie z okien kilku pobliskich mieszkań.

– Dlaczego wyrzucił Delaneya właśnie tutaj? – Olivier podszedł do Blaine'a.

– Mówiłem ci już, że mnie obserwują – wyszeptał Blaine, próbując na próżno odsunąć się od Oliviera.

– Cztery trupy. – Wyciągnął z kebabu sporą zieloną papryczkę chili i rzucił ją na schody.

– Pytali już o mnie Lorelei. Byli u mnie w pracy. Nie mogę dłużej tego robić.

– To masz pecha, synu.

– Wiem, co myśli policja. Ta kobieta. Henley.

– Trochę szacunku. Ta kobieta to komisarz Henley. – Olivier usiadł na pobliskiej ławce, poklepując miejsce obok siebie.

Blaine z rezygnacją doczłapał do ławki.

– Myślą, że ja to zrobiłem. Że ja zabiłem tych ławników.

Olivier roześmiał się z ustami wypchanymi frytkami z sosem chili.

– I pewnie podejrzewają, że będziesz następny.

– Co masz na myśli?

Pomimo słabego oświetlenia terenu przy kościele było wyraźnie widać, jak Blaine blednie. Olivier delektował się przyjemnym dreszczem emocji, jaki dawało mu niespieszne droczenie się z Blaine'em. – Komisarz Henley prawdopodobnie chce użyć cię jako przynęty – ciągnął. – Ma zimną krew. Trochę tak jak ja.

– I ty robisz to samo? – zapytał Blaine drżącym głosem. – Wykorzystujesz mnie jako...

Olivier nie odpowiedział. Zmiął kubełek po kebabie i rzucił go w krzaki.

– Myślisz, że ten człowiek mnie także dorwie? – Głos Blaine'a zagłuszyło wycie syreny przejeżdżającego obok ambulansu oraz krzyki kłócącej się pary w którymś z pobliskich mieszkań.

– Już ci powiedziałem: wszystko zaczęło się od ciebie. Spędziliśmy mnóstwo czasu na rozmowach i pamiętam wszystko, co mówiłeś mi o Josephie McGrath.

– Już się tak nie nazywam.

– Nie ma to, chłopcze, nic do rzeczy. Zastanówmy się logicznie.

– Po to zaciągnąłeś mnie tu w środku nocy? Żeby testować na mnie swoje pomysły?

– Albo żeby użyć cię jako przynęty. – Słowa Oliviera cięły powietrze jak nożem. – Cała czwórka zamordowanych ławników składała zeznania na twoim procesie: Lewis, Kennedy, biedna Zoe i Delaney.

– Ale ja ich nie zabiłem – wyjąkał Blaine.

– Zamknij się, kurwa, i słuchaj. Jeszcze dwóch innych przysięgłych zeznawało przeciwko tobie.

– E, e... nie pamiętam.

– Oczywiście, że pamiętasz. Dwójka przysięgłych, którzy wpakowali się w takie same tarapaty jak ty. Przypomnij sobie, z kim rozmawiałeś. Kto najgorliwiej chciał ci pomóc. Kto chciałby mi zaimponować, przypodobać się?

– Nie wiem.

– Twoja głupota stworzyła mojego naśladowcę. Skutek i przyczyna. Teraz pomożesz mi wytropić dwóch pozostałych ławników.

– A jeśli odmówię? – zapytał bez przekonania. – Mógłbym w tej sekundzie pójść na policję i powiedzieć Henley, że potrzebuję ochrony.

– Mógłbyś, ale nie miałbym wtedy innego wyboru, jak odwiedzić twoją dziewczynę Lorelei, odciąć jej głowę, zapakować do kartonu i zostawić kolejny prezent pod drzwiami mojej dziewczyny.

– Nie zrobiłbyś tego. Zresztą nie jesteśmy już razem.

– Nieistotne. W gruncie rzeczy może zrobię to od razu, bo coś mi się zdaje, że potrzebujesz bodźca.

Blaine chwycił Oliviera za ramię.

– Nie, proszę.

– Puść – rozkazał Olivier, spoglądając na rękę Blaine'a.

– Przepraszam – wyjąkał Blaine i się odsunął.
– Mam zamiar odnaleźć tego naśladowcę, a ty mi w tym pomożesz.
– A jeśli mnie zabije? Może mnie zabić.
Olivier się uśmiechnął i puknął palcem w skroń Blaine'a.
– Umrzesz, to umrzesz. Przyczyna i skutek, panie Blaine. Przyczyna i skutek.

Rozdział 60

Henley obudziła się rano w obcym łóżku z intensywnym pragnieniem spędzenia tam reszty dnia. Poprzedniego wieczoru nie miała siły kłócić się ze Stanfordem, kiedy powiedział, żeby pojechała do domu, spakowała rzeczy i została u niego na noc. Była wyczerpana psychicznie i nie miała absolutnie nastroju do uczestniczenia w konferencji prasowej.

Usiadła na końcu stołu. Po swojej lewej stronie miała Pellacię, dalej komendanta Larsena. Pellacia planował odczytanie standardowego oświadczenia: „Nie jesteśmy gotowi udzielać żadnych dalszych informacji na temat prowadzonego śledztwa". Jednak komendant Larsen był odmiennego zdania. Należał do ludzi, którzy uwielbiają być w centrum uwagi.

W pokoju prasowym panowały tłok i zaduch. Henley poczuła, że się usztywnia i koncentruje na sprawianiu wrażenia osoby, która nad wszystkim panuje. Która dzierży władzę. Byle tylko oglądający ją w telewizji Olivier nie zorientował się, że wytrącił ją z równowagi.

– Callum O'Brien, „Evening Standard".

Henley skierowała wzrok na wysokiego, chudego mężczyznę w pierwszym rzędzie. Nie widziała go od kilku ładnych lat. Nic się nie zmienił.

– Pani komisarz, skąd pewność, że Peter Olivier nie jest uwikłany w najnowszą falę zabójstw?

– Jak państwo wiedzą – zabrał głos komendant, nim Henley zdążyła otworzyć usta – Peter Olivier zbiegł z więzienia dziewięć dni po odnalezieniu ciał pierwszych trzech ofiar...

Pierwszych. Jedno niewinne słowo, lecz jego wydźwięk dobrze nie wróżył. Kątem oka dostrzegła, jak Pellacia w dobrze znany jej sposób z irytacji napina mięśnie żuchwy.

Callum połknął haczyk.

– Czy to znaczy, że jest ich więcej? Sugeruje pan, panie komendancie, że spodziewacie się znalezienia kolejnych części ciał porozrzucanych po ulicach Londynu?

– Nie tak się wyraziłem. – Słowa Larsena niemal potykały się o siebie nawzajem.

– Pierwsze trzy ofiary. Tak pan powiedział. Co oznacza, że jest ich więcej.

– To wyłącznie spekulacje.

– Panie komendancie, jak może pan mówić o spekulacjach, skoro niespełna minutę temu potwierdził pan osobiście, że zabójca-naśladowca zamordował więcej niż trzy osoby?

– Jak mówiłem...

– Ofiarami są członkowie ławy przysięgłych z procesu Petera Oliviera z dwa tysiące siedemnastego roku – przypomniał głośno Callum. – Procesu mordercy z piłą.

Flesze reporterów błyskały wściekle, gwar rozmów przybrał na sile. To basen z rekinami, pomyślała Henley.

– Czy wobec tego mylę się, mówiąc, że Carole Lewis jest czwartą zidentyfikowaną ofiarą i że śledztwo zostało przeniesione z wydziału zabójstw komisariatu Wood Green do Wydziału Przestępstw Seryjnych? – zapytał triumfalnie.

Sierżant Lancaster. „To żmija", pomyślała Henley, patrząc Callumowi prosto w oczy. Lancaster była wściekła, Henley o tym wiedziała, nie spodziewała się jednak, że poleci z tym do prasy.

– Nie będę komentował indywidualnego śledztwa – odparł Larsen.

– Tessa Botchway z „Guardiana". Jesteście w stanie powiedzieć, dlaczego akurat ci ławnicy padli ofiarą mordercy?

Pellacia przysunął się do rzędu mikrofonów.

– Jak zauważył pan komendant, uwzględniamy w śledztwie wszystkie możliwe aspekty sprawy.

– Co za gównoburza – mruknęła Henley pod nosem. W tej samej chwili zza kulis wyłonił się asystent Larsena i zaczął mu szeptać coś do ucha.

– Przepraszam, ale muszę państwa opuścić. Nadkomisarz Stephen Pellacia oraz komisarz Anjelica Henley, którzy prowadzą śledztwo, odpowiedzą na pozostałe pytania. Pozostawiam państwa w ich kompetentnych rękach.

Henley i Pellacia wymienili spojrzenia, a Larsen dosłownie wybiegł bocznymi drzwiami.

– Komisarz Henley? Hej, nie porozmawiasz ze mną?

– A ty nie masz jeszcze dość, Callum? – Henley zatrzymała się pośrodku parkingu. Widziała Ramoutera czekającego na nią przy samochodzie.

– Kopę lat, co? Dobrze wyglądasz – skomplementował ją Callum.

– Czego chcesz?

– Zastanawiałem się, czemu byłaś tam taka milcząca. Sądziłem, że będziesz miała więcej do powiedzenia, zwłaszcza że twój szef wszystko spartolił.

– Wiesz, że nie przepadam za światłami jupiterów. Tak czy owak, udzieliliśmy odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Ale nie w tym rzecz, prawda? Byłoby interesujące usłyszeć, co ty myślisz, zwłaszcza że jesteś starszą inspektor śledczą, a w dodatku byłaś zaangażowana w pierwotne śledztwo.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się plecami do reportera.

– Jedno szybkie pytanie – poprosił Callum.

– Miałeś okazję zadać je na konferencji.

– Wiem, ale chciałem porozmawiać z tobą. To ty masz wszystkie informacje.

– Mam też zasady...

– Od kiedy to przestrzegacie zasad? Tylko jedno pytanie.

– No dobra.

– Carole Lewis nie została poćwiartowana, prawda?

– Nie została.

– Więc dlaczego przejęliście śledztwo?

– To już drugie pytanie, Callum.

– Czy na zwłokach nie było żadnych... nie wiem... znaków, symboli?

Nie zapytał o to na chybił trafił. Henley wyczuwała, że Callum opiera się na wiarygodnym źródle. Że nie wyssał sobie tego z palca, napychając się kolejnym pasztecikiem z parówką. Hen-

ley przychodziła do głowy tylko jedna osoba, która mogła zdradzić informację o symbolach – sierżant Lancaster, rozgoryczona, że Henley ją ośmieszyła, wykazując jej niekompetencję.

– Masz notatki z konferencji prasowej – przypomniała. Wcisnęła guzik na pilocie do samochodu i dała Ramouterowi znak, żeby wsiadał. Ruszyła w stronę auta, słysząc za plecami wołanie Calluma.

– Ale chciałem usłyszeć coś od ciebie. To ty jesteś pogromczynią człowieka z piłą, prawda, pani komisarz?

Wsiadła do auta, zatrzaskując drzwi.

– Głupia żmija – burknęła, włączyła silnik i czekała, aż podniesie się szlaban.

– Co się stało? – zapytał Ramouter, zapinając pas.

– Sierżant Lancaster ujawniła prasie informacje. Wiem, że się wnerwiła, ale to nie jest... nie rozumiem, jak może się łudzić, że ujdzie jej to płazem. – Henley spojrzała w lusterko wsteczne. Callum stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiła, poprawiając torbę na laptopa z ironicznym uśmieszkiem na twarzy.

– Co masz zamiar zrobić? Donieść na nią? Zniszczysz jej karierę.

– Właśnie to zamierzam zrobić. Nie może bezkarnie mieszać w moim śledztwie.

Rozdział 61

Zgodnie z przewidywaniami Henley konferencja prasowa spowodowała zalew telefonów. Pellacia zdołał przekonać kogoś z wyższych pięter Nowego Scotland Yardu do zasilenia ich zespołu doświadczonymi osobami. Eastwood odesłano z powrotem do Belmarsh, a Stanford pomagał dwóm detektywom, posterunkowym, których pamiętała z wydziału kryminalnego w Peckham.

– Oglądałem tę konferencyjną katastrofę – rzekł Stanford, podchodząc do Henley.

– Nawet nie chce mi się o tym gadać. Widziałeś Ramoutera?

– Chyba siedzi na dole z Ezrą. Tylko nie znikaj, bo mam dla ciebie pewne informacje.

– Jakie?

– Pellacia prosił, żebym wybadał, skąd Olivier zdobył insulinę. Pochodziła ze szpitalnego skrzydła więzienia. Sprawdzili magazyn i okazało się, że brakuje trzech fiolek. Ta znaleziona w celi Oliviera miała ten sam numer partii.

– Musiał mu pomagać któryś ze strażników – stwierdziła i powróciła pamięcią do Karen Bajarami oraz Adego Nzibe.

– Wcale bym się nie zdziwił. Są tak samo skorumpowani, jak niektórzy policjanci.

Henley weszła do pokoju Ezry.

– Gdzie nasz cudowny chłopiec? – zapytała Ramoutera, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Poszedł kupić coś na lunch. Wkrótce powinien być z powrotem. W każdym razie mamy dobre wiadomości. Wreszcie dostaliśmy nagranie z chłodni w lepszej rozdzielczości.

– Miałeś okazję rzucić okiem?

– Miałbym, gdyby pliki nie były zabezpieczone hasłem. – Ramouter obrócił laptopa w jej stronę. – I mamy coś jeszcze.

– Co? – Henley odsunęła krzesło i usiadła.

– Apel o zgłaszanie się świadków być może przyniósł pożądany odzew.

– Dotyczący której z ofiar?

– Seana Delaneya. Pamiętasz, jak jego kierownik potwierdził, że Sean siedział w niedzielę do późna w pracy, a później zaginął? Wedle ich rejestru wyszedł z budynku o dwudziestej pierwszej czterdzieści dwie. Zadzwonił do niego na komórkę... nie wiem, jak go nazwać... Klient? Pacjent? W każdym razie człowiek nazywa się Leon Merrick. Ścigałem go od dwóch dni i w końcu udało mi się z nim porozmawiać. Dosłownie przed chwilą.

– Do rzeczy. – Natychmiast pożałowała swojego tonu. – Przepraszam. Nie chciałam na ciebie warczeć.

– Nie przejmuj się. Twierdzi, że w dniu zaginięcia Seana wydzwaniał do niego przez cały dzień. Jest heroinistą na odwyku i koniecznie potrzebował porozmawiać z Seanem. Nie mógł go złapać i skończyło się na tym, że wziął dawkę. Mówi, że musiał dostać jakąś felerną partię, bo po raz pierwszy w życiu myślał, że umrze. Pojechał więc do ośrodka w nadziei, że może jednak zastanie tam Seana albo kogoś innego. Drzwi wejściowe były zamknięte, próbował więc

dostać się od tyłu, od strony parkingu dla personelu. Nie był pewien, która była wtedy godzina, ale przypuszcza, że około dziesiątej.

– Co zobaczył?

– Wydaje mu się, że nieprzytomnego Seana na tylnym siedzeniu samochodu.

– Żartujesz?

– Nie. Pamięta, że widział samochód. Z początku się zawahał, bał się, że to może być policja, ale potem zdał sobie sprawę, że nie. Przy otwartych drzwiach auta widział białego mężczyznę. Pomyślał, że to diler, podszedł więc do niego i zapytał o narkotyki. Facet kazał mu się odpierdolić.

– Cholera. Zapamiętał coś jeszcze? Potrafi podać dokładniejszy rysopis tamtego mężczyzny?

– Nie bardzo.

– Mów dalej. – Nagle sobie przypomniała, że pomimo chaosu w jej własnym życiu jej zadaniem jest służyć stażyście radą i pomocą.

– Pamięta tylko, że pukał w okno, ale mężczyzna go odepchnął. Reszta zatarła mu się w pamięci.

– Może mimo wszystko warto skontaktować go ze specem od portretów pamięciowych? Nigdy nie wiadomo, co może z tego wyniknąć. Może wreszcie będziemy mieli przełom.

Obejrzała się za siebie, słysząc Ezrę wchodzącego do pokoju.

– Ale się guzdrałeś.

– Cóż za miłe powitanie – rzekł Ezra, stawiając na stole zatłuszczoną torbę. – Burger i frytki. Poczęstujesz się?

– Nie, dziękuję. Mamy robotę – odparła, wskazując na jego komputer.

– Przepraszam, szefowo. Już działam. – Ezra usiadł za biurkiem i przerzucił obraz z laptopa na duży ekran.

– Nic porywającego – uprzedził, gdy pokazało się nagranie z kamery przemysłowej zainstalowanej w biurze chłodni. – Nie jest długie. Tylko trzy minuty.

– Teraz lepiej – rzekła Henley, gdy w zasięgu kamery pojawił się siedzący przy biurku pracownik. Około trzydziestu sekund później kamera uchwyciła kobietę. Dzięki poprawionej rozdzielczości nagrania Henley widziała wyraźnie, że kobieta ma ciemną perukę, która przylega do boków twarzy i częściowo przesłania profil. Jest ubrana w dżinsową kurtkę i czarne spodnie capri. Założyła ciemne okulary. Nie ma w niej nic charakterystycznego, co zapadałoby w pamięć. Dopóki nie podniosła prawej ręki.

– Ez, zatrzymaj tutaj – poprosiła Henley i podeszła do ekranu. – Mógłbyś powiększyć?

– Tak, ale nie za dużo, bo wyjdą nam tylko piksele.

– Na co patrzysz? – Ramouter się zainteresował.

– Na jej prawy nadgarstek. Ma tatuaż. Nie wygląda ci to na gwiazdki?

Ramouter zmrużył oczy.

– Owszem, wygląda. Trzy gwiazdki. Byłoby lepiej, gdyby zdjęła okulary.

– Karen Bajarami ma tatuaż na prawym nadgarstku. Spadające gwiazdy, które sięgają grzbietu dłoni. Zauważyłam je w Belmarsh.

– Myślisz, że to ona?

Henley w milczeniu oglądała dalej nagranie. Kobieta zdjęła okulary, pochyliła się nad kontuarem, żeby podpisać jakieś papiery. Przez krótką chwilę patrzyła w kamerę, po czym odwróciła się do drzwi.

– Zatrzymaj, Ezro. To ona. To Karen Bajarami.

Rozdział 62

Henley zaniosła akta śledztwa dotyczącego zabójstwa Carole Lewis do pustego biura na trzecim piętrze, z dala od harmidru panującego w pokoju operacyjnym. Ponownie przejrzała listę ławników. Dwanaście osób, które zetknęły się ze sobą przez zrządzenie losu. Nawet po ich wyborze nie było gwarancji, że rzeczywiście zasiądą razem na ławie przysięgłych. Mogliby równie dobrze spędzić dwa tygodnie w rezerwie, oczekując wraz ze stu pięćdziesięciorgiem innych na ostateczne rozstrzygnięcia, lecz – znów losowo – z koperty wyciągnięto akurat ich nazwiska i tym samym przypieczętowano ich los.

Pięcioro z nich nie żyło. Jedna osoba zmarła z przyczyn naturalnych, pozostała czwórka zginęła z rąk mordercy-naśladowcy. Jedyne pytanie, na które odpowiedź wciąż się Henley wymykała, brzmiało: „Dlaczego?". Co przesądziło o tym, że akurat oni stali się celem? Przecież to inni ławnicy uznali Oliviera za winnego po sześciu dniach obrad.

Henley postukiwała długopisem w segregator. Nie miała nawet listy podejrzanych ani pojęcia, ilu ludzi znajdowało się każdego dnia w sali rozpraw, obserwując tych dwanaścioro ławników, zanim rozwiązano skład ławy przysięgłych. Była pewna jedynie tego, że zabójca był żądny sławy. Pragnął rozgłosu, chciał, by jego nazwisko trafiło na nagłówki. Do tego dążył zresztą każdy seryjny zabójca czy gwałciciel. Anonimowość ich nie interesowała.

Carole Lewis była pierwszą ofiarą. Próbną. Miała szczęście w tym sensie, że nie skończyła w kawałkach rozrzuconych gdzieś w krzakach albo u podnóża schodów. Henley otworzyła segregator na raporcie CRIS. Dwieście pięćdziesiąt dziewięć stron. Na razie. Całe śledztwo od początku skupione na osobie męża, mimo że nie wskazywały na niego żadne poszlaki.

Henley zmarszczyła czoło, natknąwszy się na wpis opatrzony datą o dwa dni późniejszą niż dobrowolne przesłuchanie męża.

> 03/05/2019 21:39
>
> ADS 205276 sierż. Thompson
>
> Podejrzany został aresztowany i przesłuchany w związku z głównym zarzutem morderstwa.
>
> Syst. Disc: D08765783H przesłuchany i aresztowany. Dowód rzeczowy: JPH/1.
>
> Podejrzany Alan Lewis zeznał, że OIŚ1[8] była nękana i skarżyła się na stalkera. Nie pamięta nazwiska, twierdzi, że OIŚ1 go znała, ale niezbyt blisko. Przypomina sobie, że OIŚ1 zgłaszała molestowanie w komisariacie policji w Muswell Hill.
>
> =========
>
> Aktualizacja kier. zesp. dochodz.-śledcz.
>
> Działania inspektora dowodzącego skontrolowane i odnotowane. Skontaktować się z prewencją w Muswell Hill – zbadać ewent. zgłoszenie molestowania złożone przez OIŚ1.

Nagłe pukanie do drzwi wyrwało Henley z zadumy. Ze zdziwieniem ujrzała w drzwiach doktora Marka Ryana.

– Byłem w okolicy i postanowiłem do ciebie zajrzeć – powiedział.

– Byłeś w okolicy? – Wbiła w niego przenikliwy wzrok.

– No dobra, nie wpadłem tutaj przy okazji. Dzwonił do mnie Stephen.

Przewróciła oczami.

– Nie bądź taka. Przyniosłem ci coś na ząb. Z tej restauracji, o której mi mówiłaś.

Spojrzała na papierowe torby ze znajomym logo karaibskiej knajpki przy Deptford High Street.

– Dowód na nieczyste sumienie.

– Wiadomo.

– Masz smażone plantany?

– Dwie porcje. I poncz Guinnessa.

– A więc powiedział ci o przesyłce, którą dostarczono mi pod dom? – zapytała, biorąc od Marka torby z restauracji.

– Dlatego tu jestem. I wcale nie kłamałem, że byłem w okolicy. Miałem zajęcia na uniwerku. Zostawiłem ci wiadomości.

– Miałam urwanie głowy. Powinnam była do ciebie oddzwonić.

– Jak tam Rob?

– W siódmym niebie. U swoich rodziców – odparła, otwierając pojemniki. – Nikogo nie obchodzi, że jestem niezadowolona. Są zbyt zajęci przyklaskiwaniem Robowi, że robi, co należy. – Pomyślała o córeczce, wkładając sobie do ust plaster plantana. – Emma mogłaby objadać się plantanami cały dzień, gdybym tylko jej na to pozwoliła. Prawdę mówiąc, ona generalnie uwielbia jeść. Bóg jeden wie, co serwuje jej mama Roba. Nie powinnam go winić za wywiezienie jej w bezpieczne miejsce. Wiem, że źle zabrałam się do pewnych spraw, ale to w końcu moja córka.

– Wszyscy robimy to, co uważamy w danym momencie za słuszne. Nikt nie może mieć ci za złe, że jesteś zła.

– Ale, Mark, on odebrał mi możliwość wyboru. Tęsknię za dzieckiem. Nawet gdybym po powrocie do domu miała po raz nie wiem który czytać Bardzo głodną gąsienicę, i tak byłoby warto... Ale tak nie jest.

– Jesteś dla siebie zbyt surowa. Nie można wszystkiego kontrolować.

– Nie można mieć kontroli nad szaleńcami podrzucającymi odcięte głowy albo ćwiartującymi młode kobiety i rozrzucającymi części ich ciała jak śmieci w parku czy nad sędzią cierpiącym na urojenia, który wypuszcza na ulice gwałciciela i porywacza. Powinnam jednak mieć jakąś kontrolę nad tym, co dzieje się w moim własnym domu. Jaki ze mnie pożytek, skoro nie potrafię nawet tego?

– Wolałabyś sama powiedzieć Robowi, żeby się wyniósł w bezpieczne miejsce?

– Mark, nie rób mi psychoanalizy.

Podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Przepraszam, przepraszam. Siła przyzwyczajenia. Przyszedłem tu jako przyjaciel. Nic poza tym. Jak idzie śledztwo?

– Które? Ściganie zbiegłego Oliviera czy zabójcy-naśladowcy?

– Naśladowcy. – Mark odłożył widelec i wziął do ręki kubek z napojem.

Henley pokiwała głową.

– Uważamy, że mógł zacząć zabijać już w maju.

– Mniej więcej dziesięć lat temu był w Stanach taki przypadek. Dwóch seryjnych zabójców z Arizony, którzy ze sobą konkurowali. W sumie zamordowali chyba dwanaście osób.

– Myślisz, że Olivier i naśladowca też ze sobą rywalizują?

– To tylko teoria. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie, dlaczego naśladowca posługuje się dokładnie tą samą metodą zabijania...

– Niezupełnie tą samą – przerwała. – Najpierw wywołuje u ofiary jakiś rodzaj paraliżu, przypuszczamy więc, że nieszczęśnik czuje, co się z nim dzieje. – Henley machinalnie rozprawiała się z kurczakiem na talerzu.

– Ale jeśli pominiesz ten jeden element, pozostała część jego modus operandi wygląda dokładnie tak samo. Obaj rozczłonkowują ciała i pozbywają się ich w miejscach publicznych.

– Olivier nie przechowywał trofeów, za to mój naśladowca to robi.

– „Twój"?

Nie przejęła się zdumieniem w oczach Marka.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Chodziło mi o to, że to moje śledztwo. Naśladowca zatrzymał sobie oczy Zoe, język Kennedy'ego i uszy Delaneya.

– Jesteś pewna, że je przechowuje?

– A co innego by robił? Ty jesteś ekspertem.

– Nie sądzę, by sierżant Stanford się z tobą zgodził, ale chcesz wiedzieć, dlaczego zabójca zachowuje trofea?

Kiwnęła głową, sącząc poncz Guinnessa.

– To wynika z ludzkiej natury. Ludzie lubią przechowywać wspomnienia ważnych chwil w życiu. Gdy twój zabójca-naśladowca pozbędzie się już zwłok, jaki pozostaje mu dowód jego dokonań? Jaki jest lepszy sposób na zaimponowanie Olivierowi niż powiedzenie: „Spójrz na mnie. Zobacz, co dla ciebie zrobiłem". Olivier nie potrzebował trofeów. Jego plan był prosty. „Zgwałciliście mnie i ośmieszyliście. Za to was zabiję".

– A Elliot Cheung? Nie zaatakował Oliviera ani w żaden sposób go nie obraził. Nie ma żadnych dowodów, że przed zabójstwem Cheunga ich ścieżki w ogóle się przecięły.

– Przyznaję, że w wypadku zabójstwa Cheunga zrozumienie motywacji nastręcza mi trudności, ale pamiętasz, co ostatnio mówiłem? Naśladowcy pragną uwagi, ale musi być w Olivierze coś, z czym ten naśladowca się utożsamia, oczywiście poza tym, że chce mu się przypodobać.

Henley zastanawiała się nad słowem „imponować".

– Nie. – Odrzuciła ten pomysł. – Olivier nie byłby pod wrażeniem. To by go tylko rozjuszyło. I w sumie był wściekły, kiedy powiedziałam mu o naśladowcy. Nie miałby ochoty dzielić się blaskiem jupiterów. Nazwałeś go narcyzem, pamiętasz?

– Pamiętam. Bo jest narcyzem. – Mark wytarł ręce serwetką, po czym wyjął z plecaka foliową koszulkę. – Pracowałem nad profilem naśladowcy. Podejrzewam, że mamy do czynienia z problemami psychicznymi, które mogą się ujawniać w wyniku doznanej przemocy.

– Jakiej przemocy?

– Na przykład seksualnej. Tak jak w przypadku Oliviera.

– Skoro naśladowca utożsamia się z Olivierem, musiał zdawać sobie sprawę, że Olivier padł ofiarą gwałtu.

– Bardzo prawdopodobne. Doszedłem do wniosku, że naśladowca jest białym mężczyzną w wieku trzydziestu pięciu – czterdziestu lat. Kawalerem, niezdolnym do stworzenia więzi społecznych, ale inteligentnym i potrafiącym poruszać się w świecie bez przyciągania uwagi. Kieruje nim coś, co zrobiły mu te trzy, przepraszam, cztery ofiary.

– I dlatego kolekcjonuje trofea?

– Tak, uważam, że wydłubanie oczu oraz odcięcie uszu i języka oraz zachowanie tych organów byłoby dla niego nagrodą, a zarazem ostatecznym aktem upodlenia ofiar. Jest bystry, zorganizowany i wysoko funkcjonujący. Przeanalizowałem także głębiej symbole. Znak firmowy Oliviera.

– Półksiężyc i podwójny krzyż? Domyślam się, że ich przyswojenie przez naśladowcę byłoby zrozumiałe w sytuacji, gdyby starał się wywrzeć wrażenie na Olivierze.

– Ale tu chodzi o coś więcej. O dualizm. Półksiężyc to fragment księżyca. Może oświecać, ale także nieść tajemniczość i mrok. Być życiem i śmiercią.

– A podwójny krzyż?

– Nie krzyż, tylko sztylet. Podwójny sztylet oznacza zdradę i zemstę.

– Naprawdę uważasz, że Olivier wybrał je z pełną świadomością?

– Kto wie? – Mark wzruszył ramionami. – Może miał tylko taki kaprys, lecz w wypadku naśladowcy to komunikat: „Ja jestem tobą, ty jesteś mną".

– Siedmioro sędziów wciąż żyje. Nasz naśladowca chyba nie ma porachunków ze wszystkimi?

– Moim zdaniem to bez znaczenia, czy obraziła go jedna osoba, czy wszystkie dwanaście. Identyfikuje je jako zbiorowość. Póki go nie złapiecie, wszystkim przysięgłym grozi niebezpieczeństwo.

Rozdział 63

– Mam go! – wykrzyknął Ramouter z silniejszym niż zwykle akcentem Yorkshire. – Szefowo, mam tego zasranego gnoja! Jest tutaj. Dokładnie tutaj, z nią.

Henley podbiegła do Ramoutera.

– Tylko spójrz – powiedział, cofając nagranie.

Ogarnął ją smutek, gdy patrzyła, jak Zoe Darego wysiadła z autobusu numer sto trzydzieści sześć. Przystanęła, zajrzała do torebki, a następnie ruszyła do przejścia dla pieszych. U jej boku pojawił się mężczyzna. Henley nie widziała jego twarzy, tylko plecy. Odciągnął ją na bok. Widać było poruszające się usta dziewczyny, ale Henley nie potrafiła odczytać z ich ruchu słów. Po siedmiu sekundach mężczyzna złapał Zoe za ramię i pociągnął za róg. Obok przechodzili kobieta z mężczyzną. Henley z rosnącym gniewem patrzyła, jak para pokazuje sobie Zoe palcem, a potem odwraca się i idzie dalej jak gdyby nigdy nic.

– Nie martw się, zaraz go zobaczysz – powiedział łagodnym głosem Ramouter.

Zmienił się kąt widzenia kamery. I oto pojawił się on. Chance Blaine z twarzą wykrzywioną złością, przyciskający Zoe do drzewa. Ostatnim obrazem zarejestrowanym przez kamerę była Zoe uderzająca go w twarz. Następnie wybiegła z pola widzenia, zostawiając Blaine'a na ziemi.

Henley zaparkowała na Burnt Ash Hill. Obok zatrzymał się oznakowany samochód policyjny, tuż za granatowym bmw serii 1 z nazwą agencji nieruchomości wypisaną na drzwiach od strony pasażera. Pod numerem osiemdziesiąt siedem paliły się światła. Oględziny domu miały się zakończyć za piętnaście minut.

Henley upewniła się, czy wzięła ze sobą kajdanki. W głowie czuła pulsowanie. Podczas ostatniej próby aresztowania wylądowała na plecach, przyciskając ręce do brzucha, żeby zatamować krwotok.

– Wezwij przez radio Downinga i każ im obstawiać tyły – powiedziała. – Tylko tego brakowało, żeby Blaine dał nogę.

Ramouter wyjął radio, Henley nacisnęła dzwonek przy drzwiach. Odsunęła klapkę na listy, ale niczego przez nią nie widziała. Słyszała za to głosy. Załomotała do drzwi, a w tym czasie Downing z drugim policjantem, Raleighem, pobiegli na tył budynku.

Słyszała głos Blaine'a:

– To chyba znak z nieba. Już macie państwo gości.

Otworzyły się drzwi, a uśmiech na twarzy Blaine'a błyskawicznie zgasł. Odwrócił się i spojrzał na swoich klientów.

– Chance Blaine, aresztuję cię za...

Nie miała okazji dokończyć. Blaine wykonał błyskawiczny zwrot i puścił się biegiem przez korytarz. Ramouter przecisnął się obok Henley i ruszył za nim w pościg. Kobieta krzyknęła, jej partner odciągnął ją na bok.

– Wieje! – wrzeszczała Henley do radia. – Tylnym wyjściem!

Ramouter ścigający Blaine'a słyszał krzyk Henley. Blaine przewrócił dużą roślinę doniczkową. Zielonkawoniebieska ceramiczna doniczka stłukła się na pół, grudki ziemi rozsypały się po podłodze. Ramouter się potknął i oparł o ścianę, próbując chwycić Blaine'a za połę marynarki. Tandetny materiał wyśliznął mu się z palców, a Blaine wbiegł do kuchni.

– Cholera! – zaklął Ramouter, ponieważ drzwi zatrzasnęły mu się tuż przed nosem, a szyby z matowego szkła popękały. Uciekinier znajdował się po drugiej strony wyspy kuchennej. Stał odwrócony plecami i gorączkowo grzebał w szufladach.

– Blaine. Stój! – ryknął Ramouter, gdy mężczyzna odwrócił się ku niemu z dużym nożem w ręku. – Odłóż to. Nie rób niczego głupiego.

Ramouter ostrożnie posuwał się wokół wyspy. Dostrzegł w oczach Blaine'a przelotne wahanie i wtedy rzucił się na niego. Ten upadł z krzykiem na podłogę, wypuszczając nóż z ręki. Ramouter kopniakiem odrzucił nóż na bezpieczną odległość. Cofnął się i patrzył, jak Blaine zrywa się z podłogi i otwiera tylne drzwi. Nie miał jednak dokąd uciekać, ponieważ Downing i Raleigh już tam na niego czekali.

Rozdział 64

– Jest mi niewygodnie. Wszystko mnie boli – poskarżył się Blaine, biorąc do ręki kubek wody.

– Trudno. – Henley wprowadzała dane do komputera. – Detektywie Ramouter, jaki jest twój numer służbowy?

Ramouter włączył laptopa.

– 2873PY.

– Dziękuję. – Przerwała pisanie, dotarłszy do rubryki z danymi prawników. – Panie Blaine, pytam ponownie. Na pewno nie życzy pan sobie prawnika?

– Ostatnim razem przydali mi się jak cholera – ironizował. Zgniótł plastikowy kubek i rzucił go na podłogę. Wyglądał jak rozpieszczony dzieciak, który czuje się oszukany.

Kończąc administracyjną część przesłuchania, Henley czuła na sobie wzrok Blaine'a. Włączyła nagrywanie.

– Panie Blaine. Cierpi pan na jakieś zaburzenia psychiczne? – zapytała, odczytawszy najpierw standardowe formułki i pouczenia.

– Słucham?

– Czy ma pan zaburzenia psychiczne? – powtórzyła powoli, starając się trzymać nerwy na wodzy. – Depresję? Psychozę? Bierze pan leki?

– Nie. Niczego nie biorę.

– I rozumie pan dokładnie sens pouczenia?

– Wolne żarty! Jestem... byłem adwokatem. Mam prawo milczeć. Jeśli zdecyduję się mówić, wszystko, co powiem, może zostać użyte przeciwko mnie. Jeśli będę milczał, a sprawa zakończy się w sądzie, do czego, nawiasem mówiąc, nie dojdzie, ława przysięgłych mogłaby uznać, że wszystko zmyśliłem.

– Został pan aresztowany za zabójstwo Uzomamaki Darego oraz Daniela Kennedy'ego.

Blaine podniósł wzrok, spojrzał na kamerę w rogu i pokręcił głową.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Nawet ich nie znam.

– No cóż. Mówi pan nieprawdę.

– Zoe Darego zeznawała przeciwko panu, czego wynikiem był wyrok za wywieranie wpływu na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości – przypomniał Ramouter.

– To nie znaczy, że ją znałem. Poza tym było to kilka lat temu.

– Zaginięcie Zoe Darego zgłoszono w piątek szóstego września, a jej zwłoki znaleziono w zeszły wtorek – kontynuował Ramouter.

– Już mówiłem, że spędziłem tamten wieczór z moją dziewczyną Lorelei.

– Lorelei powiedziała, że nigdy nie była pańską dziewczyną i nie spędziła z panem wspomnianego wieczoru. – Henley brzmiała rzeczowo, lecz w środku kipiała ze złości. Czy Blaine skrzywdził Zoe?

Blaine otworzył usta i zamknął je z powrotem. Po kilku sekundach powiedział:

– Musiały pomylić się jej daty.

– Nic się jej nie pomyliło, Blaine. Pańskie alibi jest bzdurą. Dwa tygodnie przed zniknięciem Zoe był pan z nią widziany na Lewisham High Street naprzeciwko jej miejsca pracy.

– To kłamstwo. Nie widziałem jej od czasu tamtej rozprawy. Może i byłem na Lewisham High Street, ale nie w pobliżu szpitala.

– Detektywie Ramouter... – Henley postukała w brzeg laptopa.

– Oto nagranie z kamery monitoringu przy Lewisham High Street naprzeciwko szpitala. – Ramouter włączył odtwarzanie. – To jest Zoe Darego. Rozpoznaje pan siebie na nagraniu?

Blaine rozparł się na krześle i skrzyżował ramiona.

– Widać tylko plecy. To może być każdy.

– Proszę patrzeć dalej. – Henley nie spuszczała wzroku z Blaine'a.

Pobladł, gdy Ramouter włączył pauzę, a na ekranie ukazała się twarz mężczyzny.

– Zapytam ponownie – ciągnęła Henley twardym głosem. – Czy rozpoznaje pan siebie na tym nagraniu?

Zawibrowała jej komórka. Wyjęła telefon z kieszeni żakietu i zobaczyła wiadomość od Ezry. Otworzyła ją i się wyprostowała.

„OLIVIER!!! Głupi adres IP był ukryty za VPN-em, dlatego zajęło mi to tyle czasu. PO logował się na stronę Osób Zaginionych o 13.38 w środę przez adres IP. 76.174.2.5. ISP: Athena Media. Posiadacz konta: Chance Blaine".

– To pan. Napastuje pan Zoe Darego. – Podała telefon Ramouterowi, który – za co należy mu się uznanie – nawet nie mrugnął, czytając wiadomość. – Co jej pan powiedział, że pana spoliczkowała?

– To nie jest tak, jak wygląda.

– Doprawdy? Może wobec tego wyjaśni nam pan, jak mamy to zinterpretować.

– Nie zrozumiecie.

– Niech nam pan wytłumaczy. Co powiedział pan Zoe?

– Nic takiego. – Blaine spuścił wzrok. – Zwykły zbieg okoliczności. Nie miałem pojęcia, że ona pracuje w szpitalu.

– Nie czekał pan na nią?

– Oczywiście, że nie. Po prostu tamtędy przechodziłem.

– Mimo że kamera wyraźnie zarejestrowała, jak podjeżdża pański samochód i parkuje za rogiem Lewisham Park Road dwadzieścia minut przed przyjazdem autobusu Zoe.

– Byłem umówiony na oglądanie nieruchomości – odparł szybko Blaine. – Człowiek, któremu miałem pokazać mieszkanie, się nie pojawił.

– Rozumiem – rzekł Ramouter. – Wobec tego będzie pan w stanie pokazać nam potwierdzenie spotkania z klientem w swoim służbowym kalendarzu? O jego przysłanie zresztą już prosiliśmy, ale się nie doczekaliśmy.

– Nie... nie było wpisane. Facet wszedł do biura i zapytał o mieszkanie. Ponieważ byłem wolny, zaproponowałem, że mu je pokażę.

– A więc nie czekał pan w samochodzie na Zoe? – zapytał Ramouter.

– Nie. – Blaine poprawił się na krześle. – Jak mówiłem, to zbieg okoliczności. Wracałem do auta, gdy ją zauważyłem... Zoe. Rozpoznałem ją i chciałem porozmawiać. Zamknąć przeszłość.

– Zamknąć przeszłość? – Henley nawet nie próbowała ukryć niedowierzania. – Chciał pan zamknąć przeszłość?

– Przez nią trafiłem do więzienia. Chciałem zapytać, dlaczego skłamała w sądzie. Nie śledziłem jej tamtego dnia. Przez przypadek znaleźliśmy się na tej samej ulicy o tym samym czasie. Chciałem jej też powiedzieć, że się zmieniłem. Że nie chowam do niej urazy.

– Więc dlaczego dostał pan w twarz?

Pokręcił głową, jakby szczerze zakłopotany.

– Nie mam pojęcia. Naprawdę.

– Okej, zadam panu inne pytanie. – Henley konspiracyjnie pochyliła się do przodu. – Porozmawiajmy o Peterze Olivierze.

– Po co? Wiecie, że odwiedzałem go w Belmarsh.

– Zmienił pan nazwisko, kiedy więzienie zablokowało pańskie odwiedziny.

– Nieprawda. Zmieniłem nazwisko, ponieważ chciałem zacząć wszystko od nowa.

– Zmienił pan nazwisko, ponieważ za wszelką cenę chciał się pan zobaczyć z Olivierem.

– On mnie o to prosił. – W głosie Blaine'a narastała panika. – Nie wiem, jak mnie odnalazł, ale wysłał mi prośbę o widzenie. Ja nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

– Och, proszę... Nie jesteśmy idiotami – rzekła Henley, widząc, że Ramouter wyjmuje kilka kartek papieru.

– Oto lista wszystkich wizyt, jakie złożył pan Olivierowi – rzekł Ramouter. – Czwartki rano i niedzielne popołudnia. Nie opuścił pan ani jednej.

– Coś sobie przypomniałam – powiedziała Henley. – Panie Blaine, aresztuję pana także za fałszerstwo tożsamości. Podał pan fałszywe informacje w więzieniu Belmarsh, przedkładając sfałszowane dokumenty – paszport oraz prawo jazdy – w celu przejścia przez procedury bezpieczeństwa.

– Nie możecie tego zrobić. Nie zrobiłem nic złego – odparł przygnębionym głosem.

– Olivier poinstruował pana, jak rozczłonkować zwłoki, prawda? – zapytała Henley.

– O czym wy mówicie? Nie.

– Dwa dni po spotkaniu z Zoe odwiedził pan Oliviera i opowiedział o swoim planie kontynuowania jego dzieła.

– Nie.

– Zaplanował pan odegranie się na Zoe oraz innych ławnikach za to, że wpakowali pana do więzienia.

– Teraz to się zagalopowaliście.

– Olivier zdradził panu swój plan ucieczki.

– Nie miałem pojęcia, że ma taki zamiar.

– Doskonale pan o tym wiedział i dlatego nie zrobił pan tego, co należało, czyli nie zawiadomił policji, kiedy Olivier zjawił się w pańskim domu w środę po południu i skorzystał z komputera, logując się na stronie Osób Zaginionych.

– W tej chwili na mocy paragrafu numer osiemnaście policja przeszukuje pańskie mieszkanie – poinformował Ramouter.

– Olivier nigdy nie był u mnie w domu – bronił się Blaine.

– Mamy naocznego świadka, który widział mężczyznę o wyglądzie odpowiadającym rysopisowi Oliviera, wychodzącego z pańskiego bloku siedemnaście minut po godzinie piętnastej. Prawie półtorej godziny po zalogowaniu się na stronie Osób Zaginionych.

Blaine nie odpowiedział. Ciszę przerywało jedynie nerwowe postukiwanie jego stopy w nogę stołu.

– Nigdy u mnie nie był – powtórzył wreszcie. – W środę po południu nawet nie było mnie w domu. Miałem...

– Niech zgadnę – przerwała mu Henley. – Spotkanie z klientem.

– Miałem spotkanie.

– Kłamie pan, panie Blaine. Okłamuje pan mnie i detektywa Ramoutera od momentu, w którym zaczęliśmy nagrywać tę rozmowę. W gruncie rzeczy kłamie pan od samego początku, od naszego pierwszego kontaktu. Skłamał pan, utrzymując, że nie zna żadnej z ofiar.

– Nikogo nie zabiłem – odparł Blaine ze łzami w oczach.

Henley dała Ramouterowi znak, by poprowadził dalej przesłuchanie. Blaine skulił się na krześle.

– Dowód rzeczowy SR/1. Telefon komórkowy Samsung Galaxy – powiedział Ramouter, podsuwając Blaine'owi woreczek. – Potwierdza pan, że ten telefon należy do pana?

Blaine wziął do ręki woreczek i skinął głową.

– Musi pan mówić na głos – upomniał go łagodnie Ramouter, tak jakby namawiał dziecko do wyjścia spod łóżka.

– To mój telefon.

– A teraz dowód rzeczowy SR/2. Karta SIM wyjęta z pańskiego portfela. Czy ta karta SIM jest pańską własnością?

– Tak – wyszeptał Blaine.

– Czy posługiwał się pan tą kartą w celu kontaktowania się z Peterem Olivierem? Wysyłania mu SMS-ów oraz telefonowania do niego?

Blaine'owi ściągnęła się twarz.

– Nie, nie, nie. Dosyć – powiedział w końcu. – Żądam adwokata. Nie powiem więcej ani słowa, póki nie skonsultuję się z prawnikiem.

Rozdział 65

– To nie wystarczy, co? – zapytał Ramouter, gdy Henley odesłała Blaine'a z powrotem do celi.

– Nie wydaje mi się, by na podstawie tego, czym dysponujemy, prokurator z CPS zgodził się na postawienie mu zarzutu morderstwa – przyznała. – Ale wystarczy do oskarżenia go o pomoc w przestępstwie i ukrywanie sprawcy.

– Czegoś tu nie rozumiem – wyznał Ramouter.

Kierowali się do wyjścia z komisariatu.

– Czego?

– Po co Blaine i Olivier wciąż się tu kręcą? Jaki przyświeca im cel? Ja już dawno dałbym nogę.

Brzdęk komórki Henley zasygnalizował nadejście maila.

– Boże, dziś jest bez przerwy – powiedziała, przewijając ekran.

– Coś ważnego?

– Nie za...

Stanęła jak wryta i ponownie odczytała mail od sierżanta Harrisa z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego w Muswell Hill.

Czwartek, 17 września 2019
16:24
Re: PILNE: śledztwo w sprawie Carole Lewis
Od: Tony Harris, Policja Metropolitalna
Do: Anjelica Henley, Policja Metropolitalna

Pani komisarz Henley

Przepraszam za zwłokę. Posterunkowy Morris 875YK przebywa obecnie na urlopie, ale udało mi się z nim porozmawiać. Potwierdził, że Carole Lewis przybyła do komisariatu i zgłosiła cztery incydenty napastowania mające miejsce od lutego do kwietnia 2019 (CRIS nr 87456624/19). Nie mogę znaleźć w systemie kopii upomnienia. Poprosiłem posterunkowego Morrisa o jak najszybsze jej przesłanie. Mowa o upomnieniu wystosowanym do Alessandra Naylora ur. 17.06.83.

Z wyrazami szacunku
Sierż. Tony Harris

Rozdział 66

Henley i Ramouter zawrócili prosto do SCU. Najnowszy rozwój wypadków przyprawił Henley o zawroty głowy.

– Czy cokolwiek w raporcie CRIS wskazuje na to, że w ogóle pociągnęli wątek przysięgłego Alessandra Naylora jako możliwy kierunek śledztwa? – zapytał Ramouter, podając Henley kubek herbaty.

– Zupełnie nic. Przynajmniej z tego, co na razie widzę. Nie podjęli żadnej próby skontaktowania się z nim. To tak jak sierżant Lancaster, która gdy już wzięła na celownik męża, nie uwzględniła innej możliwości.

Ramouter potarł oczy.

– Absurdalne i niekompetentne zachowanie. Powinni byli z nim porozmawiać. Carole Lewis czterokrotnie zgłaszała policji przypadek molestowania. Potraktowali ją poważnie, ponieważ wydali upomnienie pod adresem Naylora – kontynuowała Henley. Spojrzała na zegarek. Osiemnasta. Liczyła na to, że uda się jej wyjść na czas i zobaczyć się z Emmą, jednak ta nadzieja właśnie się rozwiała.

– A posterunkowy Morris?

– Ma wolne, ale to bez znaczenia.

Henley kartkowała raport, chcąc dotrzeć do oskarżeń o napastowanie. Carole Lewis odwiedziła posterunek trzykrotnie, po raz pierwszy osiemnastego lutego dwa tysiące dziewiętnastego roku. Powiadomiła policję, że dwa razy widziała stojącego pod jej domem Naylora. Niemal miesiąc później zgłosiła się w komisariacie ponownie i spotkała się z Morrisem. Wedle raportu Morrisa Naylor był znów widziany pod jej domem i wysyłał jej SMS-y. Czwartego kwietnia dwa tysiące dziewiętnastego roku Morris pozostawił Naylorowi wiadomość, że wpłynął przeciwko niemu zarzut nękania. Naylor nie odpowiedział. Sześć dni później Morris wysłał mu drogą pocztową upomnienie. Naylor na nie nie zareagował, ale też nie miał takiego obowiązku. Nie było dalszych zgłoszeń nękania. Miesiąc później Carole Lewis nie żyła.

– Idziemy – rzuciła Henley, wstając z krzesła.

– Dokąd? – Ramouter już wkładał marynarkę.

– Złożyć wizytę Alessandrowi Naylorowi.

– Zamordowano kogoś jeszcze? – zapytał Alessandro, biorąc do ręki czajnik i nalewając wrzątek do kubka. – Sam, policjant, który mnie pilnuje, nic mi rano nie mówił. – W jego głosie pobrzmiewała panika, ponadto lekko trzęsła mu się ręka i rozlał odrobinę kawy.

– Nie. Nic podobnego się nie stało. Chcielibyśmy porozmawiać z panem o Carole Lewis i ostrzeżeniu w sprawie nękania, które otrzymał pan w kwietniu.

– O ostrzeżeniu? O jakim ostrzeżeniu? – Usiadł ze zdziwioną miną. – Ja miałbym nękać Carole? Nie, to jakaś pomyłka.

– Carole zawiadomiła policję, że wystawał pan pod jej domem i pisał do niej SMS-y. Pytaliśmy, czy miał pan kontakt z innymi członkami ławy przysięgłych, i pan temu zaprzeczył. Do-

skonale pan wiedział, co się dzieje i jakie grozi panu niebezpieczeństwo, a mimo to skłamał pan w żywe oczy.

Policzki Alessandra poczerwieniały.

– Po prostu nie sądziłem, że to istotne. Natknąłem się na nią przez przypadek w jakimś pubie w Chalk Farm, wybrałem się tam z kumplem na drinka. To było całe wieki temu. Zachowywała się kokieteryjnie, ale tak samo było, kiedy zasiadaliśmy razem w ławie przysięgłych. Flirtowała ze wszystkimi. Koniecznie chciała się wymienić numerami telefonu. Uległem tylko po to, żeby się odczepiła.

– Coś was łączyło?

– Mój Boże, nic. Jeśli mam być szczery...

– Och, nagle wzięło pana na szczerość.

– Było mi jej trochę żal. Wydawała się samotna.

– Nie chcę silić się na żarty, ale nie wygląda pan na człowieka empatycznego.

– Nie brakuje pani tupetu, prawda? – zauważył Alessandro i usiadł przy kuchennym stole. – No dobrze. Spotkałem się z nią w pubie, coś razem wypiliśmy i tyle.

– Był pan kiedyś u niej w domu?

Alessandro zdecydowanie zaprzeczył.

– Nigdy. Wiem, że mieszkała w Muswell Hill, ale nie zapuszczałbym się tam tylko po to, żeby sobie pobzykać.

Henley nie rozbawiła ta odpowiedź.

– Przepraszam... Nie. Nigdy nie byłem u niej w domu. Spotkaliśmy się tylko raz.

– A SMS-y, telefony?

– Napisała do mnie kilka razy i jej odpisałem, ale kiedy mi powiedziała, że ona i jej mąż uprawiają dogging... – Alessandro zwrócił się do Ramoutera. – Wyobraża pan sobie dzielenie się swoją kobietą z połową północnego Londynu? Dziękuję bardzo.

– Powróćmy do ostrzeżenia. Carole twierdziła, że zjawiał się pan pod jej domem, nękał telefonami...

– Nieprawda. To ona do mnie wydzwaniała i pisała SMS-y. Powiedziałem, że nie interesuje mnie żadna bliższa znajomość. Przecież jest... znaczy była mężatką. Więcej kłopotu niż to wszystko warte. A co do tego listu... Z ostrzeżeniem. Żaden list do mnie nie dotarł. Policja nigdy ze mną o tym nie rozmawiała, nie przesłuchiwano mnie ani nie aresztowano. A ona już się ze mną więcej nie kontaktowała i ja też nie zawracałem jej głowy.

– Kiedy widział się pan z nią lub rozmawiał po raz ostatni?

Alessandro parsknął i wypił łyk kawy.

– Jakoś w marcu. Wtedy rozmawialiśmy po raz ostatni. Usłyszałem o niej ponownie dopiero wtedy, gdy zjawiliście się pod moimi drzwiami.

– Czy podczas rozmowy napomknęła o niejakim Josephie McGrath? Obecnie nazywa się Chance Blaine.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Czy wyrażała jakieś obawy o swoje bezpieczeństwo?

– Bez przerwy opowiadała o mężu. Że nosi się z zamiarem odejścia od niego. Pamiętam, że zapytałem ją, czy mąż kiedykolwiek ją skrzywdził, ale nie spodobało się jej to pytanie.

– Dlaczego w ogóle je pan zadał?

Alessandro wzruszył ramionami.

– Z nawyku. Mam siostry i kuzynkę, która siedziała przede mną z podbitym okiem i zaklinała się na wszystkie świętości, że jej chłopak jej nie tknął. Cóż mogę powiedzieć? Jestem nadopiekuńczy. W swojej pracy z pewnością nieraz to widzieliście.

– W tej pracy widziałam już wiele – odparła, wzięła torbę i położyła sobie na kolanach. – Na przykład mężczyzn, którzy patrzyli mi prosto w oczy i przysięgali na życie własnych dzieci, że nie udusili swoich żon.

– Ja jej nie zabiłem – powiedział Alessandro.

– Tak pan twierdzi, ja jednak mimo wszystko potrzebuję pańskiego DNA, by to potwierdzić lub dowieść czegoś przeciwnego. – Wyjęła z torby pusty woreczek na dowody oraz dwie plastikowe probówki zawierające pałeczki zakończone bawełnianymi wacikami. Gwałtownie odskoczyła, ponieważ Alessandro wywrócił kubek z kawą.

– Cholera – zaklął. Wstał, wziął ze zlewu gąbkę. – Okej, okej, tylko jeden raz – przyznał, wycierając rozlany płyn.

– Pięć minut temu twierdził pan, że byliście tylko na drinku – wtrącił Ramouter.

– Spałem z nią raz – odparł Alessandro, wrzucając gąbkę do zlewu. Miał bolesny grymas na twarzy, zdał sobie bowiem sprawę, że sam zapędził się w kozi róg. – Przepraszam. Ale przysięgam... Uprawialiśmy seks na tylnym siedzeniu samochodu i tyle.

– Pańskiego samochodu? – dopytywał Ramouter.

Mężczyzna przytaknął.

– Od tamtej pory jej nie widziałem.

– Powiedzmy. – Henley naciągnęła na rękę lateksową rękawiczkę. – Mimo to muszę pobrać próbkę. Możemy zrobić to tutaj albo w komisariacie. Jak pan woli.

Alessandro spojrzał na nich z rezygnacją, a następnie otworzył usta.

Ramouter i Henley wracali do samochodu w gęstej mżawce.

– Kłamie – skonstatowała Henley.

– À propos czego? Że już nigdy więcej się z nią nie widział czy że nie miał z nią romansu?

– Mąż Carole mówił, że jeden z ławników ciągle do niej dzwonił i wysyłał SMS-y. Podejrzewał, że ze sobą sypiają.

– Okej, powiedzmy, że Alessandro Naylor skłamał, jakoby nie łączyła go z Carole Lewis żadna zażyłość. To nie znaczy, że jest zamieszany w jej zabójstwo, a nawet gdyby, to jak wyjaśnić pozostałe ofiary? Zoe, Daniel i Sean nadal by żyli, gdyby to był po prostu przypadek zazdrosnego stalkera mordującego obiekt swoich uczuć. Dochodzi do tego rozbieżność czasowa. Lewis zginęła ponad cztery miesiące temu. Możliwe, że to morderstwo nie ma związku z pozostałymi.

Henley milczała, zastanawiając się nad słowami Ramoutera.

– Choć wcale mi się to nie podoba – ciągnął – wszystkie drogi prowadzą do Chance'a Blaine'a.

– Wiem – przyznała Henley z frustracją. – Rzecz w tym, że potrzebujemy czegoś bardziej konkretnego, żeby przypisać mu te zbrodnie.

Rozdział 67

Olivier wystawiał twarz na ciepłe promienie słońca. Znajdował się niecały kilometr od SCU w tłumie turystów fotografujących wszystko, co się rusza. Wyjął telefon komórkowy i zrobił sobie zdjęcie. W kontaktach zapisał tylko trzy numery. Zaczął oddalać się od tłumów ludzi, którzy wylegli na lunch. W międzyczasie wysłał swoją fotkę komisarz Henley, a następnie wybrał jej numer. Odebrała po czwartym sygnale.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Nie zorientowałam się ze zdjęcia.

Milczał, wsłuchując się w odgłosy w tle. Słyszał ostrzegawcze dźwięki cofającego samochodu.

– Olivier? Jesteś tam?

– Nawet się nie przywitałaś.

– Czego chcesz?

– Chciałem się zameldować.

– Mógłbyś oddać się w ręce lokalnej policji. Byłby to milszy sposób meldowania się.

– Oboje wiemy, że to nie nastąpi. Oglądałem cię. – Uśmiechnął się do siebie, słysząc, jak Henley nerwowo wciąga powietrze. – Na konferencji prasowej.

– Czego chcesz? – powtórzyła pytanie.

– Miło było znów zobaczyć Pellacię. Widziałem, jaki był podekscytowany, że siedzi tak blisko ciebie. Co tam robił? Obmacywał cię pod stołem?

– Nie mam czasu na twoje gierki.

– To nie ja uprawiam gierki. To mój naśladowca kręci się po okolicy i rozrzuca fragmenty zwłok, jakby cała dzielnica była jego własnością.

– Dlatego wciąż tutaj jesteś? Chcesz dopaść go osobiście, prawda?

– Bądźmy szczerzy, pani komisarz. Przy waszym tempie nie możecie liczyć na nagrodę za sprawne działanie.

– Taki masz plan? Znaleźć go, posiekać na kawałki i rozrzucić je pod moim domem?

Uśmiechnął się. Frustracja i furia w głosie Henley sprawiały mu niekłamaną przyjemność.

– Pomyślałem, że moglibyśmy wymienić się informacjami. Ty pomożesz mnie. Ja pomogę tobie. Transakcja handlowa.

Cisza. Nie słyszał nawet jej oddechu.

– Niemożność powiązania wszystkich luźnych wątków musi trawić cię od środka. Ja jestem na wolności, a pan Blaine użala się nad sobą w komisariacie w Lewisham.

– Blaine'owi rozwiązał się język – wycedziła. – Chętnie opowiada o waszej współpracy.

– Wiem, do czego zmierzasz. Próbujesz złapać mnie na haczyk. Poskładać razem wszystkie poszlaki, strzępy dowodów, tak jak w układance, ale oboje wiemy, że te elementy zwyczajnie do siebie nie pasują. – Roześmiał się, usłyszawszy zirytowane cmoknięcie Henley. – Jakie to musi być potworne uczucie wiedzieć, że znajdę go przed wami.

– Tak się nie stanie.

– Stanie. Akurat to mogę ci obiecać. Choćbyś wyskoczyła ze skóry, pani komisarz, zawsze będziesz dwa kroki za mną.

Rozdział 68

Henley nie opowiedziała nikomu o tej rozmowie. W tej chwili obchodziła ją wyłącznie własna córka. Postanowiła zaryzykować, narazić się na gniew teściowej i odwiedzić Emmę. Nie miała problemu z tatą Roba, zawsze świetnie się dogadywali, ale jego matka Natasha była uszczypliwa, pretensjonalna i uważała, że jej syn mógł wybrać lepiej.

Dom znajdował się po drugiej stronie stacji Kensal Green. Strumień ludzi wylewał się z budynku metra. Nie pierwszy raz pożałowała, że tato Roba nie dotrzymał obietnicy i nie wykorzystał absurdalnie wywindowanych cen na rynku nieruchomości, nie sprzedał domu i nie przeniósł się wraz z żoną na Saint Lucię.

Czekając pod drzwiami, Henley zastanawiała się, czy nie powinna była położyć za przednią szybą sfatygowanej odznaki policyjnej. Cokolwiek, co rozdrażniłoby Natashę, byłoby jej drobnym zwycięstwem, nie miała jednak wątpliwości, że policyjny radiowóz zaparkowany dwa domy dalej dość dobrze wywiązywał się z zadania.

– O! – rzekła Natasha w progu. Otuliła się szczelniej kardiganem z popielatego kaszmiru, jak gdyby chroniła się przed zimnym frontem atmosferycznym, który nadciągnął pod postacią Henley. – Nie spodziewałam się ciebie. Jest późno.

– Podjęłam decyzję w ostatniej chwili. – Henley weszła do środka. Natasha się żachnęła, a następnie poprawiła za uchem kosmyk farbowanych na czarno włosów.

– Wiesz, to nie w porządku – oznajmiła Natasha w korytarzu. Ściany były zawieszone rodzinnymi fotografiami. Henley zmarszczyła nos, wyczuwając zapach świeżej farby. Odkąd znała Roba, jego matka nigdy nie zhańbiła się pracą. Za to raz po raz zarządzała remont domu i rezerwowała sobie rejsy wycieczkowe, podczas gdy tato Roba wciąż pracował w korporacji prawniczej, będąc jej wspólnikiem.

– Co jest nie w porządku?

Natasha gwałtownie się zatrzymała.

– No nie wytrzymam. Narażasz ojca Roberta oraz mnie na niebezpieczeństwo. – Jamajski akcent, który na co dzień tak bardzo starała się ukryć, teraz jednak wkradł się do jej głosu. – Pod moim domem stoi radiowóz, co najmniej jakbym była jakąś kryminalistką. Wiesz, jakie to żenujące, Anjelico? Eh! Nie czuję się bezpiecznie we własnym domu. To nie w porządku, że obciążasz w ten sposób mojego syna i wnuczkę.

– Co byś wolała? Żebym rzuciła pracę, została niepracującą matką i spędzała czas na tarciu marchewki i wybieraniu szafek kuchennych?

– Czy to takie straszne? A może mogłabyś pozostawić ten układ na stałe? – Natasha machnęła idealnie wypielęgnowaną dłonią w stronę kuchni, gdzie za zamkniętymi drzwiami prawdopodobnie znajdowali się Rob i Emma.

Henley oparła się – nie po raz pierwszy – przemożnej chęci spoliczkowania teściowej. Zamiast tego przecisnęła się obok niej i otworzyła drzwi do kuchni.

Emma zerwała się z krzesełka, rozsypując na podłogę makaron z kurczakiem.

– Cześć, malutka. Jeszcze nie śpisz? – Henley uklękła i przytuliła dziecko. Powąchała włosy córeczki i znieruchomiała. Pachniały inaczej. Przywykła do mieszanki kokosa z jojobą. Teraz Emma pachniała miodem i wanilią.

– Zmieniłeś jej szampon? – zapytała Roba, który sprzątał jedzenie z podłogi.

– Mama mi go poleciła. – Sięgnął pod stół po zabłąkany kawałek kurczaka.

– Przywiozłam trochę rzeczy Emmy. Z szamponem włącznie. – Obsypała buzię dziewczynki pocałunkami. – Och, tęskniłam za tobą, aniołku.

– Ja też tęsknię. Kocham cię. – Emma wycisnęła na czole matki mokrego całusa.

Henley poczuła, jak serce jej się kraje, a oczy pieką od łez.

– A gdzie Luna? – zapytała, odwzajemniając cmoknięcie.

– W oranżerii – wyjaśniła Natasha. Włączyła czajnik i zaczęła się krzątać pod pretekstem parzenia herbaty. – Robert wie, że jestem alergiczką. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego nie mógł zostawić psa z tobą, ale przypomniałam sobie, że ciebie nigdy nie ma w domu.

„Nie zwracaj na nią uwagi", powiedziała w duchu Henley. Wytrzyma ten sarkazm i przytyki Natashy, jeśli będzie mogła w zamian spędzić cenny czas z dzieckiem.

Wstała z Emmą w ramionach.

– Pójdziemy przywitać się z Luną?

– Tak. Chcę do Luny – odpowiedziała dziewczynka.

– Ja też. A potem cię wykąpię i umyję ci włosy.

Luna zaczęła szczekać, jeszcze zanim Henley dotknęła przeszklonych drzwi oranżerii. Pies witał ją serdeczniej niż Rob i jego chorobliwie złośliwa matka.

– Powinnaś była mnie uprzedzić, że przyjedziesz. – Rob stał w drzwiach swojego pokoju z lat młodzieńczych.

– Po co? Żebyś mi powiedział, że nie będzie was w domu? – odpowiedziała pytaniem, głaszcząc włosy śpiącej na jej kolanach córeczki.

– Nie zrobiłbym tego.

– Naprawdę nie możesz używać tego świństwa, które dała ci mama, bo przesusza jej włosy.

– Daj spokój. Nawet gdyby dała mi szampon z najwyższej półki, to i tak byś narzekała.

Rob wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Henley patrzyła na niego właściwie po raz pierwszy od przestąpienia progu domu. Wiedziała, że nie było mu łatwo szukać schronienia u rodziców i znosić ciągłą kontrolę, manipulacje i błazenady matki.

– Złapali już człowieka, który to zrobił? – Rob usiadł na drugim końcu łóżka. – No wiesz. Tego od pudełka.

– Wciąż węszymy, ale mamy osobę podejrzaną.

– Macie? Aresztowaliście ją?

– Nie mogę o tym mówić, Rob.

– Jak to: nie możesz? To stało się w naszym domu.

– Okej, okej. Podejrzewamy kogoś, ale ten ktoś leży teraz w szpitalu. Aresztujemy ją, gdy tylko jej stan będzie pozwalał na wypis.

– Ją? To kobieta? Dlaczego zrobiła coś tak koszmarnego...

– Nie mam pojęcia. Mówiłeś rodzicom, z jakiego powodu do nich przyjechałeś? Ze szczegółami?

– Chyba sobie żartujesz. Wątpię, by wtedy mama w ogóle cię wpuściła, ale przecież nie jest idiotką. Ogląda wiadomości i wie, że to się wiąże z prowadzonym przez ciebie śledztwem.

– Tęsknię za córką, Rob.

Zrzedła mu mina.

– A za mną? Za mną... też tęsknisz?

– Oczywiście – skłamała. Delikatnie podniosła z kolan śpiącą córeczkę, położyła ją na łóżku i pocałowała z uczuciem satysfakcji, że Emma znów pachnie jak Emma. – Tęsknię za rodziną.

– Ale nie robisz praktycznie nic, żeby ściągnąć nas z powrotem. Anj, ostatni raz mieszkałem z rodzicami, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat. To dla mnie niełatwe. Emma płacze za tobą co wieczór.

– Rob, to ty postawiłeś mi ultimatum. Praca albo rodzina. To ty o mało nie poszedłeś do łóżka z jakąś... – Umilkła, ponieważ Emma się poruszyła. Henley wstała i wyszła z sypialni, dając Robowi znak, by za nią poszedł.

– Wyjdźmy na zewnątrz. Luna potrzebuje spaceru – powiedział.

– Nie chcę taki być. Ja taki nie jestem. Nie jestem zrzędą. Nigdy nie byliśmy wobec siebie upierdliwi – rzekł, świadom, że matka obserwuje ich zza firanek.

– Nie jesteś. I nie byliśmy upierdliwą parą. Nie mam ci za złe, że się wyprowadziłeś.

Skręcili w lewo w Holland Road. Już było czuć wieczorny chłód.

– Po prostu nie podoba mi się sytuacja, w jakiej mnie postawiłeś. Proszenie mnie o wybór jest nie w porządku, Rob. Gdybym to ja była na twoim miejscu, nie stawiałabym cię w obliczu takiego wyboru.

– Wiem, Anj, ale fakty są takie, że nie jesteś na moim miejscu i nie dzieje się to pierwszy raz.

– Tym razem nic mi nie grozi. I nikomu z nas. – Widziała, że Rob nie kupuje tych głodnych kawałków. – Nie proszę cię o powrót do domu – rzekła i wyjęła mu z ręki smycz.

– Nie chcesz, żebym wrócił?

– Niczego takiego nie powiedziałam. Oczywiście, że chcę. Po prostu wolałabym, żebyś nie wracał, póki nie złapiemy sprawcy.

– Mówiłaś, że macie już podejrzaną.

– To trochę bardziej skomplikowane. Kochanie, wiem, że bywam czasem nieznośna i uparta.

– Delikatnie ujmując.

– Rob, przestań, staram się.

– Więc przyznajesz mi rację? Słusznie postąpiłem, wynosząc się z domu?

– Tak. Słusznie. I jeśli mam być szczera, prawdopodobnie lepiej, że chwilowo nie mieszkamy razem. Póki Olivier jest na wolności.

– Nie podoba mi się, że jesteś tam sama. Ktoś się tam tobą opiekuje?

Henley słyszała zaniepokojenie w jego głosie. Wiedziała, co ono oznacza. Czy ktoś inny śpi w miejscu, które należy do niego.

– Wczoraj zostałam na noc u Stanforda. Znasz go. Trudno mu odmówić. Dom jest pod obserwacją i dotychczas nie wydarzyło się nic, co budziłoby obawy. Uwierz mi. Wszystko jest w porządku.

– Dobrze, że zostałaś u Stanforda. Przynajmniej wiem, że u niego jesteś bezpieczna i w dobrych rękach. I że razem z Gene'em o ciebie zadbają. Tak czy owak, „w porządku" to za mało – powiedział. – Kocham cię. Wiem, że nie żyje się ze mną najłatwiej, ale...

– Wiem, że mnie kochasz. – Henley go przytuliła. Poczuła, jak jego ciało sztywnieje, a gdy go pocałowała, nieznacznie się rozluźnia.

– Mogłabyś zostać dziś na noc – zaproponował Rob, gdy odsunęli się od siebie.

– O Boże, nie. Twoja mama udusiłaby mnie we śnie poduszką.

Rob się roześmiał.

– No co ty, nie jest aż taka okropna.

– Nie? – Henley delikatnie pociągnęła za smycz Luny.

– Wiesz, dla mnie to też nie sielanka – odparł Rob.

– No proszę cię, mama dogadza ci, jak może.

– Zapytała, czy się rozwodzimy.

– Dziwię się, że nie ściągnęła jeszcze formularzy rozwodowych. Co jej odpowiedziałeś?

– Że to z powodu twojej pracy.

Henley przeanalizowała w głowie plan pozostania na noc w zachodnim Londynie i dostania się z samego rana do SCU. Uznała, że to problem drugorzędny wobec perspektywy spędzenia tu nocy i zobaczenia się rano z córeczką.

– Okej, zostanę – postanowiła.

Rozdział 69

– Nie wiedziałem, że mamy elastyczne godziny pracy. – Stanford przepuścił Henley w drzwiach. – Dochodzi wpół do dziesiątej.

– Utknęłam w korku.

– Z Brockley?

– Z Kensal Green.

– Aha – rzekł Stanford, zaświtało mu bowiem, gdzie była. – Jak się miewa moja mała Ems?

– Dobrze. Pytała o ciebie, zrobiła nawet dla ciebie rysunek. – Henley wręczyła mu kartkę zarysowaną pomarańczowymi, fioletowymi, niebieskimi i zielonymi kredkami. – To jesteście wy razem w twoim samochodzie.

Stanford uśmiechnął się, przybrał mądry wyraz twarzy i odwrócił rysunek do góry nogami.

– Doskonale uchwyciła błękit moich oczu.

– Gdzie Stephen? – Henley zajrzała do pustego biura.

Stanford wzruszył ramionami.

– Nie widziałem go od wczorajszego popołudnia. Bo co?

– Muszę mu powiedzieć, że złożyłam oficjalną skargę na sierżant Lancaster.

– Cholera, Henley. Wiesz, co się stanie, gdy ludzie się dowiedzą, że doniosłaś na innego detektywa?

– Przekazanie prasie informacji wrażliwych mogło zagrozić śledztwu. Wydaje się jej, że kim niby jest? – powiedziała ze złością.

– Hej, nie rzucaj mi się do gardła. Uważam, że postąpiłaś słusznie. Chcę cię tylko przygotować na ostrą reakcję.

– Wiem. Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte. – Stanford wszedł do kuchni i włączył czajnik. – Tak czy inaczej, mam informację, o którą prosiłaś. A więc twoi chłopcy: Blaine, Pine i Naylor... Kawa czy herbata? – zapytał, pokazując kubek.

– Herbata – odparła, sięgając po cukier.

– Wszyscy trzej byli czyści jak łza. Do czasu obrazy sądu oraz wpływania na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Wiedziałaś, że za obrazę sądu można dostać dwa lata?

– W sumie tak. Wiedziałam.

– Jakżeby inaczej. Sędzia ukarał ich dla przykładu. Blaine'owi przywalił dwa lata. Jako prawnik powinien był mieć więcej oleju w głowie. Pine i Naylor dostali po sześć miesięcy. Nieistotne, że odsiedzieli tylko połowę kary. Więzienie to więzienie. Naylora posłano do Pentonville, ale w życiu nie zgadniesz, gdzie wylądowali Pine i Blaine. – Stanford podał Henley kubek herbaty.

– Nie mam pojęcia, słowo daję.

– Nawet nie próbowałaś zgadnąć. Obu wsadzono do Belmarsh.

– Naprawdę? Surowo ich potraktowano. Powinni byli trafić do kategorii C, tymczasem Olivier przebywał na oddziale o zaostrzonym rygorze. Nie mogli mieć ze sobą żadnego kontaktu.

Henley dostrzegła na swoim biurku brązowe pudełko z archiwum. Ramouter z pochyloną głową siedział przy biurku naprzeciwko, wcisnąwszy telefon między ucho a obojczyk, i pisał coś jak szalony w notesie.

– Co to jest? – zapytała, wskazując pudełko.

– Mówiłem ci. Mam informacje, o które prosiłaś. To są oryginalne akta śledztwa prowadzonego w sprawie obrazy sądu. – Stanford przysunął sobie krzesło na kółkach i usiadł. – Na samej górze są akta z aresztu.

Henley odstawiła kubek z herbatą i wyjęła żółty segregator. Zawierał kartoteki Naylora, Pine'a oraz Blaine'a. Były tam też cztery bladoniebieskie notesiki spięte razem gumką.

– Jak wiemy, dwa tygodnie po rozpoczęciu procesu ława przysięgłych, w której zasiadali nasi nieżyjący już przysięgli, została rozwiązana – rzekł Stanford. – Wedle protokołu sądowego sędzia poprzestał na oświadczeniu, że jedna osoba ze składu przysięgłych dopuściła się obrazy sądu. Trzy dni później proces rozpoczął się od nowa.

– Co dokładnie Blaine powiedział Naylorowi i Pine'owi? – Henley przeglądała protokół aresztowania Naylora, wyszczególniający niemal każdą minutę jego krótkiego pobytu w komisariacie Snow Hill.

– Że pierwsze dwie ofiary Oliviera zgwałciły go, kiedy służył w wojsku, co moim zdaniem jest bez sensu, bo przecież tylko podsuwałoby im powód do uznania Oliviera za winnego zabójstwa.

– Jest tylko jedno wytłumaczenie działań Blaine'a – powiedziała Henley. – Zależało mu na rozwiązaniu ławy przysięgłych. W idealnym scenariuszu Naylor, Pine i Zoe przekonaliby pozostałych ławników do oczyszczenia Oliviera z zarzutu zabójstwa i uznania go za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci albo – choć brzmi to jak czyste szaleństwo – do całkowitego uniewinnienia. W najgorszym razie byłoby troje przysięgłych przeciw dziewięciorgu, co wystarczy, by ława przysięgłych była niejednomyślna.

– Wariactwo – skwitował Stanford. – Może znajdziesz w tym zakurzonym pudle coś, co rzuci trochę więcej światła na sprawę.

– Oskarżenie miało dylemat. Chcieli wskazać motyw, którym kierował się Olivier, ale nie mogli ryzykować, żeby przysięgli stracili współczucie dla ofiar. Choć nie miało to większego znaczenia – powiedziała Henley w zadumie. – Pamiętaj, że on przez trzy dni wszystkiemu zaprzeczał. Jego adwokaci ani razu nie wysunęli argumentu, że Olivier padł ofiarą gwałtów bądź cierpiał na zespół stresu pourazowego, ponieważ on sam od początku utrzymywał, że został w to wszystko wrobiony i nikogo nie zabił. A więc Blaine rozmawia z Naylorem i Pine'em. I co dalej?

– Wedle zeznań Naylora przedyskutował tę kwestię z Pine'em i obaj postanowili zachować tę informację dla siebie. Jednak Pine miał inny pomysł i zgodnie z zeznaniem świadka podczas jednej z przerw...

– Kto był tym świadkiem? – zapytała Henley.

– Carole Lewis. Wyszła na papierosa z Danielem Kennedym i Michaelem Kirkpatrickiem, a wtedy Pine zdradził im, czego się dowiedział.

– Carole Lewis powiedziała o tym sędziemu? – zapytała Henley, odkładając akta Naylora i biorąc kartotekę Pine'a.

– Nie, nie powiedziała. Zrobiła to Zoe Darego. Michael Kirkpatrick nie rozumiał, o co całe zamieszanie.

– Skąd dowiedziała się Zoe?

– To Kennedy przekazał jej słowa Pine'a, ale Zoe niczego z tym nie zrobiła, dopóki Blaine nie poszedł za nią na przystanek autobusowy i nie zaczął jej grozić. Zoe jako bardzo sumienna ławniczka zawiadomiła sędziego pisemnie. Dalej było już z górki.

Henley sięgnęła po żółty marker i zaczęła zakreślać strony protokołu aresztowania.

– Cholera, nikt nie pobrał wymazów? – Zdziwiła się, po raz drugi biorąc do ręki protokół aresztowania Naylora i ponownie kartkując go dla pewności, że niczego nie przeoczyła.

– O czym mówisz?

– Pine został aresztowany o dziewiątej pięćdziesiąt siedem przez Leissnera z wydziału dochodzeniowo-śledczego, a Naylor o dziewiątej czterdzieści cztery przez Connora. Obaj pojawili się w komisariacie Snow Hill o godzinie dziewiątej czterdzieści dwie. Sierżant Dixon wydał zezwolenie na zatrzymanie Pine'a o dziesiątej czterdzieści pięć, a Naylora o dziesiątej pięćdziesiąt. Pine zażądał adwokata z urzędu. Naylor tego nie zrobił, w związku z czym został przesłuchany o jedenastej trzydzieści. Pine trafił do celi o godzinie jedenastej dwadzieścia pięć, następnie został z niej wyprowadzony trzydzieści osiem minut po dwunastej na naradę z prawnikiem. Przesłuchanie rozpoczęło się dwadzieścia pięć minut po pierwszej, zarzuty zostały mu postawione dopiero za trzy czwarta. Naylorowi – za dwadzieścia pięć czwarta. Obaj spędzili w komisariacie cały dzień, a nikt nie pobrał od nich próbek DNA ani nie zeskanował ich odcisków palców i dłoni.

Stanford wyprostował się na krześle.

– Jesteś pewna?

– Trzykrotnie przejrzałam protokoły aresztowania i nigdzie nie znalazłam notatki o pobraniu odcisków palców ani żadnych innych próbek ani od Pine'a, ani od Naylora.

– Jak mogli to pominąć? – zapytał z niedowierzaniem Ramouter. – To pierwsza rzecz, jaką powinni byli zrobić po przewiezieniu ich do komisariatu. Takie są standardowe procedury.

Henley czuła na sobie spojrzenia Stanforda i Ramoutera. Próbowała przetrawić sens tego wszystkiego. Ludzki błąd. To najprostsza odpowiedź. Ruchliwy areszt śledczy z przepracowanym personelem cywilnym, ktoś mógł zwyczajnie zapomnieć albo pomyśleć, że kto inny wykonał prozaiczne zadanie sprawdzenia, czy podejrzany jest osobą, za którą się podaje, i czy nie jest recydywistą. Wystarczyło dopilnować, żeby zatrzymany mocno przycisnął rękę do szybki w trakcie skanowania linii papilarnych palców i dłoni oraz otworzył usta do pobrania wymazu z policzka.

– A co z Blaine'em? Nadal siedzi w Lewisham, czekając, czy zostanie mu postawiony zarzut zabójstwa, czy nie.

– Przyłapaliśmy go tylko na pomaganiu Olivierowi, nie da się zarzucić mu zabójstwa – powiedziała Henley. – Ale Naylor? Kłamał, że nie znał Carole Lewis.

– Chyba nie myślisz poważnie, że to on, prawda? To znaczy Naylor? – zapytał Stanford. – Fakt, że ktoś nie wywiązał się ze swoich obowiązków, to żaden dowód. Bez urazy, Henley, ale

jeśli chodzi o dowody rzeczowe, nie mamy nic, co łączyłoby Naylora z zabójstwami Lewis, Kennedy'ego i Darego.

– Mimo wszystko nie możemy go skreślić – wtrącił Ramouter. – Bądź co bądź, skłamał w kwestii swoich relacji z Carole Lewis, a na jej ciele znaleźliśmy niezidentyfikowane DNA. Może się okazać, że należy do Naylora.

– Zgodnie z protokołami sądowymi wszystko zaczęło się od listu Zoe do sędziego. – Henley z markerem w ręku podeszła do białej tablicy.

– Więc co robimy? Aresztujemy Naylora? – spytał Ramouter.

– Jeszcze nie – odparła Henley. – Stanford ma rację, potrzebujemy dowodów rzeczowych. Ramouter, będziesz musiał pogonić laboratorium, niech się pospieszą z badaniem próbek DNA, które pobrałam od Naylora. Nie mogą zepchnąć nas na koniec kolejki – powiedziała, po czym dodała nazwisko Naylora do listy podejrzanych.

Rozdział 70

– Chwileczkę. Żebym dobrze zrozumiał. – Pellacia podparł brodę czubkami złączonych dłoni. – Karen Bajarami jest tą kobietą, która zorganizowała doręczenie głowy Cheunga pod twoje drzwi?

– Widać ją na nagraniu z kamery – rzekła Henley. – Widziałam ją ja, widział Ramouter, zapewniam, że to ona.

– Okej. Czy jakaś kamera zarejestrowała, jak wchodzi do chłodni i rzeczywiście trzyma w rękach pudełko?

– Nie – przyznała Henley.

– To nagranie jest w najlepszym razie dowodem poszlakowym. Podobnie jak wiele innych dowodów w tych śledztwach.

Z trudem powstrzymała się przed rzuceniem czegoś Pellacii prosto w twarz.

– Mamy zeznanie kuriera, Vincenta Tiegana – rzekł Ramouter siedzący obok Henley. – Wezwiemy go na konfrontację i jeśli wskaże Bajarami jako kobietę, od której odbierał przesyłkę...

– To i tak nie wystarczy – przerwał mu Pellacia. – A odciski palców na pudełku? A inne ślady?

– Anthony odzyskał cztery komplety odcisków palców – powiedziała Henley. – Wyeliminowaliśmy moje, Roba oraz kuriera, ale czwartego zestawu nie dało się porównać z innymi znajdującymi się w systemie. We włosach Cheunga znaleziono DNA Oliviera.

Pellacia rozluźnił krawat.

– Gdybyśmy mieli odciski Bajarami i okazałoby się, że pasują, byłoby łatwiej. Dlaczego nie możemy sprowadzić jej tu od razu? – spytał.

– Jej stan nie pozwala na wypisanie ze szpitala, a udział w podrzuceniu mi głowy Cheunga to jedno. Szkopuł w tym, że nie mamy żadnych dowodów na jej udział w ucieczce Oliviera – zauważył Ramouter.

– Podejrzenie, że w jakiś sposób w niej pomagała, nie jest znów aż tak wyssane z palca. Skoro zorganizowała doręczenie głowy jego ostatniej ofiary...

Henley powróciła myślami do pierwszego spotkania z Bajarami. Była profesjonalna, uprzejma i nie zdradzała żadnych oznak faworyzowania Oliviera. Z kolei naczelnik przechodził samego siebie w wyrażaniu swego uwielbienia.

– Co z Blaine'em?

Henley ciężko westchnęła.

– Od kiedy przydzielono mu adwokata, na wszystkie pytania odpowiada: „Nie mam nic do powiedzenia". CPS radzi, żebyśmy postawili mu zarzut mataczenia i zwolnili go z aresztu za kaucją. To piramidalna bzdura, bo mamy dość dowodów na to, by zarzucić mu pomoc Olivierowi oraz oszustwo.

– Chcą, żebyśmy go wypuścili. Chryste.

– Wolałabym, żeby pozostał w areszcie, ale z drugiej strony, jeśli będziemy mieć Blaine'a na oku, może doprowadzić nas do Oliviera.

– Coś jeszcze? – zapytał Pellacia.

– Jedna rzecz. Ramouter?

Stażysta odchrząknął.

– Mamy osobę, która być może jako ostatnia widziała żywego Seana Delaneya. Problem w tym, że ten człowiek jest narkomanem i był wtedy pod wpływem.

– Każdy w miarę rozsądny adwokat rozbije taki dowód w drobny mak – oznajmił Pellacia.

– Owszem, najprawdopodobniej. Teraz twierdzi, że widział kogoś, kto, „jak mu się wydaje", był Delaneyem, i którego wsadzano do, „jak mu się wydaje", ambulansu. Nie do furgonetki, tylko do małej karetki w wersji kombi. W ewidencji nie ma śladu przyjęcia Delaneya do któregokolwiek z lokalnych szpitali, ale dało mi to do myślenia. Dominic Pine, jeden z przysięgłych, jest ratownikiem medycznym. Zoe wysłała sędziemu donos na Naylora i Pine'a, o czym wiedział Kennedy. Ostatnią osobą, z którą widziano Delaneya, mógł być...

– I wszystko na podstawie słów jakiegoś ćpuna – przerwał mu Pellacia.

– Szefie, nie należy tego lekceważyć. Jeśli pozwoli mi szef kontynuować...

– Niczego nie lekceważę. Nie lubię spekulacji, a tu aż się od nich roi. Czy umieściliście Pine'a na waszej liście podejrzanych?

– Nie – przyznała Henley. – Ale nie powinieneś ignorować tego, co ma do powiedzenia Ramouter.

– Wszystkie nasze apele o zgłaszanie się świadków spełzły na niczym – rzekł z uporem Ramouter.

– Niewykluczone, że ten wasz ćpun zwyczajnie się pomylił – powiedział Pellacia. – Niemniej będziecie musieli to zbadać. Gdzie podziewał się Pine, gdy zaginął Delaney?

– No właśnie – wtrąciła Henley. – Pine ma alibi. Był w pracy. Także wtedy, gdy zaginęli Zoe i Kennedy.

– Okej. Wasz następny krok to rozmowa z Bajarami. Olivier zerwał się nam ze smyczy, a ona jest najbliższą...

Najpierw rozległo się energiczne pukanie, a po chwili Joanna wsadziła do środka głowę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale uznałam, że powinniście wiedzieć. Przyszła zgoda na ekshumację. W niedzielę wieczorem będą odkopywać Carole Lewis.

Rozdział 71

Dochodziła dziesiąta. Henley przypomniała sobie czasy, kiedy z radością powitałaby domową ciszę, ale to było, zanim wyprowadził się Rob, zabierając ze sobą Emmę i Lunę. Pod kuchennym stołem zauważyła pluszowego królika Emmy. Oczy zapiekły ją od łez. Odwróciła się i wsiadła z powrotem do samochodu.

Wiedziała, że pojechanie do domu Pellacii to zły pomysł. Po dotarciu na miejsce siedziała w aucie z włączonym silnikiem. Przez kilka minut obserwowała frontowe okna. Przez szparę w zasłonach migało światło telewizora. Podskoczyła na siedzeniu, gdy ktoś głośno zapukał w szybę.

– Jak długo zamierzasz tu jeszcze siedzieć? – zapytał Pellacia.

Opuściła szybę.

– Rob się wyniósł, Emma razem z nim. Nie ma nawet Luny – wyjaśniła, gasząc silnik. – Nie potrafię mieszkać w pustym domu. Jest za cicho.

– No to wejdź.

– Dlaczego nie przeniosłaś się do teściów? – zapytał Pellacia, zamykając za sobą drzwi.

Udała, że nie słyszy pytania. Weszła do salonu, świadoma, że Pellacia śledzi każdy jej ruch. Zbiór fotografii nad nieużywanym kominkiem się powiększył. Doszło zdjęcie uśmiechniętego chłopczyka oraz kobiety o takich samych oczach jak Pellacia, kobiety, która teraz zapomniała, że on jest jej synem.

– Jak miewa się mama?

– Ani lepiej, ani gorzej. W zeszłym tygodniu wzięła mnie za wuja Tony'ego. Zmarł, kiedy miałem dwanaście lat.

Henley przypomniała sobie o Ramouterze i jego żonie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie to uczucie patrzeć, jak żona albo matka powoli tracą zdolność rozpoznawania bliskich.

– Znowu przegrywasz? – Zdjęła z sofy pad od Xboxa. Wiedziała, że Pellacia nie będzie chciał rozmawiać o swojej mamie.

– Tak. Grałem z moim siostrzeńcem z Melbourne – odparł, nadal stojąc w drzwiach. – Ten mały drań ma farta.

„Nie powinnam tu być. Zachowujemy się jak dzieci", pomyślała. Próbowała powiedzieć coś, co przerwałoby niezręczną ciszę.

– Nie zostaję – oznajmiła, uruchamiając grę.

– Ależ oczywiście.

– Połapie się, że to nie ja z nim wygrałem. – Pellacia ze śmiechem wyłączył konsolę i włączył wiadomości.

– Możesz podać mu moją nazwę użytkownika, gdyby chciał kiedyś zagrać z godnym przeciwnikiem.

Przez chwilę oboje milczeli, oglądając wiadomości z napisami. Nikt poza najbliższą rodziną i przyjaciółmi nie wiedział, że Pellacia ma uszkodzony słuch w lewym uchu. Siedzieli obok siebie, ale nie za blisko. Pozostała między nimi wolna przestrzeń, jednak nie na tyle duża, by jego ramię nie mogło od czasu do czasu ocierać się o jej rękę.

– Dlaczego przyjechałaś, Anj?

– Bo mam wszystkiego dość, a w domu jest za cicho.

– Nie musiałaś przyjeżdżać właśnie tutaj.

– Wiem, ale ty to rozumiesz. Wiesz, co ten zawód robi z człowiekiem.

– Czy nie dlatego wyszłaś za Roba? Chciałaś kogoś spoza branży. Kto nie wie, co robi z człowiekiem praca w policji. Taki podałaś mi powód.

Nie odpowiedziała. Właśnie tak to sobie tłumaczyła, gdy podjęła decyzję o rozstaniu z Pellacią i wejściu w związek z Robem.

– Mogłaś po prostu zadzwonić. Wysłać wiadomość.

– Proszę, proszę. Można by pomyśleć, że mnie tutaj nie chcesz.

Zdawała sobie sprawę, że go prowokuje. Od chwili, gdy Pellacia zauważył zaparkowany pod domem jej samochód, to, co miało się wydarzyć, stało się nieuniknione. Nie bardzo wiedziała, czy to on przyciągnął ją do siebie, czy było odwrotnie. Po prostu poczuła na ustach jego wargi.

– Tęskniłem za tobą – szepnął. Henley zdjęła bluzkę przez głowę, on zaczął całować jej szyję, wsunął jej rękę do dżinsów.

– Wiem – odparła bez tchu. Ona też za nim tęskniła, ale nie mogła powiedzieć tego na głos. W tej chwili potrzebowała tylko jednego: żeby Pellacia pomógł jej zapomnieć o przemocy, zagubieniu, poczuciu straty i zwątpieniu w siebie – o tym wszystkim, w czym powoli tonęła.

Rozdział 72

– Lauren, skarbie. Wszystko w porządku?

– Tak. Zaraz wychodzę.

Obejrzała swoje odbicie w trzyczęściowym lustrze. Zrobiła wszystko, żeby go zadowolić. Powiedział jej, że żółty to jego ulubiony kolor. Letnie wyprzedaże już się skończyły, sklepy pękały w szwach od barw jesieni. Naszukała się tej żółtej, jedwabnej bluzeczki na ramiączkach pośród stosów czerni, grafitów i śliwek. Stanęła bokiem i poprawiła ramiączka.

– Lauren, otworzę jeszcze jedną butelkę czerwonego wina. Dobrze?

– Tak, kochanie.

Nałożyła na usta wyrazistą szminkę jak z czerwonego dywanu, spryskała się perfumami, poprawiła na szyi srebrny łańcuszek. Mówił, że podobają mu się długie włosy, więc je zapuściła. I że pieczona jagnięcina to jego ulubione danie. Wybrała się o siódmej rano na targ mięsny w Smithfield i spędziła tam nieprawdopodobnie dużo czasu, wybierając ekologiczną gicz jagnięcą. Chciał, by ich pierwszy wieczór był wyjątkowy. Schowała pod łóżkiem poradniki psychologiczne, zapaliła kadzidełka o zmysłowym aromacie. Obrzuciła spojrzeniem podwójne łóżko. Nowiutka pościel z Johna Lewisa była teraz pomięta, w nieładzie. Przeniosła wzrok na swoje nadgarstki. Przecinające je w poprzek ślady zaczynały blednąć. Nie powiedziała mu, że więzy były za ciasne.

– Proszę.

– Dziękuję. – Lauren wzięła od niego kieliszek wina. Zdenerwowanie objawiło się skurczem żołądka.

– Dobrze się czujesz, skarbie? – zapytał, siadając na sofie i poklepując miejsce obok siebie.

– Dobrze. Myślałam sobie... Może zabrzmi to dziwnie, ale nie chcę marnować ani chwili. Wiesz, o czym mówię?

– Doskonale wiem. – Wypił łyk wina. – Mm... naprawdę dobre. Masz fantastyczny gust.

Lauren poczuła, jak płoną jej policzki, gdy się do niego przytuliła.

– Mogliśmy wyjść gdzieś na kolację, ale chciałam ugotować dla ciebie coś dobrego.

– I bardzo to doceniam, Lauren.

– Serio? Cieszę się.

– Nie udawaj zdziwienia. Dzięki tobie ten wieczór jest taki wyjątkowy. Zwykle nie decyduję się tak szybko na związek, ale z tobą...

Wsunął palec pod ramiączko koszulki. Zaparło jej dech, kiedy przesunął dłoń niżej. Ujął jej pierś i ścisnął mocniej niż poprzednio.

– Lubisz tak? Chcesz, żebym przeleciał cię jeszcze raz?

– Tak. Chcę.

Odstawiła kieliszek na stół. Nie zauważyła, że się przewrócił. Czerwone wino rozlało się po blacie i zaczęło spływać na podłogę. Pochyliła się i go pocałowała. Poczuła słodkawy smak

krwi sączącej się z przegryzionych ust.

– Chodźmy do sypialni – zaproponował.

– Okej. Daj mi chwilkę, zaraz tam do ciebie przyjdę.

Lauren weszła do łazienki. Brakowało jej powietrza. Podniecenie na myśl o tym, czego za chwilę ponownie doświadczy, spowodowało obkurczenie oskrzeli. Wyjęła z szafki inhalator. Zamknęła drzwiczki i podskoczyła, wystraszona jego odbiciem w lustrze. Następnie zgasło światło. W jednej sekundzie jego dłonie objęły jej szyję.

– Przepraszam – wysyczał. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Lauren otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Próbowała wymówić jego imię, lecz siła, z jaką jej głowa zderzyła się z lustrem, sprawiła, że głoski uwięzły w gardle. Rzucił ją na podłogę, nie mogła złapać tchu. Położyła rękę na piersi i wsłuchiwała się w krzyk rozdzierający delikatną błonę bębenkową. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ten przeraźliwy wrzask wydobywa się z jej ust.

„Nie mogę oddychać", próbowała wykrztusić, przekręcając się na brzuch i czołgając do drzwi. Chwycił ją za włosy i szarpnął. Mocno. Poczuła ucisk na plecach i ból w prawym barku, kiedy odwracał ją do siebie.

Konsternacja i przerażenie zaćmiły jej umysł. Patrzyła na mężczyznę, który podobno ją kochał, i zupełnie go nie poznawała. To nie był człowiek, którego oczy błyszczały z pożądania i czułości, kiedy pieścił jej twarz przed pocałunkiem. Każdy mięsień w jego twarzy stężał w żelaznej determinacji. Oczy były zimne, martwe. Umysł kazał jej uciekać, lecz ciało paraliżował strach.

– Proszę, nie rób tego.

– Nie skamlaj.

Usiadł na niej okrakiem. Czuła, jak kościste kolana ściskają jej żebra. Przez szczeliny w żaluzjach sączył się pomarańczowy blask ulicznych latarni za oknem. Srebrne ostrze noża zamigotało jak tanie lampki choinkowe. Próbowała kopać, wyrywała się, wtedy on przycisnął szorstką dłoń do jej twarzy, blokując usta i nos. Ostrze spadło na nią błyskawicznie. Zrobiło się jej ciepło wokół szyi. Dusiła się. Miała wrażenie, że tonie, ale jak mogła tonąć, skoro nie znajdowała się pod wodą? A potem wszystko spowiła czerń.

Musiał zaczekać. Czekał, aż chłód przeniknie nocne powietrze, a w ostatnim domu przy ulicy zgaśnie nocna lampka. Kopnął kota, który obwąchiwał torby u jego stóp. Starannie przemyślał, gdzie je podrzuci. W miejsu gdzie na pewno ktoś się na nie natknie. Ale tym razem musi być inaczej. Wyjątkowo. Jeszcze dziesięć minut i wychodzi. Zamknął oczy. Widział ją. Zapamiętał każdy grymas, każdy paroksyzm bólu na jej twarzy. Kot znów się przybłąkał. Widać nie dostał nauczki. Niedaleko była sadzawka. Zastanawiał się, czy by go nie utopić.

Tym razem kopnął mocniej i o mało się nie roześmiał, widząc, jak zwierzę odbija się od ceglanej ściany. Podniósł plecak leżący na ziemi obok dużej torby na kółkach.

Torba była teraz lżejsza.

Przysunął szorstki brezent do twarzy. Dół torby był wilgotny od krwi. Ziemia i żwir przykleiły się do zakrwawionego ciała w miejscu pęknięcia folii. Kończyny ocierały się o poplamione grube płótno. Dotknął palcami mokrej plamy. Przyłożył je do nosa, powąchał. W nozdrza wsączał się metaliczny zapach. Pogładził długie pasmo brązowych włosów, które wkrę-

ciło się w zamek błyskawiczny. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Przewiesił sobie szelkę przez ramię, a potem wysunął uchwyt torby.

Uśmiechał się, ponieważ wiedział, że zrobił lepszą robotę niż „on".

Rozdział 73

Zegar tykał, odmierzając ostatnie minuty do piątej rano. Henley leżała w znajomym łóżku, wpatrywała się w sufit i wsłuchiwała w poranny świergot ptaków za oknem. Pellacia leżał na boku. Choć miał zamknięte oczy, obejmował ją ramieniem. Ciężar winy przytłoczył Henley. Delikatnie odsunęła jego rękę.

– Gdzie idziesz? – wymamrotał.

– Do łazienki. – Przesunęła się na prawą stronę łóżka. Stanęła naga na dywanie.

– Tylko wróć tu na pewno. – Zajął zwolnione przez nią miejsce i naciągnął na siebie kołdrę.

Nie odpowiedziała. Zebrała swoje ubrania i wyszła z sypialni. Szybko umyła twarz zimną wodą, żeby usunąć z oczu śpiochy i odciśnięte na skórze ślady poduszki. Zeszła na dół, omijając stopień, który zawsze skrzypiał. Zanim dotarła na ostatni schodek, ciszę przerwał ostry dzwonek jej komórki. Weszła do salonu. Ekran telefonu świecił wśród porozrzucanych na podłodze poduch. Skrzywiła się. Dlaczego Ramouter dzwoni do niej cztery minuty po piątej rano?

– Próbuję cię złapać od stu godzin. Mamy kolejną.

– Co? – wyszeptała. Wcisnęła telefon w zagłębienie szyi i podniosła z podłogi poniewierające się przy sofie adidasy.

– Policja ma kolejne ciało, pocięte jak...

– Gdzie? – Wyprostowała się, słysząc skrzypienie schodów.

– Isle of Dogs.

– Jak się dowiedziałeś?

– Jestem ujęty w grafiku dyżurów telefonicznych. Dzwonili z wydziału kryminalnego w Limehouse i rozmowę przekierowano do mnie.

– Gdzie teraz jesteś?

– W SCU. Nie byłem pewien, czy mam od razu jechać na Isle of Dogs, czy zaczekać na ciebie.

Gdy się odwróciła, ujrzała Pellacię. Stał w drzwiach i się jej przyglądał. Przeczesał palcami potargane po nocy włosy. Henley na wszelki wypadek wyłączyła głos i przycisnęła telefon do piersi.

– Mówiłaś, że idziesz tylko do łazienki.

– Muszę lecieć – odparła pospiesznie. Minęła go, zgarnęła z poręczy torbę i żakiet.

– Anj... – błagał Pellacia.

– Nie mogę... nie teraz. – Wyłączyła wyciszenie w telefonie.

– Halo?... Jesteś tam? – zapytał Ramouter.

– Nie możesz tak po prostu... – zaczął Pellacia.

– Jedź prosto na Isle of Dogs. Dołączę tam do ciebie za około dwadzieścia minut. Najwyżej pół godziny. – Rozłączyła rozmowę. – Stephenie, nie rozumiesz. Nie chodzi o nas. Kolejna ofiara.

Rozdział 74

– Czy mamy jakiś pomysł, kto to jest? – zapytała Henley, rozglądając się za miejscem parkingowym.

– Wiem tylko tyle, że prawdopodobnie to kobieta. Myślałem, że naśladowca się zatrzymał. – Głos Ramoutera brzmiał głośno w zestawie słuchawkowym. – Że stracił napęd.

– Oni nigdy nie przestają. Czasem cichną na pewien czas...

– Na pewien czas? Nie minął nawet tydzień.

– Pewnie zachęciła go konferencja prasowa. Nagle zyskuje rozgłos. Jest na pierwszych stronach wszystkich gazet i od niego rozpoczynają się serwisy informacyjne. Wiadomo, kto znalazł ciało?

– Douglas Gill – powtórzył z pamięci Ramouter. – Czterdzieści osiem lat. Robotnik budowlany. Kuchnie, łazienki i tak dalej. Zostawił wieczorem narzędzia w samochodzie, rano po nie poszedł i wtedy natknął się na zwłoki.

– Właśnie parkuję. Zobaczymy się za chwilę.

Przed trzepoczącą na wietrze niebiesko-białą taśmą policyjną utworzył się tłum gapiów. Callander Drive na Isle of Dogs została niedawno dodana do indeksu londyńskich ulic. Wzdłuż drogi stały identyczne nowo wybudowane domy szeregowe w kolorze ryżu na mleku. Prowizoryczny namiot policyjny częściowo przesłaniał podjazd pod numerem trzydzieści dziewięć.

– Hej, stać! – wykrzyknął policjant, gdy Henley dotknęła taśmy.

– Komisarz Anjelica Henley z SCU. – Sięgnęła do kieszeni po legitymację policyjną, a po chwili zaklęła. – Zostawiłam swoją...

– Przepraszam, nie zorientowałem się. Detektyw Ramouter uprzedził o pani przyjeździe – odparł zmieszany i podniósł taśmę. Henley podziękowała, schyliła się pod taśmą i ruszyła prosto do Ramoutera. Po drodze dostrzegła krępego mężczyznę siedzącego na progu sąsiedniego domu. Przez otwarte drzwi widziała w głębi drobną kobietę w podkoszulce i szortach, rozmawiającą z policjantką. Mężczyzna podniósł na Henley niemal przepraszający wzrok.

– Z tego, co widzę, nieciekawie to wygląda – powiedział Ramouter.

– Domyślam się, że to Douglas Gill. – Henley wskazała mężczyznę, który wstał i zniknął we wnętrzu domu.

– Tak, to on. Myślał, że ktoś włamał się do jego furgonetki, ale nie ma śladów użycia siły.

Furgonetka była zaparkowana byle jak i pokryta wielkomiejskim brudem. Ktoś napisał na drzwiach od strony kierowcy BRUDAS. Pas zdartego lakieru połyskiwał pod wypisanym z boku numerem telefonu komórkowego, duże wgniecenie szpeciło drzwi.

Henley przyjrzała się zamkowi. Ramouter miał rację. Poza brudem i smugą zaschniętej farby zamek był nienaruszony.

– Nigdy wcześniej nie zgłoszono kradzieży furgonetki?

Ramouter pokręcił głową.

– Albo zapomniał zamknąć, albo ktoś miał kluczyk – stwierdziła Henley.

– Albo ktoś zaprogramował pilota. Nie jest to szczególnie skomplikowane. – Ramouter podał Henley rękawiczki. – Coś takiego wymaga, co prawda, planowania, ale wyjaśniałoby, dlaczego w samochodzie nie włączył się alarm.

– Tak czy owak, sporo z tym zachodu. Trzeba wybrać konkretną furgonetkę, skopiować klucz, uważać, żeby nie zostawić odcisków palców. Nie prościej ukraść auto, a potem je porzucić?

Ramouter wzruszył ramionami. Oboje utkwili spojrzenie w drzwiach.

– O której Gill wrócił wczoraj do domu? – zapytała.

– Powiedział, że skończył robotę w Leytonstone i dotarł do domu o dziewiątej wieczorem. Wyszedł ponownie o dziesiątej, ale nie wziął samochodu. Spotkał się ze swoją dziewczyną w pubie The Fox and Crown i siedzieli tam do jedenastej. Pub jest tuż za rogiem, więc był w domu mniej więcej pięć po jedenastej. I już nie wychodził, aż do wpół do piątej rano.

– Daje nam to zaledwie czteroipółgodzinny przedział czasu – rzekła Henley, ciągnąc za klamkę. – Ofiara może pochodzić z okolicy.

Henley zatkało. W nozdrza buchnął odór zwłok.

– Jezu Chryste. – Zakryła dłonią nos i usta. Obok dużej powgniatanej skrzynki na narzędzia leżała ręka, starannie odcięta na wysokości barku. W promieniu słońca zaskrzyły się sztuczne brylanciki na zegarku z różowego złota, który nadal tkwił na przegubie. Druga ręka spoczywała na brudnym kombinezonie roboczym. Dwie zakrwawione nogi były zwrócone stopami do drzwi, a tułów w pochlapanej krwią żółtej koszulce na ramiączkach był oparty w głębi furgonetki obok dużego wiadra z gipsem. Głowa wisiała na haku w ścianie na puklu długich brązowych włosów. Usta otwarte, wywieszony język. Para martwych oczu patrzyła prosto na Henley.

– O kurwa. – Ramouter się cofnął i wsparł dłonie na udach. Zaszeleściła folia, do namiotu wszedł Anthony, a Ramouter czym prędzej go opuścił.

– Przepraszam, powinienem był was uprzedzić – rzekł Anthony.

Henley nie mogła oderwać oczu od głowy dziewczyny.

– Ten przypadek różni się od tamtych. Pachnie... świeżością.

– I świeżo wygląda – przyznał Anthony, splótłszy ręce za plecy. – Potworna śmierć.

Henley skupiła uwagę na zakrwawionych kończynach.

– W komplecie.

– Co w komplecie?

– Części ciała. Naśladowca kolekcjonował ich fragmenty. Zbierał trofea. A tu niczego nie brakuje. Widzę uszy.

Spojrzała jeszcze raz na powieszoną za włosy głowę. Nieruchome brązowe oczy odwzajemniały spojrzenie. Na ustach intensywnie czerwona szminka i zaschnięta krew. W tym momencie Henley zrozumiała. To zabójstwo było inne. Szczątki wszystkich ofiar naśladowcy znajdowano w promieniu trzech kilometrów na południowym brzegu rzeki. Świeżość zwłok kazała Henley podejrzewać, że kobietę zamordowano gdzieś w pobliżu. Po przeciwnej stronie rzeki niż miejsce, gdzie natrafiono na zwłoki Kennedy'ego.

– To Olivier – powiedziała. – Przesyła nam wiadomość.

Rozdział 75

Podczas gdy policjanci krążyli od drzwi do drzwi, apelując o zgłaszanie się potencjalnych świadków, Henley i Ramouter szli już ogrodową ścieżką do drzwi domu pod numerem czterdzieści. Otworzyły się, zanim Henley zdążyła dotknąć mosiężnej kołatki. Znalazła się twarzą w twarz z około sześćdziesięcioletnim mężczyzną o białych potarganych włosach, ubranym w wypłowiałą koszulkę futbolową drużyny West Ham i spodnie piżamowe z motywem Gwiezdnych wojen. U jego boku pojawił się bulterier. Henley zadrgały nozdrza. Ze środka niósł się wyraźny zapach marihuany.

– Proszę się nie obawiać, jest zupełnie niegroźna – powiedział, chwytając psa za obrożę. – Widziałem was po drugiej stronie ulicy.

– Komisarz Henley, a to mój służbowy partner, detektyw Ramouter.

– Komisarz? Pewnie niewiele was w policji?

– Nas? – rzekła Henley, nie siląc się na ukrycie swojej irytacji i pogardy.

– Miałem na myśli kobiety. Do tego młode.

Ramouter cmoknął z dezaprobatą i skrzyżował na piersi ramiona.

– Ciało? Nie wydaje mi się, że Doug byłby zdolny do czegoś takiego, ale z drugiej strony, gdybym to ja miał taką dziewczynę...

– Pan...?

– Bellamy. Ian Bellamy.

– Panie Bellamy, nie chcemy zabierać panu czasu, ale zauważyliśmy, że ma pan zainstalowane na zewnątrz kamery.

– Tak, kazałem je zamontować, kiedy załatwiłem sobie robotę. Miałem powyżej uszu cudzych śmieci w moim kuble. W dodatku latem zeszłego roku było w okolicy parę włamań. Założyłem je dla bezpieczeństwa.

– To nie atrapy?

– Zdecydowanie nie. Najwyższa klasa. Mój wnuk pracował w Maplin. Kupił mi je ze zniżką pracowniczą.

– Miałby pan coś przeciwko, gdybyśmy rzucili okiem na zarejestrowany obraz?

– Teraz? – Bellamy nerwowo obejrzał się przez ramię.

– Nie interesuje nas marihuana. Wyłącznie obraz z kamer. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa. – Pochyliła się i pogłaskała psa po głowie.

Na stoliku w salonie stała popielniczka z niedopalonym skrętem, obok leżały puste woreczki i otwarta paczka tytoniu.

– Do celów leczniczych – wyjaśnił Ian. – Na krzyż. Rwa kulszowa. Przepuklina kręgosłupa. Nie mogę pracować od lat.

– Nagranie – przypomniała Henley, nie zwracając uwagi na tłumaczenia mężczyzny ani jego mały zbiór miękkich narkotyków.

– Podejdźmy. Wszystko jest podłączone do komputera. Mam nawet aplikację w telefonie. Są cztery kamery. Jedna skierowana na podjazd, dwie na ulicę i jedna z tyłu na ogród.

Ian, niemal wlokąc za sobą nogę, podszedł do dużego iMaca w rogu pokoju, odsunął sfatygowane krzesło. Henley udawała, że nie zauważyła strony pornograficznej, którą pospiesznie zamknął.

– Zwykle kasuję nagrania pod koniec tygodnia.

– Chcielibyśmy obejrzeć tylko materiał z wczorajszej nocy.

– Od około dziesiątej wieczorem – doprecyzował Ramouter. Przysunął sobie krzesło od stołu jadalnianego i ustawił je obok Iana. Henley wolała stać.

– To Doug i jego dziewczyna – wyjaśnił Ian, gdy na ekranie pojawił się obraz z kamery.

– Rzeczywiście dobra jakość – przyznał Ramouter.

– Sprzęt z górnej półki, rozdzielczość 1080p, dwuścieżkowy rejestrator, noktowizja. Jak Bluray.

Henley patrzyła, jak Doug i jego dziewczyna mijają furgonetkę i idą dalej ulicą.

– Może pan trochę przyspieszyć?

Mężczyzna kiwnął głową i zwiększył tempo. O wpół do jedenastej para dzieciaków przejechała na skuterach, o jedenastej otworzyły się drzwi pod numerem trzydzieści siedem. Wyszła kobieta, zapaliła papierosa. Piętnaście po jedenastej Doug z dziewczyną wrócili, a ulica opustoszała na godzinę, dwie, cztery godziny.

– Stop – powiedziała Henley. Zegar w prawym górnym rogu ekranu wskazywał osiemnaście minut po trzeciej. Przyjrzała się uważniej. Mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem zatrzymał się pod numerem trzydzieści dziewięć. Miał plecak i ciągnął za sobą dużą sportową torbę na kółkach.

– Kto to? – zapytał Ian, spoglądając z ukosa na Henley.

– Niech pan puści dalej.

Spojrzała wymownie na Ramoutera. Mimo że mężczyzna miał na głowie kaptur, wystarczył im widok z profilu, by zrozumieć, że Henley się nie myli. To był Olivier.

Podszedł do tylnych drzwi furgonetki. Otworzył je bez problemu.

– Nie były zamknięte. – Ramouter pokręcił głową. Patrzyli, jak mężczyzna rozgląda się na boki, a potem zdejmuje plecak. Henley poczuła, jak napina mięśnie barków, obserwując Oliviera wrzucającego z pewnym wysiłkiem plecak i torbę do furgonetki. Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, co zawierały.

– Tyle nam wystarczy. Dziękujemy. Wyślę do pana innego funkcjonariusza, który skopiuje nagranie i spisze pańskie zeznania. Dobrze?

– Tak, to znaczy... W porządku. Powiecie mu, że mam zioło? – Ian zerknął na niski stolik.

– Potrzebne nam tylko zeznanie i kopia nagrania, panie Bellamy. Nie musi się pan martwić o nic więcej.

– Muszę napić się kawy – oznajmiła Henley w drodze powrotnej do samochodu. Przed numerem trzydzieści dziewięć nadal uwijała się policja. Zauważyła Linh wchodzącą do namiotu.

– Jak możesz myśleć o kawie po wyjściu stamtąd? – zdziwił się Ramouter, wskazując głową namiot.

– Widziałam gorsze rzeczy – odparła, wyjmując kluczyki do samochodu.

– Naprawdę? Bo ja nie.

Podszedł do nich stażysta Anthony'ego z aparatem w ręku.

– Pani komisarz...

– Samuel, zgadza się?

Przytaknął.

– Anthony prosił, żebym pani poszukał.

– Coś się stało?

– Wszystko dobrze. To znaczy o tyle o ile. Jest tam teraz doktor Linh, ale trochę to jeszcze potrwa, zanim zabiorą stąd ciało. Anthony prosił, żebym to pani pokazał. – Samuel obrócił do niej ekran aparatu. – Znaleźli to w jej... – Odwrócił wzrok. – W jej pochwie.

Henley powiększyła różowe prawo jazdy.

– Mamy tożsamość. – Podała aparat Ramouterowi. Zauważyła, że detektyw spochmurniał. – Coś nie tak?

– Jestem pewien, że już gdzieś widziałem to nazwisko – odparł, oddając jej aparat.

– Gdzie?

– Wydaje mi się, że to jedna z kobiet, które korespondowały z Olivierem.

Rozdział 76

Henley posłała Ramoutera prosto pod adres widniejący na prawie jazdy Lauren Varmy. Powinien być zadowolony, że mu zaufała i pozwoliła samodzielnie rozejrzeć się w mieszkaniu ofiary, nie mógł jednak otrząsnąć się z wrażenia, że został wykiwany. Że po prostu znalazła idealną sposobność pozbycia się go, żeby nie plątał się jej pod nogami. Zawiedziony pogłośnił radio. Kiwał rytmicznie głową, słuchając, jak Giggs rapuje na ulicach Peckham o „najlepszych raperach". Tunel Rotherhithe był zamknięty, co spowodowało, że we wschodnim Londynie tworzyły się korki.

Włączył syreny. Jadące przed nim samochody zaczęły ustępować mu miejsca, a wtedy poczuł, jak z podniecenia wywraca mu się żołądek. Usłyszał piknięcie komórki. Spojrzał na wyświetlacz. Wiadomość od detektywa Swansona z lokalnego posterunku. Czyli Henley nie ufała mu na tyle, by pozwolić mu węszyć w mieszkaniu Lauren bez jakiegoś wsparcia albo zanim rodzina oficjalnie zidentyfikuje zwłoki, choć jak dotąd nikt nie dotarł do nikogo z bliskich ofiary.

Ramouter spotkał się z detektywem Swansonem w zatoczce parkingowej.

– Przepraszam za małe spóźnienie. Nie przywykłem do londyńskiego ruchu. Nawigacja pokazywała piętnaście minut – powiedział, próbując przełamać w ten sposób lody.

– To jest Londyn, chłopie. Musisz zawsze doliczyć dwadzieścia minut do wskazanego czasu.

– Będę miał to na uwadze.

– Przekaż Henley, że jest moją dłużniczką. Odwalam tu za nią obowiązek niańczenia.

– To nie tak. Po prostu padło na mnie.

– No jasne, stary.

Drzwi prowadzące do wspólnej klatki schodowej bloku Kingfisher były otwarte i podparte plastikową skrzynką. Pojechali windą na czwarte piętro. Ramouter był zaskoczony, że nie czuć tam moczem.

– Zupełnie ładny blok – stwierdził, gdy szli korytarzem wyłożonym chodnikiem.

– Jeden z lepszych. Mimo wszystko nie chciałbym tu mieszkać.

Zatrzymali się pod mieszkaniem 4F.

– Co robimy? – zapytał Swanson. – Nie będziemy chyba wyważać drzwi? Miej na uwadze, że nie wziąłem ze sobą tarana.

Ramouter nie odpowiedział, tylko zapukał. Na wszelki wypadek. Przycisnął ucho do drzwi, ale nic nie słyszał. Wyjął z torebki na dowody pęk kluczy, jeden z nielicznych przedmiotów niezabrudzonych krwią Lauren.

– Szukacie Lauren?

W drzwiach mieszkania 4G za plecami Ramoutera stanął szczupły mężczyzna po czterdziestce.

– Zdaje się, że wyjechała na parę dni.

– Tak panu powiedziała?

– Tak. Mam na imię Gio. Jesteśmy sąsiadami mniej więcej od pięciu lat. Wreszcie znalazła sobie chłopaka. Najwyższy czas, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie. Z pewnością wyglądała na dużo szczęśliwszą. Zabawne, zawsze myślałem, że jest lesbijką, a później, że może jest aseksualna.

– Rozumiem – rzekł Ramouter, wymieniając spojrzenie ze Swansonem. – Przyślemy później policjanta, który spisze pańskie zeznania, ale proszę powiedzieć, kiedy widział ją pan ostatni raz?

– Hm... chyba w środę wieczorem. Tak, na pewno w środę, bo była wtedy Liga Mistrzów i wyskoczyłem po piwo. Kiedy wróciłem, pod jej drzwiami stał mężczyzna. Pamiętam, że pomyślałem sobie: i bardzo dobrze. A jakąś godzinę później słyszałem, jak... no wiecie... jak to robią. Te ściany nie są specjalnie dźwiękoszczelne.

„Bardziej prawdopodobne, że stał z uchem przyciśniętym do ściany", pomyślał Ramouter, wsuwając klucz do zamka.

Dziwne, że ten nader uczynny sąsiad nawet nie zapytał, czy z Lauren wszystko w porządku, czy nic się jej nie stało. Wyglądał na takiego, co to pierwszy ustawiłby się przed kamerą i opowiadał całemu światu, jakiego to doznał szoku, bo to przecież taka spokojna okolica, a Lauren była osobą skrytą i trzymała się na uboczu.

Mieszkanie było niewielkie. Korytarz maleńki. Na ścianie haczyk na klucze. Bez kluczy. Obok wisiał oprawiony w ramki plakat obiecujący, że JESZCZE BĘDZIE PIĘKNIE. Ramouter tylko pokręcił głową na tę tragiczną ironię. Wszedł do otwartej kuchni połączonej z pokojem dziennym. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Na małym stole stały dwie butelki wina, jedna pusta, druga napełniona w jednej trzeciej, obok leżał przewrócony kieliszek. Pod stołem widniała na podłodze duża czerwona plama. Ramouter podskoczył, gdy automatyczny odświeżacz powietrza rozpylił w jego kierunku intensywny waniliowy aromat. W biblioteczce literatura kobieca mieszała się z tanimi wydaniami kryminałów opartych na faktach, płytami CD i DVD. Wszystko przykrywała warstwa kurzu.

Ramouter rozglądał się za rodzinnymi fotografiami lub czymkolwiek, co wskazywałoby, że Lauren Varma to nie tylko używane książki i tani odświeżacz powietrza, niczego jednak nie znalazł. Wszedł do sypialni, w której panował zaduch. Zmięta niebieska kołdra leżała na podłodze. Na obtłuczonym nocnym stoliku poniewierała się pusta paczka po prezerwatywach, a na podłodze leżały po nich opakowania. Ramouter zajrzał do szafy, wysunął szuflady. W jednej z nich znalazł pamiętnik Lauren. Ostatni wpis pochodził z wtorkowego wieczoru.

> Wiem, że to ryzykowne, ale w życiu trzeba podejmować ryzyko, prawda? Nie mogę uwierzyć, że po tak długim czasie spotkam się wreszcie z moim Peterem. Gdy będziemy razem, tak naprawdę razem, objęci ramionami, wszystko stanie się piękniejsze. Kto z nas nie popełnia błędów...

– Ale nie aż tak wielkich – mruknął pod nosem, odkładając pamiętnik.

– Że co, chłopie? – Swanson kręcił się przy drzwiach.

– Nic.

Ramouter wziął do ręki stosik listów schowanych pod bielizną. Składał się wyłącznie ze standardowych kopert dostarczanych łaskawie przez służbę więzienną Jej Wysokości. Otworzył pierwszy z nich i zaczął czytać, podziwiając milcząco epistolarny talent Oliviera. Był sadystyczną bestią, ale z lektury tych stronic nikt by się tego nie domyślił. Cytował sonety Szek-

spira. Pisał o swoim oddaniu i miłości do Lauren. I o tym, jak ten rozpadający się system wymiaru sprawiedliwości dopuścił się potwornego, tragicznego błędu.

Kiedy Ramouter pchnął drzwi łazienki, uderzył go ostry zapach gnijącego mięsa. Metaliczny, stęchły. Wyziewy wniknęły w zakamarki gardła. Podłoga była zalana krwią zmieszaną ze strzępami ciała i kości, a biała porcelanowa wanna pokryta czerwienią i sztywnymi od skrzepów włosami.

Jatka. Tak mawiali ludzie, nie zastanawiając się głębiej nad sensem tego słowa. Teraz Ramouter widział to na własne oczy. Po raz pierwszy w życiu.

Rozdział 77

Karen Bajarami odsunęła tacę z jedzeniem. Zdołała przełknąć kilka łyżek ziemniaczanego purée i czegoś w rodzaju placka z mięsnym farszem, ale wkrótce się poddała. Środki przeciwbólowe pozbawiły ją zmysłu smaku, a tylko nieznacznie uśmierzały pulsujący ból wokół prawego oka. Przyłożyła dłoń do wciąż spuchniętego policzka i otarła wydzielinę bakteryjną przesączającą się przez bandaże. Nie taki był plan. Wróciła pamięcią do ich rozmowy. Myślała o Adem, o tym, jak jego głowa została wdeptana w podłogę i nikt nie chciał jej powiedzieć, w jakim on jest stanie. Pielęgniarki sądziły, że to ból nie pozwala jej spać w nocy, lecz tak naprawdę to wspomnienie odgłosu łamanych kości wywoływało koszmary. Zmieniała właśnie kanał w telewizorze, aby włączyć wiadomości, gdy usłyszała skrzypienie uchylających się drzwi.

– Co ty tutaj robisz? – wyszeptała na widok Oliviera. Gdy do niej podszedł i pocałował ją w czoło, do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie powinieneś tu przychodzić. Szukają cię. Wszyscy cię ścigają.

– Ciii. Przyniosłem ci prezent. Zamknij oczy... przepraszam, chciałem powiedzieć oko.

Karen postąpiła wedle jego życzenia. Zadrżała, czując rękę Oliviera obejmującą jej szyję. I chłodny dotyk naszyjnika, metalowego łańcuszka, który spoczął na skórze.

– Mogę obejrzeć? – zapytała, obracając w palcach wisiorek.

– Dopiero po moim wyjściu, ale możesz spojrzeć na mnie.

Zesztywniała. Czułość w jego głosie ustąpiła miejsca szorstkości.

– Myślałam, że drzwi pilnuje policjant. Miałam mieć ochronę.

– Boisz się mnie?

Serce zabiło jej szybciej, gdy odgarnął jej z czoła kosmyk włosów.

– Nie. Oczywiście, że nie... Tylko... A jeśli ktoś cię tu nakryje? Nie chcę, żeby coś ci się stało. Mamy plany.

– Jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej, długo tu nie zabawię. Po prostu potrzebuję czegoś od ciebie. Kończy mi się forsa. Pomyślałem, że mogłabyś mi dać swoją kartę do bankomatu. Przecież na razie nigdzie się nie wybierasz.

– Chcesz... pieniędzy? I dlatego tu przyszedłeś?

– Między innymi. – Podszedł do szafki. – Masz ją tutaj? W portmonetce?

– Leży obok telefonu.

– Podaj mi swój PIN. – Wyjął kartę i schował ją do tylnej kieszeni spodni.

– Cztery – osiem – siedem – trzy.

– Dobra, już znikam, ale muszę cię jeszcze o coś poprosić.

Karen zastygła, kiedy Olivier twardą dłonią chwycił ją za podbródek i zadarł jej głowę. W jego oczach nie było żadnych uczuć, tylko zimna determinacja.

– Rozmawiałaś już z komisarz Henley – powiedział, ściskając jej policzek.

– Była tu, ale nic jej nie powiedziałam.

Ścisnął mocniej.

– Jeszcze tu przyjdzie. Nie jest głupia. Prawdopodobnie już cię rozpracowała i wie, że mi pomagałaś.

– Byłam ostrożna... boli mnie, kiedy...

Przycisnął dłoń do jej ust, uniemożliwiając oddychanie.

– Nie piśniesz jej słowa. Obiecałaś, że zawsze będziesz lojalna. Pamiętasz?

Próbowała odwrócić głowę, uciec przed jego potwornym spojrzeniem.

– Nie wiem, czy mogę ci wierzyć. – Wbił palce w zabandażowane oko, drugą ręką tłumiąc jej krzyk.

Karen zacisnęła dłonie na niebieskim kocu, jej ciało przeszywał taki ból, jakby przypalano ją żywym ogniem.

– Co powiesz komisarz Henley, jak znów cię odwiedzi?

Zakasłała i próbowała złapać oddech, gdy wreszcie oderwał ręce od jej nosa i ust. Uszkodzone oko krwawiło.

– Nic – wykrztusiła w końcu z wysiłkiem. – Przysięgam.

Olivier wstał usatysfakcjonowany.

– Lojalność – powiedział.

– Lojalność – szepnęła w odpowiedzi.

Rozdział 78

– Miałem rację. Lauren Varma – rzekł Ramouter.

Siedzieli z Henley w SCU z setkami listów do Oliviera rozłożonymi na całym biurku.

– Nie pojmuję. Jak ktoś przy zdrowych zmysłach może marzyć o związku z Olivierem?

– Poznałeś go – odparła Henley, rozwijając z papieru bułkę z bekonem. – Ma coś w sobie.

– Ale jest mordercą. W którymś momencie powinno chyba zaskoczyć coś w głowie i ostrzec, że korespondowanie z nim i zgoda na spotkanie twarzą w twarz może jednak nie jest najlepszym pomysłem.

– Zaraz, jak nazwał to Mark? – Henley zaczęła przeglądać notatki z wcześniejszej rozmowy z Markiem, kiedy utknął w korku na M6. – Hybristofilia. Zaburzenie preferencji seksualnych polegające na tym, że człowieka podniecają i przyciągają osoby, które popełniły okrutne, makabryczne zbrodnie, na przykład morderstwo i gwałt.

Ramouter wykrzywił twarz.

– Może łudziła się, że wyprowadzi go na prostą – powiedziała Henley ze śmiertelną powagą. – Ludzie wchodzą w bliskie relacje z najdziwniejszymi osobami. Niektórzy traktują to jak swoją życiową misję. Chcą zmieniać innych na lepsze. Niewykluczone, że Olivier mógł namówić Lauren, żeby mu pomogła.

– Myślisz, że Varma, Bajarami i być może Blaine ze sobą współpracują?

– W tej chwili nic by mnie nie zdziwiło.

– A, znalazłem. Jej ostatni list do niego.

Podał Henley kartki. List pochodził sprzed kilku miesięcy, papier w linie delikatnie pachniał perfumami. Był napisany fioletowym atramentem, nad literą „i" zamiast kropek były serduszka. Przypominał listy zakochanych na zabój nastolatek pisane na końcu zeszytów. Zaczęła czytać na głos:

Mój kochany, byłam taka szczęśliwa, gdy dostałam Twój list, a jeszcze bardziej, gdy usłyszałam Twój głos. Wspaniała niespodzianka, sprawiłeś mi tym wielką przyjemność. Żałuję, że nie nagrałam naszej rozmowy. Tak bardzo Cię kocham. Tęsknię za Twoim głosem. Byłoby wspaniale, gdybym mogła Cię zobaczyć i dotknąć. Jest mi smutno, że być może nigdy nie będę mogła trzymać Cię w ramionach. Byłam na zakupach, kupiłam dla Ciebie dres i tenisówki. W przyszłym tygodniu załatwiłam sobie trochę wolnego, więc przyjadę do więzienia...

– Boże, zaraz dostanę mdłości – powiedziała Henley. – Ile ich tam jest?

– Od niej? Jeszcze osiem. Pisała do niego mniej więcej przez rok.

– Biedna, karmiąca się złudzeniami dziewczyna – podsumowała Henley, podnosząc słuchawkę telefonu dzwoniącego na biurku. – Komisarz Henley – zgłosiła się.

– Cześć, tu Linh. Nie miałam okazji porozmawiać z tobą wcześniej.

– Jak idzie?

– Szykują się do zabrania zwłok. Ja wracam do kostnicy, ale chciałam najpierw przekazać ci garść informacji. Szacuję, że śmierć nastąpiła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Henley pokiwała głową. Gdyby obraz z kamer nie wystarczał do utwierdzenia jej w przekonaniu, że to robota Oliviera, fakt, że zwłoki są świeże, całkowicie przeczył modus operandi naśladowcy.

– Brakuje jakichś części ciała?

– Nie. Jak sama widziałaś, są obie ręce, obie nogi, wszystkie palce u rąk i nóg, ale mogę dodać, że na nadgarstkach i kostkach widać ślady krępowania, a na karku oraz potylicy siniaki i stłuczenia. Na razie nie jestem w stanie stwierdzić, czy powstały pośmiertnie. Poza wciśniętym do pochwy prawem jazdy nie stwierdziłam żadnych zewnętrznych oznak aktywności seksualnej, ale dam ci jeszcze znać. Nie zdziałałam dotychczas zbyt wiele, ale gdy tylko przewiozą ją do prosektorium, zabieram się do pracy. Mam coś jeszcze.

– Co?

– Są znaki. Ale inne.

– Czyli jakie?

– Ciąg liter i cyfr w poprzek obu piersi. Nie wiem, co oznaczają. Zrobiłam zdjęcia i zaraz ci je wyślę mailem.

– Dzięki, Linh.

Henley odłożyła telefon i powtórzyła Ramouterowi wszystko, co przekazała jej Linh. Po kilku minutach dźwięk obwieścił nadejście maila. Henley otworzyła załącznik z fotografią przedstawiającą w zbliżeniu piersi Lauren Varmy. W skórze były wycięte trzy litery oraz cztery cyfry.

– Jak myślisz, co oznaczają? – zapytał Ramouter. – Kod pocztowy? Może hasło?

– Nie. Nie. – Przepisała sekwecję na kartkę papieru. – A0743TP. Nie widzisz?

– Nie. A co mam zobaczyć?

– Nie przypomina ci to numeru więźnia? – Odwróciła się do komputera i otworzyła mail z potwierdzeniem wizyty w więzieniu Belmarsh, który Pellacia wysłał jej w zeszłym tygodniu.

– Sukinsyn. – Henley pokazała Ramouterowi ekran komputera.

– Chyba żartujesz. Peter Francis Olivier. Data urodzenia: ósmy listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty. Numer więzienny A0743TP. Dlaczego to zrobił?

– Bo ma wszystko w nosie. Naprawdę nic go nie obchodzi. Dla niego to tylko gra – odpowiedziała, z furią krążąc po pokoju.

– Więc co teraz?

– To znaczy? – Przerwała chodzenie tam i z powrotem i próbowała się uspokoić.

– No cóż, mamy dwa śledztwa w toku. Jedno dotyczy naśladowcy, drugie Oliviera, który ponownie zaatakował. Przypuszczasz, że są w zmowie?

Pokręciła głową.

– Nie, Olivier jest na to zbyt egoistyczny, ale niczego nie można wykluczyć. Zapytajmy Marka o zdanie. Ale żeby wyciąć na piersiach ofiary swój numer więzienny... Chce mieć pewność, że wiemy, czyja to robota. Wątpię, by miał ochotę dzielić się z kimś swoim dziełem. Prawdopodobnie w swoim chorym umyśle uważa, że naśladowca nie dorasta mu do pięt, i chce mu pokazać, jak to się robi.

W tym momencie wszedł Pellacia z pudełkiem pączków.

– Zaczęliście bladym świtem. Może to nie najzdrowsza przekąska, ale zawsze coś – powiedział, stawiając pudełko na biurku Stanforda.

Ramouter pobladł.

– Chyba nic nie przejdzie mi przez gardło.

– Aż tak źle?

– Śmiało, Ramouter, przekaż mu nowiny – poprosiła Henley, zdekoncentrowana widokiem stosu listów na biurku. Ramouter przedstawił dotychczasowy przebieg śledztwa.

– Widział ktoś Oliviera? – zapytał Pellacia, gdy Ramouter skończył.

– Nie, nie mamy żadnych zgłoszeń. Przepadł jak kamień w wodę.

– Ja też mam dla was złe wieści. Dwadzieścia minut temu zwolnili z aresztu Blaine'a.

– Niech to szlag. – Henley złapała się za głowę. – Nie chciałam, żeby go wypuszczali. Miałeś rozmawiać z CPS.

– Rozmawiałem, ale nie chcieli o niczym słyszeć. Tyle dobrego, że zwolnili go warunkowo. Ma mieszkać i nocować pod swoim adresem domowym i nie wolno mu kontaktować się z pozostałymi przysięgłymi. Stanford i Eastwood będą sprawować nad nim nadzór przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Zadowolona?

– Nie – odparła Henley, wypadając z pokoju jak burza. – Nie jestem zadowolona. Ani trochę.

Henley spojrzała na siebie w lustrze i się skrzywiła. Nie należała, co prawda, do kobiet, które poświęcają dużo czasu na makijaż, ale zwykle skutecznie udawało się jej zamaskować cienie pod oczami i niewielką bliznę na policzku. Umyła zęby, spryskała się dezodorantem. Nie było jeszcze nawet południa, a ona już marzyła o powrocie do domu, położeniu się do łóżka i popłakaniu w samotności. Otworzyły się drzwi łazienki. Stanął w nich Pellacia.

– Co ty tu robisz?

– Dlaczego przyjechałaś do mnie wczoraj wieczorem? – zapytał, zamknąwszy za sobą drzwi.

– To nie jest odpowiedni moment.

– Kiedy będzie ten odpowiedni? Zamierzałaś wyjść bez słowa.

– Doskonale wiesz, że wcale tak nie było. Zadzwonił Ramouter i...

– Kiedy zadzwonił, byłaś już prawie za drzwiami.

Wzięła torebkę z krawędzi umywalki.

– Nie powinnam była przyjeżdżać. To nie powinno się wydarzyć.

– Nie rozumiem, dlaczego ciągle z tym walczysz.

– Ponieważ mam męża i dziecko. Czego oczekujesz? Popełniłam błąd.

– Więc tym jestem dla ciebie? Pomyłką?

– Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, użyłam złego słowa... Czułam się... samotna. I popełniłam błąd.

Pellacia wbił wzrok w stare popękane płytki podłogi. Henley unikała swojego odbicia w lustrze.

– Wiesz, co do ciebie czuję – powiedział w końcu.

– Przestań, Stephenie. Proszę.

Przyłożył palce do ust, porządkował myśli. Przygotowywał się.

– Nie planowałem cię tu ścigać. Przepraszam.

– Nie ma za co. To ja przepraszam. – Miała ochotę przytulić się, wziąć go w ramiona, ale się powstrzymała.

– To niełatwe. Widzieć cię każdego dnia, martwić się o ciebie... Tak czy owak, uznałem, że zechcesz wiedzieć. Sierżant Lancaster została oficjalnie zawieszona w obowiązkach do czasu zakończenia śledztwa. Nadal nie daje nam to odpowiedzi na pytanie, kto ujawnił informacje prasie, miejmy jednak nadzieję, że... – Umilkł. – Zdajesz sobie sprawę, że jesteś teraz zaangażowana w trzy odrębne śledztwa?

– Formalnie ucieczka Oliviera nie została nam przydzielona. Tę sprawę prowadzi NCA. – Otworzyła torebkę i zaczęła przetrząsać jej zawartość w poszukiwaniu kremu do rąk.

– Nie ma w zasadzie znaczenia, co wpisano w papierach. I tak tkwisz w samym środku tego wszystkiego. Po prostu chcę, żebyś na siebie uważała. Martwię się o ciebie – powiedział i wyszedł z łazienki.

Henley weszła do jednej z kabin, opuściła deskę sedesową i usiadła. Wyschło jej w ustach, miała nierówny, płytki oddech. Chciała rozebrać się do naga i wskoczyć do wody, zastosować terapię szokową, by ciało powróciło do normalnego funkcjonowania. Kopnęła w drzwi toalety, pozostawiając w nich wgłębienie.

– Boże.

Przycisnęła dłonie do skroni. Byle tylko głowa przestała pulsować. Zacisnęła powieki, ale obrazy zakrwawionych i rozczłonkowanych zwłok Zoe Darego, Lauren Varmy, Daniela Kennedy'ego i Seana Delaneya nie przestawały migać jej przed oczami. To dla niej za wiele. Myślała, że jest w stanie mieć wszystko pod kontrolą. Nie dopuścić do siebie PTSD.

– Jesteś tam, Henley? Telefon do ciebie.

Próbowała odpowiedzieć Joannie, lecz szloch zagłuszył słowa.

– Henley? – Ton głosu Joanny się zmienił.

Henley znieruchomiała, gdy Joanna delikatnie zastukała w drzwi.

– Anjelico, skarbie. Otwórz.

– Nie mogę.

– Ależ możesz.

Ciężko westchnęła, wstała i otworzyła drzwi.

– Och, kochana, chodź do mnie.

Wpadła Joannie w ramiona. Ta mocno ją przytuliła i gładziła po plecach.

– Myślałam, że dam radę, Jo. Ale wszystko mi się rozłazi.

– Sama wywierasz na siebie zbyt dużą presję. Nie musisz sobie tego robić.

Henley odsunęła się, podeszła do umywalki, odkręciła zimną wodę. Oczy miała zaczerwienione i spuchnięte. Twarz bladą i zmęczoną.

– Powinnam była to przeczuć – rzekła Joanna, odrywając listki papierowego ręcznika.

– Myślałam, że jestem gotowa – ciągnęła Henley, podczas gdy Joanna wilgotnym papierem wycierała rozmazany tusz pod jej oczami. Chłodny ręcznik koił skórę. – Tamtego pierwszego dnia, nad rzeką... Denerwowałam się, ale zrobiłam, co do mnie należało. Pojechałam do kost-

nicy. Oglądałam pocięte na kawałki ciało Kennedy'ego i myślałam... – Znów się rozpłakała, nawet nie próbując powstrzymać łez.

– I wtedy się zaczęło? – Joanna podała jej kolejne ręczniczki.

Nie było sensu ukrywać tego przed Joanną czy samą sobą. Henley przypomniała sobie, jak siedziała nago na brzegu łóżka i widziała, jak drży jej prawa ręka. Położyła się wtedy spać przekonana, że umiera.

– Szkoda, że o niczym mi nie powiedziałaś. Tak wiele przeszłaś, moja mała. Gdyby tu był Rhimes... – zawiesiła głos. – Szkoda, że... no cóż. Sama wiesz.

– Brakuje mi go – przyznała Henley. – Tęsknię za nim, a jednocześnie go nienawidzę. Rhimes nie był dla mnie tylko szefem. Znał mnie na wylot. Był jak rodzina. I się zabił. To on nas wszystkich połączył, a nawet nie starał się pozwolić sobie pomóc. Nienawidzę tej mojej słabości. Spójrz na mnie, Jo. Rozsypuję się. Wszystko leci mi z rąk.

– Mam w szufladzie trochę diazepamu. Nie patrz tak na mnie. Prawdopodobnie przeterminowany. Znalazłam go, sprzątając biurko Rhimesa.

– Nie powinnam. – Henley spojrzała na swoje odbicie w lustrze. – Jezu, wyglądam jak siedem nieszczęść.

– To niska dawka. Akurat taka, żeby cię uspokoić. Jeżeli nie chcesz, mogę wyskoczyć na ulicę do dilerów i poprosić chłopaków o kilka gramów zioła.

– Nie trzeba.

– No to przynajmniej zażyj pół tabletki.

– Tylko połówkę.

– Ale obiecaj, że weźmiesz. Zejdź na dół do dawnych cel, przyniosę ci tam herbatę. I utnij sobie godzinną drzemkę. Będę cię kryła. Mają co robić, nie zorientują się.

– Dzięki, Jo.

– Nie ma za co. Ktoś musi cię przypilnować.

Diazepam ją uspokoił, zwolnił pracę serca, ale nie uciszył głosów w głowie. Zamknięcie oczu nie wymazało obrazów zakrwawionych części ciała. Henley usiadła, popatrzyła na ścianę, gdzie poprzedni lokator celi napisał słowo „kutas". Najchętniej zamknęłaby drzwi na klucz i schowała się tu na zawsze. Odizolowała się od chaosu na zewnątrz. Uderzyła głową w ścianę, ponieważ znów stanął jej przed oczami obraz leżącego na niej Oliviera, który liże jej twarz, zatapia nóż w jej brzuchu. Jakby ktoś wcisnął pauzę. Dźwięczał jej w uszach jego głos powtarzający w kółko, że ją zabije. Myślała, że jest gotowa, że jest wystarczająco silna, jednak w tej chwili była przekonana, że ta sprawa ją wykończy.

Rozdział 79

W szpitalu Królowej Elżbiety zrobiło się spokojniej. Zlikwidowano wzmocnioną ochronę, dziennikarze i ekipy telewizyjne w końcu się wyniosły. Henley pojechała windą na trzecie piętro. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy minęła dyżurkę pielęgniarek i poszła dalej w stronę sali Karen. Pod drzwiami siedział raczej niebudzący respektu ochroniarz i grał w telefonie w jakąś grę. Henley zastosowała się do instrukcji bezpieczeństwa na plakacie, nacisnęła przymocowany do ściany dozownik i energicznie wtarła w dłonie płyn antybakteryjny. W wiszącym w pokoju Karen telewizorze były tylko bezpłatne kanały. O ile mogła się zorientować, Karen oglądała kolejny odcinek Sędziego Rindera, choć prawe oko miała nadal przesłonięte bandażem. Na nocnym stoliku stały kwiaty, duża butelka lucozade, był też niezbędny w szpitalach rekwizyt: kiść winogron.

– Dzień dobry, Karen.

– O, pani komisarz. Przepraszam, zapomniałam nazwiska – odparła Karen, podpierając się na łokciach i podciągając do pozycji siedzącej. Miała mocno posiniaczoną i opuchniętą twarz.

– Komisarz Henley. Kiedy byłam tu ostatnio, faszerowano panią silnymi środkami przeciwbólowymi.

– Były mi potrzebne, ale odłączyli już kroplówkę. Teraz dostaję tylko antybiotyki – dotknęła wenflonu w ręce. – Wczoraj wdało się zakażenie.

– Jak długo tu pani zostanie? – Henley zmusiła się do przyklejenia na twarz uśmiechu, aby pokazać, że szczerze się troszczy.

– Powinni wypisać mnie w niedzielę. Lekarze czekają na wyleczenie tej infekcji.

– A co z okiem? Mam nadzieję, że nie jest trwale uszkodzone? – Henley przysunęła sobie z kąta krzesło i usiadła przy łóżku.

– Nadal nie są pewni. – Dotknęła zabandażowanego oka i skrzywiła się z bólu. – Wczoraj zmieniali mi opatrunek, oko nadal jest spuchnięte. Nie potrafią na razie powiedzieć, czy uszkodzenie będzie... – Urwała, położyła rękę na piersi i westchnęła. – Nie potrafią określić, czy to nieodwracalne.

– Widziała pani Adego? – zapytała Henley, zastanawiając się, czy Karen w ogóle przyzna, że jest po części odpowiedzialna za jego stan.

– Oj... uhm... nie udało mi się go zobaczyć. Co z nim?

– W dalszym ciągu jest w śpiączce. Ma pękniętą czaszkę i obrzęk mózgu.

Karen spuściła wzrok na szpitalny koc.

– Wyjdzie z tego?

– Nie wiadomo.

Spojrzała na Henley zdrowym okiem, a potem odwróciła głowę.

– Nie sądziłam...

– Nie sądziła pani, że co?

– Nic, nic. Ade na to nie zasłużył. Wszystko stało się tak szybko.

– Spędzała pani dużo czasu z Olivierem, prawda?

Na dźwięk jego nazwiska dostrzegła ledwo uchwytną iskrę w oku Karen.

– Nie z wyboru. Na tym polega moja praca. Nie towarzyszyłam mu przez cały czas.

– Macie braki kadrowe. Za mało strażników. Tak samo jest w policji. Tak samo jest wszędzie. – Pochyliła się ku Karen. – Była pani przeciążona, pewnie pracowała pani więcej, niż powinna.

Karen pokiwała głową.

– W dodatku płacą grosze. Godziny pracy są bez sensu i jest nas za mało.

– Wiedziała pani, że Olivier miał dostęp do telefonu komórkowego?

Nie odpowiedziała.

– Domyśla się pani, skąd wytrzasnął tę komórkę?

– Od któregoś z więźniów? Albo od strażnika. Nie byłby to pierwszy raz.

– Nawet w jednostce o zaostrzonym rygorze? Sądziłam, że są tam trochę bardziej czujni.

– Nie wiedziałam, że miał telefon. – Karen poruszyła się nerwowo na łóżku. – W sumie nie był trzymany w izolacji. Miał kontakt z innymi więźniami. Mogli bez problemu przemycić mu telefon.

– Mówił pani, że źle się czuje? – Henley wzięła ze stolika dzbanek i nalała Karen wody.

– Ależ skąd. – Z wdzięcznością przyjęła wodę. – Nie prosił o lekarza, chyba że wspomniał coś innemu strażnikowi na wcześniejszej zmianie.

– Nie była pani przy nim, kiedy upadł, prawda?

– Nie, robiłam obchód skrzydła. Czy to przesłuchanie?

– Nie, nie. Chciałam tylko zobaczyć, jak się pani czuje, i zadać kilka pytań na temat ucieczki Oliviera. Jest pani ważnym świadkiem. Jeszcze go nie złapaliśmy, więc wszelkie informacje są dla nas niezmiernie ważne.

– Dzisiaj rano powiedziałam policji wszystko, co wiem. – Karen wydawała się rozdrażniona.

– To byli agenci z NCA. W międzyczasie doszło do kolejnego zabójstwa i mamy dowody, które naprowadzają nas na Oliviera jako podejrzanego.

– Peter nie... to znaczy... Po co by to zrobił?

Nie uszło uwadze Henley, że Bajarami zawsze mówiła o nim po imieniu.

– Jest mordercą. Zabija. Za to, co zrobił Ademu, może dostać zarzut usiłowania zabójstwa, no i oczywiście zarzut ciężkiego uszkodzenia ciała za atak na panią i ochroniarza.

Henley zauważyła, że Karen reaguje na pytania coraz większą nerwowością i zakłopotaniem, zaczęła bowiem bezwiednie bawić się łańcuszkiem na szyi.

– Mówiłam już o tym w zeznaniu. Wszystko działo się błyskawicznie. Byłam na zewnątrz, usłyszałam w środku jakiś hałas, a kiedy weszłam do pokoju, on... nawet nie wiedziałam, że trzyma w ręku widelec. – Wyglądała tak, jakby chciała się rozpłakać, Henley nie była jednak przekonana, że łzy są szczere. – Chciałaby mnie pani jeszcze o coś zapytać?

– W gruncie rzeczy tak – odparła Henley. – Ktoś dostarczył Olivierowi insulinę. Okazuje się, że pochodziła z więziennego szpitala...

– Co pani powie?

– Nie wydaje mi się, by Olivier opuścił swoje skrzydło, wybrał się tam na przechadzkę i wziął ją sobie samodzielnie. Musiał załatwić mu ją strażnik.

– Nie ja.

– Domyśla się pani, kto to mógł być?

– Nie, nie... nie mam... nie mam pojęcia, kto chciałby mu pomagać. Proszę zobaczyć, co zrobił mnie i Ademu.

– I jeszcze jedno. Kompleks chłodniczy Franklin-Jones. Słyszała pani o tym miejscu?

Karen powtórzyła nazwę i pokręciła głową.

– Dlaczego pani pyta?

– Mamy nagranie z okolic recepcji, na którym widać bardzo podobną do pani kobietę. Z zeszłego tygodnia.

– Nie, to nie mogłam być ja. Nigdy nie byłam w Manor Park i jestem całkowicie pewna, że w zeszłym tygodniu pracowałam. To musiał być ktoś do mnie podobny. Mam mało charakterystyczną twarz.

Henley ścisnęło w dołku.

– Nie powiedziałam, że znajduje się w Manor Park.

– Wydawało mi się, że pani mówiła. Coś jeszcze? Jestem już bardzo zmęczona.

Łańcuszek, którym bawiła się Karen, wychynął zza szpitalnej koszuli.

– Nie, to wszystko. Ładny naszyjnik. Moja córka byłaby zachwycona. Ma bzika na punkcie gwiazd.

– Dziękuję. – Karen oparła się o poduszkę i szybko schowała naszyjnik za koszulę.

– A co to za kryształek obok?

– Oj, nie wiem. Dostałam go z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.

– Od chłopaka?

– Coś w tym stylu. – Karen wyjęła na chwilę wisiorek. – Od bliskiego przyjaciela.

Po wyjściu z pokoju Karen Henley udała się do dyżurki.

– Przepraszam – pokazała siedzącemu przy biurku pielęgniarzowi legitymację służbową. – Chciałabym zadać pytanie dotyczące waszej pacjentki Karen Bajarami z pokoju sześć.

– Nie wolno nam ujawniać żadnych informacji o pacjentach.

– Nie chodzi o informacje osobiste. Chcę tylko wiedzieć, czy miała jakichś gości. Zapytam jeszcze ochronę na dole, ale jeśli był pan na miejscu...

– Odwiedziło ją kilka osób – odparła siedząca obok młoda pielęgniarka. Na jej identyfikatorze widniało imię Isma. – Wczoraj była tu ponownie chyba jej mama i dwie osoby z pracy. Musiałam interweniować, ponieważ w pokoju pacjentki zebrało się za dużo gości.

– Ktoś jeszcze?

– A, i jeszcze jakiś mężczyzna, przyszedł z samego rana. Pamiętasz, Julienie? Przyniósł jej gotowe dania z Marksa & Spencera i pytał, czy moglibyśmy je gdzieś przechować.

– A tak, był – potwierdził pielęgniarz, nie zwracając uwagi na dzwoniący na biurku telefon. – Wpuściłem go. Nie był pod wrażeniem szpitalnego jadłospisu. Wcale mu się nie dziwię. Nie karmiłbym tym nawet mojego kota, mimo że wcale za nim nie przepadam.

– Pamięta pan, jak wyglądał?

Julien spojrzał z ukosa na Ismę i pokręcił głową.

– Nie za bardzo. Biały, wysoki. Na oko po czterdziestce. Bardzo miły, podziękował nam czekoladkami. Gdyby tu była moja babcia, uznałaby, że jest „czarujący".

– Wyraźnie ma jakiś plan – rzekła Henley. – Bardzo wątpię, że kręci się tu z troski o swoją dziewczynę.

– Więc po co ją odwiedził? – spytał Pellacia ze zmarszczonym czołem. – Jaki może mieć z niej teraz pożytek? Pomogła mu w ucieczce i niemal przypłaciła to utratą oka. Dlaczego nie podniosła rabanu na cały szpital, kiedy się u niej zjawił?

– Nie widziałeś wyrazu jej twarzy, gdy zapytałam o naszyjnik. Była rozanielona.

– Trzeba ją tu doprowadzić. – Pellacia był nieprzejednany.

– Wiem, ale mam związane ręce, póki lekarz nie stwierdzi, że jej stan pozwala na wypis ze szpitala.

– Wytyczne PACE[9] wcale nie mówią, że musi zostać przesłuchana w komisariacie policji ani że nie mamy podstaw do przeszukania jej mieszkania. Z tego, co wiemy, Olivier mógł się tam zatrzymać. Gdzie ona mieszka?

– W Kidbrooke. Zejdzie mi dobra godzina, zanim wysmażę podanie, a później muszę jeszcze znaleźć sędziego albo sędziego pokoju, żeby rozpatrzył wniosek.

Pellacia spojrzał na zegarek.

– Masz czas. Przygotuj wniosek, a potem zamelduj się w sądzie pokoju w Camberwell Green i spotkaj się z sędzią. Gdy tylko dostaniemy nakaz, przeszukamy mieszkanie Bajarami, a później ją aresztujemy. Nie obchodzi mnie, czy uznają ją za zdolną do opuszczenia szpitala, czy nie.

Rozdział 80

Henley wydrukowała dwa egzemplarze podania o zgodę na przeprowadzenie rewizji w mieszkaniu Bajarami. Wątpiła, że zastanie Oliviera siedzącego u niej w pokoju z nogami na stole, ale modliła się o natrafienie na konkretne dowody udziału Karen w jego ucieczce.

Odebrała telefon od Linh.

– Hej, hej. Co tam?

– Użył piły wzdłużnej.

– Czego?

– Piły wzdłużnej. No wiesz, takiej stolarskiej. Sprawdź sobie w Internecie. Założę się, że twój tato taką ma.

Henley błyskawicznie stanął przed oczami obraz wuja Joego przytrzymującego gałęzie jabłoni, na które tato zamierzał się z piłą.

– Kto użył tej piły? Olivier?

– Nie. Naśladowca. Pamiętaj, że cięcia Oliviera były zawsze równe, gładkie, dlatego że posługiwał się piłą elektryczną. Właśnie takim narzędziem pociął Varmę. Ten drugi szajbus używa poczciwej staroświeckiej piły.

– Przecież do tego potrzeba... no... – Szukała delikatnego określenia. – Czy to nie ciężka praca?

– Nie za bardzo. Wiadomo, że znacznie łatwiej przeciąć kość palca niż udową, ale najprościej zrobić to na wysokości stawu. Tak jak przy rozbieraniu kurczaka.

– Na litość boską – mruknęła pod nosem Henley, wkładając do teczki podanie o wydanie nakazu rewizji.

– Kość nie musi okazać się bardzo twarda, wszystko zależy od stopnia wysportowania ofiary. Nie daj Boże, gdyby był nią narciarz albo wspinacz – wtedy twój naśladowca umordowałby się jak wszyscy diabli. Kości takich osób są twarde jak... no po prostu niesłychanie twarde. Osobiście zaczęłabym od piłki do metalu zamiast piły wzdłużnej, ale nie potrafię określić, czy używał jednej i drugiej.

– Posłużył się tą samą metodą przy trzech ostatnich ofiarach?

Henley wyobraziła sobie, jak Kennedy, Zoe i Delaney siedzą nieruchomo, nie mogąc nawet zamknąć oczu, i widzą, jak zabójca z pochyloną głową i skrytą w cieniu twarzą odpiłowuje im kończyny.

– Poprosiłam eksperta od ran o przygotowanie pełnego raportu – powiedziała Linh.

– Dziękuję, Linh. Doceniam twoje starania.

– Nie ma za co. A tak w ogóle to wpadnij do mnie wieczorem, jeśli nie będziesz wiedziała, co ze sobą zrobić. Całe wieki się razem nie upiłyśmy, nie popsioczyłyśmy na życie i nie potańczyłyśmy do przebojów z dziewięćdziesiątego piątego.

– Dlaczego akurat z dziewięćdziesiątego piątego? – Henley roześmiała się po raz pierwszy od wielu dni.

– Nie wiem. Straciłam rachubę, ile już widziałam afiszy reklamujących klubową imprezę pod hasłem „Powrót do dziewięćdziesiątego piątego". Więc jak? Widzimy się wieczorem?

– Widzimy.

Henley zakończyła rozmowę przepełniona ogromną wdzięcznością dla Linh.

– Jakby ciut brutalne, co? – skwitował Ramouter, kiedy Henley opowiedziała mu, jak zabójca rozczłonkowywał swoje ofiary.

– Myślę, że to pewne niedopowiedzenie.

– To znaczy cały jego sposób działania jest okrutny. Paraliżuje ofiary, zmusza do patrzenia, jak odcina im kończyny, i nawet kiedy już nie żyją, zadaje ciosy.

– Chyba nie sugerujesz, że Olivier postępuje bardziej humanitarnie? – zapytała zdziwiona.

– Nie, nie humanitarnie... – Ramouter się zastanawiał. – Tylko ma takie bardziej kliniczne podejście. Racjonalne.

– W wypadku Lauren Varmy trudno mówić o racjonalności – odparła z przygnębieniem. – Nic go nie obchodzi, dlatego zrobił z tej dziewczyny takie widowisko.

– Ale rzekoma pomyłka sądowa go obeszła.

– Bo prawdopodobnie tak to postrzega. Pomyłką sądową jest dla niego fakt, że w ogóle został złapany.

Henley widziała fotografie z mieszkania Lauren Varmy przesłane jej przez ekipę śledczą. Chociaż Ramouter pracował w CID już w Bradford, nie sądziła, by kiedykolwiek zetknął się z takimi widokami czy stanem, w jakim znaleziono Lauren.

Minęły dopiero dwa tygodnie, a już widziała na jego twarzy stres związany z pracą w SCU. Nie dostawali znikąd żadnej pomocy. Byli pozostawieni sobie sami. Jednostka, w której służba miała być nagrodą, w gruncie rzeczy była jedynie sposobem na wybawienie ich dawnego szefa z opałów. Teraz Rhimes nie żył i choć głęboko wierzyła, że Pellacia dobrze kieruje SCU, martwiła się, że oni wszyscy jadą już tylko na oparach.

– Salimie...

Podniósł wzrok, uświadomiwszy sobie, że Henley po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

– Porozmawiaj z Markiem Ryanem. Uwierz mi, nie chciałbyś zbyt głęboko wnikać w umysły tych psychopatów. Ta robota namiesza ci w głowie i uderzy w ciebie w najmniej spodziewanym momencie. Dobrze jest pogadać z Markiem.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek myślał, że wymiękam.

– Nikt tak nie pomyśli.

– Okej. Zadzwonię do niego.

– To dobrze. Nie zaszkodzi. Jaki masz plan na resztę dnia?

– Przejrzę zeznania, sprawdzę, czy czegoś nie przeoczyliśmy, a potem pojadę do domu.

– Może miałbyś ochotę przejechać się nad morze?

– Co?

– Pamiętasz świadka, który twierdził, że widział Seana Delaneya wsadzanego do karetki?

– Leona Merricka?

– Przebywa w klinice odwykowej w Hove, prawda?

– Ma tam spędzić co najmniej trzy miesiące.

– Nie mamy nikogo innego, kto mógłby dokonać identyfikacji. Leon jest naszą największą nadzieją. Chcę, żebyś pojechał z nim porozmawiać.

– Co? Teraz? Jest prawie piąta.

– Tak, teraz.

– Zdaje się, że moja karta miejska nie obejmuje Hove.

– Weź mój samochód.

Ramouter wpatrywał się w Henley w taki sposób, jakby postradała zmysły.

– Jesteś pewna? Nigdy nie byłem w Hove.

– To nie koniec świata, Ramouter.

Wróciła do biurka, zaczęła przeglądać zawartość segregatora, aż znalazła to, co szukała.

– Weź je ze sobą. – Wręczyła mu policyjne fotografie sygnalityczne Alessandra Naylora i Dominica Pine'a.

– Są sprzed dwóch lat – zauważył, zdejmując marynarkę z oparcia krzesła.

– Muszą wystarczyć. Nie mamy nowszych, zresztą tak bardzo się od tamtej pory nie zmienili. Albo poruszą w Leonie jakąś strunę pamięci, albo nie.

Rozdział 81

Droga do Hove okazała się prosta i Ramouter był w sumie zadowolony, że wyrwał się z biura. Intensywność pracy w SCU oraz stała obecność Henley sprawiały, że czuł się klaustrofobicznie.

Wysiadł z auta przed kliniką Elysium. Musiał przyznać, że nadmorskie powietrze jest inne. Oddychał pełną piersią po raz pierwszy od wyjazdu z Bradford i stresu związanego z opiekowaniem się żoną, która nie przyznawała się do przedwczesnych początków demencji.

Recepcja przypominała hotel spa. Eleganckie białe sofy i fotele ustawiono przy dużym oknie wykuszowym z widokiem na morze. Jakże odbiegało to od prząśności publicznego ośrodka odwykowego, w którym pracował Sean Delaney.

– Dzień dobry. W czym mogę panu pomóc? – zapytała recepcjonistka.

– Dzień dobry. Detektyw Ramouter. – Nie czuł potrzeby wyjaśniania, że brakuje mu jeszcze kilku miesięcy do zakończenia stażu i zostania samodzielnym detektywem. – Przyszedłem spotkać się z jednym z waszych pacjentów.

Uśmiech na pomalowanych czerwoną szminką ustach recepcjonistki szybko znikł, gdy pokazał jej legitymację policyjną.

– Jest pan umówiony? Szczycimy się zapewnianiem naszym podopiecznym dyskrecji. Nie możemy wpuszczać tu każdego.

Ramouter się wyprostował. Może niewystarczająco głośno wypowiedział słowo „detektyw". „Henley by coś takiego nie spotkało. Ona nigdy nie musi dużo mówić, żeby dostać to, czego chce. Ma w sobie jakiś rodzaj autorytatywności, coś, czego nie uczą na policyjnych szkoleniach", pomyślał.

– Jestem detektywem. Chciałbym porozmawiać z Leonem Merrickiem.

– Przychodzi tu do nas wielu dziennikarzy, udają członków rodziny, przyjaciół i...

– Niech mnie pani posłucha. Czy mój szef ma zadzwonić do pani szefa? Proszę mi wierzyć, wątpię, by to było dobre rozwiązanie dla kogokolwiek z nas. Wylegitymowałem się, przedstawiłem nazwiskiem. Wiem, że przebywa tu Leon Merrick, i chcę się z nim zobaczyć.

Recepcjonistka spojrzała na ekran komputera. Po kilku najdłuższych minutach w życiu Ramoutera powiedziała:

– Jest w tej chwili na terapii grupowej, która kończy się za około piętnaście minut. Ktoś zaprowadzi pana do pokoju dla odwiedzających. Napije się pan w międzyczasie kawy albo herbaty?

Gdy pracownik ośrodka prowadził go do pokoju odwiedzin, Ramouter musiał ugryźć się w język, żeby nie zapytać, czy nie powinien przypadkiem zdjąć butów. Zdążył zjeść dwa maślane ciasteczka, nim do pokoju wszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Kiedy wyciągnął rękę na powitanie, pod ubraniem mocno zarysował się sterczący obojczyk.

– Leon – powiedział z uśmiechem, odsłaniając poplamione i nadkruszone od lufki do cracku zęby.

– Jak się masz? – zapytał Ramouter, wodząc wzrokiem po śladach wkłuć i żółknących sińcach na ramieniu Leona.

– Nie narzekam. – Leon zapadł się w fotelu.

– Nie zajmę ci dużo czasu.

– Nie ma sprawy, stary. Moje opcje na dzisiejsze popołudnie to joga, trening uważności albo reiki. – Skrzywił się. – Nawet nie mogę przejść się na molo. Najwyraźniej nie jestem jeszcze gotowy. Złapaliście go? Tego gościa, co zabił Seana?

Ramouter zaprzeczył.

– Miły był z niego facet. Porządny człowiek. Nie traktował nikogo protekcjonalnie w przeciwieństwie do wielu innych. Naprawdę mu zależało. Nie zasługiwał na taki koniec.

– Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań dotyczących tamtego wieczoru. Pomyślałem, że może teraz uda ci się przypomnieć coś więcej, skoro...

– Nie jestem na gigantycznym haju. Co chcesz wiedzieć?

Ramouter wyjął notes, przerzucił kilka kartek.

– Mówiłeś, że dotarłeś do ośrodka około ósmej.

– Mogło być trochę później, bo pamiętam, że siedziałem w pubie i leciał mecz. Niedzielny wieczór. Więc pewnie hiszpański futbol. Początek o wpół do ósmej, a wyszedłem, jak się skończył, czyli musiało być około wpół do dziesiątej.

– I poszedłeś prosto do ośrodka?

– Tak. Byłem na głodzie, a wtedy masz w głowie tylko jedną myśl i skupiasz się tylko na niej. Pamiętam, jak myślałem, że muszę zobaczyć się z Seanem, ponieważ on mi pomoże. Czasem... to znaczy... w sumie nie powinien... ale kiedy miał trochę metadonu, to mi dawał. Żeby mi ulżyć. Uspokoić.

– O której zamykają zwykle ośrodek?

– Oficjalnie o dziewiątej.

– Nawet w niedziele?

– Prowadzą terapie grupowe. Jeśli dopisze ci szczęście, możesz dostać ciasteczko i kubek herbaty. Tutaj to co innego. Masz każdą wypasioną herbatę, jaką tylko sobie wymyślisz, i tony słodkości, których nikt nie je.

Ramouter spojrzał na filiżankę herbaty i porcelanowy dzbanek.

– W każdym razie – kontynuował Leon, poczęstowawszy się maślanym ciastkiem – pamiętam, że w środku paliło się jeszcze światło.

– Jak można dostać się do środka?

– Muszą cię wpuścić. Mają domofon i kamerę od frontu, a z tyłu jest wyjście awaryjne. Przeciwpożarowe, zdaje się.

– Wpuścili cię?

Leon pochylił się, chrupiąc ciastko.

– Widocznie nie, bo inaczej po co szedłbym na tyły budynku.

– Co cię do tego skłoniło?

– Sean pali. Zwykle stoi z tyłu obok parkingu. Poszedłem tam, zobaczyłem jego motocykl, a później tamtą karetkę.

– Na pewno była to karetka?

– Tak. Nie taka duża, tylko z tych mniejszych, jak już mówiłem przez telefon.

– Gdybym zapytał, czy zapamiętałeś numery rejestracyjne, to byłaby już gruba przesada?

– Ha, nie ma szans... Drzwi samochodu były otwarte, a moja chora głowa pomyślała, że może dostanę pomoc albo że w karetce będą mieli narkotyki.

– Mówiłeś, że z tyłu siedział mężczyzna?

– Tak. Jakiś taki skulony. Nie widziałem jego twarzy. Siedział pod dziwnym kątem, a tamten facet wkładał do środka jego nogi.

– Pamiętasz jakiekolwiek szczegóły wyglądu mężczyzny na tylnym siedzeniu?

– Myślę, że to był Sean, ale nie mogę być w stu procentach pewien.

– A tamten drugi? Rozmawiałeś z nim?

– Tak, ale mnie odepchnął. To też już mówiłem.

– Potrafisz go opisać?

Zapadło milczenie, od czasu do czasu przerywane krzykiem mew za oknem i odgłosami chrupania.

– Biały. Trochę niższy ode mnie. Ja mam prawie metr dziewięćdziesiąt, więc tamten musiał mieć co najmniej metr osiemdziesiąt. Był ubrany na ciemno. Może na zielono. Pamiętam tenisówki. Ciemne włosy. Krótkie. Szerszy ode mnie, ale nie tak szeroki jak ty.

– Nie sądziłem, że jestem aż tak gruby – wtrącił z uśmiechem Ramouter.

– Bo nie jesteś. On był gdzieś tak między tobą a mną. Może powiem tak: gdyby był bokserem, należałby do wagi lekkopółśredniej.

– Coś jeszcze?

– Złamany nos. W każdym razie wyglądał mi na skrzywiony. Kilkudniowy zarost.

– Chciałbym, żebyś przyjrzał się tym zdjęciom. Czy rozpoznajesz na nich mężczyznę, którego widziałeś na parkingu ośrodka odwykowego ósmego września dwa tysiące dziewiętnastego roku około godziny wpół do dziesiątej wieczorem?

Ramouter odsunął na bok porcelanowy komplet do herbaty oraz talerz wykwintnych ciasteczek i rozłożył wachlarzem fotografie. Wydrukował zdjęcia dwunastu innych mężczyzn, którzy zgodzili się na okazanie ich podobizn świadkowi w celu identyfikacji podejrzanego, i zmieszał je z tymi, które dostał od Henley.

– Nie spiesz się.

Leon klęknął i uważnie oglądał fotografie.

– Ten nie, ten nie, ten nie. – Wybrał trzy zdjęcia i odłożył je na podłogę.

– Ten – powiedział, podając zdjęcie Ramouterowi.

– Jesteś pewien? – Odebrał z drżącej ręki Leona podobiznę Dominica Pine'a.

– Byłbym gotów się założyć. Bez wątpienia on.

– Tego mężczyznę widziałeś na parkingu?

– Na sto procent.

Ramouter zastanawiał się, czy przed powrotem do Londynu nie zjeść na molo ryby z frytkami, stwierdził jednak, że stracił apetyt.

Rozdział 82

– Gdzie jest Ramouter? – zapytał Pellacia.

– Tkwi w korku na M23. – Henley wyjęła telefon, by sprawdzić, czy nie ma kolejnych wiadomości od Ramoutera.

– No cóż, przynajmniej mamy zidentyfikowanego Pine'a.

– Co najwyżej kogoś, kto wygląda jak Pine i wsadzał do karetki kogoś, kto wygląda jak Delaney.

– Na parkingu nie ma kamer?

– Ani jednej. Wątpię, by lokalny samorząd aż tak interesował się bezpieczeństwem kilku kubłów do segregacji śmieci pod ośrodkiem odwykowym.

– A dyspozytornia karetek?

– Wydzwaniałam do nich z prośbą o potwierdzenie, czy tamtego wieczoru, kiedy zniknął Delaney, wysyłano ratowników medycznych do ośrodka albo w jego pobliże. Jest tak, jak mówiłeś. Dowody są co najmniej chwiejne. Naoczny świadek, który jest narkomanem, nie wystarczy do wymazania z tablicy nazwisk Naylora i Blaine'a.

– Zrób krok wstecz – rzekł Pellacia, podchodząc do tablicy. – Co się stanie, jeśli wykorzystamy wszystkie środki do postawienia zarzutów Pine'owi?

Taką samą taktykę stosował Rhimes, kiedy widział, że jego zespół zbliża się do przełomu.

– Jeżeli skupimy się na Pinie, stracimy z oczu Naylora i Blaine'a. Naylor zdążył już się wymknąć ochraniającym go policjantom i z racji wykonywanej pracy ma dostęp do różnych lokali komercyjnych oraz prywatnych nieruchomości. A Blaine? No cóż, jest pomocnikiem Oliviera. Musiałabym być ostatnią idiotką, żeby myśleć, że nie wie, jak się z nim skontaktować. I vice versa.

– Nie zapominaj o Bajarami. Jest twoim niewyjaśnionym wątkiem.

Na twarzy Henley pojawił się grymas skupienia. Musi znaleźć sposób zaciśnięcia pętli wokół trzech podejrzanych bez narażania życia ławników na niebezpieczeństwo.

– Jadę do mieszkania Bajarami – oznajmiła Henley. – Eastwood jest już w drodze.

Usłyszeli energiczne pukanie do drzwi. Henley odwróciła się i ujrzała stojącego w progu Ezrę.

– Wszystko w porządku? – zapytała z niepokojem. Gdy Ezra po raz pierwszy wparował do pokoju operacyjnego, natknął się na wiszące na ścianie zdjęcia z autopsji w formacie A3. Od tamtej pory więcej się tam nie pojawił.

– Tak, muszę ci tylko coś pokazać. Na osobności.

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Co takiego? – zapytała, gdy wyszła za nim na korytarz.

– Musisz mi obiecać, że się nie wściekniesz – odparł Ezra, oparł się o ścianę i wpisał hasło do iPada.

– Dlaczego miałabym się wściec? – Doskonale wiedziała, że cokolwiek zrobiłby Ezra, i tak żaden sąd świata nie dopuściłby tego jako dowodu.

– Na swoją obronę powiem, że wszystko, co zrobiłem...

– Więc co zrobiłeś? – warknęła.

– Rzuć okiem. – Podał jej iPada.

– Informacje o abonentach – powiedziała, przewijając listę numerów. – Z komórki Oliviera.

– Tak. Czekałem, aż firma telefoniczna sprawdzi abonentów, ale od kilku dni w kółko powtarzają, że ich systemy są niedostępne.

– I co zrobiłeś?

– Będzie najlepiej dla nas wszystkich, jeśli nie odpowiem na to pytanie. No więc tak. Olivier ma telefon na kartę pre-paid. Ktoś doładowuje mu konto, co oznacza, że albo kupuje kartę z doładowaniem, albo płaci kartą debetową online.

– Błagam, powiedz, że płaci kartą debetową.

Ezra się uśmiechnął.

– Ten dowód i tak nie będzie dopuszczony. Wystarczy, żebyś wiedziała, że mam dane karty.

– Karen Bajarami nie mogła być aż tak głupia.

– Starała się. To karta, którą można zasilać i używać jak karty kredytowej, ale doładowywano ją, korzystając z karty debetowej NatWest, zarejestrowanej na nazwisko K.L. Bajarami.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Ale to jeszcze nie wszystko. Gdy tylko przebrnę przez wniosek o autoryzację, będę miał dowód dopuszczalny.

– To znaczy?

– No więc tak. Dzwoniono do niego z numerów prywatnych. Rozszyfrowałem je. Pierwszy należy do Chance'a Blaine'a, a drugi...

– Proszę, powiedz, że do niej.

– Umowa na dwa lata, wygasa w marcu przyszłego roku. Zleciła w banku polecenie zapłaty i zawsze wyczerpuje się jej limit transmisji danych.

Po raz pierwszy od znalezienia ciała Kennedy'ego Henley poczuła, że coś drgnęło. Panika nadal ją przytłaczała, ale nie drenowała już z energii. Henley zadzwoniła do Eastwood i poprosiła ją, żeby zaczęła sama przeszukiwać mieszkanie Bajarami. Wzięła do ręki segregator zawierający podjętą przez Pine'a nieudaną próbę odwołania się od wyroku. Prośba o wydanie protokołów sądowych zajęła trochę czasu. Po kłótniach, kto za to zapłaci, Joanna do kogoś zadzwoniła. Stanford przyjmował zakłady, jak to załatwiła: zaoferowała łapówkę, groziła czy uciekła się do starego dobrego szantażu.

Henley przeczytała protokół. Adwokat Pine'a koniec końców nie zdołał przekonać trzech sędziów sądu apelacyjnego, że kara więzienia dla jego klienta powinna być zawieszona. Drugiego dnia pobytu w więzieniu Pine został pobity i zgwałcony. Napastnik wstrzyknął mu potem heroinę. Dwa dni później Pine dostał ataku psychozy wywołanego narkotykiem. Można było odhaczyć kolejne okienko w stworzonym przez Marka profilu zabójcy. Ofiara traumatycznej napaści seksualnej. Problem polegał na tym, że Pine miał silne alibi, które wykluczało go z grona podejrzanych. Zadzwonił telefon. Wyświetliło się nazwisko Eastwood.

– Cześć, Eastie. Jak poszło?

– Na początek: Karen Bajarami mieszka z mamą, która nie była zbyt szczęśliwa, gdy znienacka zjawiliśmy się pod jej drzwiami i przeszkodziliśmy w oglądaniu kolejnego odcinka programu *Polowanie na okazje*.

– Co powiedziała jej mama?

– Ogląda za dużo telewizji, jak na mój gust. Zaczęła gardłować, że zna swoje prawa i że wcale nie musi z nami rozmawiać. Pokazałam jej zdjęcie Oliviera i zapytałam, czy go rozpoznaje. Zaprzeczyła.

– Znaleźliście coś w mieszkaniu?

– Wygraliśmy los na loterii. W sypialni Bajarami natknęliśmy się na pudełko po komórce tej samej marki i tego samego modelu, jak ta w celi Oliviera. Poza tym znaleźliśmy plan podróży do Malagi. Lot EasyJetem dla dwóch osób, wylot wczoraj. Nazwiska pasażerów: Karen Bajarami i Raymond McFarlane. W szafie torba z męskimi ubraniami, bielizną, wszystko nowiutkie, do tego pięć kawałków w gotówce i paszporty. Prawdziwy dla Bajarami, sfałszowany dla Oliviera. Moim zdaniem plan Bajarami nie przewidywał tego widelca w oku.

Henley patrzyła na numer telefonu zapisany na karteczce samoprzylepnej. Przy okazji poprzednich odwiedzin u Karen pośród kartek z życzeniami powrotu do zdrowia i kwiatów na nocnej szafce zauważyła komórkę. Zadzwoniła.

Gdy czekała na połączenie, do pokoju wszedł Ramouter. Wyglądał trochę niechlujnie. Przyłożyła palec do ust, dając znak, żeby się nie odzywał.

– Halo? – zgłosiła się Karen. – Halo?

Henley odczekała kilka sekund.

– Peter? Czy to ty, kotku?

Henley się rozłączyła, wiedząc, że już wkrótce założy kajdanki na przeguby Bajarami. Chyba że Karen zdała sobie sprawę, że to nie był Olivier, i da nogę.

Rozdział 83

– Mam nowiny – rzekł Anthony.

– Takie, które mi się spodobają?

Henley uznała, że w ramach podziękowania za przyjście do pracy w sobotę zaprosi Ramoutera i Ezrę na kolację. Linh ochoczo zgodziła się do nich dołączyć.

– Mnie by się spodobały. Mam odciski. Parę częściowych, zdjętych z plastikowego worka, w który było zawinięte ciało Delaneya. Mam też próbkę krwi, która nie należy do niego.

– Serio?

– Jak najbardziej. Jedyny szkopuł w tym, że...

– Nie pasuje do nikogo z bazy danych – wtrąciła.

– Otóż to. Sprawdzałem trzykrotnie. Mogę potwierdzić jedynie to, że krew znaleziona na ciele Delaneya ma to samo DNA co próbki spermy pobrane z ciała Carole Lewis.

– Dzięki, Anthony. Wiem, że byłeś zawalony robotą. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– No co ty, zawsze do usług. Przepraszam tylko, że tak długo to trwało. I zanim zapytasz: szukałem wyników badań DNA Naylora. Mam nadzieję, że dostanę je najpóźniej w poniedziałek rano.

– I co? Dobre wiadomości? – spytał Ramouter.

Powtórzyła mu słowa Anthony'ego. Wiadomości były dobre, lecz chwilowo zupełnie nieprzydatne.

– To jest więcej niż frustrujące – powiedział, gdy szli wzdłuż rzeki w stronę restauracji na nabrzeżu Greenwich.

– Zeznanie Leona nie wystarczy, rozpoznanie też nie.

– Ale precyzuje czas, który daje nam punkt oparcia. Możemy dokładnie określić, kiedy porwano Delaneya.

– To już coś. Zastanawiam się tylko, dlaczego trzymał go znacznie dłużej niż innych.

– Widziałaś stan, w jakim znajdowały się jego zwłoki. Zdaniem Linh nie żył co najmniej od czterech dni, zanim ciało trafiło na schody pod wieżą. Nurtuje mnie jedno: gdzie on te szczątki przechowuje? Mieszkanie Pine'a mieści się na czwartym piętrze. Zresztą widziałaś je. Jest ciasne. Naylor zaś mieszka z ciotką i wujem. A jeśli nasz zabójca-naśladowca trzyma swoje ofiary gdzie indziej? Gdzieś w okolicy?

„Trzyma je gdzie indziej". Henley przypomniała sobie ich pierwszą wizytę w mieszkaniu Dominica Pine'a. Zaprosił ich do środka, ale coś jej tam nie grało, tylko nie potrafiła tego sprecyzować. Nieświeże, zatęchłe powietrze. Kurz, stary kalendarz na ścianie. Ten widok przywołał wspomnienie sprawy fałszywej tożsamości, nad którą pracowała jeszcze jako stażystka. Frederick Jankowski, pięćdziesięcioośmioletni mężczyzna, wykorzystywał tożsamość zmarłych dzieci, żeby wyłudzić ponad milion funtów zasiłku. Gdy po raz pierwszy odwiedziła go w Stockwell, w mieszkaniu czuć było stęchlizną, jakby go nigdy nie wietrzono. Taki zapach mają stare garnitury ze sklepu charytatywnego. Okazało się, że Jankowski wcale tam nie

mieszkał. Jego prawdziwy dom, duży, wiktoriański, w zabudowie szeregowej, znajdował się w Kensington.

– Złóżmy Pine'owi kolejną wizytę – powiedziała do Ramoutera. – Jutro z samego rana.

Rozdział 84

Baza londyńskiego pogotowia ratunkowego w Deptford była wciśnięta pomiędzy rząd domów szeregowych a hurtownię, cofnięta od ulicy i zabezpieczona bramą.

– Ile jest w Londynie baz pogotowia? – zapytał Ramouter. Przed wjazdem na teren pogotowia Henley pokazała do kamery swoją legitymację służbową.

– Siedemdziesiąt. Prawdę mówiąc, przejeżdżałam tędy milion razy i nigdy jej nie zauważyłam.

– Londyn to prawdziwy moloch – skonstatował Ramouter, a następnie zwrócił uwagę na czarnoskórą dziewczynę o kolorowych włosach, która siedziała na chodniku. Patrzyła w jego stronę, ale tak, jakby był przezroczysty. – Niektórym nieszczęśnikom wydaje się, że miasto ich ocali. Jak myślisz, ile ona może mieć lat? Dwadzieścia pięć?

Henley w przelocie rzuciła okiem, przejeżdżając przez otwartą bramę. Nie mogła sobie pozwolić na współczucie dla dziewczyny siedzącej w brudnych szortach na mokrym chodniku.

– Każdy z nas dokonuje wyboru. – Pomyślała o własnych decyzjach, na których nie skorzystała ani ona sama, ani jej rodzina. – Świat potrafi dodać człowiekowi lat.

– Spodziewaliśmy się zastać tu Dominica Pine'a – rzekła Henley.

– Czego chcecie od Doma? – zapytała Lisa, zastępczyni kierownika bazy. Szli za nią przez dyspozytornię, w której aż huczało od dzwoniących telefonów i syren.

– Nie wolno nam tego zdradzać, ale nie ma powodu do zmartwienia.

– Czyli nic mu nie grozi?

– Nie.

– Hm... czy to tylko nasze pobożne życzenie, czy może przyszliście powiedzieć, że w końcu złapaliście tych drani, którzy włamali się tu w zeszłym miesiącu i obrabowali kilka naszych ambulansów?

– Nie, nasza wizyta nie ma z tym nic wspólnego.

– Jest jednym z naszych najlepszych pracowników – oznajmiła znienacka Lisa. Nacisnęła guzik windy. Drzwi natychmiast się rozsunęły. – Dlatego tak walczyłam, żeby do nas wrócił po tamtej niedorzecznej historii.

– O jakiej historii mowa? – zainteresował się Ramouter, czekając, aż Henley wsiądzie do starej windy.

– Tej z więzieniem. – Lisa musiała podnieść głos, ponieważ żwawo mknąca w górę winda nieco ją zagłuszała. – Porządny z niego człowiek. Ciężko pracuje, a gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, uważam, że nie zrobił nic złego.

– Złamał zasady – sprostowała Henley. – A zasady ustala się nie bez powodu.

Lisa cmoknęła i przewróciła oczami. Henley miała wrażenie, że wygłosi zaraz nadętą, wyświechtaną tyradę.

– Czy powinien był to zrobić? Czy powinien był złamać sądowe zasady i powiedzieć innym przysięgłym o tym, czego dowiedział się o zabójcy z piłą? – ciągnęła. W międzyczasie winda się

zatrzymała i wysiedli wszyscy na cichy, spokojny korytarz. – Prawdopodobnie nie. Czy warto było wsadzać go do więzienia na sześć miesięcy? Absolutnie nie. Ten system to jakieś kpiny. Groził mu nawet zakaz wykonywania zawodu.

Henley z trudem oparła się pokusie powiedzenia Lisie, żeby wreszcie się zamknęła, ale ponieważ wątpiła, by cokolwiek zdołało powstrzymać ten słowotok, zapytała tylko:

– Kto miał wydać ten zakaz?

– Nasza żałosna komisja dyscyplinarna. Banda hipokrytów. Otis, facet, który pracował ze mną przez piętnaście lat i jeździł kiedyś w zespole z Domem, majstrował w karetce przy MDT...

– MDT? – spytał Ramouter.

Kim, do cholery, jest Otis?, zastanawiała się Henley.

– Przy śledzeniu danych komórkowych – wyjaśniła. Zatrzymała się pod ostatnim biurem na końcu korytarza i głośno zapukała. – To coś w rodzaju GPS. Korzystamy z tego systemu, by lokalizować nasze karetki, wiedzieć, która jest najbliżej miejsca zgłoszenia. Otis wyłączał urządzenie i je resetował, żebyśmy nigdy nie mogli go złapać. Wiecie, co zrobiła komisja, kiedy się dowiedziała? Zawiesiła go na osiem tygodni, ale z...

Umilkła, kiedy pięćdziesięciokilkuletni Azjata otworzył drzwi. Wyciągnął na powitanie rękę, Henley uścisnęła mu dłoń.

– Komisarz Henley, jak się domyślam. Ken Devi. Kierownik bazy. Dziękuję, Liso, to wszystko.

Mężczyzna zaprosił ich do biura, które mocno kontrastowało z resztą placówki. Biurko lśniło nieskazitelną czystością. Ramouter zaczął się nawet nerwowo wiercić, jakby został wezwany na dyrektorski dywanik.

– Proszę usiąść. Napiją się państwo herbaty lub kawy?

– Nie, dziękujemy – odparła Henley, zajmując stojące przed nią krzesło.

– Wydrukowałem informacje, o które państwo prosili. Muszę przyznać, że wprawiły mnie w pewne zakłopotanie, ponieważ lubię myśleć, że trzymam rękę na pulsie z uwagi na problemy, z którymi borykaliśmy się w przeszłości.

Henley widziała, że dokonane przez Kena odkrycie wywołało w nim spore rozgoryczenie. Ramouter zerknął na Henley i uniósł brew.

Kierownik podał Henley kartkę papieru.

– To jest wykaz wszystkich ambulansów oraz zespołów szybkiego reagowania wysłanych z naszej stacji między godziną szóstą wieczorem czwartego września a szóstą rano siódmego września. Jak państwo widzą, otrzymaliśmy bardzo dużo zgłoszeń szóstego wieczorem, co samo w sobie nie jest niczym wyjątkowym jak na piątkową noc, ale...

– Ani jedna karetka nie wyjechała do centrum leczenia uzależnień przy Comet Street w Catford? – Henley przekazała listę Ramouterowi.

– Ani jedna.

– Czy Dominic Pine pracował tamtego dnia?

Ken skinął głową tak energicznie, że zsunęły mu się z nosa okulary. Poprawił je i kontynuował: – Miał dyżur od szóstej wieczorem do szóstej rano.

– Z kim pracował? – zapytał Ramouter. Henley uśmiechnęła się w duchu: zamierzała zadać to samo pytanie.

– Dominic jest jednym z naszych najbardziej doświadczonych ludzi, dlatego został przydzielony do zespołu szybkiego reagowania. Ponieważ brakuje nam personelu, pracował, że tak powiem, bez partnera. W ten sposób możemy obsłużyć więcej nagłych wypadków, więc ma to sens.

– W pojedynkę?

– Tak. Z wyjątkiem sytuacji, gdy szkolił naszych nowych pracowników, jeździł w pojedynkę.

– Powiedział pan, że Pine miał dyżur od szóstej do szóstej.

– Tak – potwierdził, wręczając Henley kolejny arkusz. – Oto wykaz nagłych wypadków, do których wysłaliśmy Dominica. Lokalizujemy nasze karetki oraz zespoły szybkiego reagowania, posługując się MDT, systemem śledzenia danych komórkowych. Pozwala nam to wysyłać na miejsce wypadku ambulans znajdujący się najbliżej. MDT Dominica zostało wyłączone między godziną dziewiątą dwadzieścia dwie a jedenastą trzydzieści siedem.

– Po drodze Lisa wspominała nam o niejakim Otisie – rzekł Ramouter.

– Zapewne opowiadała z satysfakcją, jak to Otis został zawieszony za wyłączanie MDT. Jednak zgadzam się z nią co do tego, że Otisa należało zawiesić – powiedział Ken.

– Jak długo Otis i Dominic pracowali w jednym zespole?

– Ponad trzy lata. Nie zdziwiłbym się, gdyby to Otis nauczył Dominica wyłączać MDT.

– Pine wyłączył system na ponad dwie godziny – zauważyła Henley. Dwugodzinne okno czasowe wystarczyłoby Pine'owi, żeby pojechać do ośrodka odwykowego i porwać stamtąd Delaneya. – Czy dostajecie powiadomienie, gdy system MDT zostaje odłączony?

– Nie. Dyspozytor wie tylko, że nie może skontaktować się z danym ambulansem. Ponieważ musimy bezwzględnie w ciągu ośmiu minut reagować na nagłą sytuację, dyspozytor wywołuje kolejną karetkę.

– Ile razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy Pine wyłączał MDT?

– Siedem. W dwóch pierwszych przypadkach zrobił to na trzy do pięciu minut przed zakończeniem dyżuru. W czerwcu i w lipcu. Ale w ostatnich sześciu tygodniach dopuścił się tego czterokrotnie. Ostatnio wczoraj rano o godzinie piątej trzydzieści siedem. Tuż przed końcem zmiany.

– Gdzie jest teraz Pine?

– Zakładam, że w domu. Zamienił się na dyżury z kolegą. Dzisiaj ma wolne.

Rozdział 85

– Musiała zajść jakaś pomyłka – powiedział sierżant, któremu przydzielono zadanie chronienia Pine'a. Miał taki głos, jakby przysypiał. – Pine ma dyżur od szóstej wieczorem do szóstej rano. Piętnaście po piątej osobiście odwoziłem go do stacji pogotowia.

– Właśnie stamtąd wracamy. Kierownik nas poinformował, że dzisiaj ma wolne – powiedziała Henley, stojąc pod drzwiami domu Pine'a. Kołatki nie było, dzwonek nie działał.

– Nic z tego nie rozumiem. Mam kopię jego grafiku. Pracuje dzisiaj i w poniedziałek.

Henley zakończyła rozmowę i wybrała numer Pine'a. Nie była zaskoczona, gdy automatyczny damski głos oznajmił, że osoba, do której dzwoni, jest niedostępna. Ramouter stał z nosem niemal przylepionym do szyby, zaglądał do środka przez pożółkłe firanki, a Henley dobijała się do drzwi.

– I co? – zapytała Ramoutera, kilkakrotnie trzaskając klapką na listy.

– Niewiele widzę.

Uklękła i zajrzała do środka przez otwór na listy. Widziała jedynie stary chodnik i pusty korytarz, który prowadził do kuchni.

– Nie ma go w pracy i nie ma go tutaj. – Ramouter oparł się o balkon. – Dlaczego nie przydzielono mu policyjnej ochrony?

– Bo to idioci i o niczym nie mają pojęcia – odparła Henley, znów łomocząc pięścią w drzwi, bardziej z frustracji niż z przekonania, że Pine smacznie śpi. – Myśleli, że jest w pracy.

Gwałtownie otworzyły się sąsiednie drzwi.

– Co to za piekielny hałas? Co jest z wami, do wszystkich diabłów?!

Na próg wyszła starszawa czarnoskóra kobieta z głową omotaną granatową chustką. Miała twarz niemal bez zmarszczek, za to ciało zdradzało wiek. – Jest niedziela rano, a wy od piętnastu minut walicie w te drzwi jak opętani. Powinnam wezwać policję – powiedziała z wyraźnym trynidadzkim zaśpiewem.

– Przepraszamy za zakłócanie spokoju. Jestem...

– Zakłócanie spokoju? Mój mąż ma nadciśnienie, a wy się tłuczecie jak...

– Komisarz Henley i detektyw Ramouter.

– Pani jest komisarzem? – Głos kobiety wręcz ociekał sceptycyzmem.

– Tak, jesteśmy z komisariatu policji w Greenwich. Może mogłaby nam pani pomóc.

Kobieta rozejrzała się nerwowo na wszystkie strony.

– O co chodzi? – zapytała, uspokojona, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby oskarżyć ją o spoufalanie się z policją.

Henley nie poprosiła o wpuszczenie ich do środka, wiedziała bowiem, że gościnność kobiety nie sięgnie dalej niż próg domu.

– Od jak dawna pani tu mieszka?

– O Boże, od siedemdziesiątego ósmego.

– Pewnie widziała tu pani niejedną zmianę?

– Bynajmniej nie najlepsze, gdyby kto pytał. Już dawno wróciłabym w nasze strony, gdyby tylko mój mąż mógł podróżować.

– A sąsiad spod czterdziestki piątki? Długo tu mieszkał?

– Wprowadził się już po nas. Nie potrafię podać dokładnej daty, ale jakoś tak w osiemdziesiątym którymś.

– Miał dzieci? Syna?

– Bertrand? Nie, skąd. Nigdy się nie ożenił. I nigdy nie widziałam go z kobietą – wyszeptała. – Ani razu.

– Co się stało?

– Och, zmarł.

Henley nie starała się ukryć zaskoczenia. Potarła prawą skroń.

– Kiedy umarł?

– Boże, będzie z siedem miesięcy temu. Rak. Poszedł do szpitala i już stamtąd nie wrócił. Miły był z niego człowiek.

– Więc kto tam teraz mieszka?

– Nikt. Jego siostrzeniec, Dom, Don czy jakoś tak, zagląda tu od czasu do czasu. Nie wiem po co i właściwie dziwię się, że samorząd nie odebrał mu jeszcze tego mieszkania. A spróbuj tylko nie zapłacić przeklętego podatku komunalnego, to prędziutko cię wytropią...

– Jak często widuje pani tego siostrzeńca?

– Kiedyś zjawiał się mniej więcej raz w miesiącu, ale ostatnio widziałam go ledwo kilka dni temu. Słyszałam, jak chodzi pralka, ale on tu nie mieszka. Nie, psze pani. Nigdy tu nie mieszkał.

W drodze powrotnej do komisariatu w głowie Henley odbywała się istna galopada myśli.

– Zawsze umiał wymknąć się niezauważony. Pracuje w pogotowiu w systemie dwanaście na dwanaście, czasem dłużej, a gdy tylko przydzielono mu ochronę, nasz naśladowca ucichł całkowicie, na ponad tydzień.

– Ponieważ Pine wiedział, że go obserwujemy.

– Ale nikt go nie śledził.

Zapaliło się czerwone światło, zaczęły gwałtownie mrugać światła ostrzegawcze, sygnalizując podnoszenie mostu Creek. Henley zaciągnęła ręczny hamulec i zgasiła silnik. Kilka barek sunęło odnogą rzeki.

– Tak sobie myślałem – zaczął Ramouter – o ostrzeżeniu wysłanym w kwietniu Naylorowi. W sprawie napastowania. Kilka tygodni później Lewis zginęła. Nie zgodziłaby się spotkać z Naylorem, skoro miała go tak dosyć.

– Nie zgodziłaby się – przyznała Henley. – Po powrocie do SCU chciałabym, żebyś sprawdził listy uprawnionych do głosowania. Naylor i Pine musieli na nich figurować, gdy wybierano ich do składu przysięgłych. W ten sposób zdobędziemy adres. Czy będzie aktualny, to już inna sprawa.

Kiedy skręcali w Greenwich High Road, zadzwonił telefon. Numer zastrzeżony, co oznaczało najprawdopodobniej telefon z SCU albo od Oliviera. Henley poczuła uderzenie gorąca.

– Cześć, Anjelico, tu Ezra.

– Wszystko w porządku? – zapytała, czując, jak uspokaja się puls. – Co robisz w biurze w niedzielę?

– Ta sprawa jest istotna, no nie? Chciałem więc przekazać ci najnowsze info. Dostaliśmy upoważnienie i informację abonencką dla telefonu Oliviera. Potwierdzają wszystko, co ci wcześniej mówiłem.

– A co z danymi konta bankowego? I kartą używaną do doładowania? – zapytała, skręcając pod komisariat.

– Wszystko jest. Zarejestrowała kartę przedpłaconą, korzystając z własnej karty debetowej, zanim zaczęła używać elektronicznej portmonetki. Wszystko wydrukowałem i położyłem ci na biurku.

– Telefon komórkowy, karta debetowa, nagranie z monitoringu. Wystarczy, żeby ją aresztować i postawić jej zarzuty, prawda? – spytał Ramouter.

– Aż nadto.

Rozdział 86

Olivier stał oparty o ścianę w ciemnym przejściu między budynkami numer dwadzieścia siedem i dwadzieścia dziewięć przy Callander Drive. Bawił się brelokiem w kształcie serca, do którego były przyczepione kluczyki od samochodu Lauren i obserwował ulicę. Czekał prawie trzy godziny. Białą furgonetkę, do której wrzucił ciało Lauren, usunięto siedem godzin temu, ostatni reporterzy zniknęli. Nie było na co się gapić. Zachichotał pod nosem, zapalił papierosa, a potem sprawdził godzinę na telefonie komórkowym, który dała mu Lauren. Siedem minut po pierwszej. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał tam sterczeć, i wtedy go zobaczył.

Mężczyzna szedł niespiesznym krokiem. Olivier oderwał się od ściany i zaszedł go od tyłu. Nóż splamiony krwią Lauren tkwił w jego kieszeni.

– Dominic. Cześć, chłopcze.

Pine się odwrócił. Na widok jego zaskoczonej miny Olivier się uśmiechnął. Mężczyzna chciał zrobić unik, ale Olivier go zablokował.

– Nie... nie! – krzyknął, gdy Olivier położył mu rękę na lewym barku i mocno ją docisnął.

– Dominic Pine. Sędzia numer jedenaście.

– Nie, nie, to nie ja – powtarzał nieprzekonująco przez zaciśnięte zęby. – Proszę, ja nie...

– Ty nie co?

– Nic nie powiem. Proszę, puść mnie.

– Cii. – Położył mu palec na ustach i obserwował z niejakim rozbawieniem, jak mężczyzna zaciska powieki, a następnie powoli je otwiera. Kiedy zaczął płakać, Olivier zaśmiał się sardonicznie.

– Miałeś nadzieję, że zniknąłem? Mówi się, że nie należy poznawać osobiście swoich bohaterów, liczyłem jednak na większy entuzjazm z twojej strony.– Chwycił Dominica za kołnierz, a gdy poczuł, jak jego ciało się napina, z zadowoleniem wyszczerzył zęby. – Daj spokój. Powiedz coś. Robi się żenująco.

– Skąd wiesz, kim jestem? – zapytał Dominic pełnym napięcia szeptem.

– Nigdy nie zapominam twarzy, a poza tym nie trzeba geniusza, żeby się domyślić, co tu się dzieje. Powinno mi to schlebiać, ale tak nie jest.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Niczego nie zrobiłem.

– Tak, jasne. Wiesz, oni zawsze wracają.

– Kto wraca?

– Tacy jak ty. Słabeusze. Niepewni siebie, nerwowi. Upośledzeni emocjonalnie. Zawsze wracają na miejsce zbrodni, a ty, człowiek bez wyobraźni, powróciłeś na miejsce mojej zbrodni. Doprawdy, żałosne.

Olivier puścił kołnierz i poklepał Dominica po ramieniu z prześmiewczą serdecznością. Następnie sięgnął do kieszeni, wyjął nóż i przytknął mu ostrze do gardła.

– Co ty, kurwa?

Lekko osłabił nacisk. Był ciekaw, co Pine zrobi. Będzie walczył czy wiał? Nikłe światło wąziutkiego księżyca padało na twarz Dominica, dając odpowiedź. Bał się, ale w oczach miał chwiejną determinację, gotowość do poświęcenia.

Dominic chwycił Oliviera za nadgarstek, próbował odsunąć od szyi nóż. Wzdrygnął się, ponieważ czubek ostrza drasnął skórę i zaczęła sączyć się krew.

– Zadziorny z ciebie chłopak, co? – rzekł Olivier, opuszczając nóż. – Ale nie ty jesteś tutaj górą, synu.

– Czego chcesz?

Olivier się wyprostował, usłyszawszy w głosie Dominica wyzwanie. Już to widział, dokładnie siedem razy. Tę przelotną odwagę, zuchwałość ofiary.

– Pytasz, jak gdybyś miał jakiś wybór.

Mężczyzna zrobił krok w stronę Oliviera, zadarł podbródek i spojrzał mu prosto w oczy.

– To ty po mnie przyszedłeś – odparł prowokacyjnie. – Mówisz, że jestem żałosny, a sam jesteś słaby, ulegasz wpływom. Zabiłeś tę nieszczęsną dziewczynę, bo chciałeś mnie zwabić. Musiała zżerać cię świadomość, że ja gdzieś tam jestem i wodzę twoją cudowną panią komisarz za nos.

– I tu cię mam. – Olivier uderzył czubkiem noża w policzek Dominica. – Wiedziałem, że gdzieś tam jesteś. Ale to nie mnie chciałeś zaimponować, tylko jej.

Mężczyzna milczał.

– Co jest z tobą? Nie było cię stać na kwiaty dla pani komisarz, więc pomyślałeś, że będzie bardziej uległa, jeśli zastąpisz je częściami ciała?

– Pierdol się – wyrzucił z siebie Dominic, opluwając Oliviera.

Ten usunął ostrzem flegmę, która wylądowała mu na policzku tuż po okiem, a następnie przyłożył nóż do piersi Dominica i wytarł go do czysta.

– Nie jesteś idiotą. Wiedziałeś, że po ciebie przyjdę.

– Ależ jesteś przewidywalny – powiedział Dominic z udawaną pewnością siebie.

Olivier zareagował mściwym śmiechem.

– Nie do wiary, myślałem, że ty i ja jesteśmy tacy sami – rzekł Dominic z odrazą.

– Ani trochę.

– Sądziłem, że zrozumiesz. Zrobiłem to dla ciebie. Gdyby tamci przysięgli nie byli takimi śmierdzącymi tchórzami, byłbyś wolny, a ja nigdy nie skończyłbym w pudle.

– Jezu Chryste. Co ty brałeś, chłopcze?

W oczach Dominica błysnął gniew.

– Obaj zostaliśmy zdradzeni przez ludzi, którym ufaliśmy! – krzyknął. – Ale pokazaliśmy im, kto tu naprawdę rządzi. Myślałem, że docenisz, co dla ciebie zrobiłem. Że uszanujesz moją pracę. Naszą pracę.

– Szukasz szacunku? – zapytał z pogardą Olivier.

– Już nie. Niczego od ciebie nie potrzebuję.

– Chodźmy.

Wziął Dominica pod łokieć i pociągnął go w uliczkę prowadzącą do małego parkingu. Szarpnął mocniej, nie zważając na szuranie podeszew o płyty chodnika, gdy Dominic stawiał opór i zapierał się nogami. Wykręcił się, przewracając przy tym kubeł na szkło. Butelki rozsy-

pały się z brzękiem po betonie. Olivier pchnął Dominica na maskę czarnego mini i przyłożył mu nóż do brzucha. Wyjął kluczyki, otworzył drzwi samochodu.

– Nie jadę z tobą – syknął Dominic. Wyrwał się i upadł na kolana i dłonie. Znudzony Olivier ciężko westchnął, chwycił mężczyznę za kołnierz. Tani materiał zaczął się pruć.

– Nie mam zamiaru...

– Pozwoliłem ci się odzywać? – Puścił Pine'a. – Twoja robota to pieprzona żenada, chłopcze. A teraz pakuj się do bryczki.

Pchnął Dominica, który wylądował na siedzeniu pasażera.

– Dokąd jedziemy?

Olivier zignorował pytanie. Zapalił silnik i ruszył w stronę tunelu Rotherhithe.

Po piętnastu minutach wjechali na rozległe osiedle Pepys Estate w Deptford. Trzy najwyższe wieżowce Londynu strzelały w niebo niczym samozwańczy strażnicy. Tamiza wyznaczała jedną z granic tego owianego niegdyś złą sławą osiedla.

– Co tutaj robimy? – zapytał Dominic, gdy zaparkowali.

– Pomyślałem, że wybierzemy się na miłą przechadzkę przy księżycu.

Wysiadł i ostrzem noża wskazał swojemu pasażerowi, że ma uczynić to samo. Gdy szli wzdłuż rzeki, ściskał ramię Dominica. Pchnął go z całej siły na barierki i przyłożył mu do piersi czubek noża.

– Jesteś w kropce, synu.

Złapał go za szyję. Im mocniej Dominic wpijał paznokcie w jego ręce, tym mocniej zaciskał palce na jego gardle. Wezbrana woda w rzece pluskała o ściany nabrzeża. Nikłe światła z okolicznych mieszkań wyłuskiwały twarz Dominica z mroku. Miał wybałuszone, szkliste oczy i poczerwieniałą twarz. Olivier się uśmiechnął.

– Nawet nie próbowałeś mnie prześcignąć. – Puścił go i wyjął z tylnej kieszeni plik artykułów z gazet. Dominic upadł na ziemię, kasłając, łapiąc oddech. – Co za amatorszczyzna. – Rzucił Dominicowi na głowę wyświechtane strony gazet. – Po prostu rąbałeś ich na kawałki i rozrzucałeś po moim rewirze. Nawet nie wystawiłeś ich najpierw na widok, nie pochwaliłeś się.

– Ty jedną ze swoich ofiar rozwlokłeś po całej A2 – odparował Dominic.

– To była łamigłówka, miałem system. A ty odwalasz byle co. Nawet nie próbowałeś mnie prześcignąć – powtórzył.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Brak ci mózgu, żeby zrobić coś oryginalnego. Ukradłeś mój znak firmowy. Moje symbole. One należą do mnie. – Każde wycedzone słowo pieczętował silny kopniak w żebra. – Nie chcę, żebyś opatrywał swoją gównianą robotę moją metką, ty zasrany mazgaju.

Olivier klęknął, przyłożył dłonie do karku Dominica i ścisnął.

– Co oni ci zrobili? Czy ta ładna czarnoskóra dziewczyna dała ci kosza czy co? Czy twój kutas okazał się za mały?

Dominic wbił paznokcie w ręce Oliviera, próbując je odciągnąć.

– Twoje małe ego nie potrafiło poradzić sobie z faktem, że cię zakapowała. Żałosne.

– Odpierdol się – wycharczał.

Olivier ścisnął mocniej, jego palce zagłębiały się w żyle na szyi. Nie zwalniał nacisku, póki nie zobaczył, jak w białkach załzawionych oczu Dominica pękają drobne naczynia, póki nie poczuł, jak zwalnia puls, a ciało pod podbródkiem zaczyna nabrzmiewać. Dopiero wtedy puścił.

Dominic zwymiotował całą zawartość żołądka. Z trudem łapał powietrze, przytrzymując się zardzewiałej barierki i podciągając do pionu.

– Nie mają pojęcia... że to ja – wykrztusił. Każde słowo wypowiadał z wysiłkiem i bólem. – Jestem celem. Potencjalną ofiarą. A ty uciekłeś. To ciebie szukają, nie mnie.

Śmiech Oliviera rozniósł się w nieruchomym wieczornym powietrzu.

– Tak uważasz? Ja jakoś cię znalazłem. Pani komisarz też cię znajdzie, jeśli jej na to pozwolę.

– Jesteś zerem – wydyszał Dominic. – To dzięki mnie znów zacząłeś się liczyć.

Olivier złapał się za głowę i odchylił w tył.

– I to podobno ja cierpię na urojenia. No cóż, życzę szczęścia. – Olivier wyciągnął rękę.

– Co robisz? – zapytał zaskoczony Dominic.

– Życzę ci powodzenia.

– Ale... ale... – próbował coś wykrztusić.

Olivier nasłuchiwał odległego wycia policyjnych syren, które zaczęło się przybliżać.

– Rób, co chcesz.

– Kiedy z tym skończę, nie mam zamiaru spędzić reszty życia w więziennej celi. – Głos Dominica brzmiał słabo i nieprzekonująco.

– Uważaj, synu, czego pragniesz – rzekł Olivier, przyciskając czoło do głowy Dominica. – To jeszcze nie koniec. Nie powiedziałem ostatniego słowa. Wiem, jaki będzie mój kolejny krok. Nie robię tego dla jakiegoś złudnego kaprysu, dla rozgłosu. To nie jest dla mnie środek do celu. Ja mogę cię powstrzymać, ale nikt nie powstrzyma mnie.

Rozdział 87

Jedenasta przed południem. Detektyw Eastwood wachlowała się niedzielnym dodatkiem do gazety, obserwując z samochodu blok mieszkalny. Chance Blaine wrócił tu prawie trzynaście godzin temu, po zwolnieniu z aresztu. Z wyjątkiem światła migoczącego w oknie sypialni na czwartym piętrze w mieszkaniu Blaine'a nic się nie działo, od kiedy cztery godziny temu Eastwood zmieniła Stanforda.

Zobaczyła go w chwili, gdy chciała sięgnąć po torebkę popcornu.

Blaine wyszedł z bramy i wyjął telefon. Szedł żwawym krokiem z pochyloną głową. Kiedy skręcił za róg, Eastwood zapaliła silnik i pojechała za nim. Zatrzymała się na światłach, obserwując, jak Blaine biegnie w kierunku stacji kolejowej Woolwich Arsenal. Podjechała pod wejście od bocznej uliczki. Wysiadła, kiedy Blaine zniknął w budynku.

Najpierw zatarasowała jej drogę para świadków Jehowy, która rozstawiała przy wejściu regał z religijnymi broszurami. Później wchłonęła ją grupa skacowanych nastolatków. Wyjęła kartę komunikacyjną i przecisnęła się przez bramki.

Zobaczyła go na peronie. Rozmawiał z jakimś mężczyzną. Wydawało się, że się kłócą. Stojąca w pobliżu kobieta odsunęła się o kilka kroków. Gwizd lokomotywy przybierał na sile, przez megafon zapowiedziano przyjazd pociągu do Gravesend planowany na godzinę jedenastą dwadzieścia cztery.

Eastwood usłyszała przeraźliwy krzyk kobiety na długo przed piskiem hamulców pociągu.

– Jak to: nie żyje?

Henley stanęła jak wryta, a Emma wbiegła z Luną do parku.

– Co się stało? – zaniepokoił się Rob.

Henley bezgłośnie poruszyła ustami, informując, że dzwonią „z pracy", i machnęła ręką, żeby na nią nie czekał. Słyszała w telefonie wycie syren.

– Eastwood, co się stało?

– Chance Blaine nie żyje. Wyszedł z mieszkania. Pojechałam za nim na stację kolejową.

– Skoczył? – Henley wolnym krokiem podążała za swoją rodziną. Wyczuwała, że Eastwood stara się pokryć szok wymuszonym profesjonalizmem.

– Nie wiem. Nie widziałam. – Głos jej drżał.

– Eastie, oddychaj. Nie spiesz się.

– Powinnam była być szybsza.

– To nie twoja wina. Powiedz mi, co wiesz.

– Są świadkowie. Problem w tym, że każdy mówi co innego. Pewna para twierdzi, że mężczyzna wepchnął Blaine'a pod nadjeżdżający pociąg, a inni świadkowie i maszynista mówią, że sam się rzucił.

Henley wsłuchiwała się w przytłumiony głos rozmawiającej z kimś Eastwood, usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Wciąż na dworcu, w biurze kierownika. Ściąga nagranie z kamery zainstalowanej na peronie. Słuchaj, oddzwonię do ciebie za chwilę.

Kilka minut później zadzwonił telefon Henley. Emma szarpała torbę, szukając swojego napoju.

– Idź poszukaj tatusia – powiedziała do córki, otwierając na WhatsAppie wiadomość od Eastwood, która nagrała telefonem film z kamery na peronie i napisała: „Wiem, że gówno widać, ale to jest to nagranie z peronu".

Henley włączyła odtwarzanie.

„Tutaj jest Chance Blaine. Proszę, zatrzymaj wideo. Przybliż. O właśnie. A teraz przyjrzyj się stojącemu przed nim mężczyźnie".

Pod Henley ugięły się nogi. Aż przyklękła na trawie, patrząc, jak Olivier spycha Chance'a Blaine'a z peronu prosto na tory tuż przed nadjeżdżający pociąg.

Rozdział 88

Henley weszła w poniedziałek do SCU z bólem rozsadzającym czaszkę. Zamierzała spędzić niedzielę z Robem i Emmą, pójść do parku, zjeść razem lunch jak normalna rodzina – ale to było, zanim zobaczyła Oliviera zabijającego Blaine'a. Plany aresztowania Karen Bajarami także zostały pokrzyżowane. U Bajarami rozwinęła się sepsa. Jedyne, co Henley mogła w tej sytuacji zrobić, to przekonać tych na górze do postawienia policjanta pod szpitalną salą i nie zezwalać na żadne odwiedziny.

Zdjęła żakiet i odwiesiła go na oparcie krzesła.

– Jak minął weekend? – zapytała Ramoutera.

– Dobrze. W sobotę wieczorem pojechałem do Bradford – odparł z uśmiechem. – Do synka... Było miło. Ale wróciłem wykończony. Nie zdążyłem na ostatni pociąg... cholera. – Z niedowierzaniem popatrzył na Henley. – Niewiarygodne, że Blaine nie żyje. Jesteś pewna, że nie skoczył sam?

– Co to dla nas za różnica, czy sam odebrał sobie życie, czy ktoś mu w tym pomógł? Już po nim. – Resztę przemilczała. Że robi sobie wyrzuty i że nikt nie musiałby spędzać poranka na zeskrobywaniu z torów szczątków Blaine'a, gdyby z większą determinacją walczyła z koronną służbą prokuratorską.

– À propos. Dzwoniła Linh. – Ramouter odkleił od monitora karteczkę z notatkami. – Siostra Lauren Varmy przyjedzie o dziesiątej na identyfikację zwłok, a ciało Carole Lewis przywieziono o szóstej rano. Linh rozpoczęła sekcję, usunęła kilka włókien z rany szyi: kocią sierść, trawę i ciemnozieloną tkaninę poliestrowo-bawełnianą. Kombinezony ratowników medycznych są zwykle ciemnozielone i składają się w sześćdziesięciu siedmiu procentach z poliestru i w trzydziestu trzech z bawełny.

– Zanieczyszczenie krzyżowe?

– Mało prawdopodobne. Na miejscu nie było ratowników. Wiem, że to trochę naciągane, ale może nie miał zamiaru mordować jej w parku. Jeśli Pine był ubrany w kombinezon medyczny, być może planował ją obezwładnić i zabić gdzie indziej. W końcu kto zwróciłby uwagę na ratownika medycznego krzątającego się przy jakiejś osobie?

– Tylko że wciąż niewielki z tego pożytek. Bez dowodów obecności Pine'a na miejscu zabójstwa albo bez pozytywnej identyfikacji nie jesteśmy ani o krok bliżej schwytania sprawcy niż w chwili znalezienia nad rzeką rozczłonkowanych zwłok Kennedy'ego.

– Mam nagranie z kamery w parku, z okolicy, gdzie leżały zwłoki Lewis. Przyjrzę mu się uważnie. Może coś wyłapię.

Henley podeszła do okna. Widok z czwartego piętra ograniczał się do Greenwich High Street przesłoniętej wrześniowym deszczem. Minęło zaledwie kilka dni od szyderczego telefonu Oliviera. Nie miała pojęcia, na czym polega jego gra ani dlaczego zdecydował się pozostać w okolicy. Zastanawiała się, czy Mark nie miał racji, mówiąc, że Olivier i jego naśladowca prowadzą ze sobą jakąś chorą rywalizację.

Henley wyszła od Linh i pokonała krótki odcinek korytarza do poczekalni, gdzie siedziała siostra Lauren Varmy, Katherine.

– Dzień dobry. Komisarz... – Słowa uwięzły jej w gardle, a myśli kręciły się w kółko. Widziała przed sobą twarz Lauren Varmy. – Przepraszam – wykrztusiła.

– Och, nie wiedziała pani, że byłyśmy bliźniaczkami. Katherine Masters.

– Komisarz Henley.

Katherine wyglądała identycznie jak siostra z wyjątkiem krótkich, sięgających podbródka włosów. Była ubrana w drogie spodnium, bardziej odpowiednie na rozmowę o pracę niż identyfikację pokiereszowanego ciała siostry.

– Jak długo to potrwa? Mam spotkanie w mieście.

– Nie powinno zająć dużo czasu.

Gdy Katherine szła za Henley korytarzem, fasada opanowania, starannie skonstruowana za sprawą eleganckiego makijażu i markowych ubrań, zaczęła się kruszyć. Kobieta kurczowo ściskała metalowy łańcuszek torebki.

– Tędy. – Henley zatrzymała się pod pokojem oględzin. Katherine spojrzała na klamkę.

– A czy... czy ja...

Henley delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu. To samo pytanie zadawali wszyscy członkowie rodziny ofiar. Jak blisko będą musieli podejść? Czy muszą dotykać ciała? Czy ich bliski będzie wyglądał tako samo jak za życia?

– Będzie pani stała za szybą, a ja będę obok.

Pokój oględzin nie wyglądał zachęcająco. Butelka wody i kilka plastikowych kubków na stoliku. Henley nie potrafiła zliczyć, ile to już razy członkowie rodziny chwytali za najbliższy przedmiot w zasięgu ręki i ciskali nim w szybę. Wciąż wyczuwała pod palcami niemal niewidoczną bliznę na policzku, w miejscu, gdzie wbiły się jej w skórę odłamki szkła ze szklanki rzuconej w przypływie rozpaczy przez czyjegoś ojca.

– Jest pani gotowa?

– Nie za bardzo. – Katherine wzruszyła ramionami. – Ale lepiej mieć to za sobą.

Henley zastukała w szybę, za którą czekała Theresa, asystentka Linh. Katherine nie drgnęła, gdy rozsunęły się zasłony. Przez chwilę stała nieruchomo, a potem zaczęła trząść się jej głowa, z ust wymknęło się prawie niedosłyszalne: „nie".

Pod białym prześcieradłem ciało Lauren Varmy wydawało się kompletne. Nic nie wskazywało na to, że zostało pocięte na kawałki i zaprezentowane w postaci makabrycznej instalacji artystycznej.

Henley wyczuwała ból Katherine, która w końcu podeszła do okna i przyłożyła dłoń do szyby.

– Mogę z nią chwilę pobyć?

– Przykro mi – odparła Henley. – Muszę prosić...

– To moja siostra. Moja La-La.

Kobieta zaczęła płakać. Henley wzięła ją pod ramię i delikatnie wyprowadziła z pokoju.

* * *

Wyszły razem na parking, uciekając przed klaustrofobią kostnicy. Uber dla Katherine miał zjawić się za kilka minut. Deszcz ustał, jednak niebo nadal zasnuwała szara mgła.

– Mówiła mi, że kogoś poznała, ale... – urwała i zaczęła bawić się łańcuszkiem na szyi. – Kogoś z pracy. Gdzie są jej rzeczy?

– Słucham?

– Nie byłaby zadowolona, gdyby ktokolwiek dotykał jej rzeczy. Takie drobne dziwactwo. I chciałaby, żebym miała jej łańcuszek.

– Jaki łańcuszek?

– Taki jak ten. – Katherine pokazała srebrny naszyjnik. Na łańcuszku była zawieszona srebrna gwiazdka i szary kamyk. – Dostałyśmy je, kiedy miałyśmy piętnaście lat. To kamień księżycowy. Lauren interesowała się kryształami i tego rodzaju rzeczami. Miała go na sobie, gdy ją znaleziono?

– Będę musiała sprawdzić – skłamała. Nie musiała sprawdzać. Widziała biżuterię Lauren na szyi Karen Bajarami.

– Dobrze – rzekła cicho Katherine. – Nie zasłużyła sobie na to. Moja La-La.

– Nikt nie zasługuje na coś takiego.

Odezwał się telefon Katherine.

– Jest moja taksówka. Potrzebuje pani ode mnie czegoś jeszcze?

Henley pokręciła głową.

– W tej chwili nie.

– To dobrze. Dziękuję. – Ścisnęła w ręku torebkę i ruszyła do bramy.

– Och, o jednym zapomniałam – powiedziała Henley.

– O czym?

– Czy siostra miała przyjaciół?

– Właściwie nie. Zawsze była typem samotniczki, ale wspominała, że należy do jakiejś grupy. Wydawało mi się, że to klub książki. Polubiła się tam z jedną kobietą.

– Wymieniła jej imię?

Katherine się zastanawiała.

– Karen. Miała na imię Karen.

* * *

Odprowadzając wzrokiem taksówkę, Henley niezwłocznie zadzwoniła do Ezry.

– Ezra, musisz coś dla mnie zrobić.

– Co takiego?

– Skonfiskowaliśmy laptopa i komórkę Bajarami. Przejrzyj je.

– Czego szukamy?

– Wszystkiego, co łączyłoby Bajarami z Lauren Varmą. Należały do jakiejś grupy i myślę, że ta grupa ma coś wspólnego z Olivierem.

– Żaden problem. I jeszcze jedno. Zostawiłem ci coś na biurku.

– Co?

– Eh... po prostu wejdź na górę i zobacz sama. A potem zajrzyj do mnie. Muszę ci to wyjaśnić osobiście.

Henley zakończyła rozmowę i wróciła do kostnicy. Chwilowo odepchnęła od siebie pytanie, dlaczego Ezra musi porozmawiać z nią osobiście, i przygotowała się do obejrzenia zwłok Carole Lewis. Nie na zdjęciu. W rzeczywistości.

Rozdział 89

Carole Lewis została pochowana w taniej trumnie w grobie rodzinnym obok dziadków ze strony matki. Henley szczelnie założyła na twarz zieloną maseczkę. Carole była Żydówką, jej zwłok nie zabalsamowano. Przez cztery miesiące ciało leżało w chłodni, a rodzina chciała je pogrzebać, gdy tylko wydano na to zgodę. Pomimo ostatniej fali upałów grób nasiąkł wodą. Skóra Carole sczerniała, twarz była ledwo rozpoznawalna. Paznokcie odpadły, z ran kłutych wyciekły płyny ustrojowe.

– Myślałam, że będziesz już po robocie. Źle oszacowałam czas – rzekła Henley.

– Przepraszam. Trwało to nieco dłużej, niż się spodziewałam. Jak idzie śledztwo? – zapytała Linh, ściągając rękawiczki i wrzucając je do kubła na odpady medyczne.

– Dwa kroki do przodu, jeden krok w tył. – Henley spojrzała na nagie ciało Carole Lewis. To, kim była Carole, żyło tylko we wspomnieniach osób, które ją kochały, oraz tych, które jej nienawidziły. W równym stopniu. – Olivier i jego naśladowca jakby zapadli się pod ziemię. Zniknęli w eterze.

– Miałabym łatwiejsze zadanie, gdyby zabalsamowali zwłoki – mruknęła Linh, biorąc do ręki teczkę i przerzucając swoje notatki. – Okej, udało mi się pobrać kilka próbek do analizy toksykologicznej.

– Nie mogłaś wykorzystać tych oryginalnych?

– Tak bym zrobiła, gdyby nie to, że ktoś je zgubił. To jeszcze jeden powód, dla którego ciało wylądowało u mnie. Tak czy owak, chcę przeprowadzić kompletne badanie toksykologiczne pod kątem obecności w jej organizmie bezylanu atrakuriowego.

– Nie wykryliby tego przy pierwszej autopsji?

– Niekoniecznie. Miała też w organizmie kokainę, ale jej czystość wynosiła jedynie dwadzieścia pięć procent, co i tak jest niezłym wynikiem jak na gówno, z którym zwykle się stykamy. Reszta to zestaw tradycyjny: benzokaina, kodeina, paracetamol i jeden procent niewiadomy.

– Myślisz, że poszła do parku na haju?

– Biorąc pod uwagę ilość narkotyku w organizmie – tak, ale była w stanie zrozumieć, co się dzieje.

– Ma rany obronne.

– Tak, na dłoniach i ramionach, co sugeruje, że próbowała wyrwać nóż i zasłaniać się rękami, w ten sposób. – Linh skrzyżowała ręce przed twarzą.

– Napastnik się zbliża – mówiła Henley, łapiąc butelkę wody w zastępstwie prawdziwego noża. – I atakuje.

– Mogła być pod wpływem, ale odruchy by zadziałały. Unosi ręce, on się na nią rzuca. Ona chwyta za nóż. Zatacza się w tył. W tkankach wokół prawej kostki były obrzęki. Upada na ziemię, zabójca zadaje ciosy, tym razem w klatkę piersiową, ale te ledwo przecinają podskórną tkankę tłuszczową.

– Po czym przykłada jej nóż do gardła.

– Od prawej do lewej.

– Słucham?

– Twój zabójca-naśladowca jest leworęczny. Rany cięte znajdują się po lewej stronie klatki piersiowej. Myślę, że kiedy upadła na ziemię, on zaatakował ją od tyłu i poderżnął gardło, zaczynając od prawej strony. Musiał być cały we krwi. Wyciągnęłam włókna z rany w szyi. Mieszanina trawy, ziemi i jakiegoś materiału. Będę musiała odesłać je do analizy. Nie ściągaj rękawiczek. Przyjrzyj się lewej łydce.

Henley się pochyliła. Trudno byłoby nie zauważyć rany. Nie była tak głęboka jak cięcia na innych ciałach, ale połowa symbolu rzucała się w oczy. Podwójny krzyż, choć niedokończony.

– Najwyraźniej nie miał czasu na wycięcie całego znaku. Coś musiało mu przeszkodzić. Czy to oznacza, że Carole Lewis jest ofiarą numer cztery? – zapytała Linh, gdy Henley się odsunęła.

– Nie, to znaczy, że jest numerem jeden.

Rozdział 90

– Możesz przyjść do nas na górę. Nie gryziemy – zażartowała Henley.

Obserwowała, jak Ezra zrywa brązową taśmę z kartonowego pudła.

– Nadal jestem emocjonalnie okaleczony – powiedział, nim zarejestrował ściągniętą twarz Henley. – O, cholera. Przepraszam. Nie zajarzyłem. To tylko adidasy.

– Nie szkodzi. – Patrząc na czarne sportowe buty, które Ezra wyjął z pudełka, Henley poczuła, jak odrobinę rozluźniają się jej ramiona.

– Klasyczne air jordany prościutko ze Stanów. Nie dostaniesz takich w całej Anglii. No dobra, masz więc mapę, którą zostawiłem ci na biurku. Wiem, że lubisz oldskulowe klimaty.

– Mówi koleś, który wydał właśnie małą fortunę na parę air jordanów, które nosiłam, jak miałam czternaście lat.

– Tak się składa, że wysłał mi je wuj z Nowego Jorku. Prezent urodzinowy z wyprzedzeniem.

– Ale z ciebie egzemplarz. No dobrze, więc to mapa masztów komórkowych?

– Tak, w których logował się telefon Kennedy'ego. Ten, którego jeszcze nie znaleźliście. Czekaj, zrobię miejsce. – Ezra zabrał z biurka laptopa, odstawił go na parapet, uprzątnął klawiaturę, kontrolera Xboxa i nowe adidasy. – Jak ci wiadomo, komórka Kennedy'ego była aktywna aż do zeszłego wtorku, a jego bransoletka elektroniczna przestała działać w Ladywell Fields w ubiegły piątek. Skoncentrowałem się więc na przedziale czasu między piątkiem wieczór a wtorkiem rano.

– Pellacia cię o to prosił? – Była pod wrażeniem.

– Nie, pomyślałem, że będę miał co robić, a szczerze mówiąc, to przy okazji jestem wścibski. Okej, wiesz, jak działa telefon komórkowy.

– Ezra! Oczywiście, że wiem.

– Sprawdzam tak na wszelki wypadek. A więc kiedy włączasz komórkę, ona się łączy z najbliższym masztem przekaźnikowym. Telefon Kennedy'ego to wersja bardzo podstawowa, nie ma śledzenia lokalizacji, ale łączy się z masztem, a te w Londynie mają zasięg około kilometra.

– Ta niebieska kropka tutaj... – Henley wskazała miejsce na środku Ladywell Fields. – To telefon Kennedy'ego?

– Tak. I łączy się z anteną na dachu szpitala w Lewisham, a potem zaczyna się poruszać. Pamiętaj, to nie jest dokładna lokalizacja...

– Ale w promieniu półtora kilometra od miejsca, w którym znajduje się Kennedy?

– Zgadza się. A teraz idź za niebieskimi kropkami.

Henley sunęła palcem po mapie przez Lewisham, Brockley, Nunhead i Peckham. Zatrzymała się na ostatniej niebieskiej kropce. Maszt przekaźnikowy na dachu budynku należącego do osiedla Peabody w Camberwell, naprzeciwko sądu pokoju.

– Ten, kto załatwił Kennedy'ego i Zoe, unikał głównych dróg – skonstatowała Henley. – W jakiej skali jest mapa?

– Trzy centymetry to jeden kilometr, a kilometr nie sięga Lewisham High Street, Lewisham Way ani New Cross Road. Te wszystkie maszty znajdują się na dachach bloków przy bocznych uliczkach.

– A ta zielona kropka?

– To telefon Zoe, który przemierza tę samą trasę. Czasami łączy się z innym masztem przekaźnikowym, jak na przykład tutaj. – Ezra wskazał zieloną kropkę na drodze obok supermarketu Morrison's w Peckham. – Ona korzystała z innej sieci, więc nie ma w tym nic dziwnego.

– To kolejny dowód, że Zoe była z Kennedym.

– Z tą różnicą, że jej komórka przestaje się logować przy supermarkecie, co oznacza, że musiała wyładować się jej bateria.

– Ale telefon Kennedy'ego przemieszcza się nadal do Camberwell?

– A potem sygnał odbija się od trzech masztów w okolicy.

– Dlaczego?

– Najprawdopodobniej sygnał jest słaby i próbuje łączyć się z najbliższym przekaźnikiem – wyjaśnił. – Te trzy kropki to ostatnie trzy maszty, z którymi komórka Kennedy'ego łączy się we wtorek rano.

Henley bacznie przyglądała się mapie. Czerwona kropka była zaznaczona na Picton Street, niedaleko gmachu sądu. Następna na wysokości Camberwell College of Arts, ostatnia na Wilson Road.

– Wiesz, jak działa triangulacja, prawda? – Spojrzał pytająco na Henley.

Przypomniała sobie nudny wykład poświęcony analizie sieci nadajników komórkowych, na który wysłano ją, Stanforda oraz Pellacię niemal dziewięć lat temu. Urwali się w połowie i poszli do pubu.

– Jeśli trzy przekaźniki odbierają sygnał, można obliczyć odległość między telefonem a każdym z trzech punktów.

– Czwórka za dobre chęci. – Ezra wziął do ręki czarny marker i narysował wokół każdej z czerwonych kropek okrąg o średnicy trzech centymetrów. – Widzisz obręb, gdzie nachodzą na siebie wszystkie okręgi? Gdzieś tu jest telefon Kennedy'ego.

Henley przesunęła palcem po niewielkim owalnym obszarze. Gables Close, Hanover Street, Peckham Road i Stanswood Gardens. Teren zabudowany blokami mieszkalnymi, biurami lokalnego samorządu, gabinetami lekarskimi, długimi szeregami wiktoriańskich domów, ale były tam i place budowy. Gdzieś w tej przestrzeni w promieniu około półtora kilometra zamordowano Seana Delaneya, Daniela Kennedy'ego i Zoe Darego.

Rozdział 91

Było późno. Eastwood umówiła się na randkę, Ezra wyszedł wcześniej do domu, a Stanford próbował maksymalnie wykorzystać swój sezonowy karnet na mecze ukochanego Arsenalu. Ramouter niemal leżał na biurku w stanie podobnym do transu, oglądając nagranie z monitoringu. Henley wysłała dwóch policjantów pod mieszkanie wuja Pine'a, żeby sprawdzili, czy coś się tam dzieje. Zameldowali, że panują tam absolutne ciemności, nie ma żadnych oznak życia, a sąsiadka oświadczyła, że nie widziała go od czasu, kiedy ją o niego pytano.

– Idź do domu – powiedziała Henley do Ramoutera. – Nie możesz non stop ślęczeć nad tymi nagraniami, bo zwariujesz.

Ramouter nawet nie próbował stłumić ziewnięcia. Zdecydowanie stracił entuzjazm, który go przepełniał, gdy poznała go przy Watergate Street.

– Na pewno?

– Idź, zadzwoń do synka, przeczytaj mu bajkę na dobranoc. Zjedz coś zdrowego.

– Zdrowego? Widziałaś moją lodówkę? – Ramouter przerwał, by odebrać telefon. – Tak... rozumiem... kiedy? – Wyprostował się na krześle. – Okej. Jakieś odwiedziny... Kiedy będzie mogła... Aha... Proszę zadzwonić, jeśli coś się zmieni. Dziękuję. Dzwonili ze szpitala – zwrócił się do Henley. – Ade zmarł piętnaście minut temu.

Henley złapała się za głowę.

– Godzinę temu zakończyła się operacja Karen. Nie zdołali uratować oka.

– Patrzysz na mnie tak, jakbyś spodziewał się po mnie współczucia dla Bajarami.

– Nie, nie dla niej. Dla Adego – burknął. Wpatrywał się w Henley, jak gdyby nie mógł uwierzyć w niedorzeczność jej słów. – Żal mi Adego. Nie zasłużył sobie na taki koniec. Karen ponosi taką samą winę za jego śmierć, jak za to, że Lauren Varma leży teraz w kawałkach niedaleko stąd. – W złości kopnął kosz na śmieci. Zaklął, gdy zawartość rozsypała się po podłodze.

– Spokojnie. Oddychaj.

Ramouter opanował emocje.

– Przepraszam. Poniosło mnie. To było głupie.

– Nie przejmuj się. Co mówili o odwiedzinach?

– Jej mama i jeden z więziennych strażników próbowali złożyć jej rano wizytę. Po operacji nie było nikogo. Nikt, kto z wyglądu przypominałby Oliviera, nie kręcił się w pobliżu szpitala.

Henley odsunęła krzesło. Każda kosteczka w jej ciele domagała się gorącej kąpieli, połówki tabletki nasennej i wygodnego łóżka.

– Lekarze próbowali wybudzić go ze śpiączki farmakologicznej, ale dostał krwotoku mózgowego. Pracował w służbie więziennej dwadzieścia lat.

– Idź do domu – powiedziała stanowczo Henley. – Widzimy się jutro rano.

Patrzyła za wychodzącym Ramouterem. Szedł ze zwieszonymi ramionami, otaczała go aura porażki. W przypływie frustracji odepchnęła od siebie klawiaturę. Potrąciła kubek

z resztkami kawy, które rozlały się po biurku. Rzuciła się do wycierania chusteczkami tego bałaganu.

– W porządku?

Nie zauważyła, że Pellacia wyszedł ze swojego pokoju. Nie miała siły kłamać.

– Nie. Ten strażnik więzienny, Ade, umarł. Pine ulotnił się jak kamfora, a nawet gdyby siedział tu teraz przed nami, nie miałoby to większego znaczenia. Wszystko, co na niego mamy, to zeznanie naćpanego narkomana, częściowe odciski palców, których nie możemy nikomu przypisać...

Pellacia usiadł, nie spuszczając oczu z Henley, która stała odwrócona do okna.

– Jedź ze mną do domu – powiedział, pochylając się ku niej i kładąc dłoń na jej nodze.

Nie zepchnęła jej.

– Nie mogę. Po wszystkim, co się stało, uważam, że to nie jest dobry pomysł. Poza tym padam na twarz.

– Która z tych rzeczy jest wymówką?

Odwróciła się od okna.

– Żadna.

Pellacia spuścił wzrok.

– W tym wszystkim ty i ja jesteśmy normalni, prostolinijni. Tylko my razem tak naprawdę tworzymy jakąś sensowną całość. Czy jako przyjaciele, czy coś więcej. Jesteśmy bezpośredni, prości, Anj. Skomplikowane jest tylko to wszystko, co dzieje się wokół nas.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ zadzwonił jej telefon. Zrobiła zdziwioną minę na widok nazwiska na wyświetlaczu. Agent Chris Snyder z krajowej agencji zwalczania przestępczości. Znała Chrisa z dawnych czasów, kiedy była jeszcze szeregowym detektywem w komisariacie w Lewisham. Ale że dzwonił o tej porze? Dochodziła dziesiąta wieczorem. Mało prawdopodobne, że chciał uciąć sobie pogawędkę. Pokazała ekran Pellacii, a w tym momencie zaczęła dzwonić także jego komórka.

– Halo? Chris, co się stało?

– Słuchaj, Anjelico, wiem, że jest dość późno... – rzekł Chris.

– Delikatnie mówiąc.

– Mamy problem. Zaginął Michael Kirkpatrick.

Rozdział 92

Michael Kirkpatrick, sędzia przysięgły numer dziesięć, był irytujący i niechętny do współpracy, lecz Henley absolutnie nie życzyła mu stania się piątą ofiarą. Gdy przybyła pod jego dom w Streatham, zastała tam grupkę policjantów, którzy przerzucali się nawzajem odpowiedzialnością za to, co się stało. Ledwo Ramouter zdążył wyjąć z mikrofalówki kolację, Henley zadzwoniła do niego z garścią najświeższych informacji o rozwoju wydarzeń. Musiała długo go przekonywać, nim zgodził się pozostać w domu.

Do Henley podszedł Chris Snyder.

– Nie chciałem wyciągać cię o tej porze.

– Co się stało?

– W piątek rano dostałem wiadomość z agencji ochrony policyjnej, że Kirkpatrick cofa zgodę na ochronę osobistą. Jasno wyraziłem swoje stanowisko, że nie zamierzam zezwalać na wycofanie ludzi, ale... nie wiem... gdzieś nastąpiło nieporozumienie.

– Nieporozumienie? Chris, to jest klasyczna wtopa. Po prostu. Mieliście mieć go na oku.

– Wiem – odparł markotnie. – Co z pozostałymi?

– Naomi Spencer jest nadal w Wietnamie. Hamilton Bryce jest bezpieczny, ale na wszelki wypadek przenieśliśmy go w inne miejsce. Policjanci pilnują Naylora w jego domu, Jessica Talbot wraz z rodziną przebywa w bezpiecznym miejscu. Tylko Dominic Pine gdzieś przepadł. – Henley umilkła i westchnęła. Czuła na swych barkach ogromny ciężar tej sprawy.

– Opowiedz mi po kolei, co się wydarzyło – poprosiła, gdy stanęli pod drzwiami.

– Nikt nie widział Michaela Kirkpatricka, od kiedy w piątek przed dziewiątą wieczorem wyszedł z Leadenhall Market. Wedle jego kolegi Scotta Boxtree mniej więcej za kwadrans szósta wyszli razem z pracy i wybrali się na piwo. Wypili po trzy duże na głowę, a potem przespacerowali się do London Bridge. Tam Boxtree wsiadł do metra jadącego w kierunku Walthamstow i przypuszczał, że Michael wrócił do domu.

Budynek składał się z sześciu mieszkań rozlokowanych na trzech piętrach. Kirkpatrick mieszkał na parterze. Drzwi były otwarte na oścież, w środku policjanci. Na drugim końcu korytarza funkcjonariusz rozmawiał z jakąś zagniewaną Chinką.

– To jego dziewczyna, Anna. Wyjechała w podróż służbową, rozmawiała z nim dwa dni temu wieczorem. Próbowała dzwonić do niego wczoraj, ale nie odebrał, zadzwoniła więc do pracy...

– Ale go tam nie zastała? – Henley wzięła gumowe rękawiczki od stojącego w drzwiach policjanta w mundurze.

– Nie zastała. Zadzwoniła później do Scotta i dowiedziała się, że Michael nie zjawił się w biurze. Skontaktowaliśmy się z jego bezpośrednim przełożonym, który powiedział, że Kirkpatrick nie zgłosił choroby. Dotarła do domu po dziewiątej i zobaczyła to. – Chris wskazał mieszkanie.

Henley obejrzała drzwi wejściowe. Żadnych śladów włamania. Na stoliku leżał starannie ułożony stos listów i ulotek restauracji oferujących dania na wynos, ale był to jedyny ślad porządku w mieszkaniu. Na podłodze duża zielona plama, obok rozbite szkło. Oprawiona w ramki koszulka piłkarska Liverpoolu miała pękniętą szybę, stolik kawowy stał na środku pokoju pod dziwnym kątem, tak jakby ktoś mocno go pchnął.

– Gdzie są kryminalni?

– Staram się ich ściągnąć. To jeden z tych zwariowanych wieczorów. W ciągu godziny ktoś powinien się pojawić.

– Sąsiedzi zgłaszali zakłócanie spokoju?

Chris pokręcił głową.

– Nie było żadnych zgłoszeń. Para z mieszkania naprzeciwko twierdzi, że właściwie widywali Michaela tylko w weekendy. No wiesz, w przelocie.

Henley wyobraziła sobie przebieg wydarzeń. Ktoś zaskoczył Michaela przy drzwiach i wepchnął go do środka. Sądząc po rozbitej doniczce i wysypanej na podłogę ziemi, doszło do szarpaniny. Z tego, co zapamiętała, Michael Kirkpatrick sprawiał wrażenie człowieka, który potrafi się obronić. Z pewnością nie poddał się bez walki. W trakcie oględzin podłogi jej uwagę przykuły dwie rzeczy. Odcisk stopy i pomarańczowa nasadka o długości około pięciu centymetrów. Wyglądała jak kapturek zabezpieczający igłę strzykawki.

– Wyświadcz mi przysługę. Pamiętasz Anthony'ego? Naszego starszego oficera śledczego?

– Jak mógłbym zapomnieć. Wciąż korzystamy z jego wiedzy. Zajmuje pierwsze miejsce na mojej liście. Chcesz, żebym do niego zadzwonił?

– Jeśli nie doczekamy się nikogo z lokalnego komisariatu, wezwij Anthony'ego. Jestem pewna, że NCA ma jakieś wpływy.

– Tęsknię za pracą z tobą – wyznał Chris, wyjmując telefon.

Henley omiotła wzrokiem mieszkanie. Kirkpatricka z pewnością porwano z domu. Jeżeli około szóstej rano szykował się na poranną przebieżkę, czas pokrywałby się z wyłączeniem przez Pine'a MDT. Za siedem godzin upłyną dwie doby od zaginięcia Kirkpatricka. Gdyby miała zgadywać, powiedziałaby, że za kolejną dobę zostanie znaleziony w częściach gdzieś w południowo-wschodnim Londynie.

Na dworze zaczęło lekko mżyć. Na progu sąsiedniego domu jakaś kobieta paliła papierosa. Mimo późnej pory inni także wyglądali z okien, obserwując zamieszanie. Henley podeszła do młodego policjanta. Wyprostował się, gdy jego wzrok padł na jej służbowy identyfikator. Wszyscy tak reagowali.

– Mógłbym w czymś pomóc?

– Owszem. Rozmawialiście z sąsiadami?

– Tak, rozmawialiśmy. Ja i posterunkowy Ogbanna. Nikt niczego nie widział ani nie przekazał żadnych użytecznych informacji, ale pani Landry... – Wskazał kobietę palącą przed drzwiami papierosa. Ona spojrzała prosto na Henley, rzuciła niedopałek na ziemię i weszła do środka. – Powiedziała, że zna Michaela Kirkpatricka, ale tylko z widzenia. Kilka razy pomógł jej wnieść wózek. Mówi, że wczoraj po szóstej rano wyszła zapalić. Jej mąż nie lubi, kiedy pali w domu przy dziecku.

– I co widziała?

– Karetkę. Nie taką dużą, tylko z tych, które wyglądają jak...

– Jak zwykły samochód.

– Tak, w wersji kombi. Mówi, że nie zwróciła na nią większej uwagi. Widziała, jak ambulans podjeżdża pod dom sąsiada, ale wtedy obudziło się dziecko i weszła do mieszkania.

– Coś jeszcze?

– W zasadzie nic. Dodała tylko, że wydawało się jej to dziwne, ponieważ nie słyszała syren.

Rozdział 93

Henley nie doczekała się przybycia zespołu techników kryminalistyki. Anthony dostał wezwanie do jakiejś strzelaniny przy Kingsland Road, ale przyrzekł oddelegować do domu Kirkpatricka dwóch swoich ludzi, składając im nierealną obietnicę zapłaty za nadgodziny. W drodze do samochodu Henley czuła nieodpartą złość. Ktoś spartolił robotę, ale nikt nie chciał się przyznać. Robiła wszystko zgodnie z tym, jak ją szkolono, starała się najlepiej, jak mogła, a to i tak nie wystarczało. Jakby starała się za mało.

Wróciła do Greenwich. Sprawdzenie spisu wyborców przyniosło negatywne rezultaty. Po wyjściu z więzienia Pine nawet nie pofatygował się, by się zarejestrować.

– Musi być jakiś sposób... – powiedziała do siebie. Jechała przez Brixton Hill, kierując się w stronę Greenwich. Nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. Zadzwoniła do Ezry.

– Ezra, bardzo przepraszam, że zawracam ci głowę mimo późnej godziny – powiedziała, zatrzymując się na światłach tuż przy więzieniu Brixton.

– Nic nie szkodzi. Ale chyba poproszę cię o pogadanie z moją dziewczyną, bo niemal oskarżyła mnie, że mam na boku jakąś dziunię.

– Mogę z nią później porozmawiać, jeśli chcesz. A teraz muszę wiedzieć, czy możesz coś dla mnie zrobić. To pilne, ale...

– Wystarczy. O co chodzi?

– Adres. Mogę ci podać nazwisko i datę urodzenia, ale co do jego aktualnego miejsca zamieszkania trafiamy ciągle na mur. Pomyślałam, że może konta bankowe, telefon, podatek komunalny...

– Okej, okej, kapuję.

– Ez, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Podając jedyne dane personalne Dominica Pine'a, jakimi dysponowała, zdawała sobie sprawę, o co prosi. W zasadzie o zrobienie tego, za co wsadzono Ezrę do więzienia, lecz w tych okolicznościach nie widziała innego wyjścia. Status Michaela Kirkpatricka właśnie się zmienił z osoby zaginionej na porwaną, a na domiar złego istniało wielkie prawdopodobieństwo, że w ciągu dwudziestu czterech godzin nie będzie „uprowadzony", tylko martwy.

– Co ty tu robisz? – zapytała Henley, wchodząc do kuchni w SCU.

Ramouter w dżinsach i bluzie czekał, aż zagotuje się woda w czajniku.

– Głupio się czułem, siedząc w domu przed telewizorem i oglądając przegląd najciekawszych fragmentów meczów, podczas gdy on znów zaatakował. Herbaty?

– Dziękuję, z przyjemnością.

Streściła Ramouterowi, co zastała w mieszkaniu Kirkpatricka i co widziała sąsiadka. Kręcił głową i klął w stosownych momentach.

– Jak sądzisz? – zapytał, podsuwając Henley paczkę ciastek z dżemem. – Działa według swojego planu czy doprowadziliśmy do eskalacji?

– Jeśli ktokolwiek zaostrzył sytuację, to Olivier, mordując Lauren Varmę. To nie nasza wina. – Zamoczyła ciastko w herbacie. – Okres przestoju się skończył. I tyle. Gdybyśmy mieli szukać pozytywnych stron... – Henley przewróciła oczami na niedorzeczność szukania pozytywów w takiej sytuacji. – Jest w fazie wzmożonej aktywności i zachowuje się nieostrożnie. Nigdy nie porywał nikogo z domu. Mam teorię, że obserwuje wszystkich przysięgłych. Zna schemat ich pracy, wie, gdzie mieszkają. Dotychczas porywał ich w przestrzeni publicznej. Bo kto przy zdrowych zmysłach będzie podejrzewał ambulans. Jeśli jesteś na ulicy, czy to za kierownicą, czy na chodniku, jaki masz naturalny odruch?

– Gdy tylko usłyszysz te piekielne syreny, przystajesz. Jeżeli prowadzisz auto, zawsze zjeżdżasz na bok.

– I nie widzisz w tym nic podejrzanego, prawda? Możesz być ciekaw, co się dzieje, ale z pewnością nie podejrzewasz, że coś nie gra. Chyba że karetka podjeżdża pod czyjś dom bez sygnału i niebieskich świateł i równie cicho znika.

– Pine wykorzystuje ambulans do przewozu swoich ofiar. Gdzieś je zostawia, a potem musi wrócić...

– Do bazy. Używa zawsze tego samego pojazdu. Musi być w nim DNA przynajmniej jednej z ofiar. Żebyś był nie wiem jak ostrożny i uważny, wątpię, by dało się wyczyścić karetkę tak dokładnie, by usunąć wszystkie ślady.

– Ale nie możemy ot tak wparować do stacji pogotowia i poprosić o pożyczenie karetki. Na razie opieramy nasze śledztwo na hipotezach i założeniach.

Henley nie mogła się z nim nie zgodzić. Siedzieli w milczeniu, popijając herbatę, żałując, że to nie coś mocniejszego.

– No to jaki jest plan? – zapytał Ramouter.

Miała mu właśnie powiedzieć, że herbata i ciasteczka to bardzo miły przerywnik, ale dochodzi pierwsza w nocy i może jednak wypadałoby wrócić do domu, gdy zadzwoniła jej komórka.

– Ez! – Nie spodziewała się tak szybkiej odpowiedzi.

– Łap za długopis – rzekł Ezra. – Mam dwa adresy. Pierwszy to Beech Avenue siedemdziesiąt sześć w Bexleyheath. Ma konto bankowe zarejestrowane na ten adres. Mieszkają tam również Eileen i Ivan. Zapisałaś?

– Tak, zapisałam. – Henley nabazgrała adres na odwrocie koperty. – Teraz drugi.

– Hanover Street sto pięćdziesiąt osiem, Camberwell. Rachunki za gaz, prąd, wodę i umowa z operatorem sieci komórkowej.

Henley podziękowała Ezrze i powiedziała, żeby zrobił sobie rano wolne, a ona załatwi to z Pellacią.

– Szefowo, jeszcze chwila... pamiętasz mapę z masztami? Nadal ją masz?

– Zaczekaj. – Sięgnęła po złożoną kartkę papieru leżącą pod egzemplarzem „Metra" z poprzedniego dnia. – Mam.

– Widzisz?

– Cholera – zaklęła pod nosem, kładąc palec w miejscu, gdzie zachodziły na siebie trzy narysowane przez Ezrę okręgi. W środku tego obszaru znajdowała się Hanover Street. Jeżeli istniała jakakolwiek szansa na znalezienie Michaela Kirkpatricka w jednym kawałku, należało jechać do Camberwell. Natychmiast.

Rozdział 94

Dom pod numerem 158 przy Hanover Street stał na końcu długiego rzędu szeregowej zabudowy. Front przesłaniały nieprzycinane krzewy róż oraz bujny rdestowiec. Podobnie jak przed kilkoma innymi budynkami, tak i tutaj stał kontener wypełniony połamanymi płytami gipsowo-kartonowymi i drewnem. Po lewej stronie znajdowały się pomalowane czarną obłażącą już farbą drewniane drzwi, które, jak domyślała się Henley, prowadziły do ogrodu z tyłu. Pomimo późnej nocy ulica nie była cicha.

– Co myślisz? – Ramouter zmierzył wzrokiem budynek.

– Rozejrzyjmy się szybko.

– Nie czekamy na posiłki?

– Są piętnaście minut drogi stąd. Tylko rzucimy okiem – powiedziała, niepewna, czy Ramouter uwierzył w chociaż jedno słowo.

Mur wznosił się na wysokość prawie dwóch metrów, nie mogła więc zajrzeć do ogrodu, za to dostrzegła biegnącą za nim ścieżkę. Ruszyła pierwsza, Ramouter z tyłu. Niechcący spłoszyli lisa, który najpierw przyglądał się im przez kilka sekund, a potem uciekł. Zatrzymali się przed drewnianą furtką. Od tyłu ogród nie był tak zarośnięty jak od frontu. Przez sztachety Henley widziała tył domu. Kuchenne okno oraz drzwi były zaklejone gazetami. Z prawej strony wyłaniał się dach szopy. Henley ponownie nacisnęła klamkę furtki. Usłyszała, jak metalowa kłódka po drugiej stronie uderza o drewno. Zdawało się jej jednak, że słyszy coś jeszcze: jakby łomot.

– Słyszałeś? – zapytała szeptem Ramoutera. Pokręcił głową.

Jeszcze raz szarpnęła klamkę i tym razem usłyszeli oboje. Łomotanie, a potem głuchy odgłos w szopie. W tym momencie w domu zapaliło się światło. Henley dostrzegła słaby zarys postaci za matową szybą na piętrze.

– Ktoś tam jest – powiedziała do Ramoutera. – Zapukaj do drzwi, zobaczysz, czy ci otworzy.

– Ale co mu powiem? Jeśli to on?

– Prawdę – odparła. Światło na górze zgasło. – Powiesz mu, że zaginął Michael Kirkpatrick i że sprawdzamy, czy u niego wszystko w porządku. A potem skłam. Powiedz, że w okolicy widziano Oliviera.

Ramouter nacisnął dzwonek. Spojrzał na zegarek i nasłuchiwał odgłosów oznajmiających nadejście posiłków, ale nie słyszał syren ani nie widział mrugających w oddali niebieskich świateł. Zadzwonił ponownie. Poczuł zdenerwowanie. Miał nadzieję, że to tylko umysł Henley płatał jej figle, gdy wskazywała czyjąś postać za oknem. Strach ścisnął mu gardło, gdy przy dotknięciu drzwi ustąpiły. W korytarzu było ciemno, słyszał tylko tykanie zegara. Gołe deski podłogowe zaskrzypiały. Przywitał go zapach wilgoci i trocin. Podłogę na końcu korytarza oświetlała kuchenna lampa. Zastanawiał się, czy nie zawrócić. Nie zaczekać. Zamiast tego wszedł dalej.

Kuchnia była opróżniona z mebli. Został zlew i stojąca na lodówce kuchenka mikrofalowa. Poza tym pusto. Na ścianach ślady po szafkach. Ramouter kichnął, kurz z kruszącego się starego tynku załaskotał go w nos.

Ktoś tu był i najwyraźniej wyszedł w pośpiechu, bo nie zamknął drzwi. To powinno nieco uspokoić Ramoutera, on jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie w porządku. Zauważył odciski butów na gołej betonowej posadzce. Nie należały do niego. Kucnął i prześledził bieg wilgotnych, krwawych zawijasów pozostawionych przez podeszwy sportowego obuwia. Prowadziły do kuchni, okrążały ją i zawracały do korytarza, ale nie zmierzały w kierunku drzwi frontowych.

Henley natknęła się na stolik wyrzucony na ścieżkę razem ze stłuczoną lampą i zardzewiałym grillem. Furtka była zamknięta na kłódkę. Nie dało się jej sforsować bez robienia przy tym hałasu i ostrzeżenia Dominica Pine'a. Zaniosła stolik pod furtkę i weszła na blat. Metalowe nogi ugięły się pod jej ciężarem, musiała łapać równowagę. Następnie postawiła prawą stopę na krawędzi deski i się podciągnęła. Drzazgi wbiły się jej w skórę, gdy mocniej odepchnęła się od szczytu bramki.

Obok przejechał samochód z głośno pracującym silnikiem. Kiedy skręcił za róg, ryk silnika przycichł. Wtedy przełożyła nogi na drugą stronę. Po omacku szukała jakiegoś punktu oparcia dla stopy. Zahaczyła dżinsami o różany krzew. Ponieważ nie znalazła podpory, zeskoczyła prosto na twardy beton. Skrzywiła się, złapała za łokieć, czując ostry ból przeszywający ramię. Przeturlała się, wstała i dotknęła ściany szopy. Była solidna, nie jak te rachityczne ogrodowe konstrukcje, w których przechowuje się kosiarki i zepsute odkurzacze.

Zamarła, gdy zapaliło się światło na parterze, prześwitując przez gazety w oknach. Choć sam ogród był zarośnięty trawą i chwastami, od tylnych drzwi do szopy prowadziła dobrze wydeptana ścieżka. Jedyne okienko wychodzące na dom było zaciemnione. Henley dwukrotnie kopnęła w drzwi, po czym przyłożyła do nich ucho. Tym razem słyszała wyraźniej. Odgłos czegoś spadającego na ziemię i stłumione krzyki.

Rozdział 95

Dwanaście godzin wcześniej...

Bronił się, jednak zabójca był silniejszy. Poczuł, jak pięść trafia go w nos i szczękę. Słyszał chrzęst miażdżonych kości. Usta wypełniły się krwią, język wypchnął fragmenty zębów. Myślał, że zdobywa przewagę, gdy okładał napastnika pięściami, kopał, zacisnął usta wokół jego ucha, wbił zęby i mocno szarpnął. Myślał, że wygra, słysząc krzyk mordercy, potem jednak coś ciężkiego uderzyło go w skroń. Nie pamiętał, że wleczono go po podłodze. Nie pamiętał, jak rozbierano go do naga i oparto o ścianę.

– Oprzytomniałeś. Najwyższy czas.

Rozpoznał głos, lecz nie był w stanie obrócić głowy. Zdrętwiał mu każdy mięsień. Jedyne, co był w stanie zrobić, to patrzeć prosto przed siebie wpółmroku. Widział przed sobą okno, lecz zasłony były zaciągnięte. Chciał podnieść głowę. Otworzyć usta, powiedzieć zabójcy, że przeprasza, że wyjedzie i nie piśnie nikomu ani słowa, ale nie mógł ruszyć nawet palcem.

– Z pewnością się zastanawiałeś... Jakie to uczucie nie mieć żadnej kontroli – powiedział zabójca. – Móc jedynie patrzeć i słuchać głosów we własnej głowie, powtarzać sobie w kółko pytanie: „dlaczego ja?".

Czuł, jak napinają się drobne mięśnie oczu, gdy próbował na próżno poszukać wzrokiem zabójcy, zlokalizować źródło niebezpieczeństwa, zaniechał jednak wysiłków, gdy ujrzał przed sobą parę nóg. Widział, jak noga się podnosi, ale gdy zderzyła się z jego klatką piersiową i przewróciła go na bok, nie czuł zupełnie nic. Chciał powiedzieć: „Nie rób tego. Proszę". Próbował przemówić albo chociaż poruszyć małym palcem. I wtedy to poczuł. Ostre mrowienie w szyi i żuchwie. Ciało się budziło. Otworzył usta.

– Nie – wyszeptał, podnosząc wzrok na zabójcę. – Nie – powtórzył, gdy mężczyzna chwycił go za nogi i pociągnął po podłodze.

– Niestety, nie dosłyszałem. Musisz mówić głośniej.

– Nie.

– Hm, obawiam się, że ciut na to za późno. Doprawdy, nie mogę odstąpić od planu.

Starał się unieść głowę, nasłuchiwał kroków w pokoju i wtedy dostrzegł ostre zęby piły.

– Nie – powtórzył kolejny raz na widok ostrza, którym tamten machał mu przed nosem, a potem usłyszał śmiech.

– Postanowiłem zacząć od ręki – oznajmił morderca. – Gdybym zaczął od nogi, skończyłoby się na przecięciu tętnicy głównej, a bardzo bym nie chciał, by ominęła cię cała zabawa.

– Proszę, przestań – błagał. Powinien być wdzięczny, że nie czuł bólu, powinien uznać to za błogosławieństwo, niemniej doskonale zdawał sobie sprawę, czemu poddawane jest jego ciało. Odchylił głowę w tył, zamknął oczy, nie potrafił jednak nie reagować na uczucie delikatnego szarpania skóry na ramieniu oraz strumienia wibracji towarzyszącego miarowemu ruchowi piły. Nie mógł odciąć się od niskiego warkotu przepiłowywania kości. Po chwili wszystko

ustało. Żadnego ruchu, tylko ciężkie dyszenie. A potem głośny pomruk satysfakcji i brzdęk piły rzuconej na ziemię.

– Spójrz tylko na to – powiedział spokojnie zabójca.

Rozpoznał podkowiastą bliznę na wewnętrznej stronie odpiłowanej ręki. Kiedy miał dziewięć lat, spadł z dachu szopy. Kość przebiła skórę. Nie słuchał, gdy mama kazała mu zejść. Nigdy nie słuchał. Patrzył teraz na kość, która sterczała z wiszącej mu przed nosem ręki. Rozpoznał własne palce. Nie zamknął oczu, gdy krew spływała mu na twarz. Czuł, jak zalewa mu oczy. Pragnął ciemności, nie mógł jednak powstrzymać zgrzytu piły zagłębiającej się w kość udową.

Rozdział 96

Drzwi szopy były zamknięte na kłódkę, ale stare śruby mocujące zamek przerdzewiały. Drewno zdradzało ślady butwienia. Henley kucnęła i rozglądała się w wysokiej trawie za czymś, czym dałoby się otworzyć drzwi. Zgięte palce dotknęły jakiegoś zimnego metalowego przedmiotu. Trzymała w dłoniach zepsute ostrze kosiarki. Wcisnęła je między drewniane drzwi a płaskie mocowanie kłódki i szarpnęła. Czuła, jak ostrze rani skórę dłoni, już i tak pokaleczoną wbitymi drzazgami i ubrudzoną ziemią. Po paru minutach zardzewiałe śruby puściły. Henley rzuciła ostrze w trawę i otworzyła drzwi.

Niemal potknęła się o Michaela Kirkpatricka, który leżał skrępowany na ziemi z nogami skierowanymi w stronę wyjścia. Spojrzał na nią szeroko otwartymi ze strachu oczami. Z trudem powstrzymała wymioty. W szopie cuchnęło moczem i zepsutym mięsem, czuć było także metaliczny zapach krwi.

– Pamięta mnie pan? Komisarz Henley.

Włączyła latarkę w telefonie i skierowała snop światła na Michaela. Usta miał zaklejone mocną srebrną taśmą. Twarz pokaleczoną i posiniaczoną, ze skorupą zaschłej krwi, która osiadła także w rowkach taśmy.

Henley starała się delikatnie zerwać taśmę z jego ust.

– Już dobrze, już dobrze. Jestem tu – powiedziała, gdy mężczyzna głośno odetchnął i zaczął dławić się od łez.

– Proszę, błagam, on mnie zabije – wykrztusił ochrypłym głosem, trzęsąc się na całym ciele. – Zapowiedział, że mnie zabije.

– Nie zabije. – Henley wyjęła policyjne radio. Miała nadzieję, że Ramouter włączył swoje i wyjdzie z budynku.

– Tu komisarz Henley. Kod zero. Potrzebuję pilnej pomocy przy Hanover Street sto pięćdziesiąt osiem w Camberwell. Stefan. Edward. Pięć. Cztery. Celina. Ludwik. Powtarzam, potrzebuję pilnej pomocy.

Odłożyła radio, rozejrzała się za czymś, czym można by przeciąć kabel krępujący nogi i ręce Michaela.

Zadrżała. To wszystko odbywało się tutaj. Wszystkie zabójstwa. Obok stołu stolarskiego stała w kącie wielka rolka plastikowej folii. Dwie duże piły i mniejsza piłka do metalu leżały pod stołem. Podłogę plamiła krew. Światło odbiło się od czegoś metalowego przy stopie Michaela. Był to złoty koralik na długim warkoczyku, podobnym do tych, które widziała na głowie Zoe Darego.

Z sufitu posypały się na głowę Ramoutera okruchy tynku. Stanął nieruchomo i nasłuchiwał odgłosów domu. Zegar w korytarzu tykał nadal, z kranu w kuchni kapała rytmicznie woda do ceramicznego zlewu. Ominął krwawe odciski stóp i poszedł korytarzem do schodów. Położył rękę na odrapanej, chropowatej poręczy. Jego kroki tłumił pokryty grubą warstwą kurzu chodnik.

Piętro było wąskie i ciasne. Korytarzyk miał niespełna półtora metra długości, była tam łazienka, sypialnia z niepościelonym łóżkiem i trzecie drzwi. Zamknięte. Pchnął je i wszedł do środka. Zwymiotował, gdy tylko poczuł zapach świeżej krwi. Zapalił światło.

– O Boże – wykrztusił. Znów szarpnęły nim torsje, gdy stopy zapadły się w wykładzinę nasiąkniętą krwią. Miał przed sobą odciętą głowę Dominica Pine'a.

Pozostałe części ciała były rozłożone na podłodze niczym makabryczna układanka. Ramouter błyskawicznie sięgnął po radio.

Pośród trzasków rozległ się głos Henley wzywający pilnej pomocy. Zrobił krok w tył i natknął się na jakąś przeszkodę. Na uchu poczuł gorący oddech.

– Detektyw Salim Ramouter – powiedział Olivier. – Nie sądziłem, że tak szybko spotkamy się ponownie.

Ramouter się odwrócił. Stał nos w nos z Olivierem. Strach nie pozwolił mu się odsunąć.

Olivier wskazał nożem szczątki Pine'a.

– Podoba ci się moje dzieło? Starałem się o spójną kompozycję. Trochę w pośpiechu, ale zrobiłem, co mogłem.

Ramouter milczał. Rozchodzące się po całym ciele przerażenie odebrało mu zdolność myślenia.

– Odjęło ci mowę, detektywie Ramouter? Naprawdę musisz popracować nad umiejętnościami społecznymi.

Ramouter cofnął się niepewnie o krok i potknął o lewą rękę Pine'a.

– Nie uciekaj. – Głos Oliviera był cichy, niemal czuły. – Ten za tobą próbował i widzisz, jak na tym wyszedł.

Nagle Olivier natarł na Ramoutera. Stażysta krzyknął, gdy nóż wbił mu się w ramię. Olivier wyciągnął ostrze i zaatakował ponownie. Nie zważając na ból i krew rozlewającą się ciemną plamą na rękawie, Ramouter odepchnął napastnika. Błyskawicznie wcisnął w radiu guzik alarmowy.

– Kod zero – krzyknął, zanim Olivier z całej siły wbił się w niego ramieniem.

Ramouter jęknął z bólu i upadł, uderzając najpierw głową o ścianę, a następnie lądując na tułowiu Pine'a. Zdezorientowany, dopiero po chwili uświadomił sobie, że trzyma ręce we wnętrznościach ofiary.

Olivier zadał Ramouterowi cios pięścią w twarz i docisnął ranę na ramieniu.

– Mam zamiar rozprawić się z tobą równie dobrze, jak rozprawiłem się z twoją panią komisarz. Zostawię ci po sobie pamiątkę.

Ramouter widział za Olivierem otwarte drzwi, które zachęcały do ucieczki. Odepchnął Oliviera na bok. Wtedy on ponownie wbił nóż w otwartą ranę. Ramouter krzyknął.

W radiu słychać było głos Henley.

– Ramouter! Ramouter? Zgłoś się!

Nim zdążył ją ostrzec, żeby uciekała, Olivier znów uderzył go pięścią w twarz z taką siłą, że złamał mu ząb. Poczuł smak krwi i wypluł okruchy trzonowca. Olivier wyrwał mu radio.

– Halo, pani komisarz! – powiedział. – Mam tu twojego chłoptasia. Leży pode mną.

Ramouter kopnął, trafiając Oliviera w krocze. W oddali wyły policyjne syreny. Ramouter przekręcił się na brzuch i próbował wstać, ale zawroty głowy powaliły go z powrotem na zie-

mię. Słyszał, że Henley przełączyła kanał na rozmowę grupową. Policjanci potwierdzali, że są w drodze do domu Pine'a.

– Olivier?! – wrzasnęła przez radio.

– Henley! – krzyknął Ramouter.

Olivier chwycił go za nogę. Ramouter najpierw poczuł mocne ukłucie w kostce, a po chwili miał wrażenie, że w jego żyłach płynie lodowata woda. Zauważył strzykawkę w ręku napastnika. W kącie ładowała się elektryczna piła. Olivier po nią sięgnął, ale w tym momencie Ramouterowi udało się wstać. Zacisnął zęby i z determinacją rzucił się na Oliviera. Ten krzyknął, zderzając się ze ścianą, a potem przytrzymał się Ramoutera, żeby nie stracić całkiem równowagi. Stoczyli się razem ze schodów, wyłamując po drodze tralki balustrady. Gdy Olivier zwalił się na Ramoutera, ten zupełnie nic nie poczuł. Próbował poruszyć nogami. Na próżno. Ciało zamieniało się w stężały beton. Każdy staw został unieruchomiony, każdy mięsień obkurczony i sztywny. Słyszał, jak ktoś wybija szybę w oknie, nie mógł jednak otworzyć ust ani wezwać pomocy.

– Ramouter! – krzyczała Henley. Jej głos ginął pośród wzmagającego się wycia syren.

Próbował odwrócić głowę. Nic z tego. Ze swego miejsca na podłodze widział, jak otwierają się frontowe drzwi. Olivier wypadł na zewnątrz, nie oglądając się za siebie. Kilka sekund później przeraźliwie zapiszczały hamulce. Piskowi towarzyszył niedający się z niczym pomylić odgłos metalu zderzającego się z mięśniami i kośćcem.

Rozdział 97

Na Hanover Street było tak jasno, jakby przedwcześnie wstał świt. Syreny ucichły, lecz nadal błyskały niebieskie światła. Policja sforsowała ogrodową furtkę, ratownicy kładli Michaela Kirkpatricka na noszach. Był odwodniony i w szoku. Henley musiała siłą oderwać jego rękę, gdy usłyszała, jak jej partner wzywa pomocy.

– Gdzie Ramouter? – zapytała tłoczących się w ogrodzie policjantów.

– W środku – wyjaśnił jeden z nich. – Żyje, ale odniósł obrażenia. Są przy nim ratownicy.

– A Olivier? Peter Olivier był w domu. Słyszałam go.

– Nie wiem, proszę pani. Nigdzie go nie widziano.

– A Dominic Pine?

Policjant pokręcił głową.

– Ani śladu, ale jeszcze nie przeszukaliśmy domu.

Henley poszła za ratownikami, którzy przewozili Kirkpatricka do ambulansu.

– Dokąd go zabieracie? – zapytała.

– Do szpitala King's College – wyjaśniła ratowniczka.

– Okej. Pamiętajcie, żeby nie odstępować go na krok – powiedziała Henley do policjanta towarzyszącego kobiecie. – Nie można zostawić go samego. Jasne?

– Nie pojedzie pani ze mną? – zapytał Michael. – Wolałbym, żeby była pani obok.

– Przyjadę, obiecuję – odparła, ściskając jego dłoń. – Muszę najpierw sprawdzić stan pewnej osoby.

Biegnąc na front domu, starała się zapanować nad natłokiem emocji – szokiem, smutkiem, niepokojem i euforycznym wyrzutem adrenaliny. BMW, które widzieli wcześniej, stało przed domem Pine'a. Duże pęknięcie na przedniej szybie rozchodziło się promieniście niczym pajęcza sieć. Kierowca samochodu, młody Azjata, stał przy aucie i rozmawiał z policjantem. Chłopak cały się trząsł.

– Zupełnie go nie widziałem. Wybiegł znienacka. Wcale szybko nie jechałem. Po prostu wyskoczył mi tuż przed maską.

– Fam – odezwał się kolega kierowcy oparty o drzwi od strony pasażera. – Myślałem, że go zabiłeś.

– Jak to się stało? – zapytała go Henley.

– Wiem tylko tyle, że jakiś wariat wybiegł pędem na drogę. Koleś musiał być naćpany albo coś. Czilujemy sobie w bryczce, a nagle gościu wpada nam na maskę. Myślałem, że nie żyje. Kumpel zaczął krzyczeć...

– Nie krzyczałem, Ashton – sprostował kierowca.

– Po co ściemniasz, stary? No więc zaczął wrzeszczeć, a ja wysiadłem.

Henley miała ochotę nimi potrząsnąć.

– Widzieliście, skąd wybiegł?

– Nie, wyskoczył znikąd. Wysiadłem, próbowałem mu pomóc. Zachować się jak porządny obywatel i te de. Powiedziałem, że wezwę pogotowie...

– Gdzie on jest? Dokąd poszedł?

– Właśnie próbuję pani powiedzieć. Facet się zmył. Tak jakby tylko się o coś potknął albo otarł. Po prostu wstał i pobiegł w stronę bloku. Sfilmowałem, jak odbiega. Chce pani zobaczyć?

– Nie ruszajcie się stąd – nakazała, zauważywszy zmierzającą ku niej Eastwood.

– Stanford mnie powiadomił. Co z Ramouterem? – zapytała Eastwood.

– Wiem tylko, że, chwała Bogu, żyje. Olivier go tu dopadł.

– Co?! Skąd się tu wziął? – Zirytowana Eastwood złapała się za głowę. – Ja pierdolę...

– Nie mam pojęcia. – Henley rozejrzała się wokół. – Musisz pojechać z Kirkpatrickiem do szpitala. Karetka jeszcze nie ruszyła. Gdy się uspokoi, ochłonie i zostanie przebadany, spisz jego zeznanie. Muszę wiedzieć o wszystkim, co widział i słyszał, zanim tutaj dotarłam. I jeszcze jedno. Eastie, nie odstępuj go nawet na chwilę. Chcę, żeby pilnował go ktoś, kogo znam i komu ufam.

Eastwood kiwnęła głową i pobiegła do ambulansu.

Poziom adrenaliny powoli opadał. Henley wiedziała, że Ramouter żyje, ale nie przestawała się bać, w jakim zobaczy go stanie, za co ponosi odpowiedzialność. Czuła narastający wstyd. Naraziła go na niebezpieczeństwo. O mało go nie zabiła.

Gdy ujrzała Ramoutera leżącego na podłodze, odetchnęła z ulgą. Jedyną częścią jego ciała, która się poruszała, były załzawione oczy. Uklękła przy nim i otarła mu łzy.

– Co z nim? – zapytała ratowniczkę opatrującą ranę.

– Został kilkakrotnie ugodzony nożem w ramię, ale nie wiem, jak głębokie są rany. Ma stłuczenia klatki piersiowej, więc bierzemy pod uwagę możliwość złamania żeber. Na razie nie jest w stanie się poruszać, nie może mówić. Został mocno pobity. Nie wykluczamy uszkodzenia rdzenia kręgowego...

– Nie – przerwała Henley. Jej wzrok padł na strzykawkę na podłodze. – Wstrzyknięto mu bezylan atrakuriowy.

Ratowniczka pokręciła głową i mruknęła coś pod nosem. Zdaniem Henley zabrzmiało to tak, jakby mówiła: „Mam dość, powinnam była pójść na zwolnienie". Dwóch ratowników pojawiło się z noszami.

– Domyślacie się, od jak dawna jest pod wpływem tej substancji? – zapytała ratowniczka.

– Mniej więcej od dwudziestu minut. – Henley podniosła wzrok na Stanforda schodzącego na parter. Miał pobladłą twarz.

– Okej. Cholera... – zaklęła ratowniczka. – W życiu się z czymś takim nie spotkałam. Nawet nie wiem, co to jest to atra... atraki... czy jak to tam się nazywa.

– To środek powodujący paraliż. Pojadę za tobą do szpitala, dobrze? – Henley zwróciła się do Ramoutera. Ścisnęła mu dłoń, choć nie była pewna, czy on cokolwiek czuje.

Usunęła się z drogi, ponieważ ratownicy przystąpili do układania Ramoutera na noszach.

– Kryminalni są już w drodze? – zapytał Stanford.

– Co się dzieje na górze? – Henley nie musiała w zasadzie czekać na odpowiedź. Wiedziała. – Dominic Pine nie żyje? Prawda?

– Jest w sypialni od frontu. W kawałkach. W wielu kawałkach. Nie pójdę tam z powrotem. Ty też nie powinnaś tam wchodzić. Henley, co tu się wydarzyło, do ciężkiej cholery?

– Olivier. Wydarzył się Olivier.

– Jesteś pewna, że to był on?

– Słyszałam go przez radio... Na pewno on. Zwracał się do mnie po imieniu. O, Boże... Ramouter. Jak mogłam...

Ogarnęła ją panika. Pochyliła się, wspierając dłonie na kolanach.

– Hej, przestań – powiedział Stanford. Objął ją ramieniem i delikatnie podciągnął do pionu. Nie protestowała. Oboje patrzyli, jak zabierają Ramoutera do szpitala. – Nie obwiniaj się.

– Jak mogę się nie obwiniać? Powinnam była zaczekać na posiłki, zamiast posyłać go tam samego. Dałam ciała, Stanford. On nigdy mi tego nie wybaczy.

– Skąd mogłaś wiedzieć? Nie ma w tym twojej winy – zapewnił stanowczo.

– Łatwo ci mówić. Nie do wiary, że Pine był cały czas o krok przed nami i zwyczajnie sobie z nas drwił.

– Pine to w tej chwili nasze najmniejsze zmartwienie. Najważniejsze, że Kirkpatrick ocalał, a Ramouter wciąż jest z nami. Chcesz rzucić okiem na kuchnię, zanim technicy wezmą się do pracy?

– Jest źle?

– W porównaniu z tym, co zastaliśmy na górze?

– Mów.

Stanford przesunął dłonią po nieogolonej twarzy.

– Długo pracuję w policji, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Włożyła rękawiczki i weszła do kuchni. Agregat lodówki głośno pracował. Otworzyła drzwi.

Na dolnej półce leżała foliowa torba z gnijącymi cukiniami w kałuży brązowej mazi. Na górnej półce pięć fiolek bezylanu atrakuriowego. Henley wysunęła szufladę na warzywa i wyjęła z niej woreczek strunowy.

– O Boże – wykrztusiła. Z wnętrza torebki patrzyły na nią oczy Zoe Darego.

Rozdział 98

– Nigdy w życiu nie cieszyłem się taką popularnością – zażartował Ramouter, siadając w łóżku. Po czterdziestu minutach zaczęło ustępować działanie środka paraliżującego, ale lekarze i tak wykonali rezonans magnetyczny, który potwierdził, że kręgosłup nie został uszkodzony. W sali siedzieli Henley, Pellacia i Stanford. Pod drzwiami stało na straży dwóch funkcjonariuszy. Dochodziła szósta rano, przez chmury zaczynało przedzierać się wschodzące słońce. Henley miała już serdecznie dość wszystkich szpitali. Nasiedziała się w nich tyle, że wystarczyłoby do końca życia.

– Jak się czujesz? – zapytała.

Pellacia wziął z tekturowej tacy ostatni kubek kawy i jej podał.

– Jakby znokautował mnie Hulk – odparł Ramouter. – Boli przy każdym wdechu.

– Tak mi przykro. Powinnam była zaczekać. – Rozerwała trzy saszetki cukru i wsypała wszystkie do kubka Ramoutera. – To błąd, że pozwoliłam ci iść samemu.

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że będzie tam Olivier? Jeśli poprawi ci to samopoczucie, nie wydaje mi się, że chciał mnie zabić – rzekł nieprzekonująco Ramouter.

– Nie, nie poprawia mi to samopoczucia.

Ramouter się skrzywił przy podnoszeniu kubka do ust. Miał złamane trzy żebra, jedno z nich przebiło płuca. Rany kłute ramienia okazały się głębokie, ostrze przecięło nerw.

– Rozmawialiście z moją żoną?

– Nie, rozmawiałem z twoją szwagierką – odpowiedział Pellacia. – Mówiłem, żeby się nie martwiła, że nic strasznego się nie dzieje, ale uparła się, że przyjedzie dzisiaj do Londynu z twoją żoną.

– To w jej stylu. Co z Kirkpatrickiem?

– Jest tutaj. Leczą go z odwodnienia i szoku. Nie ma wewnętrznych obrażeń. A co do psychiki... Nie wiem, jak sobie poradzi. – Henley siłą rzeczy powróciła myślami do własnych przejść. Przypomniała sobie, jak kurczowo trzymała się Pellacii, kiedy ją znalazł. Jak nie pomagały antydepresanty ani sesje terapeutyczne i wciąż powracały wspomnienia tamtej chwili. Kirkpatrick potwierdził, że uprowadził go Pine. Bronił się, ale później urwał mu się film. Odzyskał przytomność w szopie i zobaczył pochylonego nad nim Pine'a, który zapowiedział, że do niego wróci i zacznie od odpiłowania lewej ręki. Ale nie wrócił.

– A co z Olivierem? – zapytał Ramouter, rzucając szybkie spojrzenie na drzwi.

– Nie ma go tu, a poza tym masz ochronę. Na oddziale jest policja. Szukają go wszyscy. Samochód, który go potrącił, nie jechał szybko, jednak Olivier musi być ranny. Nie wiem, jak zdołał uciec.

– Bo to diabeł w ludzkiej skórze – skomentował Stanford.

– A więc? Co teraz? – zastanawiał się Ramouter. – Pine nie żyje, a Olivier jest nadal na wolności.

Henley zerknęła na zegarek i pokręciła głową. Była wykończona, przytłaczało ją poczucie winy, a końca tej sprawy wciąż nie było widać.

– Czekamy na zielone światło, żebyśmy mogli aresztować Karen Bajarami – wyjaśniła. – Ponieważ Blaine nie żyje, pozostała nam tylko ona.

– Chcę uczestniczyć w tym przesłuchaniu – oznajmił Ramouter.

– Żarty sobie stroisz? Nie ma mowy – rzekł Pellacia, rzucając okiem na dzwoniącą komórkę.

– Szefie, muszę przy tym być. Gdyby nie ona... – błagał słabym głosem.

– Wybij to sobie z głowy. Zostajesz w szpitalu jeszcze przez kilka dni i nie wrócisz do pracy, póki nie wyzdrowiejesz. Masz przebite płuco i połamane żebra. Nie chcę, żeby dział kadr dobrał mi się do skóry.

– Tak jest, szefie – odparł ponuro.

– Szczerze mówiąc, wyglądasz nietęgo – rzekł Stanford po wyjściu Pellacii. – Wolałbym nie oglądać twojej szpetnej facjaty przez kilka kolejnych dni.

– Dzięki – odparł Ramouter. – Nie ma to jak dobre słowo.

– Na litość boską...

Pellacia oparł się o ścianę budynku SCU, rzucił pustą paczkę papierosów w kierunku kosza na końcu parkingu, ale chybił. Poszedł za róg, z frustracji złapał się za głowę. Czuł, że przestaje nad czymkolwiek panować. Jego życie i dowodzenie SCU wymykało się spod kontroli. Ujawnienie, że to Dominic Pine był zabójcą-naśladowcą oraz jego śmierć powinny być zwieńczeniem wszystkich wysiłków. Tymczasem młodszy policjant z jego zespołu leżał w szpitalu, a Olivier wciąż był na wolności i zabijał. Na domiar złego ponownie wpuścił Henley do swojego życia, łamiąc tym samym ustanowioną przez samego siebie zasadę. Po prostu jej potrzebował.

– Wyglądasz, chłopie, na lekko przybitego.

Na dźwięk znajomego głosu dostał gęsiej skórki. Gdy się odwrócił, serce zabiło mu szybciej. Olivier zsunął kaptur bluzy. Miał podrapaną twarz pokrytą zaschniętą krwią. Rozciętą i opuchniętą dolną wargę.

Pellacia sięgnął do kieszeni po radio, lecz Olivier był szybszy. Uderzył go cegłą w brzuch. Pellacia zgiął się wpół, z płuc uszło całe powietrze. Olivier klęknął przed nim i chwycił go za włosy. Pellacię zdjęła panika, rozpaczliwie próbował oddychać. Henley opowiadała mu, że podczas ataku paniki czuła się tak, jakby ktoś wcisnął jej na głowę foliowy worek. Zanim stracił przytomność, myślał właśnie o niej.

Resztę dnia wypełniło powiadamianie pozostałych ławników, że mogą już odetchnąć z ulgą, ponieważ zabójca Dominic Pine nie żyje. Henley zwołała krótką konferencję prasową, ekipa Anthony'ego wciąż pracowała w domu Pine'a, zbierając materiał dowodowy. Nieustannie powracał do niej widok martwych, nieruchomych oczu Zoe. W sypialni na piętrze znaleźli przypięte do ściany fotografie wszystkich trzech okaleczonych ofiar. Za nic w świecie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Pine tak je eksponował. Zadał tyle cierpienia. W imię czego? Żeby prześcignąć Oliviera? Zemścić się na ludziach, którzy po prostu robili to, co do nich należało? Małostkowy. Samolubny. Egoistyczny.

Potwór.

Henley zdążyła dotrzeć do domu i wziąć prysznic przed zaplanowaną na szóstą konferencją prasową, jednak nadal czuła się wyczerpana. Była na nogach od ponad dwudziestu czterech godzin, a dzień jeszcze się nie skończył. Otrzymała telefoniczą wiadomość, że stan Karen Bajarami polepszył się na tyle, że wypisano ją ze szpitala i że Stanford oraz piekielnie zmęczona Eastwood już ją aresztowali. W trakcie konferencji prasowej Stanford wysłał potwierdzenie, że Bajarami została już doprowadzona do komisariatu policji w Lewisham i uznana za zdolną do przesłuchania i teraz czeka na nie w celi.

– Czuję się przy tobie jak chłopak na zastępstwo – powiedział Stanford, gdy Henley wbijała szyfr umożliwiający wejście do aresztu śledczego.

– Nie bądź taki wspaniałomyślny.

– Nic na to nie poradzę. Przez lata pracowaliśmy razem, a potem zjawia się nagle jakiś karierowicz i zajmuje moje miejsce. À propos, jak on się miewa?

– Sprawdzałam godzinę temu. Całkiem nieźle. Jeszcze parę dni i wypiszą go do domu.

– Tak naprawdę bardzo mu współczuję.

W areszcie śledczym panował ruch. Zatrzymanych spisywano albo stawiano im zarzuty. Henley zapukała do drzwi pokoju przesłuchań numer trzy i nacisnęła klamkę. Karen Bajarami łypnęła na nią zdrowym okiem. Drugie przesłaniał bandaż. Wydawała się absolutnie przygnębiona. W osobie obrońcy z urzędu Henley rozpoznała Morgan Tyler. Była jedną z najlepszych w swoim fachu.

– Dobry wieczór, pani komisarz – przywitała ją Morgan. – Możemy zaczynać?

Rozdział 99

W pokoju przesłuchań było jak zwykle zimno. W tle klimatyzator z szumem mieszał powietrze. Stanford siedział obok Henley, odpakowując w milczeniu trzy czyste płyty CD i wkładając je do nagrywarki. Bajarami zajmowała miejsce naprzeciwko Henley, nieomal wciśnięta w kąt, tak jakby próbowała zniknąć. Wyglądała blado, była bliska omdlenia.

– Nim rozpoczniemy, czy mogę zwracać się do pani po imieniu? – spytała Henley, kończąc wprowadzanie danych.

– Tak – odparła Karen.

– Lekarz policyjny uznał, że można poddać cię przesłuchaniu. Chciałabym tylko zapytać, czy niczego nie potrzebujesz. Wody, herbaty...

– Niczego.

– W porządku. – Henley włączyła nagrywanie. – A więc zaczynamy. Komisarz Anjelica Henley. Jest ze mną również...

– Sierżant Paul Stanford.

– Znajdujemy się w pokoju przesłuchań komisariatu policji w Lewisham. Przesłuchanie jest nagrywane. Przesłuchujemy dzisiaj – proszę, potwierdź swoją tożsamość.

Karen Bajarami posłała spojrzenie swojej adwokatce, która skinęła głową.

– Karen Irin Bajarami.

– Dziękuję. Na sali jest także obecny obrońca...

– Morgan Tyler z kancelarii prawnej Tyler Lawson. Informuję, że moja klientka będzie odpowiadać na wszystkie zadawane jej pytania zwrotem: „Nie mam nic do powiedzenia".

Nie spuszczając Bajarami z oka, Henley zakończyła wprowadzenie i wyrecytowała pouczenia.

– Karen, aresztowano cię za dostarczenie do więzienia zabronionego przedmiotu w postaci telefonu komórkowego, za pomaganie więźniowi Peterowi Olivierowi w ucieczce, mataczenie, uniemożliwienie zgodnego z prawem pochówku zwłok oraz zmowę w celu popełnienia zabójstwa. Ujawniliśmy już te informacje pani adwokat i, jak wiadomo, mamy dowód, że to ty dostarczyłaś Olivierowi telefon komórkowy oraz zasiliłaś konto. Co chciałabyś powiedzieć na ten temat?

Henley i Stanford byli przygotowani na odpowiedź „Nie mam nic do powiedzenia", którą Bajarami będzie kwitować każde ich pytanie przez najbliższą godzinę.

– To nie tak, jak myślicie – rzekła Karen.

Stanford trącił pod stołem stopę Henley.

– Karen, przypominam o poradzie prawnej, której udzieliłam pani podczas konsultacji – rzekła Tyler, zapisując coś w notesie.

– Przepraszam. Przepraszam. Nie mam nic do powiedzenia – zreflektowała się Karen.

– Operator sieci komórkowej potwierdził, że konto zostało założone przy użyciu karty debetowej zarejestrowanej na twoje nazwisko. Następnie zasilałaś to konto trzykrotnie.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Henley zaczynały męczyć te odpowiedzi.

– Nie byłaś jedyną kobietą, z którą Olivier utrzymywał kontakt – powiedziała znienacka.

Karen spojrzała na nią zszokowana. Henley była pewna, że wzmianka o Olivierze wyzwoli silną reakcję.

– O czym pani mówi? – żachnęła się Karen.

– Przypominam ponownie o poradzie prawnej, której udzieliłam, a która brzmiała: „Na wszystkie zadawane pytania proszę odpowiadać: »Nie mam nic do powiedzenia«" – jeszcze raz upomniała Tyler, lecz Henley wyłapała w jej głosie rezygnację. Sprawy raczej nie potoczą się zgodnie z jej zaleceniami.

– Byłaś w związku z Olivierem, prawda? – drążyła Henley.

– Tak, byłam.

– Mimo że stanowiło to poważne naruszenie obowiązków służbowych?

Tyler miała taką minę, jakby zamierzała ponownie się wtrącić, ale Bajarami nie dała jej szans.

– Nie rozumiecie. Przy mnie był innym mężczyzną. Nie takim, jak go przedstawiano.

– Przed osadzeniem w Belmarsh zamordował siedem osób.

– Doszło do pomyłki sądowej. Popełniono błędy.

Henley musiała kopnąć Stanforda pod stołem, żeby nie parsknął śmiechem.

– Byłaś strażniczką więzienną przez osiem lat. Czy coś podobnego już się kiedyś wydarzyło?

– Nie, oczywiście, że nie. Sumiennie wykonuję swoją pracą i on to doceniał. Traktował mnie z szacunkiem, nie tak jak niektórzy inni więźniowie.

– Kiedy to się zaczęło? Wasz związek.

– Około półtora roku temu i nie było tak, jak sądzicie. Po prostu chciał mieć kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Był subtelny i uroczy. Żadne z niego monstrum. Mówił, że ja go rozumiem.

Tym razem to Tyler musiała ukryć zaskoczenie. Zakasłała, napotkawszy wzrok Henley.

– A czy on rozumiał ciebie?

– Tak, rozumiał. Jest inteligentny i pogodny.

– Czyj był pomysł z telefonem?

– Mój.

– Twój? – Henley potrzebowała wyraźnego potwierdzenia ze względu na nagrywanie.

– Tak. Było mi ciężko widzieć go codziennie i nie móc normalnie z nim porozmawiać. Muszę wypełniać obowiązki służbowe, a najchętniej rozmawiałabym z nim bez przerwy.

– Jak często rozmawialiście?

– Co drugi wieczór.

– Wysyłałaś mu filmiki?

– Nie. Miał podstawową wersję telefonu. Nie dało się.

– Pokazywałaś mu filmy?

– Tak, na mojej komórce.

– Nagrałaś mnie pod moim domem, gdy otwierałam paczkę z głową Elliota Cheunga?

Karen spojrzała na swoją adwokat i milczała.

– Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

– Pani adwokat z pewnością uprzedziła, że policyjne przesłuchanie nie polega na wybieraniu najsmaczniejszych kąsków z talerza. Nie będzie to zbyt dobrze wyglądało, że na niektóre pytania udzielasz odpowiedzi, a inne przemilczasz.

– Będę wdzięczna za niekomentowanie rad udzielonych pani Bajarami w trakcie konsultacji. Proszę zadawać kolejne pytania albo zakończyć przesłuchanie – zażądała Tyler.

– Sierżant Stanford pokaże za chwilę materiał zarejestrowany przez kamery monitoringu zainstalowane w okolicy recepcji magazynów chłodniczych Franklin-Jones w Manor Park.

Stanford włączył odtwarzanie i odwrócił ekran laptopa w stronę Karen. Oglądała nagranie z obojętnym wyrazem twarzy.

– Czy to pani wychodzi z głową Elliota Cheunga w kartonie? – zapytał Stanford.

Karen przyłożyła dłonie do czoła wyraźnie przygnębiona.

– Czy to panią widać na nagraniu? – powtórzył Stanford. – To nie jest trudne pytanie. – Ton jego głosu wskazywał jednoznacznie, że istnieje tylko jedna możliwa odpowiedź.

– Tak – odparła cicho Karen. – Tak.

– Czy znajdowała się pani w pobliżu domu komisarz Henley, gdy pod jej drzwi podłożono głowę Cheunga?

– Tak.

– Czy Olivier panią poinstruował, żeby czekała pani niedaleko domu komisarz i sfilmowała jej reakcję?

Karen ściszyła głos do ledwo słyszalnego szeptu.

– Tak – przyznała, ukrywając twarz w dłoniach.

– Mów głośniej – upomniała ją Henley.

– Powiedziałam: „tak"! – wykrzyknęła Karen. – Chciał wszystko widzieć. Chciał zobaczyć ciebie!

Henley obserwowała, jak Karen z trudem próbuje zapanować nad mrocznym, toksycznym uczuciem zazdrości, które w niej kipiało.

– Wiedziałaś, że dzwonił też do innych kobiet? – ciągnęła Henley, wyjmując fotografię Lauren Varmy.

– Kto to jest? – burknęła Karen, wskazując na zdjęcie.

– Kobieta, której również się wydawało, że jest w związku z Olivierem.

– Kłamstwo.

– Kiedy uciekł ze szpitala, usiłowawszy przedtem cię zabić, poszedł prosto do niej.

– Nie. To nieprawda. On mnie kochał.

– Wiedziałaś o Lauren Varmie, prawda?

– Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Nie mówisz prawdy. Poznałyście się przez Internet. Obie byłyście członkiniami grupy kobiet utrzymujących zażyłe relacje z więźniami.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Obie zdałyście sobie sprawę, że coś was łączy. Obie byłyście zakochane w Peterze Olivierze, a ona później zwierzyła ci się ze swojej z nim relacji.

– Nie, nie. – Karen kręciła głową.

– Byłaś zazdrosna i to cię rozzłościło. Myślałaś, że jesteś jedyna.

– Jak mogłam być zazdrosna, skoro nic o niej nie wiedziałam? To jeden wielki stek bzdur.

– Ach tak. – Henley pokazała dwie torebki na dowody zawierające listy. – Oto dowód rzeczowy RE/3. Listy od Lauren Varmy do Petera Oliviera. I dowód rzeczowy SR/4. Listy od Petera Oliviera do Lauren Varmy. Są na nich twoje odciski palców.

Karen pobladła.

– Listy miłosne – dodała Henley.

– Miała obsesję – powiedziała cicho Karen.

– Mów głośniej do mikrofonu.

Karen energicznie pokręciła głową.

– Nic. Nic nie mówiłam. Nie mam nic do powiedzenia.

– Karen, do obowiązków strażnika w więzieniu należy między innymi sprawdzanie całej wychodzącej i przychodzącej korespondencji, prawda?

– Tak.

– Czytałaś całą pocztę Oliviera. Twoje odciski palców znajdują się na wszystkich okazanych tu dowodach rzeczowych.

Karen nie zareagowała.

– Wiesz, co myślę, Karen? – Henley wypiła łyk wody. – Myślę, że inna kobieta walczyła o uwagę Oliviera, a tobie się to nie spodobało. Po przeczytaniu listów wpadłaś w gniew. Kiedy Lauren Varma opowiadała przez Internet o swoim uczuciu do Oliviera, aż tak bardzo to nie doskwierało. Gdy jednak zobaczyłaś na własne oczy, że ze sobą korespondowali...

– Dosyć, dosyć. Nic nie wiecie.

– Sprawdzałaś listy i wiedziałaś, co pisał do Lauren. Stanford?

Sierżant odchrząknął i zaczął czytać:

– „Pieszczę się, gdy patrzę na Twoje zdjęcie. Wybrażałem sobie Twoje słodkie usta na moim..." W tym miejscu Olivier jest dość dosadny i jednoznaczny. „Nie ma innej kobiety, z którą czułbym się tak, jak z tobą". Aj, to musiało boleć. Dowiedzieć się, że nie jest się kimś wyjątkowym, tylko... jak to mówią na ulicy, pani komisarz?

– Laską na boku – odparła Henley.

Tyler odwróciła głowę i zacisnęła usta.

– Właśnie. Laską na boku. To bolało. Bardzo – podsumował Stanford, odkładając list na stół.

– Kazałaś Olivierowi się jej pozbyć – ciągnęła Henley. – Karen, mamy kopie SMS-ów, które wysłałaś Olivierowi trzy dni przed jego ucieczką.

– „Jeżeli naprawdę mnie kochasz, to się jej pozbędziesz" – czytał Stanford z leżącego przed nim wydruku. – „Mówiłeś, że jestem tą jedyną. Chcę, żeby L zniknęła". I zrobił, co mu kazano.

Karen zasłoniła usta dłonią, ale Henley zdążyła to zobaczyć. Uśmiech.

– I ponieważ pomogłaś mu w ucieczce, Lauren Varma leży teraz w sześciu częściach w kostnicy w Greenwich – zakończył Stanford.

Karen opuściła dłoń.

– O czym wy mówicie?

– Dostarczyłaś mu insulinę, która wprowadziła go we wstrząs hipoglikemiczny i wywołała objawy ataku serca – kontynuowała Henley. – Gdy trafił do szpitala, postarałaś się o to, żeby go tam pilnować, a następnie pomogłaś mu zbiec.

– Nieprawda.

– Jedyne, co nie mieściło się w planie, to zabójstwo Adego.

– Peter go nie zabił. – Karen zaczęła płakać. – To był wypadek.

– Trzasnął głową Adego o podłogę z taką siłą, że pękła mu czaszka, a tobie wbił w oko widelec. Wątpię, by utrata oka była częścią planu.

– Nie, nie, to nie... On mnie kocha.

– Karen, straciłaś oko. Czy to jest miłość? – Henley pochyliła się nad stołem. – Jaki był plan? Rzucić pracę i uciec z nim na koniec świata? Rozpocząć nowe wspólne życie?

Karen, zamiast odpowiedzieć, głośno pochlipywała.

– Przeszukaliśmy twoje mieszkanie, znaleźliśmy bilety do Malagi. Pieniądze oraz torbę wypełnioną męskimi ubraniami. Paszporty. Jeden z nich jest fałszywy. To kolejny zarzut oprócz współudziału w morderstwie.

– Chciałaby pani zrobić przerwę? Na jeszcze jedną naradę? – zapytała Tyler. Wyjęła z torebki paczkę chusteczek i podała je Karen.

– Nie, nie, nie trzeba – odparła.

– Zamordował kolejną kobietę, z którą korespondował. Uwiódł ją, poszedł z nią do łóżka, a później ją zmasakrował.

– On by tego nie zrobił. Obiecał mi, że...

– Co obiecał?

– Nic.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiem.

– Nie wierzę.

Karen się roześmiała.

– Tego się spodziewałam. Dużo o pani mówił. Między innymi to, że zrujnowała mu pani życie. Miał na pani punkcie obsesję.

– Gdzie on jest, Karen?

– Kiedy przyszła pani zobaczyć się z nim w więzieniu... cały się rozpromienił. Jak on na panią patrzył. Na mnie nie spojrzał tak nigdy. Chciał się na pani odegrać. Na pani i na tamtym policjancie, który wpakował go do tego piekła. Zniszczył mu życie.

Stanford i Henley wymienili spojrzenia.

– Na jakim policjancie? – zapytał Stanford.

– Na waszym szefie. Tym, który siedział z wami na konferencji prasowej.

Henley zamarło serce. Stephen.

– Jak miał się na nim odegrać? – zapytała Henley, starając się panować nad głosem.

– Nie wiem. Nie bardzo mnie to obchodziło.

– Karen, jesteś w nim zakochana. Słuchasz każdego jego słowa. Naraziłaś dla niego własne życie...

– Pani komisarz, sugeruję, by skupiła się pani na zadawaniu pytań, zamiast wygłaszać tu pompatyczne mowy – wtrąciła Tyler, prostując plecy.

– Co powiedział Olivier?

– Że chce się na nim zemścić. Żeby w ten sposób ukarać też panią. Chciał go trochę postraszyć. Mówiłam Peterowi, że nic tym nie wskóra, ale wtedy powiedział, że tamten człowiek jest tak samo winny. Że to wy oboje ponosicie odpowiedzialność za trupy na ulicy. Nie on.

Stanford szepnął coś Henley do ucha.

– Notujemy dla porządku, że sierżant Stanford opuszcza pokój przesłuchań o godzinie dwudziestej pierwszej dwadzieścia osiem.

– Gdzie jest Peter Olivier?

– Nie wiem – powtórzyła z uporem Karen.

– Karen, wiem, że odwiedził cię w szpitalu. Świadek zidentyfikował go na ulicy, przy której mieszkasz. Jesteście w kontakcie. Gdzie on teraz jest?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Im dłużej Olivier jest na wolności, tym większe prawdopodobieństwo, że zamorduje kolejną osobę. Masz już na swoich rękach śmierć dwojga niewinnych ludzi. Naprawdę zależy ci, żeby do tego grona dołączyli następni?

– Nie o to...

– Gdzie on jest?

– Nie mogę wam powiedzieć! – wykrzyknęła. – Obiecałam.

– Zapytam jeszcze raz: gdzie jest Peter Olivier?

Karen się rozpłakała.

– Nie mogę... – wykrztusiła przez łzy.

– Karen. Proszę. Gdzie jest Olivier?

– A jeśli się dowie, że wam powiedziałam? Zabił Lauren... A co, jeżeli...

– Gdzie on jest?

Pierś Karen uniosła się i opadła, jak po silnym ciosie w żołądek.

– Nabrzeże Convoys. W Deptford.

Henley znała to miejsce. Dorastała rzut kamieniem od czterdziestoakrowej strefy przemysłowej. Wtedy było to tętniące życiem centrum frachtu lotniczego i transportu drogowego. Poszukiwania Oliviera pośród niezliczonych opustoszałych magazynów to jak szukanie igły w stogu siana.

– Gdzie dokładnie? – zapytała Henley.

Karen pochyliła głowę i wyszeptała:

– Nie. Nie mogę.

– Co to znaczy? Karen, musisz mi powiedzieć, gdzie on jest.

Strażniczka nie podniosła głowy i milczała, miętosząc w rękach rąbek podkoszulki.

– Do ciężkiej cholery – zaklęła Henley, nie przejmując się, że wszystko wychwycą mikrofony, a prawnicy i sędziowie wkrótce będą analizować zapis nagrania. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz, prawda? Chronisz zabójcę. Człowieka, który zamordowałby w jednej sekundzie bez najmniejszych skrupułów. Byłaś tam?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Nabrzeże Convoys to bardzo rozległy teren. Umówiłaś się z Olivierem w jakimś konkretnym miejscu?

Karen ledwo zauważalnie skinęła głową.

– Z uwagi na rejestrację przesłuchania odnotowuję, że Karen Bajarami kiwnęła głową. Karen, czy to odpowiedź twierdząca?

– Tak. Ale nie powiem wam gdzie. Nie odpowiem więcej na żadne pytania. Koniec.

– Karen, to jest...

– Powiedziałam: koniec! – krzyknęła. – Nie mam nic do powiedzenia. Nie mam nic do powiedzenia...

Henley miała nieodpartą pokusę spoliczkowania Karen. Zamiast tego rzekła:

– Przerywam przesłuchanie o godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści trzy. Ani przez sekundę nie myśl, że... – Umilkła, gdy Stanford uchylił drzwi. Nie wszedł do środka, tylko wezwał ją skinieniem głowy. – Co się stało? – zapytała, gdy pociągnął ją za sobą do innego pokoju przesłuchań.

– Nie ma kontaktu z Pellacią. Dzwoniłem na komórkę, do biura, a nawet na jego numer stacjonarny. Odkąd wyszedł ze szpitala, nikt go nie widział. Sześć godzin temu miał zjawić się na spotkaniu w Scotland Yardzie. Nie przyszedł.

Rozdział 100

Do domu Pellacii wysłano zespoły policjantów, które zameldowały, że nie zastano go w domu i nie ma również jego samochodu. Ezra i Joanna potwierdzili, że nie wrócił do SCU i że nie ma sensu prosić o nagrania monitoringu, ponieważ kamery przytwierdzone do ściany komisariatu policji w Greenwich zostały odłączone osiem miesięcy temu w ramach kolejnych oszczędności, które objęły londyńską policję. Wszelkie próby skontaktowania się z Pellacią przez radio spełzły na niczym – po drugiej stronie panowała martwa cisza. Ostatnią osobą, która go widziała, była Henley. Wychodził wtedy ze szpitala.

– Nie rozumiem – powiedziała do Stanforda w drodze do strefy przemysłowej na nabrzeżu Convoys. Policyjna furgonetka z garstką policjantów, których był w stanie użyczyć komisariat w Lewisham, została już wysłana. Henley głęboko odetchnęła i sprawdziła, czy jej kamizelka nożoodporna jest bezpiecznie przymocowana do ciała. – Dlaczego go uprowadził? Po co w ogóle zadawał sobie ten trud? Olivier nie zdradzał najmniejszego zainteresowania Pellacią. Wedle Karen chodzi wyłącznie o mnie. Już sam fakt, że zadekował się na nabrzeżu Convoys... Wychowywałam się po drugiej stronie ulicy. Wygląda to tak, jakby wszystko, co robi...

– Miało przypominać ci o jego krzywdzie – dokończył za nią Stanford. – Pokazać, jak dobrze cię zna. A może chce się zemścić? Przepraszam za tę brutalną szczerość, ale gdyby nie Pellacia, Olivier by cię zabił.

– Skręć w następną w prawo. Dalej jest zakaz – pokierowała Stanforda, który przejechał na czerwonym świetle. – Kto tak naprawdę wie, co siedzi w jego głowie?

– Ty.

– To znaczy?

– Ty siedzisz w jego głowie. On pierwszy dorwał Pine'a i go zabił. Dla ciebie to cios. O mało nie zabił Ramoutera. Kolejny cios. Porywa mężczyznę, który cię kocha. I znów cierpisz.

Czuła, jak oczy pieką ją od łez. Wszystko, co powiedział Stanford, było boleśnie prawdziwe.

– Wobec tego jaki on ma plan? Porwać go, torturować i zostawić w kawałkach nad rzeką?

– Nie żebym uważał się za jakiegoś optymistę, ale na razie nie wiemy, czy w ogóle go uprowadził. Po raz pierwszy w życiu wolałbym, żeby się okazało, że Pellacię potrącił samochód.

Stanford zatrzymał auto pod bramą strefy przemysłowej przy nabrzeżu Convoys. Ponad dwa tygodnie temu Henley tędy przejeżdżała, odebrawszy od Pellacii telefon z informacją o zwłokach na Watergate Steps. Wzdrygnęła się i usłyszała w wyobraźni głos matki: „Śmierć cię przeskoczyła".

Dochodziło wpół do jedenastej. Bywalcy lokalnego pubu The Admiral stali na zewnątrz z kuflami w dłoniach i się na nich gapili, choć nie wyglądali na zaskoczonych obecnością policji w tym miejscu. Nabrzeże, opuszczone od dziesięciu lat, było otoczone murami oblepionymi plakatami protestacyjnymi przeciwko rozbudowie tego miejsca i pobazgranymi graffiti. Budka ochrony stała pusta, chwasty przerastały spękaną nawierzchnię. Zdaniem Henley cała ta wyprawa mogła okazać się daremna.

Noc była czarna jak smoła. Jedynymi źródłami światła były okna wieżowców w starych dokach oraz latarki policjantów, którzy przybyli tu przed nimi i przetrząsali teren. Henley i Stanford podeszli do ogrodzenia w miejscu, gdzie zostało częściowo rozebrane. Przecisnęli się na dawne tereny przemysłowe. Przez otwarty kanał w radiu popłynął komunikat, że kolejne zespoły są już w drodze.

– A jeśli Pellacii tu nie ma? – Henley odwróciła się plecami do Stanforda. Nie chciała, by widział, że się boi. O siebie, o Pellacię, o Stanforda. – Niewykluczone, że Olivier robi nas w konia. Nie tyle nas, ile mnie.

– Nie musimy zapuszczać się dalej. Możemy zaczekać na przyjazd zespołów z psami tropiącymi – rzekł Stanford, gdy zaszumiało jego radio i odezwał się głos. – Poczekajmy.

Henley rozglądała się po terenie. Garstka penetrujących go policjantów nie znała tego miejsca tak dobrze jak ona. Szukali po omacku.

– Może masz rację – dodał z wahaniem. – Może wcale ich tu nie ma.

– Są – odparłaHenley i ponownie sprawdziła poziom baterii w swoim radiu.

– Okej. Będę cię osłaniał. Gdzie zaczynamy? To twój rewir.

– On może czaić się wszędzie. – Omiotła snopem światła latarki czarną ścianę wzdłuż prawej strony nabrzeża. – Z tyłu, bliżej rzeki, stały kiedyś stare domy.

– Chcesz tam iść?

Skinęła głową.

Plusk wody rozbijającej się o mur przybierał na sile. Sześć budynków mieszkalnych stało tam nadal, ale wszystkie znajdowały się w różnych stadiach zniszczenia. Henley i Stanford weszli do pierwszego. Po podłodze poniewierały się zużyte igły do strzykawek, łyżeczki z plamami po podgrzewaniu heroiny, porzucone prezerwatywy i domowej roboty lufki do cracku, ale nie było żadnych oznak życia. Zatrzeszczało radio. Nigdzie ani śladu Pellacii i Oliviera. Henley i Stanford metodycznie przeszukiwali budynek po budynku.

– Strata czasu – skwitowała po wyjściu z ostatniego domu.

– A tam? – zapytał Stanford, oświetlając dom głównego cieśli okrętowego po drugiej stronie muru. Formalnie nie należał do strefy industrialnej nabrzeża, ale Henley wyraźnie pamiętała, jak przełaziła przez bramę z bratem oraz kumplami i bawiła się tam w dzieciństwie.

Przez moment modliła się o atak paniki. Jeżeli przejdą na drugą stronę muru, będą zdani tylko na siebie. W ten sposób narazi ich oboje na niebezpieczeństwo. Jeśli jednak jest tam Pellacia, mogą go uratować.

– Co powiesz na małą wspinaczkę po murze? – zwróciła się do Stanforda.

– Żartujesz, prawda?

– Żartuję. Chodź, znam drogę.

Wycofali się na Watergate Street i poszli dalej boczną uliczką wiodącą do schodów, na których znaleziono tułów Daniela Kennedy'ego. Na końcu schodów kazała Stanfordowi wdrapać się na mur. Zaklął, zeskoczywszy na ziemię po drugiej stronie, ponieważ potknął się o porzucony stary rower.

Usłyszała chrzęst szkła i zastygła. Spojrzała na Stanforda, przyłożyła palec do ust. Okrążyli budynek. Okna oraz większość wejść zabito deskami z wyjątkiem jednej pary drzwi na tyłach. Zabezpieczająca je krata była urwana i wisiała na ramie.

– Może wcale ich tu nie ma – szepnął Stanford, idąc z Henley w stronę drzwi. Za budynkiem nie było ogrodzenia ani muru. Tylko podest niebezpiecznie wysunięty nad rzeką, na którym ktoś zostawił stare leżaki. Henley weszła do środka, Stanford został na zewnątrz.

– Stephenie? Jesteś tu? – zawołała. Światło latarki odbijało się od pustych butelek po piwie i ślizgało po opakowaniach jedzenia na wynos. Pozostała część pomieszczenia była pusta. Henley wycofała się na zewnątrz.

– Anjelico! – rozległ się w ciemności głos Stanforda. Henley błyskawicznie się odwróciła, ale nigdzie go nie widziała.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj. Pod dachem. On jest...

Henley przemknęła obok leżaków w stronę zadaszenia, wołając Stanforda, który tak nagle przerwał wpół zdania. Potknęła się i upadła. Starała się nie zważać na piekący, przeszywający ból rozchodzący się po lewym barku.

– O Boże – wykrztusiła, gdy zobaczyła go przed sobą. Na ziemi poniewierały się pokruszone cegły i fragmenty zardzewiałego grilla. Modliła się, żeby się okazało, że Stanford po prostu stracił równowagę i uderzył się w głowę. Leżał na boku z rozchylonymi ustami. Z czoła spływały strużki krwi. Doczołgała się do niego i sprawdziła tętno. Miał zimną skórę, ale pod opuszkami palców wyczuła silny, rytmiczny puls. Odetchnęła z ulgą. Sięgnęła po radio i wcisnęła guzik alarmowy.

A potem uniosła głowę.

Obnażony Pellacia zwisał z belki, powieszony za ręce. Poraniona skóra na piersi była mocno napięta, na brzuchu miał wycięty półksiężyc i podwójny krzyż. Głowę spowijał foliowy worek. Delikatnie trzepotał na wietrze.

„Za późno! Olivier wygrał!", krzyczał głos w jej głowie. Rozejrzała się dokoła, zaskoczona, że nie stoi przed nią triumfujący Olivier, ciesząc się z jej porażki. Nie było tam nikogo. Stanford nadal leżał bez ruchu, a ciało Pellacii wisiało przed nią niczym ofiara złożona na ołtarzu.

Przycisnęła ręce do żołądka, jakby ktoś wypruwał jej wnętrzności. To przez nią Pellacia nie żyje. Może potępiać tylko siebie. Zimny wiatr od rzeki smagnął jej twarz. Powinna go zdjąć? Zaczekać? No i gdzie jest Olivier?

Odezwało się radio. Policjanci prosili o potwierdzenie lokalizacji. Nie zdążyła, radio wypadło jej z ręki, gdy zauważyła, że folia delikatnie przywiera do ust i nosa Pellacii, ukazując zarys nozdrzy. Tak jakby wciągał powietrze. Przeszył ją prąd. Pellacia się dusił. Ale nadal żył.

– Stephenie! – krzyknęła. Wspięła się na czubki palców i wyciągnęła rękę do jego głowy, jednak palce nie zdołały dosięgnąć worka. Schyliła się, przysunęła poniewierającą się w pobliżu starą skrzynkę i na niej stanęła. – Szlag! – zaklęła, gdy przegniły plastik zapadł się pod stopą. Wyszarpnęła nogę i stanęła na krawędziach skrzynki, niepewnie balansując.

– Zaraz cię ściągnę. – Zerwała worek z twarzy Pellacii i zaczęła mocować się ze sznurem zaciśniętym wokół jego nadgarstków. Rozejrzała się dokoła, gdy poczuła, jak więzy puszczają. Nie było nikogo. Z tego, co wiedziała o Olivierze, albo dał drapaka, albo czyhał gdzieś w ciemności, by dokończyć dzieła.

Sznur się rozwiązał, Henley spadła ze skrzynki, na nią upadł Pellacia. Jęknął, obrócił głowę w jej stronę. Jego prawe oko było czarne i tak spuchnięte, że nie mógł otworzyć powieki. Skóra podbródka i lewej strony twarzy posiniaczona i okaleczona.

– Jestem tutaj, Stephenie. Jestem przy tobie – mówiła, układając go na wznak. Zdjęła żakiet, okryła nim jego nagie ciało. Usłyszała za plecami jęk Stanforda, kiedy podawała przez radio swoją lokalizację.

– Już do nas jadą. Są w... – przerwała na dźwięk głosu Oliviera. Wołał ją.

– Pani komisarz!

Nie widziała go, choć zlustrowała miejsce, z którego dochodził głos.

Pellacia wyciągnął do niej rękę. Otworzył usta, chciał coś powiedzieć, lecz jego słowa utonęły pośród dźwięków nadlatującego helikoptera i fal rozbijających się o mur.

Henley próbowała dosięgnąć stłuczonej butelki, zanim jednak zdołała mocno ją chwycić, Olivier znalazł się tuż za jej plecami i szarpnął ją za włosy, wyrywając je w maniakalnym uścisku.

– Nie sądziłem, że okażesz się na tyle głupia, żeby go tu szukać – powiedział, wlokąc ją po ziemi. Krzyczała, ostre kamienie i odłamki szkła wbijały się w niewielki fragment odsłoniętego ciała, niechronionego kamizelką. – Miałem wobec ciebie inne plany.

Wpiła się w jego ręce, czuła, jak paznokcie rozcinają skórę. Usłyszała wołającego ją Stanforda. Ślizgało się po nich światło reflektora z policyjnego helikoptera tuż nad ich głowami.

– Cholera – warknął Olivier, oślepiony chwilowo silnym blaskiem. Zatoczył się w tył i rozluźnił uścisk. Gdy tylko poczuła, jak słabnie napięcie jego mięśni, wykorzystała okazję i mu się wyrwała. Próbowała uciekać, lecz wtedy on wyjął nóż i natarł. Błyskawicznie sięgnęła po policyjną pałkę, zamachnęła się, trafiając go w bok twarzy.

Olivier, zdezorientowany tylko przez moment, przypuścił kolejny szturm z nożem w ręku, zmuszając ją do cofnięcia się w stronę rzeki. Zamachnęła się ponownie, ale chybiła, on zaś próbował wbić jej nóż w pierś, lecz ostrze wygięło się w zetknięciu z kevlarem kamizelki. Oboje upadli; on uderzył głową Henley w krawędź platformy. Okładała go pięściami po plecach, lecz Olivier ani razu nie skrzywił się z bólu. Podniósł się i docisnął do ziemi jej nadgarstki. Był przypływ, woda głośno tłukła się o ściany murowanego koryta. Henley nie wiedziała, skąd pochodzą drobne kropelki na jej twarzy: czy to rozbryzgi brudnych wód Tamizy, czy słone drobinki potu kapiącego z czoła Oliviera. Lizał ją po twarzy. Powoli. Wodził językiem wzdłuż kącika ust i wędrował w górę, do oka. Coraz mocniej napierał kroczem na jej nogę.

– Podoba ci się? – Obejrzał się na Pellację, który leżał bez ruchu. – Zaraz ci udowodnię, że on jest dla ciebie za mało męski. Jak myślisz, jak się poczuje, patrząc, jak w ciebie wchodzę?

Henley próbowała unieść kolana i wydostać się spod Oliviera. Aż krzyknęła przy tym z wysiłku. Zrobiło się jej niedobrze, gdy przygniótł ją znów całym swym ciężarem, gdy czuła, jak jego gorący, nieświeży oddech wsącza się w pory jej skóry. Reflektory z helikoptera zalały światłem cały teren, woda z coraz większą siłą bryzgała na jej twarz. Z radia dochodziły nawoływania policjantów, którzy szukali jej, Pellacii i Stanforda. Przez szczeliny w murze zaczęły wdzierać się niebieskie błyski. Henley poczuła, że Olivier się przesuwa. Wykorzystała ten ruch i dwukrotnie kopnęła go kolanem w krocze. Stęknął z bólu. Henley zauważyła roztrzaskaną butelkę po winie o ostrych, wyszczerbionych brzegach. Chwyciła szyjkę i zdecydowanym ruchem wbiła mu szkło w twarz. Rozcięło skórę, kawałek szkła się odłamał. Wrzask Oliviera przeszył jej uszy, a potem zginął pośród wycia syren. Olivier przeturlał się na bok, Henley podparła się na dłoniach i kolanach i wstała. Z całej siły kopnęła go w żebra.

– Ty suko jebana! – ryknął. Twarz wykrzywiła mu się z bólu, wbity w twarz odłamek butelki błysnął w świetle reflektorów.

Henley odwróciła się, chciała pobiec do Pellacii i Stanforda, ale Olivier ją złapał, przyciągnął do siebie i zaczął wlec w kierunku rzeki. Zdołała oswobodzić prawą rękę i głębiej wcisnąć szkło w jego twarz. Jej dłoń była gorąca i czerwona od krwi Oliviera. W żyłach płynęła adrenalina. Henley zebrała wszystkie siły i odepchnęła go od siebie. Stracił równowagę i rozluźnił zaciśnięte palce. Choć wyczuwała zbliżające się kroki, wiedziała, że nie ma czasu czekać na odsiecz. Pchnęła go jeszcze raz, mocno. Krzyknął w ciemnościach. Henley stała nieruchomo i wstrzymała oddech, póki nie usłyszała charakterystycznego odgłosu. Głośnego plusku zderzania się ciała z taflą wody.

Rozdział 101

Henley zwinęła się w fotelu szpitalnego pokoju Pellacii. Minęły trzydzieści cztery godziny, od kiedy Olivier wpadł do rzeki. Policja rzeczna szukała jego ciała, ale nie znalazła. Uważano, że przeżycie takiego upadku jest mało prawdopodobne i że w ciągu kilku dni woda wyrzuci gdzieś zwłoki, ale Henley to nie przekonywało. Stanford nazwał kiedyś Oliviera diabłem, ona zaś była pewna, że niebezpodstawnie.

Gdy otworzyła oczy, Pellacia siedział w łóżku i się jej przyglądał. Miał złamany obojczyk i zwichnięty bark. Doznał krwotoku wewnętrznego wskutek pęknięcia śledziony i musiał być szybko operowany. Rany na brzuchu okazały się płytkie, nie wymagały szwów, ale pozostawią trwałe blizny.

Po przebudzeniu z wywołanego morfiną snu Pellacia wyjaśnił, jak Olivier zaczaił się na niego na parkingu SCU. Pamiętał, że został napadnięty, ocknął się w bagażniku, a potem Olivier pobił go jeszcze raz do nieprzytomności.

Stanford doznał niewielkiego wstrząśnienia mózgu i założono mu na głowie trzy szwy. Lekarze zatrzymali go w szpitalu na obserwację, a po dwudziestu czterech godzinach wypisali do domu.

– Powinieneś jeszcze spać. – Skrzywiła się i rozprostowała podwinięte nogi. Rany w okolicy krzyża piekły, gdy ocierał się o nie opatrunek. Podeszła do Pellacii, delikatnie dotknęła jego policzka i pocałowała go w czoło.

– Myślałem, że pojechałaś do domu.

– Pojechałam, ale wróciłam.

– Cieszę się – powiedział półszeptem. Dostrzegł na jej twarzy przelotny niepokój. – Zdaje się, że wyglądam gorzej, niż się czuję.

– Wątpię. – Jej wzrok ześliznął się na duże plastry na brzuchu. Rany sączyły, przez bandaże nieznacznie przebijały zarysy podwójnego krzyża.

– O co chodzi? – zapytał, biorąc ją za rękę.

Nazwisko Oliviera nie mogło przejść jej przez gardło.

– Znajdą go – zapewnił Pellacia.

Pokręciła głową.

– Póki ktoś nie pokaże mi jego zwłok, będę spała z jednym okiem otwartym. Nie dam rady...

– Anjelico, nikt nie przeżyłby takiego upadku i tak wartkiego nurtu. Nikt.

Nie odpowiedziała. Delikatnie pocałowała Pellację w policzek i cofnęła dłoń.

– Muszę lecieć.

Na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie. Odwrócił się do okna. Po chwili milczenia przemówił.

– Myślałem o Elliocie Cheungu. Usiłowałem rozgryźć, dlaczego wybrał akurat jego.

– Też chciałabym wiedzieć. – Odeszła od łóżka. – Cheung nie był powiązany z żadną z pozostałych ofiar. Może po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie, a Olivier go zabił,

bo... miał taki kaprys. – Zabrzmiało to słabo i nieprzekonująco, nawet dla niej samej.

– Biedny chłopak. A co z Karen Bajarami?

– Zjawiła się dziś rano w sądzie. Eastwood potwierdziła, że odmówiono jej zwolnienia za kaucją. Sprawę przekazano do Old Bailey. Jeszcze dziś po południu powinni przewieźć ją do więzienia Bronzefield.

– W sumie jest jedyną osobą, która rzeczywiście poniesie karę i odsiedzi wyrok. Zaczynam myśleć, że Pine'owi i Olivierowi mimo wszystko się upiekło – rzekł gorzko Pellacia. – Życie Bajarami zamieni się w istne piekło, kiedy dowiedzą się, że była strażniczką w więzieniu. Po tym, co zrobiła... Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ktoś ją tam załatwił.

– Wiesz co? Ani trochę mnie to nie obchodzi – oznajmiła Henley. – Jej odsiadka nie załatwi sprawy, ale to zawsze coś. Ktoś musi zapłacić za życie tylu niewinnych ludzi.

– Myślę, że Pine zapłacił. Już Olivier się o to postarał.

– To nie było zadanie dla niego – powiedziała posępnym tonem, targana emocjami, które wahały się między gniewem a urazą. – Nie dotrzymałam obietnicy złożonej dziadkom Zoe. Nie ja schwytałam zabójcę. Zrobił to Olivier. Odebrał mi obietnicę.

Otarła łzy z twarzy i wyszła z pokoju, nie zważając na błagania Pellacii, by jeszcze została. Jakiś głos w jej głowie drwiąco powtarzał dwa słowa: Olivier wygrał. Olivier wygrał.

Rozdział 102

Henley stała na schodach SCU, próbując rozgryźć, z którego miejsca obserwował ją Olivier tamtego popołudnia. Choć lało jak z cebra, nie szukała schronienia. Nie potrafiła otrząsnąć się z uczucia, że on już zawsze będzie ją śledził. I na nią czyhał. Wyjęła telefon, jej palec zawisł nad numerem Stanforda. Pragnęła uciec stąd jak najdalej, gdzie pieprz rośnie. Trzymana w dłoni komórka zaczęła wibrować. Na ekranie mrugały imię i zdjęcie. Głęboko odetchnęła, przez chwilę wahała się, czy nie odrzucić połączenia, nacisnęła jednak przycisk „odbierz".

– Oglądałem wiadomości. Więc już po wszystkim?

– Tak, po wszystkim. Opowiem ci później, w każdym razie sprawa zakończona.

– Co z Olivierem?

– Nie żyje... – Wiedziała, że to kłamstwo.

– Naprawdę? A więc koniec. Mamy to z głowy?

– Tak. Mam nadzieję. – Spuściła wzrok na zabandażowaną prawą rękę. Chirurg założył cztery szwy, istniało również ryzyko, że został trwale uszkodzony nerw.

– Nie mogę uwierzyć, że wreszcie się go pozbyliśmy. Że zniknął z naszego życia. Na dobre – powiedział Rob. – A jak to się... W gruncie rzeczy mam to gdzieś. Chcę tylko, żebyś wróciła do domu. Co teraz zamierzasz?

– A o co pytasz? – zapytała, schodząc ze schodów w stronę High Road. Mogłaby przysiąc, że po drugiej stronie ulicy widzi pod apteką znajomą postać. Twarz Oliviera w postaci mężczyzny chroniącego się przed ulewą.

– Co dalej z nami?

Zacisnęła powieki, próbując wymazać widok Oliviera wpadającego do rzeki.

– Rob, możemy o tym porozmawiać, kiedy wrócicie z Emmą do domu?

– Tak, oczywiście. Gdzie teraz jesteś?

– Wciąż w SCU.

Zimne krople deszczu nieprzyjemnie bombardowały twarz. Henley cofnęła się od krawężnika, gdy zapaliło się czerwone światło, a tuż przed nią zatrzymał się piętrowy autobus, przesłaniając widok.

– Okej... tam jest bezpiecznie... Potrzebujemy... – Głos Roba był przerywany, połączenie się urywało.

– Źle cię słyszę.

– Mówiłem, że cię potrzebujemy. Emma cię potrzebuje, a ja muszę wiedzieć, Anjelico. Podjęłaś już decyzję? To twoja ostatnia sprawa?

Nie odpowiedziała. Światła zmieniły się na zielone, autobus ruszył z miejsca. W drzwiach apteki jakaś kobieta zmagała się z parasolką, lecz Henley widziała tylko Oliviera. Każda napotykana wzrokiem osoba miała jego twarz. Gdy zamknęła oczy, nie zniknął. Czuła, jak napiera na jej pierś. Czuła jego zapach. Serce zaczęło jej kołatać, brakowało tchu. Zimny deszcz nie chłodził gorąca, które rozchodziło się po całej twarzy. Noga mrowiła, ogarnął ją strach.

Olivier żyje. Czuła to całą sobą.

Niepewnym krokiem wycofała się na schody SCU i usiadła na mokrym betonie. Bała się śmierci. Ta utrata kontroli wyssała z niej całą energię. Henley sięgnęła do kieszeni żakietu i wyjęła z niej wizytówkę terapeuty, którą Mark dał jej w zeszłym tygodniu. Ponownie przyłożyła telefon do ucha.

– Rob, potrzebuję pomocy.

Podziękowania

Z głębi serca dziękuję „Literackim imprezowiczom": Amber, Esther, Jem, Jonathanowi, Luke'owi, Patricii, Satu i Steph, którzy towarzyszyli mi od samego początku, gdy Naśladowca rodził się pod postacią liczącego tysiąc słów zadania na magisterskich studiach kreatywnego pisania na Uniwersytecie Londyńskim. Byliście ze mną na każdym etapie tej podróży i nie mogłabym wymarzyć sobie lepszej grupy piszących przyjaciół. Wspaniała jest nasza przyjaźń oraz to, że nie przestajemy wspierać się nawzajem. Z niecierpliwością czekam na kolejną wspólną kolację.

Specjalne podziękowania dla Claire McGowan, Laury Wilson i Williama Ryana, którzy widzieli potencjał w Naśladowcy nawet wtedy, gdy ja go jeszcze nie widziałam, i nieprzerwanie dodawali mi otuchy. Wasze wskazówki i wsparcie były bezcenne.

Mój agent Oli Munson wie, że moim zdaniem cała ta eskapada z Naśladowcą była kompletnym „szaleństwem". Ale nie mielibyście tej powieści w swoich rękach, gdyby nie on i wspaniały zespół A.M. Heath. Wszyscy byliście fantastyczni, a praca z Wami to czysta przyjemność.

Dziękuję mojej wydawczyni Manpreet Grewal, która uwielbia Henley i Oliviera tak samo jak ja i która odegrała zasadniczą rolę w zmobilizowaniu mnie do nadania kształtu powieści i odważenia się na nieco więcej. Wiedziałam, że centrala wydawnictwa to dla mnie idealny dom, i chcę podziękować każdemu członkowi zespołu, który od początku odnosił się entuzjastycznie do Naśladowcy.

Dziękuję Johnowi Glynnowi oraz fantastycznemu zespołowi Hanover Square Press, którzy sprawują pieczę nad moją książką w Stanach Zjednoczonych i przyjęli ją z równie wielkim entuzjazmem. Wspaniale się pracuje z Wami wszystkimi.

Specjalne wyrazy uznania dla Sarah Hilary, która była moją mentorką i nieustannie mnie wspierała. Dziękuję Amandzie O'Brien, jednej z moich najstarszych przyjaciółek, która cierpliwie wysłuchiwała moich zadawanych na oślep pytań dotyczących policyjnych procedur.

Serdeczne podziękowania i wyrazy miłości dla moich gwiazd przewodnich: Mamy, Taty, Gavina, Jasona, Sheulee, Edwina, Gaynor, Harmindera, Kirsty i Lavinii, którzy wspierali mnie w tym szaleństwie i zawsze odbierali telefon, by wysłuchać relacji o najnowszych zakrętach i zawiłościach mojej podróży.

Dziękuję całej mojej rodzinie i wszystkim przyjaciołom za ich niezachwianą miłość, wsparcie i zachętę. To, że nie wymieniłam Was z imienia i nazwiska, nie znaczy, że o Was zapomniałam. Kocham Was wszystkich. Teraz i zawsze, i na wieki wieków.

Dziękuję Tobie, Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku, za przeczytanie mojej powieści. Mam nadzieję, że Ci się podobała, i zapraszam do kontaktu. Pozdrowienia.

Przypisy

1 Crime Reporting Information System – System Zawiadamiania o Przestępstwach

2 Criminal Investigation Department – Wydział Kryminalny

3 Crown Prosecution Service – Koronna Służba Prokuratorska

4 National Crime Agency – Krajowa Agencja Walki z Przestępczością

5 Post-Traumatic-Stress-Disorder – zespół stresu pourazowego

6 UK Protected Person Services – Agencja do spraw Osób Chronionych

7 7 Queen's Counsel – adwokat posiadający licencję królewską

8 OIŚ - ofiara/informator/świadek

9 Police and Criminal Evidence Act – Rozporządzenie w sprawie Dokumentowania Dowodów Przestępstw